

**BARRY ESLER**

**ZABÓJCA  
Z  
TOKIO**

*Na rozdrożu dziejów byli jak jesienna burza...  
Spóźnione zjawisko - ulewa, która spadła na pola już po żniwach.*

Shosaburo Abe, o samurajach ery Meiji

# Część 1

*Kim jest ten trzeci, który zawsze wędruje przy tobie?*

*Kiedy liczę, jesteśmy tylko ja i ty,*

*Ale kiedy popatrzę tam, na białą drogę,*

*Jest jeszcze zawsze ktoś, kto idzie przy tobie,*

*Owinięty w brązowy płaszcz, w kapturze,*

*Nie wiem, mężczyzna czy może kobieta -*

*Kim jest ten, który idzie tam, gdzie ja i ty?*

T.S. Eliot *Ziemia jałowa*

przełożył Czesław Miłosz

# Rozdział 1

Harry przemknął przez poranne tłumy niczym rekin przez toń oceanu. Szedłem za nim nie więcej niż dwadzieścia metrów z tyłu, po drugiej stronie ulicy. Pocilem się jak wszyscy, bo w tym roku październik był w Tokio wyjątkowo ciepły. Z podziwem patrzyłem na tego chłopaka. Zapamiętał dosłownie wszystko, czego go nauczyłem. Jak woda przeciekał przez wąskie szczeliny i umykał w lewo spod ciemnego korka. Płynnie zmieniał rytm marszu - nikt by się nie domyślił, że dogania cel, który szybkim krokiem zmierzał z Dogenzaki w stronę stacji Shibuya.

Celem był Yasuhiro Kawamura, znany karierowicz z PLD, koalicyjnej Partii Liberalno-Demokratycznej, niemal bez przerwy rządzącej Japonią od zakończenia II wojny światowej. Teraz piastował funkcję wiceministra w Ministerstwie Infrastruktury w Kokudokotsusho, urzędzie, który zastąpił dawne Ministerstwo Budownictwa i Ministerstwo Transportu. Kawamura naraził się komuś jeszcze przed reformą. Chyba dosyć poważnie, bo nie przyjmowałem mniej poważnych zleceń.

- Wszedł do zieleniaka... Do Higashimury - usłyszałem w słuchawce głos Harry'ego. - Idę dalej.

Używaliśmy duńskich mikrosluchawek, tak głęboko wepchniętych w ucho, że ze świecą trzeba byłoby ich szukać. Mikrofon był niewiele większy, wpięty w klapę marynarki. Przekaz szedł na UHF-ie, najtrudniejszej fali do wykrycia, i ktoś musiałby dokładnie znać naszą częstotliwość, żeby przechwycić jakiś sygnał. Dzięki temu nie musieliśmy stale pozostawać w kontakcie wzrokowym. Mieliśmy także większą swobodę ruchów, kiedy cel niespodziewanie skręcał lub przystawał.

Choćby w tej chwili - byłem za daleko, żeby cokolwiek zobaczyć, a jednak wiedziałem, co robi Kawamura. Mogłem więc przejść jeszcze kilkanaście kroków i dopiero wtedy się zatrzymać. Taka robota w pojedynkę jest trudna. Cieszyłem się, że mam ze sobą Harry'ego.

Jakieś dwadzieścia metrów przed Higashimurą postanowiłem zajrzeć do apteki. To niemal znak firmowy Dogenzaki, symbol japońskiej hipochondrii i walki z zarazkami. Shibuya już od dawna stała się kwartą *buzoku*: różnych gangów i subkultur. O tej porze wszyscy zjawiali się w aptekach, we wspólnej pogoni za odświeżającym łykiem odżywczych napojów, szprycowanych rzekomo korzeniem żeń-szenia albo czymś w tym stylu. Pod egzotyczną nazwą najczęściej skrywała się porządna dawka zwykłej kofeiny. Do kasy stała kolejka *sarariman* - urzędasów w obowiązkowych szarych garniturach. Zmęczone twarze, tanie nesesery w spracowanych dłoniach... Czekał ich kolejny dzień monotonnej harówki w trybach korporacji. Za nimi ustawiły się dwie nastolatki o beznamiętnych twarzach i pomarańczowych włosach, tak nasączonych farbą, że przypominały metalową szczotkę. W nosach miały ogromne kolczyki. Wygląd dziewczyn, nie wyłączając ciuchów, miał stanowić swego rodzaju bunt wobec tradycyjnego modelu egzystencji w wydaniu *sarariman*. A tak naprawdę pewnie swojego jeszcze nie wybrały. Na końcu stał jakiś siwowłosy emeryt o pomarszczonej, ale zadziwiająco wesołej twarzy. Zapewne zjawił się tu w określonym celu, żeby skorzystać z seksualnych usług, z których słynęła cała Shibuya. Za przyjemności płacił z ukrytego konta. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego żona wie o wszystkim, ale po prostu ma to w nosie.

Zamierzam dać Kawamurze co najmniej trzy minuty, żeby spokojnie mógł kupić owoce. Stałem więc przed półką z opatrunkami, skąd miałem doskonały widok na ulicę. Kawamura skręcił do sklepu, jakby wiedział, że ktoś go śledzi. Nie bardzo mi się to podobało. Gdyby Harry działał zupełnie sam, musiałby nagle zrobić coś głupiego, żeby nie stracić z oczu swojego celu: stanąć, zawiązać but albo przeczytać napis na witrynie. Byłby widoczny dla Kawamury, który w tej chwili na pewno patrzył ze sklepu na ulicę. Na szczęście jednak pracowaliśmy razem, mógł więc spokojnie przejść dwadzieścia metrów, podać mi swoją nową pozycję i cierpliwie czekać na mój znak, że kawalkada ruszyła dalej.

Kawamura dobrze wybrał miejsce obserwacji. Chyba nawet za dobrze - moim zdaniem nie zrobił tego przypadkowo. Ale nie na nas - mam tu na myśli siebie i Harry'ego - amatorskie sztuczki rodem z rządowych

kursów antyterrorystycznych. Kiedyś też brałem udział w tych ćwiczeniach, więc wiem, ile są naprawdę warte.

Wyszedłem z apteki i ruszyłem dalej, w dół Dogenzaki. Szedłem o wiele wolniej niż przedtem, żeby dać Kawamurze czas na opuszczenie sklepu. Przez głowę przelatywały mi szybkie myśli: Ilu ludzi jest między nami? Zasłonią mnie przed jego wzrokiem? W którym sklepie mógłbym się schować? Czy Kawamura przypadkiem nie ma pomocnika, który obserwuje tłum ludzi wchodzących na stację? Taki koleś z łatwością mógłby zwrócić na mnie uwagę. Najpierw spieszyłem się, żeby tylko nie zgubić celu, a teraz szedłem niemal spacerowym krokiem. Tak nie robią ludzie idący do pracy. Na szczęście Harry był bardziej widoczny - i to on mógł wzbudzić zainteresowanie. Przecież, zanim wszedłem do apteki, zachowywałem się całkiem normalnie.

Znów usłyszałem głos Harry'ego:

- Jestem przy jeden-zero-dziewięć.

To znaczyło, że dotarł aż do słynnego wieżowca 109, gdzie mieściło się właśnie sto dziewięć restauracji i butików z modnymi ciuchami.

- Kiepsko - odpowiedziałem. - Na parterze jest sklep z damską bielizną. Jak chcesz się schować wśród pięćdziesięciu siusiumajtek w szkolnych mundurkach, kupujących wypchane biustonosze?

- Zaczekam na zewnątrz - burknął.

Wiedziałem, że się zaczerwienił.

Mnóstwo ludzi umawia się pod Stodziewiątką. Zawsze są tam niezłe tłumy.

- Sorry, myślałem, że też chcesz coś sobie wybrać - mruknąłem, z trudem powstrzymując uśmiech. - Stań gdzieś z boku i czekaj na mój sygnał.

- Jasne.

Do zieleniaka pozostało mi zaledwie dziesięć metrów, a Kawamury wciąż nie było widać. Musiałem jeszcze bardziej zwolnić. Szedłem po drugiej stronie ulicy, więc jakby coś, to nawet mogłem się zatrzymać i na przykład udawać, że dzwonię z komórki. Kłopot w tym, że wtedy mogły mnie zauważyć. Po ojcu mam japońskie rysy, więc w tłumie trudno mnie zobaczyć, ale jeśli ktoś coś podejrzewał... Harry, właściwie Haruyoshi, był rodowitym Japończykiem. Nie musiał się o siebie martwić.

Kiedy w latach osiemdziesiątych wróciłem do Tokio, brązowe włosy - spadek po matce - stały się dla mnie tym samym, czym kamizelka odbłaskowa dla myśliwego. Ciągle musiałem je farbować,

żeby zachować anonimowość. Ale ostatnio w całym kraju zapanowała szaleńcza moda na *chappatsu*, włosy barwione na kolor herbaty. Mogłem spokojnie pożegnać się z farbą. Ciągłe powtarzam Harry'emu, że nie nadąża za modą. Powinien zrobić sobie *chappatsu*. Harry to dziwak, *otaku*, więc nigdy nie dbał o takie rzeczy jak wygląd. Zresztą, niewiele by mu to pomogło. Krzywo się uśmiecha, jakby się spodziewał, że w każdej chwili dostanie w mordę. Mruga, gdy jest podniecony. Jego rysy pozostały miękkie jak u niemowlaka, a gęste czarne włosy czasami niemal unoszą się nad twarzą, podkreślając jej dziecięcy wygląd. Ale te same cechy, które sprawiają, że jego portret nigdy nie znajdzie się na okładce kolorowego czasopisma, czynią z niego doskonałego wywiadowcę.

Już byłem pewny, że muszę się zatrzymać, gdy Kawamura wyszedł ze sklepu i wmieszał się w tłum. Szedłem powoli, żeby stopniowo zwiększyć odległość między nami. Ciągłe widziałem jego głowę, podskakującą w głębi ulicy. Był dość wysoki jak na Japończyka, lecz miał na sobie ciemny garnitur jak dziewięćdziesiąt procent przechodniów - nie wyłączając mnie i Harry'ego. Nie mogłem więc dać mu odskoczyć.

Ledwie uznałem, że odległość jest jak najbardziej prawidłowa, gdy Kawamura znów przystanął i odwrócił się, żeby zapalić papierosa. Szedłem powoli, w prawo od niego, zasłonięty przez innych. Wiedziałem, że mnie nie zauważy. Zmęczonym wzrokiem patrzyłem w plecy sunących przede mną garniturów. Po krótkiej chwili Kawamura ruszył dalej.

Pozwoliłem sobie na maleńki uśmiech cichej satysfakcji. Japończycy nigdy nie zatrzymują się, aby zapalić. To zajęłoby im łącznie kilka tygodni dorosłego życia. Było też niemal bezwietrznie, więc Kawamura wcale nie musiał się odwracać. Po prostu patrzył, czy ktoś go śledzi. To potwierdzało jego winę.

Czym się podłożył? Nie wiedziałem. Nigdy nie pytam o takie rzeczy. Interesuje mnie coś innego. Zawsze chcę wiedzieć, czy to mężczyzna. Nie likwiduję kobiet i dzieci. Czy ktoś otrzymał to samo zlecenie? Strasznie nie lubię, jak mi pokątne „wsparcie” włązi w drogę. Pracuję sam lub z własnymi ludźmi. Czy to jest właściwy cel? Wszelkie problemy rozwiązuję wprost jak żołnierz, którym kiedyś byłem, a nie poprzez osoby trzecie jak terrorysta. Ostatnie z wyżej wymienionych pytań ma mnie zapewnić o dowodzie winy. Chcę wiedzieć, że wskazano mi prawdziwy cel, a nie przypadkowego gapia.

Dwukrotnie w ciągu osiemnastu lat brak dowodu powstrzymał mnie w ostatniej chwili. Pierwszy raz chodziło o brata znanego wydawcy, który opublikował serię reportarzy dotyczących korupcji w macierzystym okręgu pewnego polityka. W drugim przypadku był to ojciec bankiera, gorliwie tropiącego wielkość i rodzaj długów swojej instytucji. Gdybym mógł, to wolałbym bezpośrednio zająć się wydawcą i bankierem. Zostałem jednak wprowadzony w błąd przez klientów, którzy postanowili obrać bardziej okreśną drogę. Oczywiście już nie są moimi klientami. Już nie.

Nie jestem najemnikiem, chociaż kiedyś niewątpliwie nim byłem. Nie jestem także samurajem, mimo że nadal w pewnym sensie służę. Ale samuraj musi wiernie służyć tylko jednemu panu, nawet za cenę życia. Swego czasu wierność miała dla mnie ogromne znaczenie. Przeczytałem w dzieciństwie wiele eskapistycznych książek i komiksów i hołdowałem rycerskim zwyczajom samurajów. Chciałem umrzeć za sprawę adoptowanego pana, którym stały się dla mnie Stany Zjednoczone. Lecz bezkrytyczna i nieodwzajemniona miłość nigdy nie przetrwa próby czasu. Niekiedy kończy się tragicznie. Tak też było w moim przypadku. Teraz już jestem realistą.

Dotarłem do Stodziewiątki.

- Mijam cię - mruknąłem pod nosem. Rzecz jasna nie gadałem do kłapy marynarki ani nie robiłem nic równie głupiego. Nasze mikrofony były na tyle czułe, że nie musiałem wykonywać żadnych podejrzanych gestów, które są niczym plakat dla wyszkolonych oczu dobrego obserwatora. Wątpiłem wprawdzie, żeby ktoś na mnie teraz patrzył, ale zawsze trzeba spodziewać się najgorszego. Harry już wiedział, że przeszedłem obok, i po chwili mógł do nas dołączyć.

Popularność komórek z zestawem słuchawkowym sprawia, że nasza praca jest łatwiejsza niż przedtem. Widok samotnego człowieka mamroczącego coś do siebie nie robi żadnego wrażenia. To nie musi być tajniak albo obcy agent. W ten sposób zachowuje się większość pokolenia *keitai* - pokolenia telefonów komórkowych.

Na skrzyżowaniu na końcu Dogenzaki paliło się czerwone światło. Tłum gęstniał z każdą chwilą. Dotarliśmy do zbiegu pięciu ulic przed stacją Shibuya. Na ścianach wieżowców pulsowały kolorowe neony i wielkie monitory. Jakiś ropniak z hukiem gromu przetoczył się przez skrzyżowanie. Sunął pomalą niczym barka po zamulonej rzece. Z zamontowanych na nim głośników płynęły nacjonalistyczne pieśni,



zagłuszane metalicznym brzękiem rowerowych dzwonek. To dziesiątki cyklistów usiłowały przebić się przez tłum. Jakiś spocony sprzedawca zygżakiem popychał ciężki wózek. Za nim ciągnęła się woń ryby i gotowanego ryżu. Na chodniku, oparty o latarnię, spał włóczęga w nieokreślonym wieku - pewnie *sarariman*, który stracił pracę i wszelkie środki utrzymania wraz z załamaniem się „*bubble economy*” pod koniec lat osiemdziesiątych. Rozpacz lub wódka zrobiły go nieczułym na szalejącą wokół burzę.

Skrzyżowanie na Dogenzace wygląda tak w dzień i w nocy. W godzinach szczytu, kiedy zapali się zielone światło, ponad trzystu przechodniów jednocześnie wchodzi na ulicę. Dalsze dwadzieścia pięć tysięcy czeka na swoją kolej. Teraz już idzie się piersią w plecy i ramię w ramię. Znalazłem się zaledwie pięć metrów za Kawamurą, ale i tak dzieliło nas ze dwieście osób. Wiedziałem, że ma miesięczny i nie musi kupować biletu w automacie. Harry załatwił nam bilety wcześniej, więc mogłem przepchnąć się przez bramkę. Zresztą bileter i tak nie zwracał na nic uwagi, o tej porze po prostu oglupiały od liczby ludzi przewijających się przez stację. Możesz mu mignąć praktycznie wszystkim, nawet kartą baseballową, i cię przepuści.

Zmiana światła. Tłum rzucił się do bitwy rodem ze średniowiecznej epepei. Wewnętrzny radar, który moim zdaniem mają jedynie tokijczycy, skutecznie zapobiegał starciom i zderzeniom na środku ulicy. Kawamurą poszedł po skosie, w kierunku stacji, ja tuż za nim. Na bramce oddzielało nas tylko pięć osób. Teraz musiałem trzymać się blisko. Wjazd pociągu powodował nieopisany chaos. Pięć tysięcy wysiadających. Pięć tysięcy wsiadających, ustawionych w kolejkach po piętnaście osób, ale czujnie wypatrujących dogodnej pozycji. Cudzoziemcy, którzy stawiają Japończyków za wzór uprzejmości, nigdy nie jechali linią Yamanote w godzinach szczytu.

Rzeka ludzi wylała się ze schodów na peron. Zapach i odgłosy stacji zdawały się potęgować podniecenie tłumu. Płynęliśmy pod prąd, potracając ludzi, którzy właśnie wysiedli z pociągu. Zanim dotarliśmy do peronu, rozległ się szum zamykanych drzwi. Gdzieś mignęła przycięta teczka, torebka lub wystający łokieć. Zdażyliśmy dopaść do kiosku w połowie peronu, kiedy minął nas ostatni wagon. Po chwili tory były puste. Następny pociąg miał przyjechać za dwie minuty.

Kawamurą przepchnął się na środek peronu. Szedłem za nim, ale trzymałem się trochę z boku. Rozejrzał się po stacji. Nawet jeżeli za-

uważył mnie lub Harry'ego, właściwie nie miało to żadnego znaczenia. Połowa ludzi na peronie przyszła z Dogenzaki.

Usłyszałem pomruk nadjeżdżającego pociągu. W tej samej chwili Harry przesunął się koło mnie niczym myśliwiec zmierzający do wieży kontrolnej. Lekko skinął głową na znak, że teraz ciężar zadania spada na mnie. Wiedział, że potrzebuję go tylko do chwili, kiedy Kawamura wsiądzie do wagonu. Tak zresztą było zawsze. Harry wykonał dobrą robotę, podprowadzając mnie do zwierzyny, a teraz, zgodnie z naszym scenariuszem, po prostu schodził ze sceny. Zamierzałem spotkać się z nim nieco później, po skończonym występie solo.

Harry myśli, że jestem prywatnym detektywem i że zbieram tylko różne informacje o ludziach, których śledzę. Nie chcę, żeby wysoki procent śmiertelności pośród „winowajców” wzbudził jego podejrzenia, więc dość często wyznaczam go do innych zadań, w ogóle niezwiązanych z moją pracą. Obiekt takiego śledztwa żyje sobie nadal, w błogiej nieświadomości tego, co się stało. Staram się też na ogół nie podawać Harry'emu nazwiska, bo mógłby coś skojarzyć na widok nekrologu. Jednak śmierć towarzyszy nam niemal na każdym kroku, a Harry ma dociekliwy umysł. Na razie o nic nie pytał - i bardzo dobrze. Lubię z nim pracować, więc chyba bym się zmartwił, gdyby w pewnej chwili stanął mi na drodze.

Byłem tuż za Kawamura. Ot, jeszcze jeden pasażer, co to próbuje z dobrego miejsca wepchnąć się do pociągu. To była najdelikatniejsza część operacji. Gdybym coś spała, Kawamura na pewno nabrałby podejrzeń. Nie dałby się tak łatwo podejść przy kolejnej próbie.

Wsunąłem prawą rękę do kieszeni spodni i wymacałem mikrochip przyczepiony do kawałka magnesu wielkości i wagi ćwierćdolarówki. Z jednej strony magnes był przesłonięty skrawkiem granatowej tkaniny - tego samego koloru co garnitur Kawamury. W razie potrzeby mogłem zdjąć granatowy strzępek i odsłonić szary. Innych kolorów ubrań Kawamura na ogół nie nosił. Po drugiej stronie magnesu był kawałek plastra.

Wyjąłem magnes z kieszeni i ukryłem go w dłoni. Musiałem poczekać odpowiedni moment, kiedy coś odwróci uwagę celu. Wystarczy mi chwila - może podczas wsiadania? Ukradkiem ściągnąłem folię zakrywającą plaster, zmiąłem ją i schowałem do lewej kieszeni spodni.

Pociąg nadjeżdżał z hukiem. Kawamura wyjął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Wystukał numer.

Okej, teraz. Otarłem się o niego, przylepiłem mu magnes tuż pod lewą łopatką i odszedłem kilka kroków dalej, wzdłuż peronu.

Kawamura tylko parę sekund rozmawiał przez telefon - za cicho, żebym go dosłyszał przez głośny zgrzyt hamulców. Pociąg zatrzymał się tuż przy nas. Kawamura wsunął komórkę do kieszeni na lewej pierśsi. Ciekawe, do kogo dzwonił. Zresztą nieważne. Dwa przystanki, najwyżej trzy - i będzie po wszystkim.

Pociąg stanął. Przez otwarte drzwi buchnął ludzki potop. Kiedy strumień zmalał do pojedynczych kropeł, tłum czekających wybrzuszył się i nagle zniknął niczym pochłonięty przez wielki odkurzacz. Ludzie wciąż parli naprzód mimo ostrzeżenia, że drzwi się zamykają. Pasażerowie stali w coraz większym ścisku. Nikt nawet nie myślał o tym, by trzymać się uchwytów, bo i tak nie mógł upaść. Syknęły zamykane drzwi, pociąg szarpnął i ruszyliśmy.

Pomału wypuściłem powietrze z płuc i poruszyłem głową. Czulem, jak trzeszcza mi kości karku. Zwykle pod koniec pracy z wolna się odprężałem. Zawsze tak było. Jako nastolatek przez pewien czas mieszkalem w mieście nad postrzępioną zatoką. Tu i ówdzie morze wdzierało się daleko w głąb wybrzeża. Starsi chłopcy bez przerwy skakali do wody ze szczytu stromej skały. Niby to takie łatwe. Kiedy pierwszy raz poszedłem w ich ślady i popatrzyłem w dół, zamarłem ze zgrozy. Nie przypuszczałem, że to tak wysoko. Ale czulem na sobie wzrok moich kolegów. Od razu wiedziałem, że na pewno skoczę, bez względu na to, co się stanie. Coś zdusiło we mnie obawy - został jedynie odruch zmuszający mięśnie do szybkiej pracy. Nie myślałem o niczym, zwłaszcza o przyszłości. Nie obchodziło mnie nawet to, że mogę zginąć.

Kawamura stał jakiś metr ode mnie, przy drzwiach na końcu wagonu. Prawą rękę zaciskał na górnej poręczy. Teraz już musiałem trzymać się bardzo blisko niego.

Dostałem polecenie, aby jego śmierć nastąpiła wyłącznie „z przyczyn naturalnych”. To moja specjalność. Harry wydobyl kopię karty zdrowia Kawamury z archiwum Szpitala Uniwersytetu Jikei. Wynikało z niej, że Kawamura cierpi na tak zwaną całkowitą blokadę serca i wciąż żyje tylko dzięki rozrusznikowi, który wszczepiono mu przed pięcioma laty.

Odwróciłem się plecami do drzwi wagonu. Było to niewielkie odstępstwo od szcztatkowej etykiety, obowiązującej w tokijskich pociągach, ale nie chciałem, żeby ktoś, kto zna angielski, za chwilę zobaczył informację na ekranie mojego palmtopa. Zainstalowałem w nim program steru-

jacy pracą rozrusznika serca - taki sam, jaki na ogół stosują kardiolodzy. Ustawiłem go tak, żeby przekazywał sygnał w podczerwieni do kontrolki w magnesie. Mój aparat różnił się od szpitalnego tylko tym, że był maleńki i bezprzewodowy. No i nie obowiązywała mnie przysięga Hipokratesa.

Palmtop czekał w stanie uśpienia, więc uruchomił się natychmiast. Spojrzałem na ekran. W porządku. Wcisnąłem „Enter” i zobaczyłem opcje: „parametry progowe” i „parametry pracy”. Wybrałem pierwszą i od razu pojawiło się kilka możliwości: częstotliwość i długość pulsu, amplituda i tak dalej. Zacząłem od częstotliwości. Szybko przestawiłem rozrusznik na najniższą wartość czterdziestu uderzeń na minutę, wróciłem do poprzedniej opcji i zająłem się długością pulsu. Aparat był ustawiony na 48 milisekundy. Zjechałem w dół do końca skali i przeszedłem do amplitudy. Odczyt wskazywał osiem i pół wolta. Obniżałem go co pół wolta. Po dwóch woltach pojawił się napis: „Obniżyłeś amplitudę o 2 wolta. Na pewno chcesz kontynuować?” Odpowiedziałem: „Tak”, i pracowałem dalej, powtarzając tę samą procedurę co dwa wolta.

Pociąg wjechał na stację Yoyogi. Kawamura przesunął się nieznacznie. Czyżby miał zamiar wysiąść? To byłby dla mnie pewien kłopot. Czujnik podczerwieni działał na krótki dystans. Wciąż musiałem być blisko Kawamury, żeby dokończyć operację. Cholera, jeszcze parę sekund..., pomyślałem. Już miałem wyjść za nim na peron, ale on wysiadł tylko na chwilę, żeby przepuścić innych pasażerów. Zatrzymał się tuż za drzwiami i wraz z nową falą wsiadających wrócił do wagonu. Drzwi zamknęły się i pojechaliśmy dalej.

Przy dwóch woltach dostałem ostrzeżenie, że zbliżam się do minimum i że dalsze obniżanie amplitudy może być niebezpieczne. Zignorowałem to: jeszcze pół wolta w dół. Spojrzałem na Kawamurę. Nawet nie drgnął.

Kiedy próbowałem zejść poniżej jednego wolta, na ekranie zamigotał napis: „To polecenie ustawi aparat na wartość minimalną. Na pewno chcesz kontynuować?” Odpowiedziałem: „Tak”, jednak program wymagał potwierdzenia: „Ustawileś aparat na wartość minimalną. Musisz potwierdzić ostatnie polecenie”. Znowu wstukalem: „Tak”. Sekundowa przerwa, a potem zapulsowała wyraźna informacja: „Niedopuszczalna wartość funkcji. Niedopuszczalna wartość funkcji”.

Zamknąłem klapkę, ale nie wyłączyłem komputera. Po pewnym czasie sam się zresetuje. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że za pierwszym razem sekwencja nie zadziała, a ja chciałem mieć pewność, że gdybym tego potrzebował, będę mógł ją powtórzyć.

Ale nie było takiej konieczności. Pociąg wtoczył się na stację Shinjuku i zahamował z krótkim szarpnięciem. Kawamura zatoczył się na stojącą obok niego kobietę. Syknęły otwierane drzwi. Część pasażerów już zdążyła wysiąść, ale Kawamura wciąż stał, prawą ręką kurczowo uczepony uchwytu. Lewą przyciskał do piersi torbę z owocami. Ludzie przepychali się koło niego. Okręcił się wokół własnej osi i uderzył plecami o ścianę obok drzwi. Miał otwarte usta i wyglądał na lekko zdziwionego. Potem powoli, jakby ostrożnie osunął się na ziemię. Jeden z pasażerów, którzy wsiedli w Yoyogi, pochylił się, żeby mu pomóc. To był biały, na pewno po czterdziestce, wysoki i chudy jak tyczka. Nosił okulary w cienkiej oprawce, co nadawało mu arystokratyczny wygląd. Lekko potrząsnął Kawamurę za ramiona, ale on na nic już nie reagował.

- *Daijobu desuka!* - zapytałem, podkładając lewą rękę pod plecy Kawamury. Palcami wyczułem magnes. - Co się stało? - Specjalnie odezwałem się po japońsku, bo myślałem, że obcy mnie nie zrozumie i że trudno nam się będzie porozumieć.

- *Wakaranai* - mruknął cudzoziemiec. Nie wiem. Poklepał Kawamurę po gwałtownie siniejących policzkach i znów nim potrząsnął; tym razem nieco brutalniej. A więc mówił trochę po japońsku. Nieważne. Oderwałem magnes. No i po Kawamurze...

Wyszedłem na peron. Za mną przelewało się mrowie ludzi. Popatrzyłem przez okno do wnętrza wagonu i ze zdziwieniem zobaczyłem, że cudzoziemiec przetrząsa kieszenie Kawamury. W pierwszej chwili myślałem, że chce go obrabować. Przysunąłem się bliżej, lecz gęstniejący tłum pasażerów zasłonił mi widok.

Chciałem zawrócić, ale wiedziałem, że to głupie. Zresztą i tak było już za późno. Drzwi się zamknęły - jednak nie do końca, jakby przytrzasnęły czyjąś torebkę lub stopę. Uchyliły się lekko i zamknęły znowu. Pociąg ruszył, a na tory spadło jabłko.

## 2

**Z**Shinjuku pojechałem metrem, linią Marunouchi, aż do Ogikubo, na zachód od śródmieścia, na peryferie wielkiego Tokio. To był tak zwany SDR. Mówiąc po ludzku, chciałem sprawdzić, czy na pewno

nikt mnie nie śledzi. Dopiero potem mogłem skontaktować się z klientem i zdać raport z operacji „Kawamurą”. Wybrałem się na zachód, pod prąd ludzkiej masy ciągnącej w stronę miasta. To ułatwiało mi zadanie.

SDR, zgodnie z nazwą, ma zmusić twój „ogon”, aby wcześniej czy później przypadkiem się ujawnił. Oczywiście przed porannym spotkaniem z Kawamurą podjąłem wszelkie środki ostrożności. Harry też na pewno niczego nie zaniedbał. Ale to, że przedtem byliśmy czystci, nie musiało oznaczać, iż teraz jest tak samo. W Shinjuku zawsze kręci się tyle ludzi, że i dziesięciu chłopa byś nie zauważył. Z drugiej strony, nie można kogoś ukradkowo śledzić na długiej, pustej stacji z wieloma wyjściami. Podróż do Ogikubo dawała spokój ducha, który właśnie w tej chwili był mi potrzebny.

Przywykliśmy do tego, że w szczególnych przypadkach, gdy spotkanie z klientem bywa niemożliwe, agenci wywiadu używają skrytek. Klient zostawia mikrofilm w płytce dziupli drzewa albo w jakiejś książce w miejskiej bibliotece. Trzeba to później odebrać. Nie musi dojść do spotkania dwóch określonych ludzi w jednym czasie i miejscu.

Łatwiejszy i bezpieczniejszy jest kontakt przez Internet. Klient pisze zaszyfowaną wiadomość na wybranym forum, które w tym przypadku pełni właśnie rolę dziupli. Ja odbieram zlecenie w budce telefonicznej i czytam je dużo później, w dowolnie wybranej chwili. Odpowiedź vice versa.

Przepływ informacji jest bardzo prosty. Nazwisko, fotografia, namiary kontaktowe do pracy i do domu. Numer konta i wszelkie inne informacje potrzebne do przelewu. Krótkie przypomnienie trzech podstawowych „nie”: nie biorę zlecenia na kobiety i dzieci, nie likwiduję ludzi „z dołu” i nie chcę żadnych pomocników z zewnątrz. Telefonu używam rzadko, po wykonaniu zadania. To też był jeden z powodów mojej krótkiej wyprawy do Ogikubo.

Z budki na peronie zadzwoniłem do znajomego z PLD. Znałem go jako Benny'ego, to przypuszczalnie skrót na przykład od Benihany albo coś w tym stylu. Benny dość dobrze mówił po angielsku, więc na pewno długo przebywał zagranicą. W rozmowach ze mną zawsze posługiwał się angielszczyzną- chyba dlatego, że wtedy mógł być bardziej szorstki, a od samego początku pozował na twardziela. Czasem wyrażał się jak gangster z kiepskich hollywoodzkich filmów.

Oczywiście nigdy go nie spotkałem. Wystarczyła mi jednak rozmowa przez telefon, żeby nabrać do niego niechęci. Widziałem go w wyobraźni: jeszcze jeden palant na ciepłutkiej rządowej posadzie. Trzy razy w tygodniu zawzięcie zrzucał wagę: biegał na ruchomej bieżni - kilka razy po dziesięć minut - w jakiejś drogiej siłowni, pełnej luster i chromu. Do tego klima i kojące dźwięki z telewizji, żeby broń Boże się nie zestresował. Nie oszczędzał na brylantynie, bo przecież taki drobiazg kosztuje tylko parę baksów. W zamian nosił koszule non-iron i krawaty z napisem: „Oryginalny włoski jedwab!”, kupione podczas delegacji, na wyprzedazy w domu towarowym. W duchu na pewno sobie gratulował, że ma świetnego nosa do takich interesów. Cenił drobne ekstrawagancje w typowo zachodnim stylu, używał na przykład wiecznego pióra marki Montblanc. To był talizman, który pozwalał mu uwierzyć, że jest większym światowcem niż jego rozkazodawcy. Tak, tak... Znałem go. Pokątny sługus, posłaniec, zwykły pionek - dumny, że nigdy nie upaprał sobie rączek. Nawet nie umiał odróżnić prawdziwego uśmiechu od kpiącej miny pańienek z nocnego baru, a płacił im niemałą kasę za obficie podlane wodą Suntory whisky. Inna rzecz, że w zamian zanudzał je opowieściami o wielkich wydarzeniach, w których jakoby uczestniczył.

- Załatwione - powiedziałem mu po wymianie kilku niewinnych, z góry ustalonych zdań, potwierdzających naszą tożsamość.

- Ekstra - odparł cierpkim, fałszywie brzmiącym tonem twardzieła. - Jakieś kłopoty?

- Nic godnego uwagi - odparłem po krótkim wahaniu. Wciąż nie mogłem zapomnieć o cudzoziemcu w wagonie.

- Aby na pewno?

W ten sposób do niczego nie dojdziemy, pomyślałem. Wołałem milczeć.

- Dobra - rzucił, żeby przerwać ciszę. - Gdybyś w przyszłości czegoś potrzebował, to wiesz, gdzie mnie szukać. Wal jak w dym.

Benny traktował mnie jak wywiadowcę. Kiedyś nawet zasugerował, że powinniśmy się zobaczyć. Odpowiedziałem mu, że lepiej niech na to nie czeka, bo to byłby zapewne dzień jego śmierci. Roześmiał się, ale więcej nie wracał do tematu.

- Potrzebne mi tylko jedno - mruknąłem i przypomniałem mu o forsie.

- Jak zwykle jutro.

- Zgoda.

Odwiesiłem słuchawkę i odruchowo wytarłem telefon i klawisz. Zawsze istniała możliwość, że namierzyli rozmowę i przyślą kogoś po odciski palców. Jeżeli mieli dostęp do archiwum z Wietnamu - a na pewno mieli - to bez trudu znaleźliby Johna Raina. Nie chciałem, by ktokolwiek wiedział, że tajemniczy „wolny strzelec” to ten sam facet, którego znali przed dwudziestu laty, kiedy po raz pierwszy wróciłem do Japonii.

W tym czasie pracowałem dla CIA. To były jeszcze resztki kontaktów z Wietnamu. Pilnowałem, żeby finansowe „wsparcie” ze strony Agencji trafiało do właściwych rąk w partii rządzącej - czyli jak zawsze w PLD. Chodziło wtedy o tajny program pomocy dla konserwatystów - stanowił część antykomunistycznej polityki administracji Stanów Zjednoczonych i był swoistym przedłużeniem związków z czasów powojennej okupacji. Politycy z PLD z ochotą wyciągali ręce po gotówkę.

Tak naprawdę to byłem zaledwie płatnikiem, ale zrzędzeniem losu trafiłem na pewnego gościa, który już dobrze siedział w kieszeni Wujka Sama. Facet nazywał się Miyamoto. Jeden z jego kolesiów poczuł się pokrzywdzony przy którejś wypłacie i oświadczył, że puści parę; jak nie dostanie więcej. Miyamoto wpadł w panikę. Wspomniany „wspólnik” już kiedyś próbował tej metody i dostał kopa w górę. Teraz był najzwyczajniej chciwy. Miyamoto zapytał mnie, czy mogę coś z tym zrobić... za pięćdziesiąt patoli, „bez żadnych zbędnych pytań”.

Byłem gotów przyjąć ofertę, jednak chciałem mieć pewność, że nic mi nie grozi. Powiedziałem więc, że sam niewiele zdziałam, ale że znam kogoś, kto może mu pomóc.

Ten ktoś stał się moim alter ego. Z czasem podjąłem odpowiednie kroki, żeby systematycznie zatrzeć ślady prawdziwego Johna Raina. Między innymi przestałem używać prawdziwego imienia i poddałem się operacji plastycznej, aby nadać moim mieszanym rysom jeszcze bardziej japoński wygląd. Teraz noszę dłuższe włosy, choć dawniej wolałem strzyć się na zapałkę. Okulary w drucianych oprawkach - ukłon w stronę wieku - nadają mi nobliwy wygląd. Bardziej przypominam japońskiego naukowca niż półkrwi wojownika, którymś kiedyś byłem. Przez ponad dwadzieścia lat nie kontaktowałem się z dawnymi znajomymi ani nie utrzymywałem żadnych więzi z Agencją. Po tym, co mi wywinęli w Bu Dop, z udziałem Crazy Jake'a, dałem sobie z nimi spokój do końca życia.



Miyamoto podrzucił mi kontakt do Benny'ego, który miał dokładnie takie same jak on kłopoty w swojej partii i też szukał jakiegoś rozwiązania. Dość długo pracowałem dla nich obu, ale dziesięć lat temu Miyamoto przeszedł na emeryturę i krótko potem bez większego szumu zmarł we własnym łóżku. Od tamtej pory Benny stał się moim najlepszym klientem. Pracowałem dla niego trzy, cztery razy w ciągu roku. Bez względu na to, kogo krył w PLD, brałem „dużą setkę” w amerykańskich dolcach, chociaż płaconą w jenach. W pierwszej chwili wydaje się, że to kupa forsy - ale czasem warto pomyśleć o kosztach: sprzęt, kilka różnych mieszkań i całkiem legalna, lecz przynosząca straty firma konsultingowa, chroniąca mnie przed fiskusem.

Benny. Ciekawe, czy wiedział coś o tym, co zaszło w pociągu. Widok cudzoziemca grzebiącego w kieszeniach bezwładnego Kawamury prześladował mnie, tak jak przeszkadza drobna pestka między zębami. Ciągle o tym myślałem w nadziei, że załapię jakieś rozwiązanie. Przypadek? Może facet szukał tylko dokumentów? Niezbyt to pomaga, kiedy ktoś gwałtownie sinieje z braku tlenu, ale ludzie, którzy nie mają dobrego przygotowania, zachowują się bardzo różnie w takich sytuacjach. Widok gościa, który umiera dosłownie na twoich oczach, może być stresujący, zwłaszcza za pierwszym razem. A może to był kontakt Kawamury? Ktoś, z kim miał się spotkać właśnie w tym pociągu? Zanim wsiadł, zadzwonił do niego z peronu i powiedział: „Już jadę. Jestem w trzecim wagonie od końca”. Wtedy tamten spokojnie dosiadł się w Yoyogi. Wiedział, gdzie go szukać. Możliwe...

W moim fachu nie brak rozmaitych przypadków. Zawsze się tak dzieje, gdy ktoś uważnie zgłębia ludzkie zachowanie. Wystarczy dłużej pochodzić za zwykłym człowiekiem i poobserwować jego codzienne czynności: podsłuchać rozmowy, poznać przyzwyczajenia... Kształty, które z oddali wydają się gładkie, jeśli im się bliżej przyjrzeć, tracą swoją spistość i stają się szorstkie niczym włókna tkaniny widziane pod mikroskopem.

Kilku osobników z listy moich celów prowadziło różne pokątne interesy. Wtedy całkiem nietrudno o przypadek. Niektórzy byli śledzeni przez policję. Choćby dlatego musiałem bardzo się pilnować i używać niezwykle wyszukanych metod, żeby mimo wszystko pozostać w ukryciu. Inni mieli kochanki. Nawet drugie rodziny. Jeden, którego chciałem załatwić na stacji, zaskoczył mnie jak cholera, rzucając się pod pociąg. Klient był wniebowzięty i zachodził w głowę, jak zdołałem tak

dobrze upozorować samobójstwo na zatłoczonym peronie, wobec tylu świadków.

Wyczuwałem, że Benny coś przede mną ukrywa, i dlatego nie mogłem zapomnieć o ostatnim przypadku. Gdybym wiedział, że złamał jedną z moich trzech zasad i wysłał grupę B w ślad za Kawamurą, dałbym mu popalić. Ale nie miałem na to żadnego dowodu. Musiałem więc odłożyć całą sprawę na bok, może z nalepką „w toku”, żeby jednak poczuć się trochę lepiej.

Kasa przysłała dzień później, tak jak obiecał Benny. Przez następnych dziewięć dni panowała cisza.

Dziesiątego dnia zadzwonił Harry. Przedstawił się jako mój dawny kumpel Koichiro i powiedział, że we wtorek o ósmej będzie z przyjaciółmi w Galerie Coupe Chou w Shinjuku. Zapytał, czy wpadnę. Odparłem, że to świetny pomysł. Teraz pozostawało mi odliczyć pięć knajpek w dziale „Restauracje” w tokijskiej książce telefonicznej. Wypadła Las Chicas. Odjąłem pięć dni i pięć godzin od daty spotkania.

Lubię Las Chicas choćby z tego względu, że niemal wszyscy wchodzi tam od strony Aoyama-dori i łatwo ich obserwować. Poza tym muszą przejść przez małe patio, zanim wejdą do środka. Wokół restauracji wije się gąszcz uliczek i krętych zaułków, biegnących we wszystkie strony. Nie ma takiego miejsca, gdzie ktoś mógłby na mnie zastawić pułapkę. Znam te uliczki jak własną kieszeń, bo zawsze staram się dokładnie zwiedzić okolicę, w której zamierzam spędzić nieco czasu. Byłem pewien, że nikt niepowołany nie zdoła mnie zaskoczyć.

Atmosfera i potrawy w Las Chicas są dobre. To swoista mieszanka Wschodu i Zachodu: indyjski ryż *jeera* obok belgijskich czekoladek, kruczowłosa piękność o wystających kościach policzkowych, zdradzających jej dawne mongolskie pochodzenie, obok blond wampa prosto z fiordów. Prawdziwa wieża Babel. A jednak Las Chicas potrafi być *trendy* i zarazem przyjemna. To niełatwa sztuka.

Przyszedłem dwie godziny przed wyznaczonym czasem i zamówiłem *chai latte*, specjalność lokalu, słusznie pretendującą do miana przysmaku. Nie należy przychodzić ostatnim na spotkanie. To niegrzeczne. Poza tym masz mniejsze szanse, że w ogóle wrócisz.

Tuż przed trzecią ujrzałem na ulicy Harry'ego. Nie widział mnie, dopóki nie znalazł się w środku.

- Zawsze siedzisz plecami do ściany - mruknął, podchodząc do stolika.

- Podziwiam widok- odparłem spokojnie. Większość ludzi nie myśli o takich drobiazgach, ale Harry przeszedł przy mnie dobrą szkołę. Nauczyłem go patrzeć. Tyłem do drzwi siedzą jedynie cywile. Ci, którzy zajmują strategiczne miejsca, na pewno mają za sobą jakieś przeszkolenie. Zawsze warto poświęcić im baczniejszą uwagę.

Poznałem Harry'ego przed pięcioma laty w pewnym barze w Ropongi, do którego wpadłem dla zabicia czasu przed kolejnym zleceniem. Harry wdał się w grubszą rozróbę z kilkoma pijanymi marines na przepustce. Czasami naprawdę wygląda na oryginała. Ubiera się dziwnie, jakby komuś zakosił przypadkowe ciuchy wiszące po praniu. Gdy coś go zaciekawi, wybałusza gały i gapi się bezwstydnie. No i właśnie w ten sposób zadarł z pijanymi. Zapatrzył się na nich, aż jeden ryknął w końcu, że za chwilę mu wsadzi okulary w dupę, jeśli się nie odczepi. Harry natychmiast odwrócił wzrok, lecz Amerykanie uznali to za wyraźną oznakę słabości i chcieli mu dołożyć. Chwilę po nim wynieśli się z knajpy. Natychmiast zrozumiałem, że biedak nawet nie wie, co się zaraz stanie, więc wyszedłem za nimi. Nienawidzę takich „siłaczy” - w dzieciństwie miałem z nimi niemałe problemy.

No i w końcu pobili się ze mną, ale żaden na pewno nie cieszył się z wyniku. Harry był mi głęboko wdzięczny.

Okazało się, że ma pewne przydatne cechy. Urodził się w czysto japońskiej rodzinie w Stanach Zjednoczonych i płynnie mówił dwoma językami, bo każde wakacje spędzał u dziadków w Tokio. Do szkoły i na studia uczęszczał w Ameryce. Zrobił dyplom z matematyki stosowanej i kryptografii. Na studiach miał kłopoty z pewnym profesorem, właśnie od kryptografii, bo grzebał w uczelnianych danych, które ów profesor podobno świetnie zabezpieczył przed hakerami. Potem doszły nieprzyjemności ze strony FBI. Agentom w jakiś sposób udało się powiązać Harry'ego z włamaniami do bazy Narodowego Funduszu Pożyczkowego i kilku innych poważnych instytucji finansowych. Na szczęście wieść o całej sprawie dotarła do uszu paru szacownych pracowników amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), którzy zaproponowali Harry'emu pracę w Ford Meade w zamian za usunięcie z jego kartoteki długiej listy przestępstw komputerowych.

Harry przez kilka lat działał w Agencji. Na życzenie nowego pracodawcy przetrząsał tajne bazy danych i archiwa różnych rządów i korporacji niemal na całym świecie. Przy okazji nauczył się najczarniejszych metod z czarnej sztuki komputerowej NSA. W połowie lat dziewięć-

dziesiątych wrócił do Japonii i podjął pracę jako specjalista do spraw zabezpieczeń systemów elektronicznych w jednej z najbardziej renomowanych firm konsultingowych. Oczywiście sprawdzili go prawie od podszewki, ale miał czyste konto. Poza tym cieszył się magiczną opinią człowieka, który swego czasu posiadał pełen dostęp do tajemnic NSA. Przyjęto go więc bez zastrzeżeń. Nikt nie wiedział, kim w rzeczywistości jest ten zahukany trzydziestoparolatek o chłopcęcym wyglądzie.

Problem w tym, że Harry był niepoprawnym hakerem. Mimo technicznych wyzwań szybko znudził się pracą w Agencji Bezpieczeństwa, bo tam miał wolną rękę i działał za zgodą rządu. W nowej firmie wszedł w gąszcz przepisów i zasad przede wszystkim związanych z etyką zawodu. W zabezpieczeniach zawsze zostawiał małą furtkę, przez którą mógł się włiznąć, kiedy tylko chciał. Włamał się do archiwum własnej korporacji, żeby poznać słabości wybranych klientów. Potem z tego skorzystał. Miał zręczność ślusarza i serce rabusia.

Od czasu, gdy go poznałem, zdradziłem mu kilka drobnych tajemnic mojego zawodu. Harry ciągle się dziwił, że darzę go przyjaźnią, i patrzył we mnie jak w obrazek. Ta niecodzienna wierność mogła mi się przydać.

- Co się stało? - spytałem, kiedy usiadł.

- Dwie rzeczy. O jednej być może słyszałeś. Co do drugiej, nie jestem pewien.

- Mów.

- Po pierwsze, Kawamura miał zawał tego samego ranka, kiedy go śledziliśmy.

Upiłem łyk *chai latte*.

- Wiem. Umarł w pociągu, tuż przed moim nosem. Cholernie głupia sprawa.

Czyżby przyglądał mi się uważniej niż zazwyczaj?

- Czytałem nekrolog w „Daily Yomiuri” - powiedział. - Zamieszczony przez córkę. Pogrzeb był wczoraj.

- Nie jesteś trochę za młody, by czytać nekrologi? - Spojrzałem na niego znad brzegu kubka.

Wzruszył ramionami.

- Przecież wiesz, że czytuję wszystko. Po części mi za to płacisz. To prawda. Harry trzymał rękę na pulsie i potrafił wypatrzeć światło nawet w najgłębszym mroku.

- A druga sprawa?

- W czasie pogrzebu ktoś włamał się do jego mieszkania. Myślałem, że to może ty, ale na wszelki wypadek chciałem ci o tym powiedzieć.

Popatrzyłem na niego obojętnym wzrokiem.

- Skąd wiesz? - zapytałem.

Z kieszeni spodni wyjął złożoną kartkę i przesunął ją w moją stronę.

- Przeczytałem raport Keisatsucho.

Keisatsucho to Narodowa Agencja Policyjna, japońskie FBI.

- Na Boga, Harry, gdzie ty się nie włamiesz? Jesteś niesamowity.

Machnął ręką, przecież to nic takiego.

- To tylko Sosa, wydział śledczy. Ich zabezpieczenia są do kitu.

Nie powiedziałem mu, że w pełni zgadzam się z tą oceną. Prawdę mówiąc, od wielu lat sam zawzięcie czytałem różne dokumenty Sosy.

Rozłożyłem kartkę przed sobą i zerknąłem do raportu. Najpierw spojrzałem na podpis. Ishikura Tatsuhiko. Tatsu. Nie byłem zaskoczony.

Poznaliśmy się w Wietnamie, w czasach, kiedy Tatsu pracował w japońskim Biurze Dochodzeniowym i Bezpieczeństwa Publicznego, które istniało jeszcze przed powołaniem Keisatsucho. Rząd Japonii, związany artykułem numer 9 powojennej konstytucji, nakładającym liczne restrykcje na stan i liczebność armii, mógł wysłać do Wietnamu zaledwie kilka osób w ramach „przeszkolenia”. Tatsu zjawił się tam na pół roku, żeby naszkicować szlaki, którymi pomoc KGB trafiała do Wietkongu. Wyznaczono mnie na jego asystenta, bo znałem japoński.

Tatsu był niski i korpulentny. Z wiekiem wyraźnie przytył. Miał miłą twarz i niewyczerpany zasób energii, która rozpierała go do tego stopnia, że chodził, wysuwając do przodu głowę i tułów, jakby chciał się zerwać z niewidzialnej smyczy. Drażniła go powojenna kastracja Japonii i szczerze mi zazdrościł „drogi wojownika”. A mnie wciąż intrygował tajemniczy smutek, widoczny w jego oczach - o dziwo znacznie wyraźniejszy w momentach wesołości, zwłaszcza gdy się roześmiał. Tatsu niewiele mówił o swojej rodzinie, o dwóch małych córeczkach, które zostawił w Japonii, ale wiedziałem, że był z nich bardzo dumny. Po latach usłyszałem od wspólnego znajomego, że miał także syna, najmłodszego z tej trójki. Chłopiec zmarł w nieznanych okolicznościach. W rozmowach ze mną Tatsu nigdy nie poruszał tego tematu, rozumiałem go już jednak znacznie lepiej.

Kiedy wróciłem do Japonii, przez pewien czas działaliśmy razem. Potem musiałem się od niego odsunąć, żeby pracować dla Miyamoto i Benny'ego. Nie widzieliśmy się od chwili, gdy zmieniłem tożsamość i zszedłem do podziemia.

Miałem trochę szczęścia. Z przeczytanych przeze mnie raportów dość jasno wynikało, że Tatsu stworzy sobie klarowną teorię - był przekonany, że PLD zatrudnia zabójcę. Pod koniec lat osiemdziesiątych doszedł do słusznego wniosku, że zbyt wielu kluczowych świadków w wielkich aferach korupcyjnych, zbyt wielu rzutkich finansistów, zbyt wielu „młodych gniewnych” o negatywnym nastawieniu do tradycyjnej polityki nagle umiera „z przyczyn naturalnych”. Widział w tym pewną prawidłowość. Mało tego - nakreślił potencjalną postać przestępcy, podobną do mnie.

Policja była przekonana, że ów cień jest jedynie duchem z jego wyobraźni. A skoro upierał się przy rzekomym spisku, który wszyscy inni uznali za wymysł, to nie miał co myśleć o dalszej karierze. Ale jednocześnie doczekał się cichej opieki. Ludzie, którym zagrażał, wyraźnie nie chcieli, żeby przypadkiem zmarł i w ten sposób potwierdził swoją teorię. Wręcz przeciwnie, życzyli mu, aby żył jak najdłużej i bez żadnych złych przygód. Podejrzewałem jednak, że to nastawienie może się szybko zmienić, gdyby Tatsu niechcący znalazł się bliżej prawdy.

Na razie nic nie wiedział. Ale dobrze go znałem. W Wietnamie w lot pojął podstawowe zasady pracy kontrwywiadu w czasie, kiedy nawet najlepsi pracownicy Agencji mieli spore kłopoty z opisem typowej jednostki Wietkongu. Z zapalem sporządził plan kilku operacji, chociaż oficjalnie był na „przeszkoleniu”. Ani przez chwilę nie tęsknił za wygodnym życiem attache wojskowego. Zamiast pisać raporty z jakiejś zacisznej willi, rwał się na pole walki.

Skutecznością działań przeraził swoich przełożonych. Sam mi to kiedyś wyznał z goryczą przy butelce sake. Jego sprawozdania trafiały w zupełną pustkę. Cała praca, do której przykładał się z taką odwagą i energią, praktycznie poszła na marne. Miałem nadzieję, że wyciągnął wnioski z tego doświadczenia.

Ale to było niemożliwe. Tatsu uważał się za prawdziwego samuraja. Z bałwochwalczym oddaniem służył swojemu panu, choć ten go lekceważył, a nawet odtrącał. Wierność była dla niego najwyższym ideałem.

Keisatsucho na ogół nie podejmowało śledztwa w sprawie zwykłego włamania. Widocznie śmierć lub wcześniejsza działalność Kawamury

wzbudziła zainteresowanie Tatsu. Już nie pierwszy raz mój dawny towarzysz broni spoglądał na mnie jak przez weneckie lustro. Dostrzegał kształt po drugiej stronie, ale nie wiedział, kim naprawdę jestem. Bardzo się cieszyłem, że przed kilku laty zniknąłem z jego radaru.

- Nie musisz mówić, czy wiedziałeś o tym włamaniu. - Głos Harry'ego wyrwał mnie z zamyślenia. - Znam zasady.

Zastanawiałem się, ile mogę mu powiedzieć. Harry był nieocenionym źródłem informacji, gdybym chciał głębiej zająć się tą sprawą. Z drugiej strony wolałem go trzymać nieco z dala od mojej prawdziwej pracy. I tak znalazł się już niebezpiecznie blisko. Weźmy chociaż nazwisko Tatsu pod raportem. Dla Harry'ego było jak link w Internecie. Mógł podążyć tym tropem i przeczytać znacznie wcześniejsze dokumenty na temat domniemanego spisku. Mógł też pomyśleć o mnie. Oczywiście nie znalazłby żadnych dowodów... Ale miałyby zbyt wiele fragmentów układanki, jak ułał pasujących do teorii Tatsu.

Tak więc siedziałem w Las Chicas, piłem *chai latte* i rozmyślałem o tym, że lada chwila Harry sprawi mi kłopoty. Zrobiło mi się smutno. Na Boga, człowieku... - pomyślałem nagle. Robisz się sentymentalny.

Może najwyższa pora wygrzebać się z tego gówna? Może, może...

- Nic nie wiedziałem - mruknąłem po chwili milczenia. - To jakaś dziwna sprawa.

Nie szkodzi, że mu powiem o facecie z pociągu, przemknęło mi przez głowę. No i powiedziałem.

- Gdyby to było w Nowym Jorku, gość byłby zwykłym kieszonkowcem - odparł Harry.

- W pierwszej chwili tak właśnie sobie pomyślałem. Ale nie. Biały kieszonkowiec w Tokio? Czyste szaleństwo. Jak tu się schować w tłumie?

- Czasem okazja czyni złodzieja.

Pokręciłem głową.

- Niewielu ludzi zachowuje zimną krew i jest tak bezczelnych. Wątpię, żeby akurat ktoś taki znalazł się tego ranka w pobliżu Kawamury. Myślę, że raczej mieli się spotkać. Że Kawamura chciał mu coś przekazać.

- A dlaczego Keisatsucho zajęło się włamaniami do zwykłego mieszkania w Tokio? - spytał.

- Nie mam pojęcia - odparłem, chociaż myśl o Tatsu nasunęła mi pewne podejrzenia. - Może chodzi o stanowisko, które Kawamura zajmował w rządzie? Może o jego nagłą śmierć? Tak mi się zdaje.

Harry popatrzył na mnie.

- Chcesz, żebym pogrzebał głębiej?

Właściwie powinienem dać sobie z tym spokój. Ale już kiedyś zrobiono mnie w konia. Sama myśl, że teraz mogło być podobnie, spędzała mi sen z powiek. Czyżby Benny naprawdę wysłał grupę B w pogoń za Kawamurą? Nie zaszkodzi, jeżeli Harry znajdzie jakieś ślady.

- Przecież i tak to zrobisz - powiedziałem.

Zamrugnął.

- Nic na to nie poradzę.

- Dobrze, więc bierz się do roboty. Daj mi znać, jeśli coś ustalisz. Ale uważaj, napaleńcu. Nie daj się przyłapać.

To ostrzeżenie w równej mierze odnosiło się także do mnie.

### 3

Dobra rada, którą na koniec dałem Harry'emu, przypomniała mi Jimmy'ego Calhouna. W szkole był moim najlepszym kumplem i miał na imię właśnie Jimmy. Dopiero później stał się znany jako Crazy Jake.

Razem zaciągnęliśmy się do wojska. Mieliliśmy wtedy po siedemnaście lat. Dobrze pamiętam, jak podoficer w punkcie rekrutacyjnym oświadczył, że musimy mieć zgodę rodziców.

- Widzicie tamtą babkę na ulicy? - spytał. - Dajcie jej ze dwie dychy i poproście, żeby się podpisała jako wasza matka.

Zrobiła to. Dopiero później zrozumiałem, że w ten sposób zarabiała na życie.

W pewnym sensie poznałem Jimmy'ego przez jego młodszą siostrę Deirdre. Była piękną, czarnowłosą irlandzką różą, jedną z niewielu osób w całym Dryden, które choć trochę mnie lubiły. W tamtych latach czułem się bezradny i wyobcowany. Jakiś idiota powiedział Jimmy'emu, że oglądam się za jego siostrą. Rzeczywiście tak było, ale Jimmy uznał, że Deirdre nie powinna zadawać się z przybłędą, w dodatku skośnokim. Przerastał mnie o głowę, ale nasza bójka skończyła się remisem. Od tamtej pory zyskałem jego szacunek. Stał się moim obrońcą w starciach z miejscowymi tępymi osiłkami. Jednym słowem, nareszcie



zyskałem przyjaciela. Chodziłem z Deirdre na randki i biada każdemu, kto chciałby o tym powiedzieć coś złego w obecności Jimmy'ego.

Przed wyjazdem na wojnę obiecałem Deirdre, że się z nią ożenię, kiedy tylko wrócę. Odparła, że będzie czekać.

- Uważaj na Jimmy'ego, dobrze? - powiedziała. - Lubi się popisywać.

W punkcie uzupełnień Jimmy oznajmił, że chcemy służyć razem. Facet obiecał, że nam to załatwi. Nie wiem, czy cokolwiek w tej sprawie zrobił - prawdopodobnie kłamał - ale wszystko skończyło się po naszej myśli. Przeszliśmy szkolenie służb specjalnych w Fort Bragg i trafiliśmy do tej samej jednostki. Było to wspólne przedsięwzięcie wojska i CIA, zwane Grupą Badań i Obserwacji. Nazwę wymyślił jakiś dureń z ministerstwa, który w ten sposób chciał zamaskować prawdziwą działalność oddziału. To tak, jakby pitbulla nazwać Pedziem.

W rzeczywistości agenci grupy zajmowali się szpiegostwem i sabotażem na terenie Kambodży i Laosu, a czasami nawet w Wietnamie Północnym. W skład każdego oddziału wchodził tak zwany LURRP, żołnierze wyspecjalizowani w dalekich patrolach zwiadowczych. Na ogół było to trzech Amerykanów i dziewięciu członków Nieregularnych Grup Obrony Cywilnej - zazwyczaj khmerskich najemników, zwerbowanych przez CIA, lub wietnamskich uchodźców, z francuska zwanych *Montagnards*. Cały oddział szedł w dżunglę na dwa, trzy tygodnie i dosłownie znikał z powierzchni ziemi, bez kontaktu z amerykańskim dowództwem MACV\*.

Byliśmy zatem elitą wśród elitarnych jednostek US Army, małą grupą, która nieustannie się przemieszczała i niczym zjawa przemykała przez gęste poszycie dżungli. Wszystkie ruchome części broni mieliśmy oklejone taśmą, żeby nie dźwięczały. Przeważnie działaliśmy nocą, więc po pewnym czasie nauczyliśmy się widzieć w ciemnościach. Nawet nie używaliśmy płynu na moskity, żeby partyzanci Wietkongu nie mogli nas wyczuć. Ważny był każdy szczegół.

Działaliśmy w Kambodży mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Nixon zapewniał głośno, że szanuje jej neutralność. Gdyby coś się wydało, musiałyby z bólem przyznać, że kłamał nie tylko przed ludźmi, ale i przed Kongresem. Dlatego nasze akcje były nie tylko tajne - w ogóle nie istniały, nawet dla członków sztabu. W niektórych braliśmy udział

\* Military Assistance Command, Yietnam (przyp. tłum.).

odarci ze wszystkiego, co amerykańskie, łącznie z bronią. Czasami nie mogliśmy liczyć na wsparcie z powietrza w obawie, że pilot zostanie zestrzelony i wzięty do niewoli. A kiedy ktoś z nas zginął, rodzina dostawała zdawkowy telegram, że został zabity „na zachód od Dak To” lub „w pobliżu granicy” albo coś w tym stylu.

Z początku wszystko układało się nie najgorzej. Zanim poszliśmy w dżungłę, ustaliliśmy między sobą, co nam wolno, a czego nie wolno. Słyszeliśmy różne opowieści. Każdy z nas wiedział o My Lai. Ale też nie chcieliśmy ulegać emocjom. Mieliśmy działać chłodno, niczym zawodowcy - i zachować niewinność. Naprawdę. Śmiech mnie bierze, kiedy dziś o tym pomyślę.

Jimmy zarobił ksywkę Crazy Jake, bo zasnął w środku naszej pierwszej bitwy. Strzały padły zza linii drzew. Leżeliśmy płasko na ziemi i odgryzaliśmy się zawzięcie niewidocznemu przeciwnikowi. Długo to trwało, gdyż byliśmy w zakazanym miejscu i nie mogliśmy wezwać pomocy z powietrza. W pewnym momencie Jimmy stwierdził: „Chuj z rym” - i uciał sobie drzemkę. Wszystkich zatkało. „Zwariowałeś, chłopie... Czysty wariat...” - powtarzali w kółko. Jimmy na to: „Wiedziałem, że wsadzą nas do klopa”. Od tamtej pory mówiono na niego Crazy Jake\*. Prawdopodobnie poza mną nikt nie wiedział, jak naprawdę miał na imię.

Jimmy nie tylko zachowywał się jak wariat. Wyglądał na niezłego świra. Jako nastolatek omal nie stracił oka w wypadku motocyklowym. Lekarze jakoś je uratowali, ale od tamtej pory miał lekkiego zeza. Kiedy coś mówił, wydawało się, że jednym okiem patrzy gdzieś w bok, na coś niezwykle ciekawego. „Po prostu jestem wielokierunkowy”, mawiał z uśmiechem, kiedy ktoś próbował pochwycić jego spojrzenie.

W ogólniaku nie stronił od kolegów, ale w Wietnamie stał się samotnikiem. Ciągłe ćwiczył. Bardzo poważnie podchodził do każdego zadania. Nie był olbrzymem, ale ludzie woleli omijać go z daleka. Pewnego razu, pod jakąś knajpą, napatoczył się na niego żandarm z owczarkiem niemieckim. Jimmy nawet nie spojrzął na faceta. Tak, jakby go tam nie było. Całą uwagę skupił na owczarku. Coś chyba musiało zaiskrzyć między nimi, coś niemal zwierzęcego, bo pies nagle skomlał i cofnął się ze strachem. Żandarm rozsądnie też dał za wygraną.

\* Gra słów: slangowy *jake* to „cymbał”, „głupek”, „głupol” itd., lecz także „toaleta męska”, „klop”; Jake może też być skróconą wersją imienia, np. Jacob (przyp. tłum.).

Oczywiście stało się to przyczynkiem do coraz bogatszej legendy Cra-zy Jake'a. Nawet psy się go boją, powtarzano w oddziałach.

W dżungli po prostu nie miał sobie równych. Był niczym zwierzę obdarzone głosem. Straszyl ludzi swoim „wielokierunkowym” okiem i długimi okresami milczenia. Ale kiedy tylko ucichł odgłos odlatujących śmigłowców, wszyscy chcieli być jak najbliżej Jake'a.

Wspomnienia opadły mnie niczym batalion nagle zmartwychwstałych trupów.

„Przecież powiedział, na śmietnik z nimi! *Num suynF*

„Nie ma już dla nas domu, John. Nie po tym, co tu zrobiliśmy”.

„Zostaw to gówno - powtarzałem w myślach znajomy refren. - Co się stało, to się nie odstanie”.

Potrzebowałem chwili przerwy. Postanowiłem, że posłucham jazzu w klubie Alfie. Jazz od dawna był dla mnie ucieczką od świata. Miałem szesnaście lat, kiedy po raz pierwszy usłyszałem płytę Billa Evansa. Alfie to coś, co w Japonii nosi nazwę *raibu hausu*, czyli *live house* - mały klub, w którym grywają tercety lub kwartety jazzowe, odpowiadający gustom tokijskich koneserów. Zupełny odjazd: niewielki, ciemny, z niskim sufitem i przypadkowo wspaniałą akustyką. Mieści się w nim nie więcej niż dwadzieścia pięć osób. Na małej estradzie wychodzą na ogół młodzi artyści, jeszcze nieodkryci. Sala jest zawsze pełna, więc trzeba wcześniej rezerwować miejsca. Niestety, życie w ciągłym cieniu nie pozwala na takie małe luksusy. Na szczęście dobrze znałem *mama-san*, tęgawą staruszkę o grubych palcach i kaczkowatym chodzie, który kiedyś zapewne był zalotnym kołysaniem bioder. Wprawdzie nie była już podlotkiem, ale wciąż ze mną flirtowała i uwielbiała, kiedy podejmowałem tę zabawę. Zawsze znalazła dla mnie wolne miejsce w zatłoczonym klubie.

Pojechałem więc metrem do Alfie, do Roppongi. Na wszelki wypadek po drodze zachowałem środki bezpieczeństwa. Jak zwykle pocze-kałem, aż peron będzie pusty, zanim schodami wyszedłem ze stacji na ulicę. Nikt mnie nie śledził. Czekala na mnie noc w Roppongi.

Roppongi to swoisty koktajl Zachodu z Japoniąw prawdziwie tokijskim stylu. Królestwo seksu i pieniądza. W licznych nocnych klubach nie brak Europejek i Amerykanek, które przyjechały tutaj z nadzieją na pracę modelki, a znalazły zupełnie coś innego. Teraz, jako hostessy, żartują z klientami, ale nieraz, rzecz jasna, na żartach się nie kończy... Chodzą w szykownych ciuchach, na wysokich obcasach - dla podkreś-

lenia wzrostu- i noszą się niczym damy, jakby chciały pokazać, że osiągnęły sukces. Jednak w ich zachowaniu jest coś z desperacji. Są też piękne Japonki, świetnie opalone w najdroższych solariach, z długimi włosami, wyglądającymi na ich plecach niczym złożone skrzydła jakiegoś drapieżnego ptaka. Krążą w poszukiwaniu bogatych przyjaciół - takich, którzy w zamian za obietnicę seksu albo choćby za to, żeby się pokazać z tak cenną zdobyczą, kupią im nową sukienkę prosto od Chanel, torebkę od Vuittona lub inny przedmiot pożądania. Obok kręcą się smagli cudzoziemcy, handlujący nieco podejrzanym towarem. Kłopot w tym, że czasem można od nich kupić zupełnie coś innego, niżby się zdawało. Podejrzenie dorosłe „nastolatki” chwytają przechodniów za łokieć, zachęcając ich, żeby wybrali sobie „towarzyszkę” z albumu ze zdjęciami. Jedni ludzie gdzieś pędzą, jakby się spieszyli w ważnej sprawie, inni spacerują nonszalanckim krokiem, jakby czekali na spotkanie z gwiazdą filmu lub estrady. Wszyscy czegoś głodni, czegoś wciąż szukają. Prawdziwe uniwersum drapieżców i ofiar.

Klub Alfie był w lewo od stacji, ale poszedłem w prawo, żeby go okrążyć. Musiałem przebić się przez tłum naganiaczy, uparcie wciskających mi różne ulotki. Nie zwracając na nich uwagi, naprzeciwko Almond Café skręciłem w Gaien-higashi-dori, a potem znowu w prawo, w uliczkę, biegnącą równoległe do Roppongi-dori, i znalazłem się na tyłach Alfie. Obok mnie z hukiem przemknęło czerwone ferrari, pozostałość lat „*bubble economy*”, kiedy to japońscy milionerzy płacili bająnskie sumy za obrazy impresjonistów, o których właściwie nic nie wiedzieli, i za odległe miejsca w rodzaju Pebble Beach, które wprawdzie znali, lecz tylko ze słyszenia. W tamtych czasach mówiono, że pięćdziesiąt hektarów w Tokio jest droższe niż hektar w Stanach Zjednoczonych. Nowobogaccy codziennie świętowali na Ginzie, zamawiając jedną skrzynkę najdroższego szampana po drugiej. Pili go zresztą z kostkami cukru albo z dodatkiem drobnych płatków czternastokaratowego złota.

Szybko przeszedłem na drugą stronę ulicy i wjechałem windą na czwarte piętro. Zdążyłem się jeszcze rozejrzeć wokół, zanim zamknęły się za mną drzwi kabiny.

Przed klubem jak zwykle stała kolejka czekających. Na drzwiach wisały różne plakaty, jedne zupełnie nowe, inne spłowiałe ze starości. Kronika tego, co działo się tu przez całe lata. Jakiś młodzieniec o gładko przylizanych włosach, w tanim europejskim garniturze, sprawdzał rezerwacje.

- *O-namae wa?* - spytał, kiedy wyszedłem z windy i stanąłem tuż przed nim. Pana godność? Odparłem, że niestety nie mam rezerwacji. Popatrzył na mnie z bólem w oczach. Nie czekałem, aż udreńczonym głosem powie mi, że nie mogę posłuchać dzisiejszego koncertu. Oznajmiłem, że jestem starym przyjacielem Mamy i że chcę po prostu na chwilę ją zobaczyć. Mógłby ją poprosić? Ukłonił się, wszedł do klubu i zniknął za zasłoną. Dwie sekundy później zjawiała się Mama. Miała bardzo poważną urzędową minę. Bez wątplenia chciała łagodnie, lecz stanowczo, w typowo japońskim stylu odprawić natręta. Ale na mój widok jej oczy zmrużyły się w uśmiechu.

- *Jun-chan! Hisashiburi, ne!* - zawołała, odruchowo wygładzając spódnice. Jun to jej zdrobnienie mojego imienia, Junichi, przerobionego przez Amerykanów na zwykłego Johna.

Ukłoniłem się ceremonialnie i odpowiedziałem jej uśmiechem. Wyjaśniłem, że przypadkowo byłem w okolicy, a nie zdażyłem zrobić rezerwacji. Widzę, że klub jest pełen, więc nie chciałbym przeszkadzać...

- *Tondemonai!* - przerwała. Nie wyglupiaj się. Wpuściła mnie do środka, weszła za bar i wyłuskała z półki butelkę Cao Lila, którą tu trzymałem. Wzięła szklanki, wróciła do mnie i wskazała mi stolik w samym kącie sali.

Przez chwilę siedzieliśmy razem. Mama naląła mi drinka i spytała, czy na kogoś czekam. Nie zawsze sam bywałem w klubie. Odpowiedziałem, że na razie nie mam żadnej dziewczyny. Uśmiechnęła się.

- *Un gayokatta, ne!* - zawołała. Moje szczęście! Cieszyłem się ze spotkania z Mamą. Nie widzieliśmy się od miesiący, a mimo to pamiętała, gdzie stoi moja butelka. Nie zapomniała starych sztuczek.

- Bardzo mi ciebie brakowało, Mamo - powiedziałem do niej po japońska. Poczulem, jak opada ze mnie napięcie. - Kto dzisiaj występuje?

Poklepała mnie po ręku.

- Młoda pianistka. Kawamura Midori. Na pewno będzie wielką gwiazdą. W najbliższy weekend zagra w Blue Note. Kiedyś jeszcze wspomniesz, że widziałeś ją, jak stawiała pierwsze kroki w Alfie.

Kawamura to dość popularne japońskie nazwisko, więc nie wywołało we mnie żadnego skojarzenia.

- Coś słyszałem, choć jeszcze nigdy nie byłem na jej występie. Jaka jest?

- Cudowna. Gra niczym wściekły Theolonius Monk. Profesjonalistka w każdym calu, nie tak jak inni młodzi, którzy tu trafiają. Jej oj-

ciec zmarł jakiś tydzień temu, a mimo to nie chciała odwołać koncertu.

Dopiero wtedy coś mnie tknęło.

- Przykra sprawa... - powiedziałem powoli. - Jak to się stało?

- Zwykły zawał, we wtorek rano, w pociągu linii Yamanote. Kawamura-san powiedziała mi, że nawet nie była tym zbyt zaskoczona. Ojciec chorował już od dawna. Powinniśmy być wdzięczni za każdą chwilę życia, która jest nam dana, *nel O*, właśnie idą. - Znów poklepała mnie po dłoni i uciekła.

Odróciłem się i zobaczyłem Midori i jej duo. Wyszli na scenę energicznym krokiem, nie rozglądając się na boki. Potrząsnąłem głową, żeby to wszystko ogarnąć. Przyszedłem tutaj, aby choć na chwilę zapomnieć o Kawamura, a tymczasem trafiłem na jego ducha. W pierwszej chwili chciałem wstać i wyjść, ale to byłoby zbyt podejrzane.

Poza tym zatrzymała mnie dziwna ciekawość... To tak, jakbym nie potrafił oderwać oczu od miejsca wypadku, który sam spowodowałem.

Patrzyłem na Midori, kiedy usiadła przy pianinie. Miała mniej więcej trzydzieści pięć lat. Jej proste, ścięte do ramion włosy były tak czarne, że zdawały się błyszczeć w świetle górnej lampy. Ubrana była w lekki sweter z krótkimi rękawami, równie czarny jak włosy. Miałem wrażenie, że jej gładkie białe ręce i szyja unoszą się w powietrzu. Oczu nie mogłem dostrzec, poza drobnym błyskiem w plątaninie cieni. Podkreśliła je czarną kredką, ale poza tym nie użyła żadnych kosmetyków. Chyba wiedziała, że nie musi martwić się takimi drobiazgami. Bo rzeczywiście nie musiała. Wyglądała naprawdę świetnie i na pewno zdawała sobie z tego sprawę.

Wyczuwałem rosnące napięcie na widowni. Goście pochylili się do przodu. Dłonie Midori na sekundę zawisły nad klawiaturą. Potem rozległ się cichy głos:

- Raz, dwa... Raz, dwa, trzy, cztery.

Położyła palce na klawiszach i sala zatętniła życiem.

Nie wybrała żadnej własnej kompozycji, ale stary kawałek Billa Evansa, *My Mon 's Gone*. Zawsze lubiłem tę melodię i spodobała mi się jej interpretacja. Midori grała z taką pasją, że chciało się nie tylko słuchać, ale też oglądać. Mimo to zapatrzyłem się gdzieś w przestrzeń.

Miałem zaledwie osiem lat, kiedy straciłem ojca. Został zabity przez prawicowców w czasie ulicznych zamieszek, które wybuchły w Tokio po tym, jak w 1960 roku rząd Kishiego ratyfikował pakt bezpieczeństwa

między Japonią i Stanami Zjednoczonymi. Ojciec zawsze zachowywał wobec mnie dystans i podświadomie wyczuwałem, że klócił się o mnie z matką. Ale dobrze rozumiałem to dopiero później. W tamtych latach nocami płakałem w poduszkę jak każdy mały chłopiec.

Matka nie zapewniła mi łatwego życia, chociaż na pewno próbowała. Kiedyś była prawnikiem zatrudnionym w Departamencie Stanu. Podczas okupacji pracowała w Tokio, w Naczelnym Dowództwie Sił Sprzymierzonych, u boku MacArthura. Brała udział w przygotowaniu nowej konstytucji, z którą MacArthur chciał wprowadzić powojenną Japonię w nadchodzącą Erę Ameryki. Mój ojciec był współpracownikiem premiera Yoshidy, odpowiedzialnym za tłumaczenie dokumentów i wynegocjowanie pewnych korzyści dla Japonii.

Romans wyszedł na jaw tuż po ratyfikowaniu nowej konstytucji w maju 1947 roku. Wybuchł skandal. Obie strony były święcie przekonane, że część decyzji zapadła w łóżku, a nie przy stole konferencyjnym. Matka musiała zapomnieć o dalszej karierze w Departamencie Stanu. Pozostała w Japonii po prostu jako żona.

Rodzice zerwali z nią wszelkie kontakty. Od początku byli przeciwni temu małżeństwu i nie pochwalali mieszanych związków. Matka właściwie została sierotą, więc uznała Japonię za drugą ojczyznę. Nauczyła się japońskiego, żeby w domu swobodnie rozmawiać z mężem i ze mną. Po jego śmierci straciła wszelkie więzi łączące ją z nowym życiem.

Ciekawe, czy Midori lubiła swojego ojca. Chyba nie. Na pewno były między nimi ciągle nieporozumienia, a może nawet wybuchały kłótnie. Kawamura uważał zapewne artystyczną karierę córki za zwykłą fanaberię. I co potem? Awantury, bolesna cisza, nieśmiała próba zrozumienia... Mieli szansę na przeprosiny? A może Midori jednak nie zdążyła wszystkiego mu powiedzieć?

Co się z tobą dzieje? - pomyślałem nagle. Nic cię z nimi nie łączy. Dziewczyna jest niezła, więc to rozumiałe, że trochę głupiejesz. Ale daj sobie z tym spokój.

Popatrzyłem po sali. Wszyscy siedzieli parami lub w większych grupach. Chciałem wyjść i znaleźć sobie jakieś inne miejsce, bez wspomnień. Lecz gdzie go szukać? Zostałem więc i nadal słuchałem muzyki. Poczulem, że nuty wesołym zygakiem próbują mi uciec, więc szybko je złapałem i wraz z nimi wyszedłem z ponurego nastroju, który wzbierał we mnie niczym czarne wody. Został jedynie jazz i smak cao

lila. Melodie bez przerwy dźwięczały mi w uszach, aż dłonie Midori stały się białą mgiełką, jej profil gdzieś zniknął za kurtyną włosów, aż głowy, które dokoła widziałem w półmroku, przesłonięte papierosowym dymem, zaczęły się kołysać, palce wystukiwać rytm na stołach i kieliszkach. Ręce Midori zamigotały szybciej i nagle zamarły. Nastąpiła chwila doskonałej ciszy, a potem sala wybuchła aplauzem.

Kilka minut później Midori i jej duo zajęli miejsce przy wolnym stoliku, zostawionym specjalnie dla nich. W klubie rozległ się szmer stłumionych rozmów i przyciszonych śmiechów. Mama przysiadła się do muzyków. Wiedziałem, że nie mogę wyjść bez pożegnania, ale nie chciałem zbyt blisko zbliżyć się do Midori. Poza tym, gdybym szybko się ulotnił, wzbudziłoby to zdziwienie. Postanowiłem zostać.

Przyznaj się, pomyślałem, po prostu chcesz posłuchać drugiej części koncertu. To prawda. Występ Midori pozwolił mi ochłonąć z emocji. Jazz zawsze mnie uspokajał. Mogłem sobie dalej posiedzieć w klubie, nacieszyć się muzyką i potem iść do domu, w pełni zadowolony, że ten dziwny wieczór zakończył się w ten sposób.

Niech ci będzie. Tylko, kurwa, nie myśl już ojej ojcu, zgoda?

Kątem oka spostrzegłem nadchodzącą Mamę. Uśmiechnąłem się do niej. Usiadła przy moim stoliku.

- Co ty na to? - spytała.

Sięgnąłem po butelkę, w której pozostało już niewiele trunku, i napełniłem obie szklanki.

- Tak jak mówiłaś: wściekły Theolonius Monk. Masz rację, będzie z niej wielka gwiazda.

Błysnęła oczami.

- A może chcesz ją poznać?

- Jestem ci wdzięczny, Mamo, ale dziś wolę słuchać niż cokolwiek mówić.

- Świetnie. Niech ona mówi, a ty po prostu słuchaj. Kobiety lubią takich mężczyzn. To dziś prawdziwa rzadkość, we?

- Nie jestem w jej typie, Mamo.

Pochyliła się nad stolikiem.

- Pytała o ciebie.

Szlag by trafił.

- Co jej powiedziałaś?

- Że gdybym była trochę młodsza, to nie wyciągnęłaby ze mnie ani słówka na twój temat. - Zakryła usta i roześmiała się po cichu. -



Ale niestety, to już nie te lata... Przedstawiłam cię jako miłośnika jazzu i wielkiego fana jej talentu. Powiedziałam, że przyszedłeś tu dziś specjalnie, aby jej posłuchać.

- To bardzo miłe z twojej strony - odparłem, zdając sobie sprawę, że powoli tracę panowanie nad sytuacją. Nie bardzo wiedziałem, jak się zachować.

Mama wygodniej rozparła się na krześle.

- Idź się przywitać - uśmiechnęła się. - Dziewczyna chce cię poznać.

- Wrabiasz mnie, Mamo. To nieprawda.

- Nie? Patrz... Czeka na ciebie. - Odwróciła się i pomachała ręką. Midori odpowiedziała jej w ten sam sposób.

- Nie rób mi tego, Mamo - mruknąłem, choć wiedziałem, że już jestem na straconej pozycji.

Energicznie pochyliła się ku mnie. Uśmiech zniknął z jej twarzy jak słońce za chmurą.

- Stawiasz mnie w głupiej sytuacji. Idź, powiedz przynajmniej „dzień dobry”.

Niech to diabli... Ale i tak miałem pójść się odlać.

Wstałem i podszedłem do stolika Midori. Czułem, że widziała mnie już z daleka, ale nie dała nic po sobie poznać, dopóki nie stanąłem tuż koło niej. Dopiero wtedy uniosła głowę. Z zachwytem spojrzałem w jej oczy. Były nieprzeniknione - chociaż patrzyła wprost na mnie - a jednak nie chłodne i nieobecne. Wręcz przeciwnie, emanowała z nich fala dziwnego ciepła... Coś, co chwytало cię za serce, a czego nie umiałeś odwzajemnić.

Od razu wiedziałem, że wpadłem w pułapkę Mamy. Midori na pewno nic o mnie nie wiedziała.

- Wielkie dzięki za występ - bąknąłem, żeby w ogóle coś powiedzieć. - Ocaliła mnie pani.

Basista, supermacho ubrany na czarno, z długimi bokobrodami, w europejskich okularach, parsknął głośno. Zastanawiałem się, czy coś ich łączy. Midori uśmiechnęła się, jakby na znak, że słyszała już takie pochwały, i powiedziała tylko:

- *Dorno arigato.*

Dziękuję. W ten sposób dała mi do zrozumienia, że mogę odejść.

- Mówię zupełnie szczerze - zapewniłem. - Ta muzyka jest do brym remedium na kłamstwa.

Co ja wygaduję? - przemknęło mi przez głowę.

Basista znów się obruszył.

- Nie zamierzamy nikogo ratować. Po prostu gramy, bo to lubimy.

Midori rzuciła mu krótkie, ale wyraźnie niechętnie spojrzenie. Chyba już od dawna brali udział w tym tańcu - tylko że basista za nią nie nadążał.

Zresztą, olać go.

- Ale jazz jest jak seks, prawda? - zapytałem. - Potrzeba dwojga dla pełnej przyjemności.

Sporunował mnie wzrokiem, a Midori lekko wyduła usta w starannie skrywanym uśmiechu.

- Miło mi, że wyciągnęliśmy pana z nie lada opresji - powiedziała tak wyważonym tonem, jak płaskie EKG. - Dziękuję.

Przez chwilę patrzyłem na nią, bezskutecznie próbując odczytać jej spojrzenie. Wreszcie pożegnałem się i odszedłem. Toaleta w Alfie zajmowała mniej więcej tyle samo miejsca, co słup telefoniczny. Popatrzyłem w lustro i pomyślałem sobie, że przeżyłem najkrwawsze starcia w Indochinach i wyszedłem cało z walk z terrorystami, a jednak nie umiałem wywinąć się z pułapki, zastawionej na mnie przez Mamę.

Wracając do stolika, zauważyłem zadowolony uśmiech Mamy. Usiadłem na swoim miejscu i kilka sekund później usłyszałem skrzypnięcie drzwi. Ostrożnie zerknąłem za siebie, w stronę wejścia, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Niemał natychmiast, wiedziony latami treningu, popatrzyłem przed siebie. Ten sam trening, mimo wielkiego zaskoczenia, pozwolił mi zachować niewzruszoną minę.

Nowym gościem okazał się cudzoziemiec z pociągu. Ten, który grzebał w kieszeniach Kawamury.

## 4

Przy breloczku do kluczy mam wiele dziwnych rzeczy, między innymi kilka niewielkich wytrychów, które dla niewprawnego oka praktycznie się nie różnią od zwykłej wykałaczki, i odpilowane lusterko dentystyczne. Lusterko można spokojnie trzymać tuż przed twarzą, zwłaszcza jeśli ktoś się w dodatku podeprze na łokciu.

Z tej pozycji widziałem, że cudzoziemiec zawzięcie coś tłumaczy naburmuszonej Mamie. Właśnie zaczynała się druga część koncertu. Mama pewnie nie chciała wpuścić go na salę, bo nie było już żadnego wolnego miejsca. Wyjął portfel z kieszeni marynarki i coś jej pokazał. Popatrzyła uważnie, a potem z uśmiechem, szerokim gestem wysłała go pod przeciwną ścianę. Cudzoziemiec poszedł tam i stanął w półcieniu.

Co mógł jej pokazać? Kartę inspektora wydziału kontroli sprzedaży alkoholu? Odznakę policyjną? Obserwowałem go bez przerwy do końca koncertu, lecz niczym się nie zdradził. Po prostu stał, niedbale oparty o ścianę.

Po koncercie musiałem podjąć szybką decyzję. Z jednej strony byłem przekonany, że facet przyszedł tutaj ze względu na Midori. Powiniennem więc zostać i zobaczyć, co dalej. Z drugiej jednak, jeśli naprawdę znał się z Kawamurą, to mógł wiedzieć coś więcej o tak zwanym zawale. Mógł nawet zapamiętać mnie z naszej krótkiej rozmowy nad nieruchomym ciałem. Ryzyko niewielkie - ale jak to kiedyś ujął Crazy Jake, kara za małe błędy może być wysoka. Jeśli ktoś się dowie, że dziś byłem w klubie, to natychmiast pęknie misternie spleciony kokon mojego incognito.

Poza tym, gdybym został ze względu na Midori, nie mógłbym go śledzić. Musiałbym razem z nim pojechać na dół winą, w której się mieściło zaledwie pięć osób, albo zbiec po schodach w nadziei, że go potem dogonię na ulicy. Wystarczyło, by wyszedł odrobinę wcześniej, żeby odplłynąć z falą tysięcy przechodniów, przelewających się przez Roppongi-dori.

Nie, musiałem wyjść pierwszy, choć mnie to wkurzało. Po skończonych brawach cudzoziemiec oderwał się od ściany i ruszył w stronę sceny. Goście wstawali od stolików. Wmieszałem się w jakąś grupę i poszedłem do wyjścia.

Nawet nie patrząc na scenę, zatrzymałem się, żeby oddać resztkę cao lila. Jeszcze raz podziękowałem Mamie za to, że wpuściła mnie bez rezerwacji.

- A jak tam Kawamura-san? - spytała. - Widziałam, że z nią rozmawiałeś. Ciężko było?

Uśmiechnąłem się.

- Nie, Mamo. Wszystko w porządku.

- Już chcesz iść? Dawno cię tu nie było.

- Postaram się kiedyś to naprawić. Ale dzisiaj mam inne plany.

Wzruszyła ramionami, niezadowolona, że jej chytry pomysł spalił na panewce.

- A propos... - mruknąłem. - Kim był ten *gaijin*, który z tobą rozmawiał w połowie koncertu? Chyba się z nim kłóciłaś.

- To jakiś dziennikarz - odparła, wycierając szklanke. - Pisze artykuł o Midori. Pozwoliłam mu zostać.

- Dziennikarz? To super... Z jakiego czasopisma?

- Z jakiegoś zachodniego. Nie pamiętam.

- Cieszę się, choćby ze względu na Midori. Będzie gwiazdą. - Poklepałem ją po ręku. - Dobranoc, Mamo. Do zobaczenia.

Schodami zbiegłem na ulicę, przeszedłem na drugą stronę Roppongi-dori i zająłem punkt obserwacyjny w supermarkecie Meidi-ya. Udawałem, że podziwiam kolekcję szampana. Ach... Mogł, rocznik osiemdziesiąt osiem. Dobry, ale cholernie drogi, bo za trzydzieści pięć tysięcy jenów. Niby to oglądałem naklejkę, ale kątem oka patrzyłem przez okno na windę do Alfie.

Z przyzwyczajenia sprawdziłem także inne miejsca, z których ktoś mógłby obserwować wejście do klubu. Na skraju ulicy parkowało kilka samochodów. Możliwe... Ale przecież nikt w Tokio z góry nie wie, czy będzie miał gdzie stanąć. To odpada. Budka telefoniczna w pobliżu Meidi-ya? Kiedy wychodziłem z Alfie, stał w niej młody Japończyk o krótko obciętych włosach, w czarnej skórzanej kurtce. Był tam nadal i ciągle gapił się na drzwi do klubu.

*Gaijin* pojawił się jakiś kwadrans później; skręcił w prawo, w Roppongi-dori. Czekałem, ciekaw, co zrobi Telefonista. Niemal zaraz odwiesił słuchawkę i pognął za cudzoziemcem.

Wyszedłem z Meidi-ya w lewo. Telefonista już był po drugiej stronie. Nie doszedł nawet do przejścia. Na kilometr pachniało od niego amatorszczyzną. Za szybko wyszedł z budki, przedtem był ciągle na widoku, teraz przebiegł przez jezdnię... Szedł stanowczo za blisko obiektu. To był błąd, bo w ten sposób sam mogłem go śledzić. Przez sekundę myślałem, że może są razem. Że to ochroniarz albo coś takiego... Ale nie. Wciąż zachowywał pewien dystans, więc w razie napadu nic nie mógłby zrobić.

Na wysokości Almond Cafe skręcili w prawo, w Gaien-higashi-dori. Telefonista zbliżył się na dziesięć kroków. Musiałem trochę przyspieszyć, żeby zdążyć przed zmianą świateł.

To głupie, pomyślałem. Włazę komuś w paradę. Jeżeli jest ich kilku i jeszcze to filmują, to za chwilę zrobią mi wspaniałe zdjęcie.

Nie mogłem jednak przestać myśleć, że to Benny chciał zrobić ze mnie wała i kazał drugiej grupie załatwić Kawamurę. Musiałem zaryzykować.

Przeszliśmy tak kilka przecznic i żaden z nich ani razu nie spojrzął za siebie. *Gaijin* szedł cały czas prosto, bez żadnych dziwnych ruchów. Nie zatrzymywał się i nie skręcał, żeby sprawdzić, czy ktoś go śledzi.

Na obrzeżach szalonego Roppongi, gdzie były mniejsze tłumy, wszedł do kawiarni Starbucks, jednej z wielu, które skutecznie wypierały tradycyjne japońskie *kissaten*. Telefonista, stały jak Gwiazda Polarne, kilka metrów dalej znalazł nową budkę. Przeszedłem przez ulicę i zaszyłem się w miejscu zwanym Freshness Burger. Zamówiłem słynną specjalność zakładu i klapnąłem przy oknie. Widziałem, że cudzoziemiec także coś zamówił i usiadł przy stoliku.

Telefonista działał sam. Gdyby należał do zespołu, to zapewne co parę minut odchodziłby gdzieś na bok albo znikał na dłuższą chwilę w obawie przed wykryciem. Poza tym sam dość często oglądałem się za siebie, ale nie zauważyłem nic podejrzanego.

Siedziałem więc i patrzyłem na ulicę. Cudzoziemiec popijał kawę. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Albo czekał na kogoś, z kim się umówił, albo miał trochę czasu przed jakimś spotkaniem w całkiem innym miejscu.

Sprawdziło się to pierwsze. Mniej więcej po pół godzinie ze zdumieniem ujrzałem Midori. Szła w naszą stronę. Patrzyła na neony, wreszcie zobaczyła znajomy napis „Starbucks” i przyspieszyła kroku.

Telefonista wyciągnął z kieszeni komórkę, stuknął w jakiś klawisz i przytknął ją do ucha. Strasznie mądre, zważywszy że przecież był w budce. Nie wybierał numeru, więc dzwonił do kogoś, z kim rozmawiał często.

Cudzoziemiec wstał na widok Midori i złożył ceremonialny ukłon. Zrobił to bardzo zgrabnie, więc musiał już od dawna przebywać w Japonii. Znał język i zwyczaje. Midori odkłoniła mu się lekko, niepewna swojej pozycji. Czuję, że się nie znają. Prawdopodobnie w klubie spotkali się po raz pierwszy.

Spojrzałem na Telefonistę. Zdążył schować komórkę, ale wciąż sterczał w budce.

Cudzoziemiec gestem zaprosił Midori, by usiadła. Sam zajął miejsce naprzeciwko. Wskazał na kontuar, ona jednak stanowczo pokręciła głową. Nie chciała łamać się chlebem z obcym.

Obserwowałem ich przez dziesięć minut. W trakcie rozmowy cudzoziemiec wykonywał coraz bardziej gwałtowne ruchy. Midori zachowywała się z rosnącą rezerwą. Wreszcie wstała, ukloniła się szybko i odeszła. *Gaijin* skłonił się dużo głębiej i jakby niezgrabnie.

Za kim pójść teraz? Postanowiłem, że decyzję zostawię Telefonistcie.

Po wyjściu z kawiarni Midori wróciła do Roppongi. Telefonista popatrzył za nią, lecz nadal tkwił na swoim posterunku. Czyli polował na cudzoziemca. A może jeszcze na coś więcej?

*Gaijin* wyszedł chwilę później i zawrócił na stację Hibiya przy Roppongi-dori. Poszliśmy za nim w tym samym szyku, co poprzednio: on, Telefonista i ja. Zszedłem na peron, ale zanim wsiedliśmy do pociągu jadącego w stronę Ebisu, odsunąłem się od nich o całą długość wagonu. Stałem tyłem, patrząc na odbicie w szybie. Pociąg zatrzymał się w Ebisu i obaj wysiedli.

Wyskoczyłem z wagonu chwilę później z nadzieją, że cudzoziemiec pójdzie w drugą stronę. Nie, szedł prosto na mnie. Cholera. Zwolniłem kroku, a potem zatrzymałem się przed planem wiszącym na ścianie. Stałem pod takim kątem, żeby żaden z nich nie widział mojej twarzy.

Z powodu dość już późnej pory na stacji było zaledwie kilku pasażerów. Trzymałem się o jeden zakręt schodów od Telefonisty. Kiedy wreszcie wychynęliśmy z wnętrza metra na ulicę, pozwoliłem im odejść na co najmniej dwadzieścia metrów, zanim ruszyłem za nimi.

Gdy dotarliśmy na bogate przedmieścia Tokio, do Daikan-yamy, cudzoziemiec zatrzymał się przed wysokim apartamentowcem. Wyciągnął klucz, otworzył elektroniczny zamek i wszedł do środka. Drzwi natychmiast się za nim zamknęły. Telefonista chyba zrozumiał, że to już koniec obserwacji, bo przeszedł tylko jeszcze jakieś dwadzieścia kroków, przystanął, wyjął komórkę, stuknął palcem w klawisz i powiedział coś krótko. Potem zapalił papierosa i usiadł na krawężniku.

Nie, nie... Wbrew temu, co myślałem przedtem, ci dwaj na pewno nie działali razem. Telefonista śledził cudzoziemca.

Stałem w cieniu na tyłach małego parkingu i czekałem. Po kwadransie nadjechał czerwony sportowy motocykl, o tak ustawionej rurze

wydechowej, żeby ryczeć jak Godzilla. Kierowca, w hełmie i oczywiście czerwonym skórzonym kombinezonie, zatrzymał się koło Telefoniasty. Ten krótkim ruchem ręki wskazał mu budynek i wskoczył na siodelko. Po chwili z hukiem zniknęli w mroku nocy.

*Gaijin* pewnie tu mieszkał... Ale w budynku były setki apartamentów, a ja nie wiedziałem, jak sprawdzić, który jest jego. Nie znałem nazwiska. Przy dwóch niewiadomych nie było żadnego sensu dalej tu sterczeć. Odczekałem chwilę, aż warkot motocykla ucichł gdzieś w oddali, wyszedłem z parkingu i sprawdziłem adres. Potem wróciłem na stację Ebisu.

## 5

Z Ebisu pojechałem linią Hibiya na stację Hibiya, aby tam przesiąść się na linię Mita i wrócić do domu. Nigdy nie przechodzę z peronu na peron, tylko jako pierwszy wychodzę ze stacji na krótki SDR.

Tym razem wstąpiłem do sklepu muzycznego Tsutaya. Przepchnąłem się przez grupę rozkosznych nastolatków, podskakujących w przejściu ze słuchawkami w uszach. J-pop dominował tu na każdym kroku. Dotarłem na tyły sklepu, gdzie wreszcie mogłem zwolnić i popatrzeć po półkach, zerkając w stronę ulicy, czy ktoś nie wszedł za mną.

Pobieżnie przejrzałem dział muzyki poważnej i przeszedłem do jazzu. Pod wpływem nagłego impulsu sprawdziłem, czy Midori nagrała jakąś płytę. Tak. *Another Time*. Na okładce stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, pod latarnią, chyba na którejś z gorszych uliczek Shinjuku. Twarz miała ukrytą w cieniu. Znak firmy fonograficznej zupełnie nic mi nie mówił - zapewne to któraś z niniejszych. Midori nie była jeszcze w pierwszej lidze, lecz zgadzałem się z Mamą, że wkrótce tam trafi.

Już chciałem odstawić płytę z powrotem na półkę, gdy pomyślałem nagle: Jezu, przecież to tylko muzyka. Podoba ci się? Kup sobie. Zawsze istnieje obawa, że jakiś sprzedawca może cię zapamiętać. Wybrałem więc jeszcze parę instrumentalnych nagrań jazzowych i kilka koncertów Bacha. Potem poszedłem do kasy. Stań w najdłuższej kolejce, powtarzałem w duchu. Do zapracowanego, zmęczonego kasjera.

Zapłać gotówką. Będzie pamiętał tylko, że jakiś facet kupił sporo płyt, może z jazzem, a może z muzyką poważną. Prawdę mówiąc, wątpliwe, żeby ktoś o to pytał.

Po zakończonym SDR ruszyłem z zakupami do domu, do Sengoku. To północno-wschodnie rejony miasta, w pobliżu resztek dawnego Tokio, potocznie zwanych *Shitamachi*, śródmieściem. Nie brak tu starych domów, które szczęśliwie przetrwały wielkie trzęsienie ziemi Kanto w 1923 roku i wojenne bombardowania. Żadnego nocnego życia z wyjątkiem *nomiya*, lokalnych knajpek. Żadnej dzielnicy handlowej, więc ruch też niewielki. Większość tutejszych mieszkańców to prawdziwi *Edoko*, rdzenni tokijczycy, pracujący w rodzinnych sklepikach i barach. Sengoloi znaczy „tysiąc kamieni”. Nie wiem, skąd ta nazwa, ale zawsze mi się podobała.

Może to nie jest mój prawdziwy dom, lecz nigdy nie miałem lepszego. Po śmierci ojca matka zabrała mnie do Stanów. Przybita stratą oraz innymi nieszczęściami, chciała być bliżej rodziców, którzy także wyciągnęli rękę do zgody. Zamieszkaliśmy w Dryden, na północ od Nowego Jorku. Matka uczyła japońskiego w pobliskim Uniwersytecie Cornella, a ja poszedłem do szkoły publicznej.

W Dryden mieszkali niemal wyłącznie biali, przeważnie robotnicy. Nic więc dziwnego, że z powodu moich orientalnych rysów i obcego akcentu stałem się ulubioną ofiarą prześladowań miejscowych osiłków. W Dryden przeszedłem pierwsze praktyczne ćwiczenia z partyzantki. „Koledzy” polowali na mnie całym stadem, a ja czyhałem na nich, kiedy byli sami i zupełnie bezbronni. Zrozumiałem mentalność partyzanta lata przedtem, zanim wylądowałem w Da Nang.

Matka z niepokojem patrzyła na moje sińce i podrapane pięści, ale za bardzo martwiła się pracą na uczelni i załatwianiem dziury w stosunkach z rodziną, żeby w czymś mi pomóc. W tamtych latach tęsftniłem za Japonią.

Byłem więc na widelcu. Dopiero dużo później nauczyłem się trudnej metody znikania. Pod tym względem Sengoku jest pewnym moim dziwactwem. Wybrałem tę dzielnicę, zanim postanowiłem usunąć się ludziom z oczu. Potem zostałem tutaj, wychodząc z założenia, że zło już się stało. To miejsce, gdzie każdy zna twoje nazwisko i gdzie każdy jest przekonany, że dobrze wie, co robisz. Początkowo czułem się trochę niezręcznie, jakbym przyciągał uwagę. Nawet chciałem się przebieść do zachodniej części miasta. Zachodnie dzielnice to współczesne



Tokio, które naprawdę nie ma nic wspólnego z Japonią. To zgiełk i hałas, tłumy nakręcone poranną kofeiną, pustka i anonimowość. Tam mógłbym się zgubić.

Ale stare śródmieście ma w sobie coś magicznego. Nie wyobrażam sobie, żebym się stąd wyniósł. Lubię wieczorny spacer ze stacji metra do domu, w głąb handlowej ulicy o domach malowanych na zielono i czerwono. Zawsze panuje tutaj jakby odświętny nastrój, nawet podczas posepnej zimowej szarówki. Małżeństwo w średnim wieku, ze sklepiku na rogu, woła na mój widok: *Okaeri nasai!* - Witaj w domu! - zamiast oficjalnego *konbanwa*, dobry wieczór. Jest też tłusta, wiecznie uśmiechnięta babcia, która prowadzi małą wypożyczalnię wideo, z żółtym neonem nad drzwiami i oknem zaklejonym dziesiątkami plakatów z zapowiedzią najnowszych hollywoodzkich hitów. Znaleźć tam można wszystko, od filmów Disneya po zboczone pornosy. Od południa aż do dziesiątej wieczór nobliwa właścicielka niczym zadowolony Budda siedzi za kontuarem i patrzy w telewizor. Jest jeszcze Ośmiornica - prowadzi niewielki kramik z *takoyaki*, smażonymi mackami prawdziwych mięczaków. Mieści się on w jej domu. Twarz staruszki, zmęczonej brzemieniem lat i monotonnej pracy, z biegiem czasu upodobniła się do pomarszczonej mątwy. Nocami Ośmiornica snuje się po sklepie, machinalnymi ruchami szykując potrawy. Czasami, gdy przechodzę obok, słyszę dziecięce śmiechy i ciche ostrzeżenia: *Tako onnal Kiotsukete!* - Uwaga! Kobieta-Ośmiornica! No i jest także dom Yamady, nauczyciela gry na fortepianie. Letnimi wieczorami, kiedy słońce zachodzi później, z okien słychać łagodne, melodyjne dźwięki, które leniwie płyną nad naszą ulicą, zmieszane z szuraniem stóp mieszkańców dzielnicy, wracających w kapciach z *sentō*, publicznej łaźni.

Przez cały weekend słuchałem nagrań Midori. Wróciłem z biura do domu, zagotowałem wodę na zupę z makaronem, *ramen*, a potem usiadłem przy zgaszonych światłach, zatopiony w muzyce, chłonąc każdą nutę. Słuchałem i patrzyłem przez balkonowe okno na ciche, wąskie uliczki Sengoku. Czułem oddech przeszłości, lecz byłem bezpieczny.

Rytm i zwyczaje sąsiedztwa, z początku zbyt subtelne, żeby je zrozumieć, przez lata po kryjomu zapadły mi w serce. Rosły we mnie, pęczniały, aż stały się częścią mnie. Niewielki krok z cienia nie jest wygórowaną ceną za takie przywileje. Poza tym czasami lepiej zostawać na widoku. W Sengoku nie ma ustronnego miejsca, w którym ktoś obcy mógłby zastawić pułapkę. Dopóki Mama z Tatą nie zamkną skle-

piku i nie zasuną starej zardzewiałej story, ciągle sana ulicy, patrząc na przechodniów. Jeśli nie jesteś z Sengoku, zaraz cię zauważą. Zaczną się zastanawiać, po co tu przyszedłeś. Jeśli należysz do swoich - no, cóż... też cię widzą, ale całkiem inaczej.

Chyba mogę z tym żyć. \

## B

Niecały tydzień później zaprosiłem Harry'ego na lunch do Issan sobaya. Nie potrafiłem rozwiązać tej małej tajemnicy, więc liczyłem na jego pomoc.

Issan to stary drewniany budynek w Meguro, jakieś pięćdziesiąt metrów od Meguro-dori i pięć minut drogi ze stacji Meguro. Miejsce takie sobie, ale podają tutaj najlepszy makaron *sobą* w całym Tokio. Lubię Issan, nie tylko ze względu na kuchnię. Odpowiada mi tutejsza bezpretensjonalna atmosfera. Przy wejściu jest mała szafa, swoiste „biuro rzeczy znalezionych”. Nic się nie zmieniła co najmniej od dekad, kiedy po raz pierwszy trafiłem do tej knajpki. Zawsze byłem ciekawy reakcji właściciela, gdyby ktoś kiedyś przyszedł i głośno zawołał: „Nareszcie znalazłem moją szylkretową łyżkę do butów! Szukałem jej latami!”

Drobna kelnerka zaprowadziła mnie do niewielkiej wężki, wyłożonej *tatami*, wskazała miejsce przy niskim stole i uklękła obok, by przyjąć zamówienie. Na razie wziąłem tylko porcję *umeboshi*, marynowanych śliwek, żeby coś przekąsić, czekając na Harry'ego.

Wtoczył się dziesięć minut później, holowany przez tę samą kelnerkę.

- Z góry wiedziałem, że tym razem nie będzie to Las Chicas - mruknął pośpiesznie, patrząc na stare ściany i splewiałe afisze.

- Doszedłem do wniosku, że najwyższa pora, abyś zakosztował nieco tradycji - odparłem. - Za dużo czasu spędzasz wśród elektroniki, w sklepach Akihabary. Może spróbujesz coś dawniejszego? Polecam *yuzukiri*.

*Yuzukiri* to *sobą* przyprawiona sokiem z delikatnej japońskiej cytryny *suzu*. Specjalność Issan.

Wróciła kelnerka. Zamówiłem dwa razy *yuzukiri*. Harry oznajmił mi, że nie dokopał się do niczego szczególnego na temat Kawamury. Garść danych z życiorysu.

- Dożywotni katorżnik Partii Liberalno-Demokratycznej. W 1960 roku ukończył Uniwersytet Tokijski. Zrobił dyplom z nauk politycznych. Zaraz po studiach znalazł rządową pracę jak reszta absolwentów.

- Nauczka dla Amerykanów - zauważyłem cierpko. - U nich rząd zgarnia jedynie odpady. To tak, jakby wybierać same najmniejsze ziarna z kolby kukurydzy.

- Wiem, pracowałem z nimi. Kawamura zaczął od zasad zarządzania rynkiem elektronicznym w ramach Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu. Ministerstwo to współpracowało wtedy z takimi koncernami, jak Panasonic albo Sony. Stawką była pozycja Japonii w światowej gospodarce. Kawamura miał niezłe wpływy jak na dwudziestoparolatka. Powoli piął się po szczeblach hierarchii, ale nie błyszczał jak gwiazda. W latach osiemdziesiątych zebrał sporo pochwał za skuteczną promocję japońskich półprzewodników.

- Teraz to kupa śmiechu - mruknąłem obojętnie.

Harry wzruszył ramionami.

- Wtedy Kawamura skorzystał z okazji. Z MHZP przeszedł do Kensetsusho, dawnego Ministerstwa Budownictwa. Potem, gdy powołano Kokudokotsusho, objął urząd wiceministra w Ministerstwie Infrastruktury. - Odruchowo przeczesał palcami rozwichrzone włosy. Oczywiście, nic to nie pomogło. - Słuchaj, znam tylko podstawowe fakty. Muszę wiedzieć coś więcej, czego naprawdę szukam, bo nic z tego nie wyjdzie.

- Nie przejmuj się, Harry. Rozwiążemy ten problem wspólnymi siłami, zgoda? - przerwałem, wiedząc, w co się pakuję. Jednak nie było rady, musiałem ryzykować.

Powiedziałem mu, co widziałem w klubie i później. Przyznałem się, że poszedłem za cudzoziemcem aż do Daikan-yamy.

Pokręcił głową.

- Jak to możliwe, że przypadkowo wpadłeś na córkę Kawamury? Wierzyć się nie chce.

Obrzuciłem go uważnym spojrzeniem. Czyżby mi nie ufał?

- *Seken-wa semaiyo* - odparłem. Świat jest mały.

- To raczej karma - mruknął z nieprzeniknioną twarzą.

Chryste, ile ten chłopak się domyśla?

- Nie wiedziałem, że wierzysz w karmę, Harry.

Znów wzruszył ramionami.

- Myślisz, że to ma jakiś związek z włamaniem do Kawamury?

- Bardzo możliwe. Facet przetrzepał mu kieszenie, ale nie znalazł tego, czego szukał. Poszedł więc do mieszkania. To też nic nie dało. Teraz nagabuje córkę Kawamury. Pewnie myśli, że wzięła część rzeczy po ojcu.

Kelnerka przyniosła dwie porcje *yuzukiri*. Bezgłośnie klęknęła przy nas na *tatami*, postawiła tacki na stole, przesunęła je w myśl jakiejś niepisanej zasady, wstała, ukloniła się i odeszła.

Po skończonym obiedzie Harry usiadł wygodniej i oparł się o ścianę. Głośno i długo beknął.

- To było naprawdę dobre - przyznał.

- Wiem.

- Mam pytanie. Jeśli nie chcesz, możesz nie odpowiadać.

- Okej.

- Po co to wszystko? Czego szukasz? Do tej pory byłeś zupełnie inny.

W pierwszej chwili chciałem go oszukać, że to część zlecenia, ale wiedziałem, że nie kupi takiej odpowiedzi.

- Podejrzewam, że klient próbuje mnie wykiwać. Coś tu się nie zgadza... - odparłem - i to mnie niepokoi.

- Aż tak bardzo?

Dzisiaj nie był chyba chętny do ustępstw.

- Dawno temu przeżyłem już coś podobnego - powiedziałem mu zgodnie, z prawdą. - Nie chcę, żeby teraz to się powtórzyło. Wystarczy?

Harry uniósł ręce w przeproszającym geście, a potem pochylił się i wsparł łokcie na stole.

- No dobrze... Powiedzmy, że ten twój facet faktycznie mieszka w Daikan-yamie. Cudzoziemców jest tam całkiem sporo, ale przypuszczam, że w tym konkretnym domu znajdziemy ich nie więcej niż dziesięciu. To już jest pewien punkt zaczepienia.

- Słusznie.

- *Mama-san* mówiła, że to jakiś pismak?

- Tak, ale w tym przypadku to bez znaczenia. Na pewno pokazał jej fałszywą wizytówkę.

- Na początek wystarczy. Sprawdzę wszystkich obcych, którzy tam mieszkają, i porównam ich dane z kartoteką Nyukan. Zobaczymy, czy ktoś z nich robi w ruchu wydawniczym.

Nyukan, albo Nyukokukan Rikyoku, to japońskie biuro imigracyjne, część Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Zrób to. A przy okazji sprawdź adres tej dziewczyny. Próbowałem namierzyć ją pod sto cztery, ale nie ma jej na liście.

Harry podrapał się po policzku i spojrzał w dół, jakby próbował ukryć uśmiech.

- Co jest?-spytałem.

Uniósł głowę.

- Wpadła ci w oko.

- Na litość boską, Harry...

- Pewnie myślałeś, że ją zgarniesz, a ona się wymknęła. Wkurzyłeś się. Szukasz kolejnej szansy.

- Zwariowałeś.

- Sam przyznaj, że jest bardzo ładna.

- Nie dam ci tej satysfakcji.

- A więc jest ładna. Spodobała ci się.

- Czytasz za dużo mangi - burknąłem; manga to opasłe, najczęściej erotyczne komiksy, popularne w całej Japonii.

- Jasne - mruknął, a ja pomyślałem: Boże, on naprawdę czytuje to gówno. Chyba go uraziłem. - Przestań, Harry. Przecież dobrze wiesz, że jesteś mi potrzebny. Facet w pociągu wyraźnie czegoś szukał. Dlatego zajął się Kawamurą. Gdyby coś znalazł, nie naga-bywałyby Midori. Sam powiedz: komu przekazano rzeczy zmarłego Kawamury, łącznie z ubraniem i drobiazgami, które miał przy sobie w chwili śmierci?

- Prawdopodobnie córce - odparł, wzruszając ramionami.

- Właśnie. To nasz najlepszy trop. Podaj mi jej adres i zobaczymy, co się da z tym zrobić.

Potem rozmawialiśmy już o innych sprawach. Nie powiedziałem mu o płycie. I tak za dużo się domyślał.

## 7

Następnego dnia dostałem SMS od Harry'ego. Przesłał ustalony ciąg cyfr jako wiadomość, że zostawił dla mnie informację na wspól-

nym forum. Domyśliłem się, że chodzi o adres Midori. Harry nie sprawił mi zawodu.

Midori mieszkała na niewielkim eleganckim osiedlu Harajuku Baidento Haitsu - Harajuku Verdent Heights - w cieniu łagodnych łuków hali olimpijskiej, którą zaprojektował Tange Kenzo na Igrzyska w 1964 roku. Modne Harajuku to rodzaj pogranicza - cisza i majestatyczny spokój kryptomerii rosnących w parku Yoyogi i wokół świątyni Meiji, ulubiona przez nastolatki i tętniąca szaleńczym życiem Takeshita-dori i eleganckie sklepy i lokale na Omotesando.

Harry zapewnił mnie, że Midori nie ma samochodu zarejestrowanego w Tokijskim Związku Motorowym. Musi więc jeździć pociągami albo JR, chodzącymi do stacji Harajuku, albo metrem, z przystankami na Meiji Jingu-mae lub Omotesando.

Kłopot w tym, że stacja JR jest zupełnie gdzie indziej niż przystanki metra. Midori mogła pójść w dowolną stronę. Nie znalazłbym takiego miejsca, z którego miałbym dobry widok na wszystkie te stacje. Musiałem więc wybrać w miarę najlepszy punkt obserwacyjny i po prostu czekać.

Oczywiście wybrałem Omotesando-dori, w pobliżu metra. Znana jako „tokijskie Champs Elysees” - głównie wśród ludzi, którzy nigdy nie byli w Paryżu - Omotesando-dori to długa aleja, ocieniona wiaźami, których wąskie liście przez kilka dni w roku, wraz z nadejściem jesieni, najpierw tworzą baldachim, a potem żółty dywan. Mnóstwo tu małych knajpek i modnych kafejek, urządzonych, rzecz jasna, w „czysto paryskim” stylu. W każdej z nich mogłem spokojnie spędzić nawet dwie godziny - patrzeć na ulicę, nie wzbudzając przy tym podejrzeń.

Ale i w tym przypadku, bez odrobiny szczęścia, czekały mnie nudne dni czekania i czekania... Na szczęście Harry przyszedł mi z pomocą. Wymyślił nowy sposób, jak zdalnie przerobić telefon na mikrofon.

Do tej sztuczki nadaje się tylko aparat cyfrowy z funkcją głośnego mówienia - taki, który zapewnia ciągłość połączenia nawet przy odłożonej słuchawce. Dźwięk dochodzi stłumiony, lecz wszystko słychać. Harry domyślał się, co zamierzam zrobić, więc sprawdził linię Midori i zaraz dał mi sygnał, że jesteśmy do przodu.

W sobotę o dziesiątej rano wszedłem do kawiarni Aoyama Blue Mountain przy Omotesando-dori, wyposażony w komórkę ze słuchawką i niewielki przyrząd, który włączał telefon w mieszkaniu Midori. Usiadłem przy stoliku pod oknem wychodzącym na ulicę. Zamówiłem

espresso u znużonej kelnerki. Przez chwilę patrzyłem na porannych przechodniów, a potem włączyłem aparat. Cichy syk w słuchawce powiadomił mnie, że łączność została nawiązana. Później zapanowała cisza. Mogłem tylko czekać.

Kilka metrów od wejścia do Blue Mountain uwijało się kilku robotników. Chyba naprawiali studzienkę ściekową. Czterech mieszało asfalt, odmierzając go w równych ilościach. Co najmniej o dwóch za dużo - ale yakuza, japońska mafia, miała niemałe wpływy w przemyśle budowlanym i żądała nowych miejsc pracy. Rząd temu się nie sprzeciwiał, bo był to dobry sposób na utrzymanie niskiego stopnia bezrobocia. Machina działała właściwie bez zakłóceń.

Jako wiceminister w Kokudokotsusho, ojciec Midori sprawował nadzór nad większością głównych robót budowlanych, prowadzonych w całej Japonii. Pewnie po uszy tkwił w niejednym gównie. Nic dziwnego, że w końcu ktoś zechciał go wykończyć.

Z kawiarni wyszli dwaj mężczyźni w średnim wieku, w czarnych garniturach i krawatach. Typowy strój na pogrzeb. Przez otwarte drzwi wpadła woń gorącego asfaltu. To przypomniało mi moje dziecięce lata spędzone w Japonii, kiedy po wakacjach matka odprowadzała mnie do szkoły. O tej porze roku niemal wszystkie drogi były rozkopane. Zapach asfaltu kojarzył mi się z twardą pięścią i kolejną porcją ostracyzmu ze strony szkolnych „kolegów”.

Czasami mam wrażenie, że moje życie składa się z odrębnych części. Mogłbym je nazwać rozdziałami, ale tak różnią się od siebie, że nie ma w nich żadnej ciągłości typowej dla rozdziałów. Pierwsza część zakończyła się wraz ze śmiercią ojca. Spokój i stabilizacja zniknęły w jednej chwili, pojawiły się strach i bezradność. Drugi przełom nastąpił, gdy dostałem krótki wojskowy telegram zawiadamiający mnie o zgonie matki. Mogłem wziąć przepustkę, by jechać na pogrzeb. Wraz ze śmiercią matki straciłem pewien punkt zaczepienia, podświadomą kontrolę nad własnym zachowaniem. Ogarnęło mnie nowe, przerażające poczucie wolności. Potem nastał czas Kambodży - kolejny krok w ciemność.

To dziwne, ale moment wyjazdu z Japonii do Stanów nie był dla mnie czymś ważnym - ani wtedy, ani teraz. W obu krajach czułem się autsajderem. Przeprowadzka tylko potwierdziła ten status. Nie przywiązuję także większej wagi do dalszej włóczęgi po świecie. Przez dziesięć lat po śmierci Crazy Jake'a bawiłem się w najemnika. Szukałem śmierci, lecz przeżyłem, bo po części byłem już martwy.

Walczyłem u boku libańskich chrześcijan w Bejrucie, kiedy zostałem zwerbowany przez CIA, abym poprowadził szkolenie dla mudzahebinów toczących wojnę z Rosjanami w Afganistanie. Byłem najlepszy: miałem niemałe doświadczenie w walce, a jako najemnik zapewniałem maksimum bezpieczeństwa wszystkim „czynnikiem rządowym”. Jednym słowem, w momencie wpadki każdy mógł się mnie spokojnie wyprzeć.

Odkąd pamiętam, trwała wojna. Wcześniejsze lata wydają mi się nierealną senną zjawą. Wszystko, co mam, zdobyłem dzięki wojnie. Znam tylko wojnę. Kto z was słyszał taką buddyjską anegdotę? „Pewien mnich we śnie widział, że jest motylem. Obudził się i pomyślał: może naprawdę jestem motylem, który jedynie śni, że jest człowiekiem?”

Krótko po jedenastej w mieszkaniu Midori rozległ się jakiś hałas. Kroki, potem szum wody. Na pewno brała prysznic. Uświadomiłem sobie, że pracowała nocą. Nic dziwnego, że potem przesyiała ranek. Tuż przed południem usłyszałem szcęk drzwi i po chwili zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. To znaczyło, że wreszcie wyszła.

Zapłaciłem za dwa espresso, które w tym czasie zdążyłem wypić, i wyszedłem na Omotesando-dori. Skierowałem się w stronę stacji JR Harajuku. Chciałem w określonym czasie dotrzeć do szerokiej kładki nad ulicą. Stamtąd miałem panoramiczny widok na całą okolicę. Nie mogłem jednak sterczeć tam za długo, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Wycucie czasu mnie nie zawiodło. Już po minucie dostrzegłem Midori. Przyszła od strony domu i skręciła w prawo, w Omotesando-dori. Bez trudu mogłem ją śledzić.

Włosy miała związane w koński ogon i nosiła ciemne okulary. Ubrana była w obcisłe czarne spodnie i czarny sweter z wycięciem w kształcie V. Szła energicznym, zdecydowanym krokiem. Wyglądała naprawdę pięknie.

Daj spokój, pomyślałem. Jej wygląd nie ma nic do rzeczy.

W rękę niosła dużą torbę na zakupy. Charakterystyczny kolor powiedział mi, że to torba z angielskiego sklepu Mullberry, z wyrobami skórzanymi. Najbliższy był w Minami Aoyama. Czyżby Midori chciała tam coś zwrócić?

W połowie drogi do Aoyama-dori weszła do sklepu Paula Stuarta. Mógłbym pójść za nią i sprowokować „przypadkowe” spotkanie, lecz ciekawiło mnie, co będzie dalej. Postanowiłem czekać. Wybrałem więc



Fouchet Gallery po drugiej stronie i z podziwem obejrzałem kilka obrazów, jednocześnie zerkając na ulicę. Midori wyszła dwadzieścia minut później.

Następny przystanek był w Nicole Farhi London. Tym razem czekałem w Aoyama Flower Market, na parterze budynku La Mia. Stamtąd Midori zanurzyła się w głąb bezimiennych uliczek na tyłach Omotesando. Co pewien czas zaglądała do różnych butików, aż dotarliśmy do Koto-dori. Tam skręciła w prawo. Szedłem za nią po przeciwnej stronie ulicy. Po kilku minutach weszła do Le Ciel Bleu.

Natychmiast zatrzymałem się przed sklepem J.M. Westona i popatrzyłem na ręcznie szyte buty, stojące na wystawie. Oczywiście oglądałem je tak, żeby w szybie widzieć wejście do Le Ciel Bleu. Zastanawiałem się. Wyglądało na to, że Midori bardziej hołduje europejskim gustom. Omijała wszystkie większe sklepy, nawet uznanej marki. Zatoczyła duży krąg i zapewne teraz kierowała się już w stronę domu. Ale wciąż niosła torbę od Mullberry'ego.

Jeżeli rzeczywiście szła tam z reklamacją, miałem okazję ją wyprzedzić. Wiedziałem, że to ryzykowne, bo przecież mogła skręcić zupełnie gdzie indziej. Gdyby jednak wszystko ułożyło się po mojej myśli, to miałbym większe szanse, aby ją przekonać, że nasze spotkanie jest czysto przypadkowe.

Szybko poszedłem w górę Koto-dori, oglądając wystawy. Przez cały czas trzymałem się tyłem do Midori. Kiedy już odpowiednio oddaliłem się od Le Ciel Bleu, przeszedłem przez ulicę, prosto do Mullberry'ego. Znalazłem dział „Dla panów” i wyjaśniłem ekspedientce, że po prostu chcę trochę poszperać po półkach. Zainteresowałem się aktówkami.

Pięć minut później - tak jak przypuszczałem - zjawiała się Midori. Zdjęła okulary i krótkim skinieniem głowy odpowiedziała na powitalne *irasshaimasu* ekspedientki. Wziąłem z półki neseser, żeby go zważyć w rękę. Przez cały czas obserwowałem ją kątem oka. Zerknęła w moją stronę i jej wzrok spoczął na mnie na dużo dłuższą chwilę niż spojrzenie klienta, który swobodnie rozgląda się po sklepie. Obejrzałem neseser, odłożyłem go na miejsce i odwróciłem się powoli. Midori wciąż patrzyła na mnie, z głową lekko przekrzywioną w prawo.

Mrugnąłem, niby zaskoczony, i podszedłem do niej.

- *Kawamura-san!* - zawołałem po japońsku. - Co za niespodzianka! W zeszły piątek widziałem panią w klubie Alfie. Była pani wspa-  
niała.

Przez kilka sekund przyglądała mi się w milczeniu. W duchu gratulowałem sobie, że mój niewielki podstęp powiódł się tak dobrze. Midori była mądrą kobietą; nie wierzyła w przypadki. Gdybym przyszedł po niej, wiedziałyby, że ją śledzę.

- Tak... pamiętam - odparła w końcu. - Porównał pan jazz do seksu. Ale nie musiał pan tego robić - dodała, zanim znalazłem właściwą odpowiedź. - Troszeczkę więcej tolerancji.

Pierwszy raz mogłem zobaczyć całą jej sylwetkę. Była szczupła i długonoga - zapewne po ojcu, który wystawał ponad tłum przechodniów na Dogenzace. Jej szerokie ramiona znakomicie harmonizowały z długą i pełną wdzięku szyją. Piersi miała niewielkie, ale bardzo kształtnie zarysowane pod cienkim swetrem. Nic na to nie poradzę, musiałem im się przyjrzeć. Z nie mniejszym zachwytem patrzyłem na jej białą, jedwabistą skórę, widoczną w wycięciu płytkiego dekoltu.

Spojrzałem w jej ciemne oczy i natychmiast odechciało mi się z nią spierać.

- Tak, to prawda - odpowiedziałem. - Przepraszam.

Na moment przymknęła powieki i pokręciła głową.

- A więc spodobał się panu nasz występ?

- Ogromnie. Mam pani płytę i już od dawna chciałem zobaczyć panią na żywo. Ale niestety, ciągle podróżuję, więc jak dotąd nie miałem szansy.

- Dokąd pan jeździ?

- Głównie do Ameryki i Europy. Jako konsultant - dodałem znużonym tonem na znak, że ta praca mnie okropnie nudzi. - Nic ekscytującego. Niestety nie jestem pianistą jazzowym.

Uśmiechnęła się.

- Rola pianisty jest ekscytująca?

Potrafiła w całkiem naturalny sposób pochwycić ostatnie zdanie rozmówcy i w ten sposób skłonić go do dalszych zwierzeń. Nie dałem się na to nabrać.

- Może ujmę to inaczej - powiedziałem. - Nie pamiętam nikogo, kto przy mnie porównał zawód konsultanta z seksem.

Roześmiała się. Nie zakrywała ust w niepotrzebnie skromnym geście, jak to robią inne Japonki. Była niezwykle pewna siebie. Ciągle mnie tym zaskakiwała.

- To było naprawdę dobre - odparła. Skrzyżowała ręce na pierśsiach i uśmiechnęła się lekko.

Odpowiedziałem jej uśmiechem.

- Co dzisiaj? Małe zakupy?

- Mniej więcej. A pan?

- To samo. Muszę sobie sprawić nową teczkę. Praca konsultanta wymaga odpowiedniej oprawy. - Spojrzałem na jej torbę z zakupami. - Lubi pani Paula Stuarda? Właśnie się tam wybierałem.

- To dobry sklep. Znam go jeszcze z Nowego Jorku. Cieszę się, że otworzyli filię w Tokio.

Lekko uniosłem brwi.

- Długo mieszkała pani w Nowym Jorku?

- Długo - odparła ze zdawkowym uśmiechem, patrząc mi prosto w oczy.

Nieźła jest, pomyślałem. Wypróbuj ją, chłopie.

- Znasz więc angielski? - zapytałem, rzecz jasna po angielsku.

- Zazwyczaj daję sobie radę - odpowiedziała bez wahania.

- A co powiesz na filiżankę kaffy? - zagadnąłem z najlepszym brooklyńskim akcentem.

Znowu się uśmiechnęła.

- Zabrzmiało to całkiem nieźle.

- Propozycja jest szczerą.

- Myślałam, że wybierasz się do Paula Stuarda.

- Miałem taki zamiar. Ale teraz chętnie wypiłbym kawę. Znasz może kafejkę Tsuta? Tam jest naprawdę bosko... i to całkiem niedaleko. Zaraz za rogiem Koto-dori.

Ciągle trzymała ręce skrzyżowane na piersiach.

- Nie znam.

- W takim razie zapraszam. Koyama-san parzy najlepszą kawę w całym Tokio. Przy okazji można posłuchać Bacha lub Szopena i popatrzeć na tajemniczy ogród.

- Tajemniczy ogród?- powtórzyła. Domyśliłem się, że gra na zwłokę. - Co to za tajemnica?

- Koyama-san zawsze powtarza: jeżeli komuś o tym powiesz, to zaraz go zabij. Lepiej jak sama to zobaczysz.

Znów wybuchnęła śmiechem. Nie przejmowała się, że zapędziłem ją w pułapkę.

- A może najpierw się przedstawiś? - zapytała.

- Fujiwara Junichi - odparłem i odruchowo się ukloniłem. Mój ojciec rzeczywiście nazywał się Fujiwara.

Midori się odkloniła.

- Bardzo mi miło, Fujiwara-san.

- A więc pozwól, że ci pokażę Tsutę - powiedziałem z uśmiechem i wyszliśmy ze sklepu.

Spacer do Tsuty zabrał nam nie więcej niż pięć minut. Rozmawialiśmy trochę o tym, ile zmian zaszło w Tokio przez ostatnie lata. Z żalem wspominaliśmy minione czasy, kiedy w niedzielę zamykano dla ruchu ulicznego aleję wiodącą do parku Yoyogi. To był prawdziwy raj dla przebierańców. Japoński jazz rozbrzmiewał w tysiącach piwniczek i klubów. Nowy ratusz jeszcze nie straszyl w Shinjuku. Było miejsce na romans i tęsknotę. Cieszyłem się z tej rozmowy, choć wiedziałem, że to bardzo dziwne, wręcz niepożądane.

Mieliśmy trochę szczęścia, bo jeden z dwóch stolików pod panoramicznym oknem, wychodzącym na tajemniczy ogród, akurat był wolny. Tak, jakby czekał na nas. Kiedy jestem sam, siadam przy kontuarze, żeby podziwiać krzątanicę Koyamy. To prawdziwa uczta dla oczu. Dzisiaj jednak wolałem inną atmosferę - taką, która sprzyja dłuższej pogawędce. Zamówiliśmy *demitasse*, specjalność zakładu z czarno palonych ziaren, i usiedliśmy tak, aby swobodnie móc patrzeć na ogród.

- Jak długo mieszkasz w Tokio? - zapytałem, gdy zajęliśmy miejsca.

- Z przerwami przez całe życie. - Midori wyspała do kawy całą łyżeczkę cukru i zaczęła ją amieszać. - Kiedy byłam mała, przez pewien czas mieszkaliśmy za granicą. Późniejsze lata spędziłam w Chibie, przystanek od Tokio. Już w ogólniaku cichaczem jeździłam do miasta, wkradałam się do *raibu hausu* i słuchałam jazzu. Przez cztery lata byłam w Nowym Jorku i studiowałam u Julliarda. Potem wróciłam do Tokio. A ty?

- Podobnie... To tu, to tam, i tak przez całe życie.

- Gdzie nauczyłeś się zamawiać kawę jak rodowity nowojorczyk?

Z namysłem upiłem łyk gorzkiego napoju. Zastanawiałem się nad odpowiedzią. Niechętnie zdradzam pewne szczegóły mojej biografii. Rzeczy, które robiłem w życiu, jak to przytomnie ujął Crazy Jake, naznaczyły mnie niezatartym piętnem. Ludzie na ogół go nie widzą, lecz ono jest. Wciąż je czuję. Ani mi w głowie poufałość. Nieraz nawet myślałem z żalem, że już od lat nie jestem do niej zdolny.

Od czasu, kiedy żyję w cieniu, nie nawiązałem głębszej znajomości. Owszem, zdarzały mi się jakieś randki, ale bez żadnych zobowiązań. Tatsu i inni przyjaciele, których już nie widuję, wciąż podsuwali

mi dziewczyny. Ale jak mówić o trwałszym związku, skoro nie można się przedstawić, nie naruszając tabu? No wyobraźcie sobie taką rozmowę: „Brałem udział w wojnie w Wietnamie”. „Jak to możliwe?” „W połowie jestem Amerykaninem. Rozumiesz? Kundlem”.

Znam parę kobiet z *mizu shobai*, „wodnego rynku” - tak Japończycy nazywają swój półświatek - z którymi nadal się spotykam, już na tyle długo, żeby nie myśleć o zapłacie w żywej gotówce lub prezentach. Może nawet istnieje między nami coś na kształt uczucia? Wszystkie są święcie przekonane, że jestem żonaty. Dzięki temu nie muszę rezygnować z niewielkich środków ostrożności ani tłumaczyć się, po co to robię. O wiele łatwiej mi wyjaśnić ciągle rozstania i powroty albo też dłuższą nieobecność. O sobie mówię raczej mało.

Ale Midori także była dość oszczędna w słowach. Ledwie wspomniała o dzieciństwie. Wtedy od razu zrozumiałem, że muszę zdobyć się na szczerość, żeby wyciągnąć z niej coś więcej.

- Wychowywałem się po obu stronach oceanu - powiedziałem po długim milczeniu. - Co prawda nigdy nie mieszkałem w Nowym Jorku, ale znam miasto i wiem, jak się mówi w niektórych dzielnicach.

Szeroko otworzyła oczy.

- Wychowywałeś się w Japonii i Stanach Zjednoczonych?

- Tak.

- Jak to możliwe?

- Moja matka była Amerykanką.

Poczułem, że spojrzała na mnie bardzo uważnie, jakby szukała w mojej twarzy cudzoziemskich rysów. Ciągle można je zauważyć, pod warunkiem że człowiek wie, co chce zobaczyć.

- Ale wyglądasz jak... To znaczy, chyba o wiele bardziej przypominasz ojca.

- Niektórym ludziom to przeszkadza.

#Co?

Że wyglądam na Japończyka, a w rzeczywistości jestem kimś zupełnie innym.

Dobrze pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy usłyszałem słowo *ainoko*, mieszaniec. To było w szkole. Wieczorem zapytałem ojca, co to znaczy. Popatrzył na mnie ponuro i mruknął tylko: „*Taishita koto nafi*” Nic. Ale od tamtej pory słyszałem je dużo częściej, zwłaszcza od *ijimekko*, szkolnych osiłków, którzy wciąż mnie tłukli. Potrafiłem to sobie powiązać.

Midori się uśmiechnęła.

- Nie wiem, co na ten temat myślą inni ludzie. Dla mnie takie wzajemne przenikanie kultur jest właśnie najciekawsze.
- Tak?
- Tak. Popatrz na jazz. Korzeniami tkwi w czarnej Ameryce, a słuchają go w Japonii i na całym świecie.
- Jesteś wyjątkiem. Na ogół Japończycy to zwykli rasiści. - Chyba powiedziałem to z większą goryczą, niż chciałem.
- Nie rozumiem tych ciągłych oskarżeń o rasizm. Przez wiele lat żyliśmy w zupełnej izolacji. Wciąż odczuwamy instynktowny strach przed wszystkim, co dla nas nowe lub nieznanne.
- Zazwyczaj wkurza mnie taki idealizm, nieznajdujący potwierdzenia w faktach, ale tym razem zrozumiałem, że Midori odnosi się z sympatią do całego świata. Popatrzyłem w jej ciemne szczerze oczy i uśmiechnąłem się mimo woli. Odpowiedziała mi uśmiechem, lekko rozchylając pełne usta. Ciepły blask zamigotał w jej oczach. Szybko spojrziałem w bok.
- Jak to jest, kiedy ktoś mieszka w różnych krajach, na skrzyżowaniu dwóch odmiennych kultur? - zapytała. - To niewiarygodne.
- Zwyczajny standard - mruknąłem odruchowo.
- Znieruchomiła z uniesioną do ust filiżanką.
- Nie wyobrażam sobie, żeby twoje życie było „standardowe”.
- Ostrożnie, John.
- Nie. Prawdę mówiąc, miałem sporo kłopotów. Nie mogłem dopasować się do żadnego miejsca.
- Filiżanka powędrowała wyżej. Midori upiła łyk kawy.
- Gdzie byłeś dłużej?
- Najpierw przez dziesięć lat mieszkałem z rodzicami tu, w Japonii. Potem na ogół w Stanach. Wróciłem na początku lat osiemdziesiątych.
- Do rodziców?
- Pokręciłem głową.
- Nie. Już nie żyli.
- Ostatnie słowo wymówiłem z nieznacznym naciskiem. Midori współczująco pokiwała głową.
- Ile miałeś lat?
- Niewiele. Byłem nastolatkiem - odparłem, niezbyt zgodnie z prawdą, bo mimo wszystko nie mogłem wyzbyć się ostrożności.
- To okropne stracić rodziców w tak młodym wieku. Bardzo byliście sobie bliscy?

Bardzo? Co prawda ojciec ożenił się z Amerykanką, a ja odziedziczyłem po nim orientalne rysy, ale on chyba w głębi duszy, jak większość Japończyków, był przekonany o wyższości swojej rasy. Cięgi, które zbierałem w szkole, doprowadzały go do szału. Wstydził się.

- Chyba tak. Ale to stare dzieje.

- Chciałbyś wrócić do Ameryki?

- Raz już to zrobiłem. - Przypomniałem sobie przyczyny, które mnie zmusiły do podjęcia takich, a nie innych decyzji. - Potem, jako dorosły człowiek, znowu znalazłem się w Japonii. Pomyślałem sobie: posiedzę rok i wrócę. A może jeszcze jeden? I tak minęło dziesięć lat. Teraz mi nie zależy.

- Czujesz się tu jak w domu?

Pamiętałem słowa Crazy Jake'a, wypowiedziane chwilę przedtem, nim spełniłem jego prośbę. „Nie ma już dla nas domu, John. Nie po tym, co tu zrobiliśmy”.

- Raczej tak. Po tylu latach... - odparłem z ociąganiem. - A ty? Chciałabyś znów zamieszkać w Ameryce?

Delikatnie stuknęła palcami w filiżankę. Gra, pomyślałem nagle. W ten sposób wyraża swoje emocje i uczucia. Ciekawe, co w tej samej sytuacji zrobiłyby moje dłonie?

- Naprawdę lubię Nowy Jork - powiedziała po chwili i uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Lubię tam wracać. Może nawet zostanę na trochę dłużej? Mój agent twierdzi, że powoli wychodzimy na dobrą drogę. Na listopad załatwił nam występ w Vanguard. To już coś.

Village Vanguard. Mekka żywego jazzu na całym Manhattanie.

- Vanguard? - powtórzyłem z podziwem. - Ależ to wspaniale! Coltrane, Miles Davis, Bill Evans, Theolonius Monk... Cały panteon.

- Duża szansa. - Pokiwała głową.

- Możesz to wykorzystać. Jeśli tylko zechcesz, Nowy Jork stanie się twoim drugim domem.

- Zobaczmy. Nie zapominaj, że mieszkałam tam już cztery lata. To naprawdę cudowne miejsce. Może najcudowniejsze, w jakim kiedykolwiek byłam. Ale z drugiej strony życie w Nowym Jorku trochę mi przypomina pływanie pod wodą. Najpierw myślisz, że możesz to robić bez przerwy. Na wszystko spoglądasz z nowej perspektywy. Za jakiś czas musisz się jednak wynurzyć, żeby zaczerpnąć tęskniącego powietrza. Po czterech latach uznałam, że pora do domu.

Wykorzystaj okazję, pomyślałem.

- Musiałaś mieć chyba dobrych rodziców, skoro zgodzili się na tę rozłąkę.

Uśmiechnęła się słabo.

- Mama umarła, kiedy byłam małą. Zupełnie jak twoja. Ojciec wysłał mnie do Julliarda. Uwielbiał jazz i był wniebowzięty, kiedy mu powiedziałam, że chcę zostać pianistką.

- *Mama-san* wspominała mi, że niedawno zmarł - powiedziałem, słysząc puste brzmienie własnego głosu. - Przykro mi.

Midori lekkim skinieniem głowy przyjęła wyrazy współczucia.

- Czym się zajmował?

- Był urzędnikiem w ministerstwie. - W Japonii to prawdziwy szczyt, a słowo *kanryo*, „urzędnik, biurokrata”, nie ma negatywnego zabarwienia jak w angielskim.

- Tak? W którym?

- Przez większość życia w Kensetsusho.

W Ministerstwie Budownictwa.

Dobrze. Osiągnęliśmy pewien postęp. Jednak poczułem się zakłopotany tą manipulacją. Zakończ rozmowę, pomyślałem, a potem zjeżdżaj. Za bardzo się nią przejmujesz. To niebezpieczne.

- To chyba raczej nudny zawód dla prawdziwego miłośnika jazzu - westchnąłem.

- Czasami było mu naprawdę trudno - przytaknęła... i w tej samej chwili wyczułem w niej jakieś wahanie. Na pozór nic się nie zmieniło, ani jej postawa, ani wyraz twarzy, ale wiedziałem, że chciała powiedzieć coś więcej, lecz się rozmyśliła. Jeśli nawet dotknąłem jakiejś czułej struny, to nie dała tego po sobie poznać. Na pewno myślała, że nic nie zauważyłem.

Żeby ją trochę uspokoić, ze zrozumieniem pokiwałem głową.

- Znam ten ból. Sam miewam w pracy podobne problemy. Na szczęście córka twojego ojca poszła zupełnie inną drogą. Jak rasowa pianistka grywa na przykład w Alfie.

Napięcie trwało jeszcze przez sekundę. Potem Midori zaśmiała się cichutko, jakby odpędzała od siebie złe myśli. Nie wiedziałem, o co się otarłem. Zastanowię się nad tym później.

- Całe cztery lata w Nowym Jorku...- powiedziałem z namysłem. - To kawał czasu. Pewnie po powrocie na wiele spraw patrzyłaś z nowej perspektywy.



- Tak, to prawda. Inny człowiek wyjeżdża, a inny powraca.  
- Co chcesz przez to powiedzieć?  
- Zmieniasz swoje poglądy. Coraz mniej rzeczy przyjmujesz wyłącznie na wiarę. Chcesz, dam ci prosty przykład. Jeśli taksówkarz w Nowym Jorku zajedzie drugiemu drogę, to ten wrzeszczy i robi tak... - Wsunęła środkowy palec prawej dłoni, niemal bezbłędnie parodiując zachowanie szofera. - A wiesz dlaczego? Bo jest święcie przekonany, że tamten zrobił to celowo. W ten sposób chce dać mu nauczkę. W Japonii w takich sytuacjach ludzie się nie złością. Przyjmują błędy jako coś zwykłego, jak zmianę pogody. Wiedzą, że złość nie pomoże. W ogóle o tym nie myślałam, dopóki nie pojechałam do Nowego Jorku.

- Tak, zauważyłem tę różnicę. Pod tym względem wolę postępowanie Japończyków.

- Ale kim jesteś? Amerykaninem czy Japończykiem? Oczywiście, jeżeli chodzi o poglądy - dodała szybko, żeby pytanie nie zabrzmiało zbyt obcesowo.

Spojrzałam na nią i przez krótką chwilę pomyślałam o jej ojcu. O ludziach, z którymi pracowałam. Gdybym ich nie poznał, całe moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

- Nie mam pojęcia - odparłem w końcu, odwracając głowę. - Sama zauważyłaś w Alfie, że nie grzeszę tolerancją.

Zapadła chwila ciszy.

- Mogę cię o coś spytać?

- Jasne - zgodziłem się, nie wiedząc, co mnie czeka.

- Co to znaczy, że cię „ocaliłam”?

- Po prostu chciałem jakoś nawiązać rozmowę - mruknąłem. Zabrzmiało to jak wykręt. Poznałem po jej oczach, że to zła odpowiedź. Musisz się trochę odsłonić, pomyślałem. Nie wiedziałem, czy szukam kompromisu, czy usprawiedliwienia. Westchnąłem ciężko. - Mówiłem o rzeczach, które kiedyś robiłem... O sprawach, które niby znałem. Wiesz... Zawsze myślałem, że postępuję słusznie. - Mimo woli przeszedłem na angielski, bo tak łatwiej mogłem o tym mówić. - Potem okazało, że byłem w błędzie... i to czasem mnie prześladowe.

- Prześladowe? - Nie zrozumiała.

- *Bore-no yo ni.*

Niczym widmo.

- Moja muzyka odpędziła duchy?

Z uśmiechem skinąłem głową, ale po chwili posmutniałem.

- Tak. Muszę jej słuchać znacznie częściej.

- Duchy wracają?

Jezu, John, przerwij to wreszcie.

- Powiedzmy raczej, że są zawsze. *Sugita koto wa, sugita koto da.*

Przeszłość jest przeszłością.

- Masz wyrzuty sumienia?

- A kto ich nie ma?

- Racja. Twoje są inne?

- Nie wiem. Zazwyczaj ich nie porównuję.

- Ale przed chwilą to zrobiłeś.

Parsknąłem śmiechem.

- Twarda jesteś - mruknąłem, nie wiedząc, co powiedzieć.

Pokręciła głową.

- Wcale nie chcę być twarda.

- Oj, chyba jednak chcesz. Ale to ma swój urok.

- A znasz powiedzenie: „Żałuję tylko tego, czego nie zrobiłem”?

Wzruszyłem ramionami.

- To powiedział ktoś inny. Ktoś, kto większość życia spędził w własnym domu.

Nie chciałem zdradzać swoich intencji, znowu pytając ją o ojca lub o spotkanie z cudzoziemcem. Jeszcze nie dzisiaj. Pora zwijać żagle.

- Co teraz? Dalszy ciąg zakupów? - spytałem.

- Chciałabym, ale za godzinę mam spotkanie w Jinbocho.

- Z przyjaciółmi? - zagadnąłem z zawodowej ciekawości.

Uśmiechnęła się.

- Z agentem.

Zapłaciłem rachunek i wyszliśmy na Aoyama-dori. Przechodniów było jakby mniej i trochę wiało chłodem. Temperatura wyraźnie spadła przez ostatnie dwa i pół tygodnia, czyli od dnia, w którym zabiłem Kawamurę. Spojrzałem w niebo i zobaczyłem tylko chmury.

Pogawędka z Midori sprawiła mi o wiele więcej przyjemności, niż myślałem. O wiele więcej niż naprawdę chciałem. Zimny powiew wyrwał mnie z rozmarzenia i odświeżył wspomnienia. Znowu pojawiły się wątpliwości. Zerknąłem na nią. Wiesz, co jej zrobiłeś? Co wciąż robisz?

Pochwyciła moje spojrzenie.

- Co się stało?

- Nic. To ze zmęczenia.

Popatrzyła w prawo, a potem znów na mnie.

- Przez chwilę myślałam, że komuś się przyglądasz.

Pokręciłem głową.

- Nie.

Razem przeszliśmy mały kawałek. Nasze kroki rozbrzmiewały cicho.

- Chciałbyś znów mnie posłuchać? - zapytała.

- Pewnie, że tak. - Głupota. Ale nie musiałem się z tego tłumaczyć.

- W piątek i sobotę gram w Blue Note.

- Wiem. - Kolejna głupota. Uśmiechnęła się. Zawołała taksówkę. Zamknąłem za nią drzwi, kiedy wsiadła. Jak by nam było razem? - pomyślałem, zirytowany sobą. Zanim taksówka odjechała, Midori uchyliła okno.

- Przyjdź sam - powiedziała.

## 8

W piątek dostałem kolejny SMS od Harry'ego, że coś jest na forum. Okazało się, że tajemniczy cudzoziemiec z pociągu rzeczywiście jest dziennikarzem. Franklin Bulfinch, szef tokijskiej redakcji „Forbesa”. Oprócz niego pod wskazanym adresem w Daikan-yamie mieszkało zaledwie czterech obcokrajowców. Harry nie miał właściwie zbyt wiele do roboty. Wystarczyło, że zdobył nazwiska w urzędzie dzielnicowym i porównał je z informacjami przechowywanymi w centralnej kartotece urzędu imigracyjnego. Tam można znaleźć pełne dane o wszystkich cudzoziemcach mieszkających w Japonii: imię, nazwisko, wiek, miejsce urodzenia, adres, praca, zdjęcie i odciski palców. Harry w lot stwierdził, że pozostali czterej zupełnie nie pasują do opisu, który mu podałem. Na wszelki wypadek skopiował fotkę Bulfincha, aby było wiadomo, że naprawdę mówimy o tym samym człowieku.

Radził mi, żebym zajrzał na stronę [forbes.com](http://forbes.com), gdzie zamieszczono wszystkie artykuły Bulfincha. Poszedłem tym tropem i przez kilka godzin czytałem wywody na temat domniemanych związków między

japońskim rządem i grupami yakuzy. Zdaniem Bulfincha, Partia Liberalno-Demokratyczna nagminnie stosowała nacisk, łapówki i różne sposoby zastraszenia wobec przedstawicieli prasy, aby ukryć prawdę o korupcji przed społeczeństwem.

Niestety, Bulfinch pisał po angielsku, więc przeciętny Japończyk na ogół nie czytywał jego artykułów, a miejscowe gazety pomijały milczeniem jego spostrzeżenia. Musiał być tym wkurzony. Z drugiej strony to był prawdopodobnie powód, dla którego do tej pory nikt jeszcze mnie nie prosił, żebym się nim zajął.

Podejrzałem, że jednym z jego informatorów był właśnie Kawamura. To tłumaczyłoby obecność dziennikarza w pociągu i pospieszną rewizję. Poczuję coś w rodzaju podziwu dla zuchwałości Bulfincha. Człowiek pada na zawał, a on chwilę później przetrząsa mu kieszenie, żeby mieć coś do druku.

Ktoś jednak musiał o wszystkim się dowiedzieć. Ktoś doszedł do wniosku, że lepiej nie tykać szefa obcej redakcji, lecz zaczopować przeciek. Nagły wypadek byłby wodą na młyn Bulfincha, więc Kawamura miał umrzeć śmiercią „naturalną”. Zwrócono się do mnie.

Znakomicie. Nie było żadnej drugiej grupy. Niepotrzebnie podejrzewałem Benny'ego. Mogłem o wszystkim zapomnieć.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła piąta. Gdybym chciał, o siódmej byłbym w Blue Note, jeszcze przed koncertem.

Polubiłem Midori - najpierw jej muzykę, a potem towarzystwo. Spodobała mi się i podświadomie czułem, że też jej się podobam. Kusząca kombinacja.

Idź, pomyślałem. Na pewno będzie fajnie. Kto wie, co się potem zdarzy? Spędzisz przyjemną noc. Przypadłeś jej do gustu. Przygoda na jeden wieczór. Niczym się nie przejmuj.

Wierutne bzdury. Wprawdzie nie miałem pojęcia, jak to się może skończyć, ale Midori na pewno nie była dziewczyną „na jeden wieczór”. Dlatego chciałem i nie mogłem dłużej się z nią spotykać.

Co z tobą? - pomyślałem. Zadzwoń do znajomej. Na przykład do Keiko-chan. Z nią zawsze jest wesoło. Jakaś kolacja... Na przykład w tej małej włoskiej knajpcie niedaleko stacji Hibiya. Trochę wina, a potem hotel...

Nie. Perspektywa wieczoru w towarzystwie Keiko wywołała u mnie dziwne przygnębienie. Lepiej się czymś zająć. Może trochę poćwiczyć? Postanowiłem wybrać się do Kodokanu, gdzie trenowałem judo.

Kodokan, Szkoła Nauczania Drogi, została założona w 1882 roku przez twórcę nowoczesnego judo, Kano Jigoro. W młodości Kano poznał różne metody walki, począwszy od szermierki, skończywszy na zapasach. Na tej podstawie opracował zupełnie nową sztukę, opartą na maksymalnym wykorzystaniu energii fizycznej i psychicznej. Ogólnie mówiąc, judo tak się ma do zapasów, jak karate do boksu. Brak w nim różnych uderzeń i kopnięć, są za to rzuty, trzymania i podcięcia oraz cały arsenał niebezpiecznych dźwigni, połączonych z duszeniem. Podczas ćwiczeń należy używać ich ostrożnie. Słowo *judo* dosłownie znaczy „łagodna droga” albo „sztuka ustępowania”. Ciekawe, co by Kano powiedział na tę interpretację.

Dzisiejszy Kodokan mieści się w zaskakująco współczesnym i nijakim siedmiopiętrowym budynku w Bunkyo-ku, na południowy zachód od parku Ueno, dosłownie parę kilometrów od mojego domu. Pojechałem metrem do Kasugi, przebrałem się w szatni na dole i po schodach wszedłem do *daidojo*, głównej sali treningowej. Akurat ćwiczyli tam studenci z Uniwersytetu Tokijskiego. Rzuciłem pierwszego *uke* i przeszedłem do duszenia. Szybko klepnął w matę na znak, że się poddaje. Natychmiast ustawiła się do mnie kolejka innych sparingpartnerów. Wszyscy chcieli się zmierzyć ze starym wojownikiem. Byli młodzi i twardzi, ale najwyraźniej brakowało im sprytu i doświadczenia w walce. Po półgodzinnym *randori* nadal wygrywałem, zwłaszcza starcia w parterze.

Parę razy, gdy po udanym rzucie stawałem w pozycji *hajime*, w kącie sali widziałem jakiegoś *kurobi* - „czarny pas” - zawodnika o randze mistrzowskiej. Jeszcze się rozgrzewał. Pas był postrzępiony i bardziej szary niż czarny, co znaczyło, że nosił go już długie lata. Nie potrafiłem dokładnie określić wieku gościa. Miał gęste czarne włosy, ale twarz pokrytą głębokimi bruzdami, co stanowiło dla mnie wyraźne świadectwo wieku i doświadczenia. Poruszał się jak młodzieniec; był nieźle rozciągnięty. Kilka razy czułem, że patrzy w moją stronę, chociaż nigdy go na tym nie przyłapałem.

Potrzebowałem przerwy, więc przeprosiłem wszystkich studentów, którzy stali jeszcze w kolejce, żeby się ze mną sprawdzić. Byłem zadowolony. Dobrze pokonać judokę co najmniej o połowę młodszego od siebie. Ciekawe, jak długo uda mi się ta sztuka.

Przeszedłem na skraj maty, żeby się rozciągnąć. Spojrzałem na faceta z postrzępionym pasem. Ćwiczył *harai-goshi* z jednym ze studen-

tów - krępy zawiadką ostrzyżonym na jeża. Wchodził w niego tak ostro, że dzieciak krzywił się w momencie zderzenia.

Chwilę potem skończyli. *Kurobi* podziękował swojemu partnerowi i podszedł prosto do mnie.

- Mogę prosić o krótkie *randorP*. - zapytał po angielsku. Mówił z lekkim akcentem.

Uniosłem głowę i napotkałem jego wnikliwe spojrzenie. Miał mocno zarysowaną szczękę i poważną minę. W ogóle się nie uśmiechał. Naprawdę obserwował mnie podczas wcześniejszych ćwiczeń. Skąd wiedział, że nie jestem czystej krwi Japończykiem? Zauważył, że mam nieco inne rysy? Może. Teraz pewnie chciał sprawdzić, co potrafi *ga-ijin* - chociaż taki pomysł o wiele bardziej pasował do młodszego od niego judoki. Świetnie znał angielski, przynajmniej wymowę. To też było dziwne. Japończycy, którzy najbardziej lgną do cudzoziemców, na ogół mają najmniej doświadczenia w kontaktach z nimi i kaleczą wymowę.

- *Kochira koso onegai shimasu* - odparłem. Cała przyjemność po mojej stronie. Byłem zły, że odezwał się do mnie po angielsku, więc postanowiłem uparcie mówić po japońsku. - *Nihongo wa dekimasu-kcft* - Zna pan japoński?

- *Ei, mochiron. Nihonjin desu kara* - odpowiedział z oburzeniem. Oczywiście. Jestem Japończykiem.

- *Korę wa shitsuri: shimashita. Watashi mo desu. Desu ga, hatsuon ga amari migoto datta-no de...* - W takim razie przepraszam. Ja też. Ale ma pan naprawdę doskonałą wymowę...

Roześmiał się.

- Pan także. Mam nadzieję, że pańskie judo jest niewiele gorsze. - Wciąż mówił po angielsku, więc nie bardzo wiedziałem, jak przyjąć ten komplement.

Byłem na niego wściekły, jednocześnie miałem się na baczności. Znam japoński nie gorzej niż każdy Japończyk, a po angielsku mówię jak Amerykanin, więc każda pochwała zakrawa na obrazę. Nadal byłem ciekaw, skąd przyszło mu do głowy, żeby rozmawiać ze mną po angielsku.

Znaleźliśmy wolne miejsce na *tatami*, ukloniliśmy się sobie i zaczęliśmy chodzić wkoło, szukając dogodnej okazji do chwytu. Facet był rozluźniony i bardzo lekko się poruszał. Próbowałem wejść w niego udawanym podcięciem, *deashi-barai*, żeby zakończyć akcję klasycznym

*osotogari*, ale wyczuł moje zamiary, sam podstawił nogę i rzucił mnie na matę.

Był szybki jak cholera. Zerwałem się na nogi i znów zaczęliśmy krążyć, tym razem w drugą stronę. Lekko rozzymał nozdrza przy każdym wydechu. Poza tym nie widziałem u niego żadnej innej oznaki podniecenia.

Lewą ręką mocno złapałem go za prawy rękaw. Znakomite wejście do *ippon seonage*. Ale on znowu przewidział, co zrobię. Błyskawicznie przeszedłem do *sasae-tsurikomi-goshi*, obróciłem się, żeby skrócić dystans, i spałem wszystkie mięśnie do prawidłowego rzutu. On jednak był czujny i rozluźnił biodra, zanim go złapałem. Prawą nogą zatrzymał moją akcję, wytracił mnie z równowagi, wykonał bardzo twarde *taio-toshi* i znowu klapnąłem na matę.

W ciągu następnych pięciu minut rzucił mnie jeszcze dwa razy. Jakbym walczył z wodospadem.

Zmęczyłem się. Stałem przed nim i zapytałem:

- *Jaa, tsugi-o saigo ni shimashoka?* - Skończymy po następnym starciu?

- *Ei, so shimasu* - odparł, kołysząc się na palcach. Proszę bardzo. Dobra, skurwielu, pomyślałem. Mam dla ciebie małą niespodziankę. Zobaczmy, czy ci się spodoba.

*Juji-gatame* to dźwignia na rękę. Nazwa pochodzi od kąta, pod którym wchodzi się do ataku. W klasycznym wykonaniu atakujący leży prostopadle do przeciwnika. Obaj leżą na plecach, tworząc kształt krzyża. Ale istnieje także niewielka odmiana - przez ortodoksów zwana zwykłym wynaturzeniem- czyli „*latające*” *juji-gatame*: atakujący zakłada dźwignię w pozycji stojącej. Ponieważ ta technika wymaga pełnego poświęcenia, a gwarantuje jedynie pięćdziesiąt procent szansy na wygraną, jest rzadko stosowana i przez to mało znana.

Jeśli ten facet jej nie znał, to miał dobrą okazję, żeby przy mnie nauczyć się czegoś nowego.

Chodziłem w kółko, z trudem łapałem oddech i udawałem bardziej zmęczonego, niż byłem. Trzy razy strząsałem z siebie jego chwyt i na pozór broniłem się przed kolejnym starciem. Wreszcie się zdenerwował i połknął haczyk - lewą ręką sięgnął trochę za głęboko, żeby mnie chwycić za prawą część kołnierza. Kiedy tylko zacisnął palce, złapałem go za przedramię, rzuciłem się do tyłu i odbiłem od ziemi niczym plectwonurek skaczący przez burzę. Wylądowałem głową pomiędzy jego nogami; swoją masą zmusiłem go, by przysiadł. Prawą stopę wbiłem

mu pod lewą pachę, więc stracił równowagę. Przez ułamek sekundy, zanim przeleciał nade mną, jego twarz zastygła w kompletnym zaskoczeniu. Moment później obaj leżeliśmy na macie, wciąż jednak trzymałem mocno jego rękę, zakładając dźwignię na łokieć.

Mój przeciwnik szybko przetoczył się na plecy, lecz nie zdołał umknąć. Rozciągnąłem mu rękę do granic możliwości. Wzmocniłem uchwyt, mimo to nie chciał się poddać. Wiedziałem, że brakuje zaledwie dwóch milimetrów, aby zwichnąć mu łokieć. Jeszcze cztery i kość by na pewno pękła.

- *Maita ka* - powiedziałem, unosząc głowę, żeby na niego spojrzeć. Poddał się. Skrzywił się z bólu, ale zignorował mnie.

Tylko głupiec chciałby bronić się przed solidną dźwignią. Nawet na olimpiadzie zawodnik woli stracić medal niż skończyć ze złamaną ręką. Sytuacja stała się trochę niebezpieczna.

- *Maita ka* - powtórzyłem nieco ostrzejszym tonem, on jednak nadal się szarpał.

Minęło następnych pięć sekund. Oczywiście nie zamierzałem mu odpuścić, ale nie chciałem zrobić mu krzywdy. Byłem ciekaw, ile jeszcze wytrzyma w tej pozycji.

Wreszcie wolną ręką poklepał mnie w nogę na znak, że się poddaje. Natychmiast zwolniłem uchwyt i odepchnąłem się od niego. Przetoczył się przez plecy i usiadł w tradycyjnej postawie *seiza*. Sztywno wyciągnął lewą rękę przed siebie. Przez kilka sekund masował sobie łokieć i spoglądał na mnie.

- *Subarshikatta* - powiedział. - Wspaniale. Prosiłbym o rewanż, ale moja ręka na to nie pozwala.

- Mógł pan klepać wcześniej - odparłem. - Nie można wyjść z takiej dźwigni. Lepiej zachować siły na następną walkę.

Przytaknął ruchem głowy.

- To wszystko przez głupią dumę.

- Ja też nie lubię się poddawać. Ale wygrał pan pierwsze cztery starcia. Jest więc pan górą. - Wciąż mówił do mnie po angielsku, a ja odpowiadałem mu po japońsku. Usiadłem naprzeciwko niego w *seiza* i wykonałem ceremonialny ukłon.

- Szczerze dziękuję za tę małą lekcję - powiedział, kiedy wstaliśmy. - Pierwszy raz widziałem, żeby ktoś skutecznie wykonał tę odmianę *juji-gatame* w *randori*. Będę bardziej na pana uważał.

Byłem tego pewny.



- Gdzie pan ćwiczy? - spytałem. - Nigdy przedtem tu pana nie widziałem.

- W pewnym prywatnym klubie - odparł. - Może tam kiedyś się spotkamy. Zawsze szukamy zawodników obdarzonych *shibumi*.

*Shibumi* to japońskie pojęcie estetyczne oznaczające wrażliwość, subtelną siłę połączoną z naturalną pewnością siebie. W węższym znaczeniu tego słowa może oznaczać mądrość.

- Nie wiem, czy naprawdę na to zasługuję. Gdzie jest ten pański klub?

- W Tokio. Raczej pan o nim nie słyszał. W moim klubie... na ogół nie chcą cudzoziemców. - Zreflektował się szybko. - Ale oczywiście pan jest Japończykiem.

Chyba powinienem puścić to mimo uszu.

. - Tak. Chociaż odezwał się pan do mnie po angielsku.

Zawahał się przez chwilę.

- Wprawdzie wygląda pan na Japończyka, lecz wydawało mi się, że ma pan w sobie coś z białego, jeżeli można tak powiedzieć. Chciałem to sprawdzić. Z reguły zwracam uwagę na te rzeczy. W razie pomyłki nic by pan nie zrozumiał. Proste, prawda?

Rozpoznanie ogniem, pomyślałem. Strzelasz między drzewa. Jeżeli w odpowiedzi także padną strzały, to już znasz przeciwnika.

- To sprawia panu satysfakcję? - zagadnąłem, świadomie panując nad rozdrażnieniem.

Przez krótki moment miał dziwnie niepewną minę.

- Pozwoli pan, że powiem coś zupełnie szczerze? - spytał.

- A do tej pory tak nie było?

Uśmiechnął się.

- Jest pan Japończykiem i Amerykaninem, prawda?

Popatrzyłem na niego obojętnie.

- Tak czy owak, mam nadzieję, że pan mnie zrozumie. Amerykanie cenią sobie szczerłość. To bez wątpienia podstawowa cecha ich charakteru, z której są niezwykle dumni. Nawet ja dałem się na to złapać! Zdaje pan sobie sprawę z zagrożenia, jakim Ameryka jest dla Nipponu?

Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie mam do czynienia z kopniętym prawicowcem. Spotykałem już takich - tępili Amerykę, a jednocześnie byli nią zafascynowani.

- Amerykanie za często... skłaniają do szczerości? - zapytałem.

- Wiem, że pan żartuje, ale tak, w pewnym sensie to prawda. To misjonarze, tak jak chrześcijanie, którzy pięćset lat temu przybyli na Riusiu, żeby nas nawracać. Tylko teraz zamiast religii propagują American Way, oficjalną świecką wiarę Stanów Zjednoczonych. Szczerością to jeden z pomniejszych aspektów tej misji.

A może trochę zabawy?

- Stał się pan konwertytą?

- Oczywiście. Amerykanie wierzą w dwie rzeczy: po pierwsze, wbrew rozsądkowi i codziennym taktom, że „wszyscy ludzie są równi”, po drugie, że kompletna stabilizacja rynku jest najlepszą metodą na utrzymanie porządku wśród społeczeństwa. To było zawsze potrzebne Ameryce, żeby w jakiś sposób zjednoczyć swoich obywateli, pochodzących przecież z rozmaitych kultur, ze wszystkich stron świata. Dzisiaj Amerykanie próbują udowodnić uniwersalizm i zarazem wielką wartość tych poglądów. W agresywny sposób nakłaniają innych do przyjęcia tej wiary. W religijnym kontekście niczym się to nie różni od działalności misyjnej.

- Bardzo ciekawy wywód - zauważyłem. -Ale z drugiej strony Ameryka nigdy nie miała monopolu na agresywne działania wobec innych narodów. No bo jak pan wyjaśni kolonialne zapędy Japonii w Korei lub Chinach? Próbą uratowania Azji przed tyranią zachodnich praw rynkowych?

Uśmiechnął się.

- Znowu pan żartuje, ale wbrew pozorom to wyjaśnienie wcale zbyt daleko nie odbiega od prawdy. Przecież to właśnie prawa rynku, zasada konkurencji pchnęły Japonię do podbojów. Zachód o wiele wcześniej usadowił się w Chinach. Ameryka wprowadziła politykę otwartych drzwi, czym praktycznie usankcjonowała plądrowanie Azji. Jaki mieliśmy wybór? Gdyby Japonia nie uszczknęła choć trochę dla siebie, szybko zostałaby otoczona przez zachodnie mocarstwa i zaczęłaby się dusić, przede wszystkim z powodu zupełnego braku bogactw naturalnych.

- Niech mi pan powie prawdę - powiedziałem, wbrew sobie słuchając go z pewną fascynacją. - Na serio pan w to wierzy? W to, że Japończycy nigdy nie chcieli wojny, że całe zło pochodzi tylko od cudzoziemców? Przecież pierwszą próbę japońskiego najazdu na Koreę podjął Hideyoshi ponad czterysta lat temu. To też sprawka Zachodu?

Przeniósł ciężar ciała na palce stóp, nachylił się lekko i spojrział mi prosto w oczy. Kciuki wsunął za *obi*.

- Nie całkiem pan mnie zrozumiał. Japoński imperializm z pierwszej połowy XX wieku faktycznie był reakcją na agresję Zachodu. Ale

wcześniej istniały inne powody podbojów, nawet tak prozaiczne, jak pogoń za władzą i zdobyczami. Wojna stanowi nieodłączną cechę ludzkiej natury, a przecież Japończycy także są ludźmi, *nel* Nigdy jednak nie stworzyliśmy broni masowej zagłady, żeby przekonać resztę świata do naszych ideałów. To dzieło Ameryki i jej zwyrodniałego brata, komunizmu. - Pochylił się bardziej. - Wojna towarzyszy nam wszystkim od początku. Pod tym względem nic się nie zmienia. Ale krucjata intelektualna? Prowadzona na światową skalę, wspierana przez gospodarkę, w cieniu ciągłego zagrożenia nuklearnym autodafem wobec niewiernych? Tylko Ameryka jest do tego zdolna.

Tym samym potwierdził moją wcześniejszą diagnozę, że jest prawicowcem, z gatunku tych kopniętych.

- Cieszę się, że mogliśmy szczerze porozmawiać - powiedziałem z lekkim ukłonem. - *Ii benkyo ni narimashita*. - To była cenna lekcja.

Odkłonił się i cofnął.

- *Kochira koso*. - Dla mnie również. Uśmiechnął się jakby z zażenowaniem. - Być może jeszcze kiedy się spotkamy.

Odprowadziłem go wzrokiem. Potem poszedłem do Yamaishi, jednego ze starszych wiekiem zawodników, i zapytałem go, czy zna tego człowieka, który właśnie schodzi z *tatami*.

- *Shiranai* - odparł, wruszając ramionami. - *Amari shiranai koad*. *Da kedo, sugoku tsuyoku na. Randori, mita yo*. - Nie znam go. Ale ma dobre judo. Widziałem waszą walkę.

Chciałem trochę ochłonić przed kąpielą, więc poszedłem do pustego *dojo* na czwartym piętrze. Nie zapaliłem światła. W tej sali czułem się najlepiej, kiedy przez okna migotały lampy i neony pobliskiego lunaparku Korakuen. Ukłoniłem się przed wiszącym na ścianie portretem Kano Jigoro, a potem wykonałem kilka przewrotów *ukemi*. W ten sposób dotarłem na środek maty. Stałem w ciemnościach i patrzyłem na Korakuen. Słyszałem przyciszony zgrzyt kolejki górskiej, która wjeżdżała właśnie na szczyt toru. Zapadła chwila napiętej ciszy, po czym rozległ się łomot lecących w dół wagoników i roześmiane krzyki pasażerów. Głosy ulatywały z wiatrem.

Położyłem się na środku sali. Mokre *judogi* lepiło mi się do skóry. Kiedyś przyszedłem do Kodokanu wyłącznie po to, żeby rozpocząć treningi judo. Teraz to miejsce, tak jak Sengoku, stało się dla mnie czymś szczególnym. Widywałem tutaj różne rzeczy. Patrzyłem, jak posiwiawiały, stary weteran, który przez pół wieku codziennie przychodził na tre-

ning, cierpliwie wyjaśniał jakiemuś malcowi w za dużym *gi*, że przy podcięciu *sankakujime* zahaczająca noga nie może być wyprostowana, ale nieznacznie ugięta. Widywałem młodego *sandan*, mistrza trzeciego stopnia, który przed czterema laty przybył tutaj z rodzinnego Iranu, żeby też ćwiczyć w Kodokanie. Zjawiał się niemal co dzień i z takim zapalem i precyzją trenował *osoto-gari*, aż jego ruchy stały się żywiołem, nieposkromionym niczym morska fala. W takich momentach przypominał tancerza. Pamiętam także pewnego studenta, ukradkiem płaczącego po walce przegranej przez duszenie. Publiczność głośno wiatowała na cześć zwycięzcy i nikt nie zwracał uwagi na cichą, pełną godności rozpacz jego przeciwnika.

Znów rozległ się znajomy grzechot kolejki górskiej. Niebo ciemniało z wolna. Było już po siódmej - za późno, żebym zdążył do Blue Notę. Bardzo dobrze.

## 9

Następnego dnia nie miałem żadnych specjalnych planów, więc postanowiłem wpaść do ulubionego antykwariatu w Jinbocho. Ta część miasta słynie z wielu małych i zapchanych księgarni. Niektóre z nich sprzedają wyłącznie japońskie książki, w innych można bez trudu znaleźć coś z Zachodu. Przed kilkoma dniami właściciel antykwariatu przysłał mi SMS, że nareszcie znalazł i zatrzymał dla mnie dość stary podręcznik o *shimewaza-* duszeniach- którego szukałem od dłuższego czasu, aby dorzucić go do mojej skromnej kolekcji książek o *bugei*, sztukach walki.

Na stacji Sengoku wybrałem linię Mita. Czasami jeżdżę metrem, czasami pociągiem JR z Sugamo. To dla zmylenia przeciwnika. Przed stacją stał jakiś kapłan shinto i zbierał datki. Ostatnio sporo się ich namnożyło; dawniej kręcili się tylko pod parlamentem. Wsiadłem do pociągu jadącego do Onarimon i wysiadłem w Jinbocho. Chciałem skręcić do najbliższego wyjścia przy księgarni Isseido, ale zaprzątnięty myślami o Midori i Kawamurze poszedłem innym korytarzem. Zauważyłem tę pomyłkę dopiero wtedy, gdy za zakrętem zobaczyłem znak linii Hanzomon. Od razu zawróciłem.

Niecałe dziesięć metrów dalej spostrzegłem pulchnego Japończyka, zmierzającego w moją stronę. Nie zwracał na mnie uwagi i patrzył gdzieś przed siebie. Był ubrany w prążkowany garnitur i prążkowaną koszulę. Pewnie gdzieś słyszał, że pionowe prążki trochę wyszczuplają.

Zerknąłem na jego nogi i zrozumiałem, dlaczego wcześniej nie słyszałem jego kroków. Nosił tanie buty na gumowej podeszwie, a jednocześnie trzymał w ręce drogi czarny neseser z solidnym zamknięciem, może nawet szacownej marki Swain Adeney. Biznesmen, który zna się na teczkach, a nie zwraca uwagi na buty? Może... Jednak w pobliżu nie było żadnych większych firm ani urzędów - to nie Kasumigaseki albo Akasaka. Takie buty nadawały się do długiej drogi... jeżeli ktoś na przykład zamierzał kogoś śledzić.

Co prawda nie niósł nic oprócz neseseru, ale odruchowo spałem wszystkie mięśnie w momencie, gdy mnie mijał. Coś mi nie pasowało. Zwolniłem kroku i obejrzałem się, żeby zapamiętać jego sposób chodzenia. Twarz można łatwo zmienić, przebrać się w minutę, lecz niewiele ludzi naprawdę potrafi ukryć swoje ruchy. Na nie należy patrzeć, pamiętałem, jak szedł - krótkim, energicznym krokiem, mocno machając rękami i lekko kołysząc głową. Po chwili zniknął za zakrętem.

Poszedłem w przeciwną stronę, zerkając za siebie przed opuszczeniem stacji. Być może to spotkanie nie miało znaczenia, ale dobrze zapamiętałem jego sylwetkę i ruchy. Wiedziałem, że następnym razem na pewno go rozpoznam.

Zgodnie z tym, co mi obiecał antykwariusz, *Podstawowe techniki duszenia* były w świetnym stanie - i w niemalej cenie. Musiałem jednak kupić tę cienką książeczkę. Trochę mi się spieszyło, lecz cierpliwie czekałem, aż sprzedawca ostrożnie, niemal z nabożną czcią zapakuje ją w szary papier i owinie wstążką. Dobrze wiedział, że to nie prezent, jednak w ten sposób chciał okazać swoje zadowolenie z udanej transakcji. Nie mogłem go popędzać; to byłoby niegrzeczne. Wreszcie podał mi książkę z głębokim ukłonem, w wyciągniętych rękach. Odebrałem ją w ten sam sposób i przed wyjściem z księgarni skłoniłem się raz jeszcze.

Wróciłem do metra Mita. Pewnie wziąłbym taksówkę, gdybym był przekonany, że ktoś mnie śledzi. Chciałem jednak zobaczyć, czy przypadkiem znów nie spotkam Biznesmena. Stałem więc na peronie i przepuściłem dwa pociągi. Każdy, kto by szedł zą mną, musiałby też czekać - i w ten sposób wyraźnie zdradzić swoją obecność. Ale peron był pusty, ani śladu Biznesmena. Czyli nic? Możliwe.

Znów pomyślałem o Midori. Dzisiaj był drugi dzień jej koncertu w Blue Note. Pierwsza część zaczynała się mniej więcej za godzinę. Ciekawe, co panna Kawamura pomyśli sobie o mnie, jeżeli teraz też nie przyjdę? Uzna, że mi się nie podoba albo że zbyt się pośpieszyła ze swoim zaproszeniem. Prawdopodobnie więcej już się nie spotkamy - gdyby jednak przypadkiem kiedyś tak się stało, to nie musimy się na siebie gniewać. Ot, dwoje znajomych u progu głębszej przyjaźni, z której nic nie wyszło. Zwykła ludzka sprawa. Nawet gdyby Midori zapytała Mamę, co się ze mną dzieje, to i tak nic to nie da. Zjawiałem się w klubie Alfie od czasu do czasu - zawsze niespodziewanie.

A gdybym tak ją spotkał w innych okolicznościach? - przemknęło mi przez głowę. Byłoby całkiem dobrze.

Śmiać mi się zachciało. Przecież to absurd. W moim życiu nie było miejsca na takie głupoty.

Zaraz też przypomniał mi się Crazy Jake: „Nie ma już dla nas domu, John. Nie po tym, co tu zrobiliśmy”.

Nigdy nie słyszałem czegoś mądrzejszego. Zapomnij o niej, nakażę sobie. Wiesz, że musisz zapomnieć.

Rozległ się pisk pagera. Poszedłem do najbliższej budki i zadzwoniłem pod wskazany numer.

To był Benny.

- Jeśli chcesz, to mam nową robotę - powiedział po zwykłej wymianie grzeczności.

- Dlaczego kontaktujesz się ze mną w ten sposób? - Zwykle pozostawiał wiadomość na forum.

- Zależy mi na czasie. Zainteresowany?

- Przecież wiesz, że nigdy nie migam się od pracy.

- Ale tym razem musisz trochę zmienić zasady. Jeżeli mnie posłuchasz, będzie niezła premia.

- O co chodzi?

- O pewną młodą kobietę. Jazzmankę.

Długa przerwa.

- Jesteś tam jeszcze?

- Ciągle słucham.

- Szczegóły znajdziesz tam gdzie zawsze.

- Jak się nazywa?

- Nie przez telefon.

Znowu przerwa.

Chrząknął.

- No, dobrze. Tak samo jak ten ostatni. Z tej samej rodziny. Czy to naprawdę ważne?

- Raczej nie.

- Wchodzisz w to?

- Chyba nie.

- Pamiętaj o pokaźnej premii.

- Jak pokaźnej?

- Szczegóły tam gdzie zwykle.

- Rzucę okiem.

- Daję ci czterdzieści osiem na odpowiedź, zgoda? Tę sprawę trzeba koniecznie załatwić.

-- Normalka - odpowiedziałem i odwiesiłem słuchawkę.

Stałem jeszcze przez chwilę, spoglądając na stację i ludzi spieszących w obie strony przez bramki.

Skurwiel Benny... Powiedział: „To trzeba załatwić”. Nie ja, to ktoś inny. Zdawał sobie sprawę, że dobrze go zrozumiałem.

Dlaczego Midori? Spotkała się z Bulfinchem. Szukał jej. Najpierw przyszedł do Alfie, przy okazji ściągając tam Telefonistę. Ten albo ci, dla których pracował, doszli do wniosku, że Midori wie o czymś, o czym nie powinna wiedzieć. A może przypadkowo dostała od ojca coś, czego szukał Bulfinch? Lepiej zawczasu uniknąć zagrożenia.

Zrób to, pomyślałem. Zanim Benny weźmie innego. Wiesz, że zrobisz to dobrze i przede wszystkim szybko. Tak, żeby nie cierpiała.

Ale to były tylko słowa. Próbowałem być twardy, lecz nie potrafiłem. Czulem tylko żal i przygnębienie, że jej świat brutalnie zderzył się z moim światem.

Przyjechał pociąg linii Mita, w stronę Otemachi. Tam mogłem przesiąść się do Omotesando i pójść do Blue Notę. Omen, pomyślałem i wsiałem do wagonu.

## 10

**J**ezeli ktoś chce dłużej przeżyć w moim świecie, to musi jak najszybciej przyjąć sposób myślenia przeciwnika. Nauczyłem się tego, jesz-

cze kiedy byłem chłopcem, ściganym przez łobuzów. A potem przyszedł czas Grupy Badań i Obserwacji i Kambodża... Zawsze pojawia się pytanie: co powinienem zrobić, gdybym chciał dopaść sam siebie?

Kluczową rolę pełni tutaj zdolność przewidywania, zarówno pod względem miejsca, jak i upływu czasu. Musisz wiedzieć, gdzie wróg przebywa w danej porze. Powinieneś go śledzić, poznać drogę do pracy, zapamiętać godziny spacerów i powrotów. Dopiero wtedy możesz ułożyć pewien schemat i znaleźć kilka miejsc, przez które twój przeciwnik niemal zawsze przechodzi w określonym czasie. Wreszcie wybierasz jedno i tam czekasz w zasadzce.

Staraj się wszakże nie zapomnieć, że wróg jednocześnie postępuje tak samo. Ten sposób myślenia pozwala odróżnić twardych przeciwników od zwykłych słabeuszy.

Identyczne zasady obowiązują także w walce z przestępczością. Co zrobisz, jeżeli szybko potrzebujesz forsy, najchętniej w gotówce? Zaczaisz się przy bankomacie, prawdopodobnie w nocy. Ale najpierw wyszukasz odpowiednie miejsce - takie, gdzie dosyć często kręcą się przechodnie, gdyż to pozwala uniknąć długiego czekania. Z drugiej strony nie może tam być tłoku, bo nadmiar świadków może cię powstrzymać od ataku na upatrzonego cel. Rozglądasz się za jakimś ciemnym miejscem, na tyle oddalonym od bankomatu, żeby nikt przedwcześnie nie zdołał cię zobaczyć. Jeśli jednak odsuniesz się trochę za daleko, to nie zdążysz dopaść celu, gdy wyjmie pieniądze. Na widok posterunku lub budki policyjnej robisz się nerwowy i zmieniasz teren działania - et cetera... Przyjąwszy za punkt wyjścia taki tok myślenia, świetnie umiesz sprawdzić, czy ktoś cię śledzi. Najważniejsze, że znasz swoje słabe punkty i wiesz, kiedy zdwoić czujność.

W przypadku Midori nawet dokładne rozpoznanie było niepotrzebne. Jej plany stanowiły tajemnicę poliszynele. Choćby właśnie dlatego Bulfinch bez większego trudu trafił za nią do Alfie. Ludzie Benny'ego też mogli ją łatwo znaleźć.

W Otemachi przesiadłem się w metro Chiyoda-sen i przejechałem siedem przystanków do Omotesando. Tam wysiadłem i schodami wyszedłem na ulicę. Po chwili znalazłem się przy Yahoo Cafe, małej kafejce z dostępem do Internetu. Wstąpiłem do niej, zapłaciłem za połączenie i usiadłem przy komputerze. Kafejka miała stałe łącze, więc już po kilku sekundach mogłem zapoznać się z informacją pozostawioną przez Benny'ego. Było tam parę zdjęć Midori, zeskanowanych z czasopisma,



adres domowy i plan koncertów z uwzględnieniem dzisiejszego występu w Blue Note. Benny podkreślał, że robota ma być „zupełnie naturalna”. W zamian zaproponował mi równowartość stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, płatną w jenach - co rzeczywiście było niezłą premią w porównaniu z moim zwykłym honorarium.

Wzmianka o tym, że dziś o siódmej jest koncert w Blue Note, brzmiała złowrogo. Znali więc czas i miejsce. Mieli świetną okazję, żeby szybko dopaść Midori. Z drugiej strony Benny powiedział, że zaczeka czterdzieści osiem godzin na moją odpowiedź. Przez ten czas Midori będzie względnie bezpieczna.

Ale co potem? Jak mogłem jej uratować życie? Ostrzec ją? Nawet gdybym to zrobił, nie musiała mi wierzyć. A gdyby uwierzyła? Miałem ją nauczyć zasad bezpieczeństwa? Skazać na anonimowe życie w cieniu?

Śmieszne. Jedyne, co mogłem zrobić, to wykorzystać te czterdzieści osiem godzin, aby dowiedzieć się, czego naprawdę chcą od niej ludzie Benny'ego, i usunąć to zagrożenie.

Mogłem przejść się z kafejki kilometr do Blue Note, ale najpierw postanowiłem wybrać się na zwiady. Złapałem taksówkę i kazałem się zawieźć na Koto-dori, a potem skrócić w lewo, w kierunku Blue Note. Liczyłem na to, że z powodu korków będziemy jechać trochę wolniej. Wtedy mógłbym się rozejrzeć i szybko sprawdzić wszystkie główne miejsca, gdzie sam bym czekał, gdybym przyjął kontrakt.

Tak jak się spodziewałem, tłok był straszny, więc jechaliśmy zółwim tempem, a ja rozglądałem się na boki. Prawdę mówiąc, w pobliżu Blue Note nie ma dobrego miejsca, by się ukryć. Wkoło są same sklepy, zamknięte o tej porze. Po drugiej stronie ulicy jest Caffè Idee, z obszernym tarasem - dobrze widać z niego całą okolicę, ale na górę wiodą długie zewnętrzne schody, więc nie ma mowy o tym, żeby szybko zejść na dół. Tam bym raczej nie czekał.

Ale przecież nikt nie musiał długo tu wysiadywać. Można wyliczyć czas koncertu z dokładnością do pięciu minut. Druga część jeszcze się nie zaczęła, więc potencjalni „goście” Midori mieli sporo czasu.

Chyba że byli w środku, wśród rozentuzjasmowanej publiczności.

Poprosiłem kierowcę, żeby się zatrzymał tuż przed Omotesando-dori. Wysiadłem z taksówki i przeszedłem cztery przecznice do Blue Note. Ciągłe wypatrywałem jakiegoś zagrożenia, ale teren wyglądał na zupełnie czysty.

Przed klubem stała długa kolejka tych, którzy chcieli wysłuchać drugiej części koncertu. Podeszedłem do kasy, usłyszałem jednak, że wszystkie bilety są już sprzedane.

Cholera, nie pomyślałem o tym. Ale Midori na pewno chciała, że bym przyszedł...

- Jestem dobrym znajomym pani Kawamury - powiedziałem. - Fujiwara Junichi?

- Oczywiście - natychmiast odparła kasjerka. - Kawamura-san uprzedzała nas, że pan dziś się zjawi. Proszę chwilę poczekać. Dosłownie za kwadrans zacznie się druga część koncertu, a chciałabym mieć pewność, że na pewno dostanie pan jakieś dobre miejsce.

Skinąłem głową i odszedłem na bok. Zgodnie z zapowiedzią po pięciu minutach wyszła część widowni. Jak tylko się poluzniło, portier zaprowadził mnie po stromych, szerokich schodach na dół i wskazał stolik tuż przed pustą estradą.

Nie da się porównać Blue Notę i Alfie. Po pierwsze, sala w Blue Notę ma wysokie sklepienie, co całkowicie ją odróżnia od ciasnej i przytulnej jaskini, jaką jest Alfie. Po drugie, wszystko wokół ma posmak przepychu: kosztowna wykładzina, drewniana boazeria, nawet kilka płaskich monitorów w foyer dla gości, którzy w przerwie koncertu koniecznie chcą sprawdzić e-mail. Publiczność też jest inna: w Alfie nie ma tłumu. Poza tym ludzie przychodzą tam wyłącznie dla muzyki. W Blue Notę bywają, żeby się pokazać.

Rozejrzałem się po sali. Mój radar ciągle pozostawał w uśpieniu. Gdzie byś usiadł, człowieku, gdybyś chciał ją dopaść i mógł wybrać miejsce? Na pewno gdzieś w pobliżu wyjścia. Miałbyś wtedy wszystkich przed sobą i dogodną drogę do ucieczki. Ty patrzyłbyś na ludzi, a nie oni na ciebie.

Odwrociłem się i spojrzałem za siebie, jakby szukając znajomych. Po lewej stronie, tuż obok drzwi, siedział jakiś Japończyk po czterdziestce. Był bez wątpienia sam, bo z nikim nie rozmawiał. Tępo patrzył w przestrzeń. Zbyt tępo, jak na mój gust. Publiczność składała się z entuzjastów jazzu. Przy stolikach siedziały po dwie, trzy osoby, z wyraźnym podnieceniem czekające na występ. Pan Tępak najwyraźniej starał się nie zwracać na siebie uwagi. Od razu wciągnąłem go na listę podejrzanych.

Zerknąłem w drugą stronę. To samo miejsce, tylko w prawo. Trzy dziewczyny, na pewno urzędniczki na krótkim wypadzie. Żadnego zagrożenia.

Pan Tepak mógł mnie obserwować do końca koncertu, więc musiałem się wystrzegać wszelkich podejrzanych ruchów. Przede wszystkim nie chciałem popełnić jego błędu, więc musiałem udawać, że jestem ze znajomymi. Powiedziałem więc gościom przy sąsiednim stoliku, że znam Midori i że przyszedłem tutaj na jej zaproszenie. Od razu zarzucili mnie pytaniami. Chwilę później pieprzyliśmy bzdury jak starzy przyjaciele.

Podeszła kelnerka. Poprosiłem o dwunastoletnią cragganmore. Wszyscy zamówili to samo. Znalazłem się na topie jako kumpel Midori. Podejrzewałem, że nawet nie wiedzieli, czy to szkocka, czy wódka, czy też nowy gatunek piwa.

Nagle rozległy się oklaski. To Midori i jej muzycy weszli na estradę. Znowu inaczej niż w Alfie - tam zawsze przed koncertem panuje nabożna cisza.

Midori usiadła przy fortepianie. Miała na sobie sprane dżinsy i czarną aksamitną bluzkę, obcisłą i z głębokim dekoltem, która wyraźnie kontrastowała z jej bladą karnacją. Przechyliła głowę i położyła dłonie na klawiszach. W sali zapadło wyczekujące milczenie. Midori trwała tak nieruchomo przez długą chwilę, patrząc na fortepian, a potem zaczęła grać.

Początek był spokojny - wariacja na temat *Brilliant Corners* Theoniusa Mońka - ale później zagrała jeszcze ostrzej niż w Alfie, z większym zapamiętaniem. Jej muzyka czasami niemal zakłócała brzmienie basu i bębnow, lecz jednocześnie była w tym pewna przewrotna harmonia. Gniewne riffy trwały trochę dłużej niż zwykle i nawet w następnych, dużo słodszych dźwiękach wyczuwało się jakąś ukrytą pulsującą pod skórą frustrację.

Koncert trwał bite półtorej godziny. Nastroj wciąż się zmieniał: od chmurnej, niemal bluesowej melodii do skocznego żartu, który błyskawicznie pozwalał słuchaczom zapomnieć o smutku. Midori zakończyła swój występ zwariowaną, niemal szaleńczą solówką. W sali zapanował entuzjazm. Midori wstała i dumnym skinieniem głowy podziękowała za oklaski. Roześmiani perkusista i basista wycierali spocone twarze, a brawa trwały nadal. Słuchacze byli naprawdę wdzięczni niezwyklej pianistce, która zabrała ich w podróż w głąb swojej muzyki. Po skończonym aplauzie muzycy zeszli z estrady, a publiczność powoli zaczęła się rozchodzić.

Po paru minutach Midori wróciła na salę i przepchnęła się do mnie. Wciąż była zaczerwieniona po długim występie.

- Zdawało mi się, że cię widzę - powiedziała, lekko szturchając mnie ramieniem. - Dzięki, że przyszedłeś.

- To ja dziękuję, że mnie zaprosiłaś. W kasie wiedzieli, że się pojawię.

Uśmiechnęła się.

- Gdybym o tym nie powiedziała, to nie wszedłbyś na salę, a z ulicy niestety naprawdę kiepsko słychać.

- Tak, tu miałem dużo lepsze miejsce - odparłem i rozejrzałem się wokół na pozór z podziwem, ale w rzeczywistości po to, żeby poszukać wzrokiem pana Tępaka.

- Jesteś głodny? - spytała Midori. - Zabieram zespół na kolację.

Zawahałem się. Po pierwsze, nie chciałem rozmawiać z nią przy świadkach, po drugie, nie widziałem palącej potrzeby, żeby poszerzać bardzo wąski krąg moich znajomych.

- Hej... - mruknąłem. - To twój triumf. Pierwszy prawdziwy występ w Blue Note. Nie chciałbym wam przeszkadzać.

- Nie, nie - odpowiedziała i znów mnie szturchnęła. - Chodź z nami. Poznasz resztę zespołu. Też byli dzisiaj świetni, nie uważasz?

Z drugiej strony, jeżeli wieczór dobrze się rozwinie, będziesz miał świetną szansę pogadać z nią później.

- Tak, to prawda. Ludzie was pokochali.

- Idziemy do Living Baru. Znasz go?

Niezły pomysł. Living Bar to przyjemne miejsce na Omotesando; tak głupią nazwę mogą wymyślić tylko Japończycy. Właściwie dość blisko, ale musielibyśmy skrócić co najmniej pięć razy, więc miałbym dobrą okazję, żeby zerknąć za siebie i sprawdzić, czy gdzieś nie widać pana Tępaka.

- Chyba tak. To jeden z wielu, prawda?

- Tak, ale ten na Omotesando jest najprzyjemniejszy. Podają mnóstwo dobrych niewielkich przystawek. Bar też mają niezły, ze sporym wyborem whisky. *Single malt*. Wiem od Mamy, że jesteś wytrawnym smakoszem.

- Mama od dawna mnie przecenia - odparłem. Gdybym był mniej czujny, miałyby na mój temat pokaźną kartotekę. - Pozwól mi przynajmniej zapłacić tu za drinki.

- Wszystko już zapłacone - powiedziała ze śmiechem. - Nic się nie przejmuj.

- Zapłaciłaś za mnie?

- Powiedziałałam menedżerowi, że facet siedzący w pierwszym rzędzie jest moim szczególnym gościem. - Przeszła na angielski. - *So everything is on the house, ne?* Jak widzisz, wszystko na koszt firmy, *nel* - Z wyraźnym upodobaniem zastosowała japoński idiom na końcu zdania.

- No, dobrze - powiedziałem. - Dziękuję.

- Możesz poczekać kilka minut? Muszę na chwilę wpaść za kulisy.

Wiedziałem, że tam będzie na pewno bezpieczna. Gdyby chcieli ją dopaść, to raczej na ulicy.

- Oczywiście - odparłem i stanąłem plecami do estrady, a twarzą do sali. Ciągłe kręciło się tam sporo ludzi, ale nigdzie nie mogłem wyprzeżyć Tępaka. - Gdzie się potem spotkamy?

- Tutaj... za pięć minut. - Odwróciła się i odeszła.

Wróciła po kwadransie. Wyszła zza kurtyny na tyłach estrady. Przebrała się w czarne spodnie i czarny golf z jedwabiu lub kaszmiru. Swobodnie rozczesane włosy pięknie okalały jej twarz.

- Przepraszam, że tyle czekałeś. Musiałam się wykapać... Taki koncert to jednak ciężka praca.

- Nie ma sprawy - mruknąłem, patrząc na nią przeciągle. - Znakomicie wyglądasz.

Uśmiechnęła się.

- Chodź. Zespół już jest na dole. Umieram z głodu.

Wyszliśmy głównymi drzwiami, mijając grupy fanów, którzy zostali chwilę dłużej, żeby pogratulować jej występu. Gdybyś chciał ją śledzić i miał wyczucie czasu, pomyślałem, zaczekałbyś przy schodach Caffè Idee, skąd jest dobry widok na główne i boczne wejście. Oczywiście, pan Tępak był we właściwym miejscu. Po chwili oddalił się z wystudiowaną nonszalancją.

Tyle z czterdziestu ośmiu godzin Benny'ego, pomyślałem. To pewnie jego wersja: „Łap okazję - oferta mija o północy”. Nauczył się tego na kursach handlowych.

Basista i pałker czekali na ulicy.

- Tomo-chan, Ko-chan, to jest pan Fujiwara Junichi, wspominałam wam o nim - powiedziała Midori, wskazując na mnie.

- *Hajimemashite* - odezwałem się z odpowiednim ukłonem. - *Ko-nya-no enso wa saiko ni subarashikatta*. - Miło mi panów poznać. Jestem zachwycony dzisiejszym koncertem.

- Hej, rozmawiajmy dzisiaj po angielsku! - zawołała Midori. - Fujiwara-san, ci dwaj też przez kilka lat byli w Nowym Jorku. Potrafią złapać taryfę w Brooklynie wcale nie gorzej od ciebie.

- W takim razie mówcie mi John. - Wyciągnąłem dłoń do perkusisty.

- A ty mi Tom - powiedział. Uścisnął mi rękę, kłaniając się jednocześnie. Miał szczerą, pogodną twarz i ubrany był bezpretensjonalnie: dżinsy, biała koszula i niebieski sweter. Ujął mnie swoim powitaniem, na pół japońskim, na pół amerykańskim. Od razu go polubiłem.

- Pamiętam cię z Alfie- mruknął basista, ostrożnie wyciągając rękę. Oczywiście był cały na czarno: czarne dżinsy, golf, bluza, bokobrody i prostokątne okulary. Trochę za bardzo dbał o wygląd.

- Ja ciebie też - odparłem i z udawaną serdecznością uścisnąłem jego prawą dłoń. - Byliście rewelacyjni. Tuż przed waszym występem rozmawiałem z Mamą. Powiedziała mi, że niedługo będziecie naprawdę sławni. I się nie pomyliła.

Chyba wiedział, że mu trochę kadzę, ale też był zadowolony z dzisiejszego wieczoru i nie zwracał na to uwagi. Albo miał trochę inną „angielską osobowość”. Tak czy owak, pozwolił sobie na lekki, ale szczerzy uśmiech i powiedział:

- Serdeczne dzięki za komplement. Mów mi Ken.

- A ja jestem Midori - wtrąciła Midori. - Chodźmy już, bo zaraz umrę z głodu!

Do *Za Ribingu Baa* - jak miejscowi wymawiają nazwę baru - szliśmy nie więcej niż dziesięć minut. Po drodze rozmawialiśmy oczywiście o jazzie i naszych upodobaniach. Chociaż byłem dziesięć lat starszy od najstarszego z pozostałej trójki, okazało się, że wszyscy pochodzimy ze szkoły Charliego Parkera, Billa Evansa, Milesa Davisa. Gawędziłem więc swobodnie.

Od czasu do czasu, na kolejnym zakręcie, ostrożnie zerkałem za siebie. Kilka razy spostrzegłem Tępaka. Wiedziałem, że nic nie robi, dopóki Midori będzie w towarzystwie. Może zresztą miał inne plany.

Chyba że... Chyba że jego mocodawcy wpadli w lekką panikę. Wtedy wszystko się mogło zdarzyć, nawet tu i teraz. Na wszelki wypadek nadstawiałem ucha, żeby pochwycić każdy podejrzany dźwięk dochodzący z tyłu.

Skromny szyld z napisem „The Living Bar” wisi nad schodami budynku Scenć Akira. Sam lokal mieści się w piwnicy. Zeszliśmy na dół.

v Przy wejściu przywitał nas młody Japończyk, ostrzyżony w myśl obowiązującej mody i ubrany w świetnie skrojony granatowy garnitur. Marynarkę miał zapiętą na trzy z czterech guzików. Midori, naturalnie liderka naszej grupy, poprosiła o stolik dla czworga.

- *Kashikomarimashita* - odparł w najbardziej ugrzeczniomy sposób i zamruczał coś do mikrofonu obok kasy. Zanim wpuścił nas na salę, obok stolika czekała już kelnerka, aby nam wskazać miejsca.

Gości było niewielu jak na sobotni wieczór. Przy czarnych lśniących stolikach, na wysokich krzesłach siedziały przepiękne dziewczęta, jakby stworzone do tego, aby reklamować wyroby firmy Chanel. Każda miała staranny makijaż. W lekko przyciemnionym górnym oświetleniu ich twarze o wystających kościach policzkowych wyglądały jak rzeźbione, a włosy połyskiwały. Ale Midori i tak była najpiękniejsza.

Chciałem usiąść twarzą do wejścia, lecz Tom zdążył pierwszy zająć miejsce. Pozostał mi widok na bar.

Zamówiliśmy drinki i kilka przystawek- wystarczająco dużo, żeby się posilić. Po chwili zobaczyłem, że ten sam młodzieniec, który nas wprowadził, teraz idzie z panem Tepakiem do baru. Tepak usiadł plecami do nas, ale przed sobą miał olbrzymie lustro z widokiem na całą s\*alę.

Oczekując na zamówienie, ciągnęliśmy bezpieczną i przyjemną rozmowę o jazzie. Parę razy zastanawiałem się, jak usunąć Tepaka. Wróg miał nade mną przewagę liczebną. Gdybym mógł, chętnie bym ją zmniejszył, przynajmniej o jednego. Jeżeli się postaram, jego mocodawcy nawet nie będą wiedzieć, że to moja sprawka. Zyskam trochę na czasie, by wyciągnąć Midori z tej całej afery.

W pewnej chwili, kiedy byliśmy już dobrze najedzeni i razem z Tepakiem piliśmy drugą kolejkę, jeden z muzyków zapytał mnie, gdzie pracuję.

- Jestem doradcą- odpowiedziałem.- Podpowiadam zagranicznym firmom, co zrobić, żeby zaistnieć na japońskim rynku.

- Ekstra - zamruczał Tom. - Cudzoziemcom wciąż trudno dostać się do Japonii. Wszystkie zmiany na lepsze są tylko powierzchowne. Pod wieloma względami to ta sama Japonia jak za czasów *bakufu* rodu Tokugawa. Odcięta od świata.

- Ekstra, ale dla Johna - dorzucił Ken. - Prawda? Gdybyśmy nie mieli tylu głupich przepisów, gdyby nie korupcja we wszystkich ministerstwach, które się zajmują handlem, John musiałby poszukać sobie innej pracy, *nel*

- Przestań, Ken - skarciła go Midori. - Wszyscy wiedzą, że jesteś cynikiem. Nie musisz tego udowadniać.

Zastanawiałem się, czy Ken nie wypił za dużo.

- Ty też bywasz cyniczna - odgryźł się. Spojrzał na mnie. - Kiedy wróciła z Nowego Jorku po stypendium u Julliarda, dosłownie wszystko chciała zmieniać. Teraz jej chyba przeszło.

- Nadal uważam, że wiele rzeczy trzeba tutaj zmienić - ciepłym, ale stanowczym głosem powiedziała Midori. - Tylko że gniewne hasła w niczym nie pomogą. Trzeba być bardziej cierpliwym. Starannie wybierać bitwy.

- Gdzie ostatnio walczyłaś? - spytał.

Tom rzucił okiem na mnie.

- Musisz coś zrozumieć. Ken czasem ma wrażenie, że daje dupy, występując w takich pałacach jak Blue Notę. Z reguły wtedy jest niezdolny.

- Wszyscy dajemy dupy - zaśmiał się Ken.

Midori przewróciła oczami.

- Daj spokój, Ken.

Zerknął na mnie.

- A ty, John? Jak to mówią Amerykanie? „Jesteś częścią problemu czy może rozwiązania?”

Uśmiechnąłem się.

- Istnieje jeszcze trzecia wersja. „Stanowisz część krajobrazu”.

Ken skinął głową, jakby przytakiwał swoim myślom.

- To chyba najgorsze ze wszystkiego.

Wzruszyłem ramionami. Ta rozmowa nie miała dla mnie żadnego znaczenia, więc mogłem odpuścić.

- Prawdę mówiąc, to do tej pory nie myślałem o tym w ten sposób. Są ludzie, którzy chcą sprzedać coś do Japonii. Mają kłopot, więc im pomagam. Ale powiedziałaś dużo ciekawych rzeczy. Zastanowię się nad tym na przyszłość.

Chciał się kłócić, więc nie bardzo wiedział, jak przyjąć moją spokojną odpowiedź. Mnie to nie przeszkadzało.

- Jeszcze po jednym? - spytał.

- Mam dość. Pora kończyć imprezę - oświadczyła Midori.

W tej samej chwili zobaczyłem, że pan Tepak, uparcie patrząc w inną stronę, pstrykał jakimś małym przedmiotem wielkości zapalniczki; trzymał go na kolanie. O kurwa... pomyślałem. Ma aparat.



Wprawdzie chodziło mu o Midori, aleja też mogłem znaleźć się na zdjęciach. Takie ryzyko podejmowałem, kręcąc się koło niej.

Okej. Teraz musiałem wyjść razem z nimi, a potem szybko wrócić - na przykład pod pretekstem, że czegoś zapomniałem - wpaść do baru i dopaść Tępaka. Na pewno zamierzał nadal snuć się za nami. Nie mógł mi się wywinąć - zwłaszcza nie teraz, kiedy miał moją fotkę.

Ale Tępak sam dał mi dużo lepszą okazję. Wstał i poszedł w stronę kibla.

- Ja też lecę do domu - powiedziałem, odsuwając krzesło. Poczulem, że serce szybciej bije mi w piersi. -Ale najpierw do toalety.

Odszedłem od stolika.

Tępak zręcznie kluczył po błyszczącej czarnej podłodze, a ja kilka metrów za nim, z lekko pochyloną głową, żeby nie patrzeć w oczy innym gościom. Serce jednostajnym rytmem dudniło mi w uszach. Tępak otworzył drzwi do toalety. Zanim zdążyły się na dobre zaniknąć, pchnąłem je i też wszedłem do środka.

Dwie kabiny, dwa pisuary. Kątem oka spostrzegłem, że drzwi do obu kabin są lekko uchylone. A więc jesteśmy sami. Serce załomotało mi tak głośno, że nie słyszałem żadnych innych dźwięków. Czulem, jak powietrze przechodzi mi przez nozdrza przy każdym wdechu i wydechu, krew pulsuje w żyłach.

Tępak gwałtownie odwrócił się w moją stronę. Może mnie rozpoznał jako jednego ze znajomych Midori, a może dopiero teraz wyczuł grożące mu niebezpieczeństwo. Moje spojrzenie zawisło gdzieś na wysokości jego piersi. Niby nie patrzyłem na nic, ale jednocześnie ogarniałem wzrokiem całego sylwetkę, położenie ciała, rąk i bioder. Przetwarzałem te informacje.

Nie przystając ani na chwilę, tym samym krokiem zbliżyłem się do niego i lewą ręką zadałem mu cios w gardło. Złączeniem kciuka z resztą dłoni trafiłem go prosto w grdykę. Głowa mu odskoczyła i złapał się za szyję.

Stałem za nim i szybko przeszukałem mu przednie kieszenie. W lewej znalazłem aparat. Prawa była pusta.

Wciąż bezradnie trzymał się za poranione gardło. Nie wydał nawet najmniejszego jęku, tylko lekko dzwonił zębami i mlaskał. Lewą nogą coraz silniej uderzał o podłogę i szarpał się, co było wyraźną oznaką paniki. Jego płuca gwałtownie łaknęły powietrza, które nie mogło się przedostać przez zniszczoną grdykę.

Wiedziałem, że potrzeba co najmniej pół minuty, aby się udusił. Nie miałem na to czasu. Oburącz złapałem go za włosy i podbródek, a potem mocnym szarpnięciem skręciłem mu kark.

Upadł na plecy, prosto na mnie, więc wciągnąłem go do kabiny i posadziłem na sedesie w taki sposób, żeby się nie osunął. Po zamknięciu drzwi widać było tylko jego nogi. Wyglądało to tak, jakby ktoś po prostu zajmował kabinę. Przy odrobinie szczęścia trup mógł tu spokojnie być aż do zaniknięcia restauracji, długo po naszym wyjściu.

Prawym biodrem zatrzasnąłem drzwi i kolaniem zamknąłem zasuwkę. Potem złapałem się górnej krawędzi ścianki działowej i przeszedłem do drugiej kabiny. Oderwałem długi kawałek papieru toaletowego i starannie wytarłem dwa miejsca, których dotykałem. Schowałem papier do kieszeni spodni, głęboko zaczerpnąłem tchu i wróciłem do baru.

- Jak tam? - zapytałem, podchodząc do stolika. Starałem się panować nad oddechem.

- Idziemy - zdecydowała Midori.

Wszyscy wstali i poszliśmy do kasy przy wyjściu.

Tom trzymał rachunek, ale delikatnie wyjąłem mu go z dłoni i oświadczyłem, że sam zapłacę. Powiedziałem, że to mój przywilej po takiej przyjemności, jaką mi sprawił koncert. Nie chciałem, aby ktoś wyciągnął kartę kredytową i w ten sposób pozostawił wyraźny ślad naszej bytności.

Kiedy płaciłem, Tom mruknął:

- Zaraz wrócę. I poszedł do toalety.

- Ja też - rzucił Ken, idąc za nim.

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, co będzie, jeśli w tym samym czasie trup Tępaka zsunie się z sedesu. Albo jeżeli w inny sposób zadziała prawo Murphy'ego. Nie kłopotąłem się tym jednak zbytnio. Mogłem tylko spokojnie czekać, aż obaj wrócą.

- Chcesz, odprowadzę cię do domu - zaproponowałem Midori. Przy kolacji wspomniała, że mieszka w Harajuku, chociaż oczywiście już o tym wiedziałem.

Uśmiechnęła się.

- To bardzo miło z twojej strony.

Tom i Ken wrócili trzy minuty później. Rechotali, więc w lot zrozumiałem, że pan Tępak nadal siedzi w toalecie.

Opuściliśmy bar i po schodach wyszliśmy na górę, w objęcia chłodnej nocy na Omotesando.

- Moja bryka stoi pod Blue Notę - powiedział Ken, kiedy już byliśmy na ulicy. Spojrzał na Midori. - Podwieźć kogoś?

Midori pokręciła głową.

- Mnie nie. Dzięki.

- Pojadę metrem - odparłem. -Ale dziękuję.

- Ja się zabiorę - oznajmił Tom. W ten sposób rozładował chwilowe napięcie, które wywołał Ken. - To był udany wieczór, John. Jeszcze raz wielkie dzięki za drinki i w ogóle...

Ukloniłem się.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że znów się spotkamy.

Ken pokiwał głową.

- Jasne - powiedział z demonstracyjnym brakiem entuzjazmu.

Tom cofnął się i wyczekująco popatrzył na niego. Powiedzieliśmy sobie „dobranoc”.

Pomału poszedłem z Midori w stronę Omotesando-dori.

- Jak było? - zapytała, kiedy Tom i Ken znaleźli się na tyle daleko, żeby nas nie słyszeć.

- Bardzo dobrze - odparłem. - Masz ciekawych przyjaciół.

- Ken potrafi być trudny.

Wzruszyłem ramionami.

- Był trochę zazdrosny, że ściągnęłaś dzisiaj zupełnie obcego faceta.

- Jest jeszcze młody. Cieszę się, że nie dałeś mu się sprowokować.

Dziękuję.

- Nie ma sprawy.

- Zwykle nie zapraszamy obcych na nasze imprezy.

- Przecież pamiętasz, że spotkaliśmy się już trochę wcześniej. Nie złałaś żadnej reguły.

Roześmiała się.

- Masz ochotę na jeszcze jedną whisky?

Popatrzyłem na nią, próbując odgadnąć, co się za tym kryje.

- Zawsze - powiedziałem. -I znam takie miejsce, które na pewno ci się spodoba.

Zabrałem ją do baru Satoh, małej knajpki na pierwszym piętrze budynku schowanego w płataninie wąskich uliczek, które jak pajęczyna rozciągają się w kącie utworzonym przez Omotesando-dori i prostopadłą do niej Meiji-dort. Poszliśmy taką drogą, żebyśmy mogli ukradkiem sprawdzić, co dzieje się za nami. Pusto. Tępak był sam.

Winda wjechaliśmy na piętro i minęliśmy drzwi otoczone pięknymi krzewami gardenii oraz innych kwiatów, starannie pielęgnowanych przez panią Satoh. Potem skręć w prawo, schodek w górę i już pojawił się Satoh-san, jak zwykle w nienagannej kamizelce i muszce; stał w przygaszonym świetle za masywnym kontuarem z wiśniowego drewna.

- *Ah, Fujiwara-san* - powiedział miękkim barytonem i z szerokim uśmiechem uklonił się na nasz widok. - *Irasshaimase*. - Witam.

- Miło mi pana widzieć, Satoh-san - odparłem po japońsku. Rozejrzałem się za jakimś miejscem, bo w maleńkim barze było dość tłoczno. - Możemy gdzieś na chwilę usiąść?

- *Ei, mochiron* - przytaknął. Oczywiście. W ceremonialny sposób poprosił sześciu gości, żeby przesunęli się wzdłuż baru w prawo. Dzięki temu zwolnił się dodatkowy stółek w samym kącie.

Podziękowaliśmy panu Satoh, przeprosiliśmy pozostałych gości za małe zamieszanie i zajęliśmy miejsca. Midori rozglądała się wokół, żeby zobaczyć wystrój baru. Długie szereg butelek whisky, starych i ciemnych, dominowały na wszystkich ścianach, nie tylko za kontuarem. Za nami była mała wystawa amerykańskich staroci. Wisiał tam staroświecki rower Schwinna, ciężki czarny telefon z okrągłą tarczą i oprawione w ramkę zdjęcie prezydenta Kennedy'ego. Satoh-san podawał tylko whisky. Jakby dla uzupełnienia takiego wyboru trunku puszczał w barze wyłącznie jazz. Z dużych głośników gramofonu firmy Marantz płynęły ciepłe, lekko nostalgiczne songi poety pieśniarza Kurta Ellinga. Dźwięki muzyki przyjemnie mieszały się ze szmerem rozmów i cichym śmiechem.

- Och... Kocham to miejsce! - po angielsku szepnęła do mnie Midori.

- Nieźle, prawda? - odpowiedziałem, zadowolony, że jej się podoba. - Satoh-san to dawny *sarariman*, który wycofał się z wyścigu szczurów. Kocha whisky i jazz. Kiedyś oszczędzał każdego jena, żeby otworzyć własny interes. Udało mu się dziesięć lat temu. Moim zdaniem to najlepszy bar w Japonii.

Wspomniany Satoh-san właśnie podszedł do nas, więc przedstawiłem mu Midori.

- Ach, oczywiście! - powiedział po japońsku. Sięgnął pod ladę, poszperał chwilę, aż wreszcie znalazł to, czego szukał: jej płytę. Jednak Midori przekonała go, żeby na razie jej nie puszczał.

- Co dzisiaj pan poleca? - zapytałem. Satoh-san cztery razy w roku pielgrzymował do Szkocji i zapoznał mnie z wieloma gatunkami *single malt* whisky, których na pewno nikt poza nim nie miał w całej Japonii.

- Ile drinków? - spytał. Gdyby odpowiedź brzmiała „kilka”, zaczęłby małą degustację, od nieco lżejszych trunków z Lasting aż do prawdziwej siekiery z Islay.

- Dla mnie jeden - odparłem i popatrzyłem na Midori.

Skinęła głową.

- Delikatny? Mocny?

Znów zerknąłem na Midori.

- Mocny - powiedziała.

Satoh-san się uśmiechnął. Najwyraźniej czekał na taką odpowiedź i już miał w zanadru coś wyjątkowego. Odwrócił się i wziął z półki przed lustrem przezroczystą karafkę bez naklejki. Pokazał ją nam.

- Czterdziestoletnia ardbeg - wyjaśnił. - Z południowych wybrzeży Islay. Wyjątkowa rzadkość. Trzymam ją w zwykłej karafce, żeby ktoś nie ukradł.

Postawił na barze dwa nieskazitelnie czyste kieliszki.

- *Straighf!* - spytał, nie znając upodobań Midori. Czysta?

- *Hai* - odparła.

Z uznaniem pokiwał głową. Starannie nalał odpowiednią porcję brązowego trunku do kieliszków i zakorkował karafkę.

- Wyjątkowa ze względu na równowagę smaków - zaznaczył. - Smaków, które zazwyczaj kłócą się ze sobą albo próbują dominować. - Mówił cichym, jakby nieco smutnym głosem. - Jest w niej więc torf, dym, perfumy, sherry i słony zapach morza. Ale musiała żyć czterdzieści lat, żeby zrozumieć swój charakter oraz drzemiały w nim potencjał. Całkiem jak człowiek. Proszę spróbować. - Ukłonił się i odszedł w drugi koniec baru.

- Aż się boję wypić - z uśmiechem westchnęła Midori i uniosła wyżej swój kieliszek, aby popatrzeć, jak w blasku światła whisky nabiera bursztynowej barwy.

- Satoh-san zawsze wygłasza krótki wykład na temat doznań, które cię czekają. Zgłębia tajniki *single malts*. To także ma swój nieodparty urok.

- *Jaa, kanpai* - powiedziała.

Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy. Midori milczała przez krótką chwilę.

- Och... - szepnęła w końcu. - To było niezłe. Niemal jak pieszczota.

- Jak twoja muzyka.

Uśmiechnęła się i swoim zwyczajem trąciła mnie ramieniem.

- Pamiętasz naszą rozmowę w Tsucie?- spytała.- Podobała mi się. Chciałabym jeszcze coś usłyszeć o twoich dawnych doświadczeniach z życia w dwóch odmiennych światach.

- Obawiam się, że to nic ciekawego.

- Zaczynaj mówić, a ja ci powiem, co jest ciekawe.

Zdecydowanie wolala słuchać, więc miałem kłopot z wyciągnięciem od niej ważniejszych informacji. Zobaczymy, do czego nas to zaprowadzi, pomyślałem.

- Mieszkałem w małej dziurze na północ od Nowego Jorku. Matka zabrała mnie tam po śmierci ojca. Chciała być bliżej swoich rodziców - zacząłem.

- Byłeś w Japonii w tamtych latach?

- Raz. W ogólniaku dostałem list od dziadków ze strony ojca; pisali, że ogłoszono nowy program wymiany uczniów między Japonią i Ameryką. Mogłem na pewien czas wyjechać do japońskiego liceum. Strasznie wtedy tęskniłem za Japonią, więc od razu wpisałem się na listę. W rezultacie spędziłem cały semestr w Saitama Gakuen.

- Tylko jeden semestr? Matka na pewno chciała, żebyś wrócił.

- Raczej tak. Chociaż z drugiej strony chyba odetchnęła z ulgą, że mnie nie ma. Mogła pomyśleć o własnej pracy. Sprawiałem jej kłopoty. - Zgrabny eufemizm na określenie ciągłych bójek oraz innych wykroczeń przeciwko szkolnej dyscyplinie.

- Jak ci tam szło?

Wzruszyłem na to ramionami. Część wspomnień nie była zbyt przyjemna.

- Sama wiesz, jak wyglądają takie powroty. Wszyscy krzywo patrzą nawet na Japończyka, który po kilku latach pobytu w Ameryce mówi z obcym akcentem. A mieszańca uważają po prostu za dziwoląga.

Popatrzyła na mnie z głębokim współczuciem. Poczułem się jak zdrajca.

- Tak, wiem, co to znaczy wracać... - westchnęła. - Myślałeś, że będziesz w domu. Na pewno bardzo to przeżyłeś.

Z lekceważeniem machnąłem ręką.

- Stare dzieje.

- Co robiłeś po szkole?

- Trafiłem do Wietnamu.
- Byłeś w Wietnamie? Nie jesteś aż tak stary.

Uśmiechnąłem się.

- Już jako nastolatek poszedłem do wojska. Wojna rozkręcała się wtedy na dobre. - Wiedziałem, że za dużo opowiadam o sobie. Nie powinienem tego robić... ale jakoś mi to nie przeszkadzało.

- Długo to trwało?
- Całe trzy lata.
- Zawsze myślałam, że poborowych brano tylko na rok.
- To prawda. Tylko że ja nie byłem poborowym.

Szeroko otworzyła oczy.

- Zaciągnąłeś się na ochotnika?

Od lat z nikim nie rozmawiałem na ten temat. Nawet wolałem o tym nie myśleć.

- Wiem, wiem... Z perspektywy czasu wydaje się to trochę dziwne. Ale tak, zaciągnąłem się na ochotnika. Chciałem udowodnić tym wszystkim ludziom, którzy patrzyli na mnie podejrzliwie z powodu moich oczu i skóry, że jestem Amerykaninem. Potem, na wojnie z Azjata-  
mi, musiałem robić to codziennie. Więc zostałem. Brałem udział w najtrudniejszych misjach. Robiłem różne dziwne rzeczy.

Milczeliśmy przez chwilę.

- Mogę cię o coś spytać? - odezwała się Midori. - Czy to są właśnie tamte „duchy”, o których kiedyś wspominałeś?

- Kilka z nich - odparłem z rezerwą. Na tym koniec. Wprawdzie Midori potrafiła wyciągać ludzi na zwierzenia, ja jednak też umiałem trzymać się swoich zasad. Dotarliśmy w poblize miejsc, na które sam patrzyłem jedynie z ukosa.

Jej palce lekko dotykały kieliszka. Niewiele myśląc, wziąłem ją za rękę i przyjrzałem się obu dłoniom.

- Od razu widać, że jesteś pianistką-powiedziałem. - Masz smukłe, ale bardzo silne palce.

Wywinęła mi się, tak że teraz moje dłonie znalazły się w jej rękach.

- Dużo wiesz o ludzkich dłoniach - odparła. - W moich widzisz pianistkę. W twoich widzę *bushido*. Ale w stawach, a nie na kłykciach. .. Co uprawiasz? Judo? Aikido?

*Bushido* to sposób walki, droga wojownika. Midori mówiła o zgrubieniach, które mi narosły na pierwszym i drugim stawie wszystkich

palców. To skutek wieloletnich ćwiczeń połączonych z chwytaniem i szarpaniem ciężkiej bawełnianej *judogi*. Trzymała moje dłonie w pozornie beznamiętny sposób, jakby chciała wyłącznie je obejrzeć. Jednak była w tym jakaś delikatność... sprawiła, że zimny dreszcz przebiegł mi aż do ramion.

Cofnąłem ręce w obawie przed tym, żeby nie wyczytała z nich czegoś więcej.

- Teraz wyłącznie judo. Chwyty, rzuty, duszenia... To najbardziej praktyczna ze wszystkich sztuk walki. Najlepiej uczyć się jej w Kodokanie.

- Znam Kodokan. Ćwiczyłam aikido w małym *dojo* w Ochanomizu, jeden przystanek dalej na linii Chuo.

- Jak pianistka jazzowa trafiła do aikido?

- To było trochę wcześniej, zanim na poważnie zajęłam się jazzem. Teraz już nie trenuję, bo to szkodzi rękom. Przedtem musiałam, żeby za bardzo nie obrywać w szkole. Mój ojciec przez pewien czas był na plażowce w Stanach. Sam więc widzisz, że znam smutek powrotu.

- Aikido ci w czymś pomogło?

- Nie od razu. Chwilę trwało, zanim stałam się naprawdę dobra, a koleżanki wciąż dawały mi powody do wytrwałych ćwiczeń. Pewnego dnia jedna z nich złapała mnie za rękę. Rzuciłam ją *san-kyo*. Od tamtej pory miałam spokój. To dobrze, bo praktycznie nie znałam innego rzutu. Przynajmniej nie na tyle, żeby go zastosować.

Popatrzyłem na nią. Zastanawiałem się, co wtedy czuła tamta dziewczyna, jeśli Midori wykonała rzut z taką samą determinacją, z jaką teraz dążyła do popularności, a może nawet sławy na jazzowej scenie. Uniosła kieliszek, trzymając go jedynie koniuszkami palców obu dłoni. Prosty gest, ale zauważyłem w nim oszczędność ruchu. Był pełen wdzięku, miły dla oka.

- Praktykowałeś *sado*- wypowiedziałem na głos swoje myśli. *Sado* to japońska ceremonia herbaty, narzucająca wysublimowane, uroczyście ruchy, będące kwintesencją pojęcia *wabi-sabi*, czyli wewnętrznej elegancji myśli oraz ruchów. Prostota gestów pozwala dostrzec o wiele większy i ważniejszy obraz pewnej całości, który w przeciwnym razie mógłby ulec zaciemnieniu.

- Ostatni raz jak byłam nastolatką- odparła- i też nie najlepiej. Jestem zaskoczona, że wciąż to widać. Wrażenie zniknie po następnym drinku.



- Nie chcę - mruknąłem. Walczyłem z sobą, żeby nie ulec magii jej ciemnych oczu. - Lubię *sado*.

Uśmiechnęła się.

- Co jeszcze lubisz?

Dokąd zmierzała?

- Sam nie wiem. Dużo rzeczy. Lubię patrzeć, jak grasz.

- Opowiedz o tym.

Pociągnąłem łyk whisky. Smak dymu i torfu spłynął mi po języku aż do gardła.

- Lubię to, że zaczynasz spokojnie i powoli, a później stopniowo budujesz napięcie. Lubię to, że po pewnym czasie muzyka przemawia przez ciebie. Że dajesz się jej ponieść. Kiedy wówczas na ciebie patrzę, czuję coś dziwnego. To coś wyciąga mnie na zewnątrz, poza barierę ciała. Wydaje mi się, że dobrze wiem, co czujesz... i sam podzielałem to uczucia.

- Co jeszcze?

Roześmiałem się.

- Co jeszcze? To nie wystarczy?

- Nie, jeśli to nie koniec.

Obróciłem kieliszek w dłoniach, patrząc na refleksy światła w jego wnętrzu.

- Zawsze mam wrażenie, że na koncercie czegoś szukasz. Nie możesz znaleźć, więc szukasz głębiej, lecz to ciągle ci umyka. Grasz dużo ostrzej, niemal do granic możliwości... i w pewnej chwili nagle dochodzisz do wniosku, że dalsza pogoń jest bezskuteczna, że nic nie znajdziesz. Wtedy melodia łagodnieje i staje się smutna. Ale to piękny smutek, pełen mądrości i zrozumienia.

Znowu uświadomiłem sobie, że jest w niej coś, co mnie skłania do zbytniej szczerości. Muszę uważać, pomyślałem. Nie chciałem za bardzo się otwierać.

- Cieszę się, że to spostrzegłeś - odezwała się po dłuższej chwili. - To dla mnie wiele znaczy. Rzeczywiście tak gram. Znasz pojęcie *mono-no aware*?

- Chyba tak. „Patos rzeczy”, prawda?

- To najczęstsza interpretacja. Osobiście wolę: „Smutek płynący ze świadomości przemijania”.

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że poruszyły mnie jej słowa.

- Nie myślałem o tym w ten sposób - szepnąłem.

- Pamiętam, kiedyś, gdy mieszkaliśmy w Chibie, zimą wybrałam się na nocny spacer. Było akurat wyjątkowo ciepło, więc zdjęłam kurtkę i usiadłam na placu zabaw przy szkole, do której chodziłam w dzieciństwie. Zupełnie sama, patrzyłam na wysokie drzewo, odcinające się na tle nieba. Wyraźnie czułam, że pewnego dnia odejdę, ale drzewa będą tu rosły nadal i ten sam księżyc będzie je oświetlał srebrnym blaskiem. Rozpłakałam się, to był jednak dobry płacz, wynikający z pełnej akceptacji. Taka jest kolej rzeczy. To właśnie *mono-no aware*.

Wszystko się kończy.

- Tak, to prawda - powiedziałem, myśląc o jej ojcu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Co miał na myśli Ken, mówiąc, że po powrocie z Ameryki dośownie wszystko chciałaś zmieniać? - zapytałem.

Upiła łyk whisky.

- To romantyk. Daleko mi do radykałów. Najwyżej byłam buntowniczką.

- W jaki sposób?

- Popatrz dokoła siebie, John. Przecież Japonia leży i kwiczy. PLD wyciska z nas ostatnie soki.

- Owszem... są pewne kłopoty-bąknąłem.

- Kłopoty? Gospodarka leci na łeb, na szyję, ludzie nie mają z czego zapłacić podatków, banki straciły wiarygodność, a rząd myśli, że to wszystko można załatwić spłatą deficytu i większą liczbą robót publicznych. Wiesz, dlaczego? Najlepiej spytaj w Ministerstwie Budownictwa. Cały kraj zniknął pod betonem. Nie ma już co budować, więc politycy zatwierdzają plany nowych parkingów, których nikt nie używa, dróg i mostów, po których nikt nie jeździ, i bulwarów. Nie widziałeś ohydnych betonowych „czwórnogów” wzdłuż wybrzeża? Rzekomo miały chronić przed erozją. Wszystkie badania potwierdzają, że dzieje się wręcz odwrotnie; erozja postępuje szybciej. Niszczymy własny ekosystem tylko po to, żeby politycy obrastali w sadło i żeby przemysł budowlany się bogacił. A ty nazywasz to „kłopotami”?

- Chyba Ken jednak miał rację. - Uśmiechnąłem się. - Należysz do radykałów.

Pokręciła głową.

- To tylko głos zdrowego rozsądku. Sam powiedz, ale nie kłam: nigdy nie myślałeś, że ktoś cię roluje? Że ktoś z tego czerpie całkiem pokaźne zyski? Nie byłeś wkurzony?

- Czasami byłem - odparłem ostrożnie.
- Mnie to cholernie wkurza. Już wiesz, o co chodziło Kenowi?
- Przepraszam za to, co teraz powiem, ale twój ojciec też był częścią tego systemu.

Zapadła długa cisza.

- Nie we wszystkim się z nim zgadzałam.
- Pewnie było wam trochę trudno.
- Chwilami tak. Przez dłuższy czas w ogóle nie odzywaliśmy się do siebie.

Pokiwałem głową.

- Udało wam się jakoś to posklejać?

Roześmiała się cicho, jednak bez śladu wesołości.

- Parę miesięcy przed śmiercią tata dowiedział się, że ma raka płuc. To kazało mu całkiem przewartościować życie, ale niestety, zabrakło nam czasu, żeby od nowa wszystko poukładać.

Słuchałem tego ze zdumieniem.

- Miał raka płuc? Ale... Mama mówiła mi, że zmarł na zawał...
- Owszem, był chory na serce, mimo to wciąż palił. Wszyscy tam w rządzie palą, więc nie chciał odstawać. Sam zauważyłeś, że był częścią systemu. Na swój sposób „umarł za sprawę”.

Pociągnąłem pokaźny łyk przydymionego trunku.

- Śmierć na raka jest straszna - mruknąłem. - W ten sposób przynajmniej nie cierpiał.

Powiedziałem to przedziwnie szczerze, z głębi serca.

- Właśnie. Lepiej, że tak się stało.
- Wybacz mi, jeżeli jestem wścibski, ale co to znaczy, że chciał przewartościować swoje życie?

Patrzyła gdzieś koło mnie.

- W końcu zrozumiał, że w przeszłości sam był „częścią problemu”, jakby to ujął Ken. Próbował przyczynić się do rozwiązania.

- Zdażył?

- Chyba nie. Ale powiedział mi, że przed śmiercią chce jeszcze zrobić coś dobrego. Najważniejsze, że tak czuł.

- Skąd wiesz, że nie zdażył?

- Co to znaczy? - spytała, spoglądając na mnie.

- Twój ojciec... nagle poznał prawdę o swojej chorobie. Stał w obliczu śmierci. Chciał naprawić błędy przeszłości. Mógł to zrobić? W tak krótkim czasie?

- Nadal nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi - odparła i poczułem, że znów odbijam się od muru.

- Po prostu przypomniałem sobie to, o czym mówiliśmy kiedyś. O żalu. Co byś zrobiła, gdybyś naprawdę czegoś żałowała, a miała niewiele czasu, by to zmienić?

- Każdy z nas na pewno postąpiłby inaczej. To przecież zależy od natury winy.

Hej, Midori... No, zrób to dla mnie.

- A twój ojciec? Było coś, czym mógłby zmasać przeszłość?

- Tego nie wiem.

Właśnie że wiesz, pomyślałem. Zdażyłaś poznać dziennikarza, z którym spotykał się przed śmiercią. Wiesz, tylko nie chcesz mi powiedzieć.

- A może podjął pewne kroki w stronę jakiegoś rozwiązania, ale ty tego nie dostrzegłaś? Może rozmawiał z kolegami, przyznawał, że się zmienił, i też namawiał ich do tego? Kto wie?

Milczała. Dalej nie pójde, pomyślałem. Gdybym spróbował, zaraz nabrałyby podejrzeń i zamknęła się w sobie na dobre.

- Pytasz, bo sam czegoś żałujesz? - odezwała się po długiej chwili.

Spojrzałem na nią, z jednej strony lekko speszony jej pytaniem, ocierającym się o prawdę, z drugiej zaś szczerze zadowolony, że dostarczyła mi alibi.

- Nie wiem - mruknąłem.

- Może więc o tym mi opowiesz?

Poczułem się tak, jakby rzuciła mnie na ziemię jakąś techniką aikido.

- Nie - odparłem bardzo cicho.

- Tak trudno się ze mną rozmawia? - zapytała łagodnym tonem.

- Nie. - Uśmiechnąłem się do jej ciemnych oczu. - Raczej zbyt łatwo. W tym właśnie kłopot.

Westchnęła.

- Jesteś dziwny, John. Wyraźnie boisz się mówić o sobie.

- Ty jesteś dla mnie dużo ciekawsza.

- Albo mój ojciec.

- Po prostu chciałem czegoś się nauczyć. To wszystko.

- Pewne nauki musisz poznać sam.

- Chyba masz rację. Ale czasami warto o coś spytać. Przepraszam, jeśli byłem zbyt natrętny.

Uśmiechnęła się lekko.

- Nie przejmuj się. Jeszcze nie całkiem ochłonęłam po tym wszystkim.

- Jasne - mruknąłem. Wiedziałem, że dobrnąłem do końca ślepej uliczki. Spojrzałem na zegarek. - Chyba powinienem już odprowadzić cię do domu.

Próbowałem być sprytny. Z jednej strony coś zaiskrzyło między nami, więc była szansa, że Midori jeszcze zaprosi mnie do siebie na drinka albo coś takiego. Gdyby przypadkiem tak się stało, to mógłbym sprawdzić jej mieszkanie przy zachowaniu ścisłej ostrożności. Żadnych głupot - żadnych większych niż to, co zrobiłem i nagadałem do tej pory. Z drugiej strony, gdyby chciała pójść sama, nie mogłem zbytnio się narzucać, jeśli nie chciałem, by to wyglądało, jakbym zamierzał wskoczyć jej do łóżka. Sytuacja była więc dość niezręczna. Ale nie zamierzałem zostawić Midori samej. Przecież wiedzieli, gdzie mieszka.

Podziękowaliśmy panu Satoh za gościnę i okazję spróbowania rzadkiej ardberg. Zapłaciłem i zesliśmy po schodach na dół, w chłodny powiew nocy na Omotesando. Ulice były puste.

- W którą stronę idziesz? - zapytała Midori. - Stąd mogę spokojnie wrócić na piechotę.

- Pójdę z tobą. Chcę, żebyś bezpiecznie dotarła do domu.

- Nie musisz tego robić.

Na moment spojrzałem pod nogi, a potem znów na nią.

- Ale chciałbym - powiedziałem, myśląc o zamiarach, które Benny zostawił na forum.

Uśmiechnęła się.

- No, dobrze.

Spacer zajął nam mniej więcej kwadrans. Nikt nas nie śledził. Nic dziwnego, skoro Tępak nagle zszedł ze sceny.

Stanęliśmy pod jej blokiem. Midori wyjęła klucze i spojrzała na mnie.

- *Jaa...* - W takim razie...

Był to łagodny sposób pożegnania. Mimo to musiałem się upewnić, że nic jej nie grozi.

- Dalej dasz sobie radę?

Uśmiechnęła się znacząco, chociaż nie znała całej prawdy.

- Mieszkam tutaj. Nic mi się nie stanie.

- Okej. Dasz mi swój numer? - Znałem go już od dawna, ale musiałem zadbać o pozory.

- Nie mam telefonu.

Aha. To kiepsko.

- Jasne. Sam jestem trochę luddystą. W razie czego puść dymny sygnał, zgoda?

Zachichotała.

- Pięćset dwadzieścia siedem, pięćdziesiąt sześć, czterysta pięćdziesiąt sześć. Żartowałam.

- Super. Mogę kiedyś zadzwonić? - Na przykład za pięć minut, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nikt nie czatuje na ciebie w mieszkaniu.

- Oczywiście.

Wyciągnąłem długopis i zapisałem numer na dłoni.

Midori spoglądała na mnie, lekko się uśmiechając. Gdybym chciał, mógłbym ją pocałować.

Odwrociłem się i odszedłem ścieżką w stronę ulicy.

- John? - zawołała za mną.

Popatrzyłem na nią.

- Siedzi w tobie coś z radykała, tylko trzymasz to w sobie.

Kilka możliwych odpowiedzi przemknęło mi przez głowę. Powiedziałem jednak:

- Dobranoc, Midori.

Poszedłem dalej. Przystanąłem dopiero na chodniku, żeby zerknąć za siebie, ale Midori już zniknęła za szklanymi drzwiami.

## 11

**W**śliznąłem się na parking przed jej blokiem. Uważnie trzymałem się za kręgiem światła padającego ze środka. Z prawej strony dostrzegłem Midori. Czekala na windę. Z miejsca, w którym stałem, widziałem drzwi, ale nie mogłem zajrzeć do kabiny. Midori wsiadła i drzwi się zamknęły.

Przed budynkiem też nikt się nie kręcił. Jeśli nie czekali na nią w korytarzu lub mieszkaniu, tej nocy była w miarę bezpieczna.

Wyciągnąłem aparat Harry'ego, włączyłem jej telefon i zacząłem słuchać przez komórkę. Cisza.

Minutę później usłyszałem szcęk klucza w zamku i szmer otwieranych drzwi. Echo stłumionych kroków. Inne kroki, co najmniej dwóch ludzi. Okrzyk.

- Proszę posłuchać - odezwał się męski głos. - Nie ma pani żadnych powodów do obaw. Nie zamierzamy pani skrzywdzić. Chodzi o śledztwo wagi państwowej. To sprawa bezpieczeństwa kraju. Musimy działać bardzo ostrożnie. Rozumie pani?

- Mają panowie... jakąś odznakę? - niemal szeptem powiedziała Midori.

- Teraz nie czas na takie rzeczy. Zadamy pani kilka ważnych pytań i pójdziemy.

- Proszę okazać mi legitymację - odparła dużo silniejszym głosem. - Albo zacznę krzyczeć. Ściany w tym domu są naprawdę bardzo, bardzo cienkie. Ludzie pewnie już się obudzili.

Serce zabiło mi żywiej. Dziewczyna miała instynkt i odwagę.

- Żadnych hałasów. - I rozległ się trzask uderzenia.

Bili ją. Musiałem coś zrobić.

Usłyszałem chrapliwy oddech Midori.

- Czego, do diabła, chcecie?

- Twój ojciec miał coś przy sobie w chwili śmierci. Teraz to jest u ciebie. Oddaj.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Następny cios. Cholera.

Bez klucza nie mogłem dostać się do budynku. Nawet gdyby w tej chwili ktoś wchodził lub wychodził i wsunąłbym się zaraz za nim, to jak miałem wejść do jej mieszkania? Kopnięciem wywalić drzwi? Kto mi zaręczy, że trzy metry dalej nie czeka czterech ponurych drabów z pistoletami w dłoniach gotowych na to, by mnie podziurawić, zanim zdążę przekroczyć próg?

Rozłączyłem się i zadzwoniłem z komórki na jej numer. Po trzech sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka.

Przerwałem połączenie i wduśliłem klawisz „redial”. Znow to samo. I znowu.

Chciałem ich trochę zdenerwować, żeby na chwilę przyhamowali. Skoro ktoś dzwoni tyle razy, to może lepiej jednak odebrać... by nie wzbudzić podejrzeń.

Za piątą próbą Midori podniosła słuchawkę.

- *Moshi moshi* - odezwała się niepewnym głosem.

- Midori? To ja, John. Wiem, że nie możesz mówić. Wiem o ludziach w twoim mieszkaniu. Powiedz teraz: „Nie, babciu! Nie ma u mnie żadnego chłopaka”.

- Co?!

- Powiedz: „Nie, babciu! Nie ma u mnie żadnego chłopaka”. Prędko!

- Nie... Nie, babciu. Nie ma u mnie żadnego chłopaka.

- Grzeczna dziewczynka. Teraz dalej. „Nie przychodź do mnie. Nie trzeba. Przecież ci mówię, że jestem sama”.

- Nie przychodź do mnie. Nie trzeba. Przecież ci mówię, że jestem sama.

Teraz na pewno chcieli jak najszybciej wynieść się z jej mieszkania.

- Bardzo dobrze. W dalszym ciągu udawaj, że się sprzeczasz z babcią. Na pewno się domyślasz, że to nie policja. Mogę ci pomóc, ale tylko wtedy, kiedy wyciągniesz ich od siebie. Powiedz im, że twój ojciec miał jakieś papiery, które ukrywał w swoim domu. Że chętnie ich tam zaprowadzisz. Że skrytka jest schowana w ścianie i nie bardzo wiesz, jak ją opisać. Musicie więc jechać razem. Zrozumiałeś?

- Chyba za bardzo się przejmujesz, babciu.

- Czekam na zewnątrz - powiedziałem i się rozłączyłem.

Którędy pójda? Zastanawiałem się, gdzie najlepiej zastawić pułapkę. W tej samej chwili jakaś staruszka, zgięta wpół po latach niedożywienia i harówki na ryżowisku, wyszła z windy z torbą śmieci w rękę. Elektroniczne drzwi rozsunęły się przed nią i szurając nogami, poszła do śmietnika. Natychmiast wpadłem do budynku.

Wiedziałem, że Midori mieszka na drugim piętrze. Wbiegłem tam po schodach i zatrzymałem się przed wejściem na korytarz. Nasłuchiwałem. Mniej więcej po półminutowej ciszy rozległ się szmer w korytarzu.

Uchyliłem drzwi, wyjąłem breloczek do kluczy i wysunąłem lustro przez szparę. W ten sposób mogłem obserwować całą długość wąskiego korytarza. Zobaczyłem jakiegoś Japończyka, właśnie wyszedł z mieszkania. Rozejrzał się w lewo i prawo, a potem skinął głową. Chwilę później w polu widzenia ukazała się Midori. Tuż za nią szedł drugi Japończyk. Niezbyt delikatnie trzymał ją za ramię.



Pierwszy jeszcze raz rozejrzał się po korytarzu, a później cała trójka ruszyła w moją stronę. Schowałem lusterko. Na ścianie wisiała gaśnica pianowa. Chwyciłem ją i stanąłem po prawej stronie drzwi, twarzą do wyjścia. Zerwałem plombę i wysoko uniosłem wylot gaśnicy.

Minęły dwie sekundy, potem pięć. Kroki były coraz bliżej. Wreszcie usłyszałem je tuż pod samymi drzwiami.

Oddychałem cicho, ustami. Zacisnąłem palce na spuście gaśnicy.

Przez ułamek sekundy wyobraziłem sobie, że drzwi się otwierają... Ale nie. Poszli dalej, do windy.

Szlag by trafił. Myślałem, że zejdał schodami. Znow uchyliłem drzwi, wysunąłem lusterko i ustawiłem je tak, aby ich widzieć. Wzięli Midori ciasno między siebie. Ten z tyłu trzymał coś przy jej plecach. Pewnie pistolet albo nóż.

Nie mogłem ich zaskoczyć. Zanim bym dobiegł, na pewno by mnie usłyszeli - a jeśli byli uzbrojeni, nie miałbym żadnych szans.

Odwrociłem się i zbiegłem po schodach. Na parterze przemknąłem przez hol i schowałem się za filarem. Kiedy wysiądą z windy, muszą przejść koło mnie. Przycisnąłem gaśnicę do brzucha i znow sięgnąłem po lusterko.

Zjawili się pół minuty później. Szli ciasnym szykiem, którego nauczono mnie unikać już na samym początku służby w siłach specjalnych. To najlepszy sposób, żeby cała grupa wpadła w pułapkę albo wyleciała w powietrze na jakiejś głupiej minie. Pewnie bali się, że Midori im ucieknie.

Schowałem lusterko i breloczek do kieszeni. Nasłuchiwałem kroków. Kiedy zabrzmiały w odległości zaledwie kilku centymetrów, wydałem bojowy okrzyk *kiai*, wyskoczyłem, szarpnąłem spust i uniosłem gaśnicę na wysokość twarzy.

Nic się nie stało. Gaśnica czknęła, a potem wydała syk rozczarowania. Na tym koniec.

Ten z przodu szeroko rozdziawił gębę i wsunął dłoń pod marynarkę. Miałem wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie. Wiedziałem, że ma nade mną przewagę, mimo to uniosłem ciężki koniec gaśnicy. Mój przeciwnik wyciągnął rewolwer z krótką lufą. Zrobiłem szybki wypad w przód i z impetem wałnąłem go gaśnicą w twarz. Rozległ się trzask i facet poleciał w tył na Midori i swojego kompana. Rewolwer zagrzechotał po podłodze.

Drugi zatoczył się i puścił dziewczynę, którą dotychczas trzymał lewą ręką. W drugiej miał broń. Usiłował wyciągnąć ją przed siebie.

Zamieniłem gaśnicę w pocisk i przyłożyłem mu w bebechy. Upadł. Natychmiast byłem przy nim, wyrwałem mu rewolwer z ręki. Zanim zdążył się zasłonić, uderzyłem go kolbą w wyrostek sutkowaty, tuż za uchem. Coś chrupnęło głośno i gość zwiotczał.

Zakręciłem się na pięcie z rewolwerem w ręku, ale pierwszy się nie ruszał. Wyglądał, jakby zderzył się ze słupem.

Odwrociłem się do Midori i w tej samej chwili zobaczyłem trzeciego łotra, wybiegającego z windy. Pewnie był tam od początku. Lewą ręką objął Midori za szyję i próbował zasłonić się nią jak tarczą, a prawą sięgnął do kieszeni. Zanim jednak wyciągnął broń, Midori wykonała szybki obrót, dwoma rękami złapała go za lewy nadgarstek i szarpnęła jego ramieniem w przód i w tył, w klasycznym *san-kyo*. Reakcja faceta świadczyła o tym, że trenował. Rzucił się w przód, żeby uniknąć złamania ręki, i wylądował na podłodze z miękkim *ukemi*. Zanim się podniósł, skróciłem dystans i kopnąłem go w głowę. Kopniak był tak silny, że oderwał go od podłogi.

Midori z trudem łapała oddech i patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- *Daijobu?* - zapytałem, biorąc ją za rękę. - Jesteś cała? Nic ci się nie stało?

Pokręciła głową.

- Nic. Powiedzieli mi, że są z policji, ale wiem, że to nieprawda. Nie chcieli mi pokazać żadnej legitymacji. Kim oni są? Co robili w moim mieszkaniu? Skąd wiedziałeś, że do mnie przyjdą?

Pociągnąłem ją w stronę szklanych drzwi. Rozglądałem się, czy na pewno nic nam nie grozi.

- Widziałem ich w Blue Notę - powiedziałem, zmuszając ją do szybszego kroku. - W pierwszej chwili sądziłem, że będą nas śledzić. Jednak zniknęli, więc pomyślałem, że mogą być u ciebie. Zacząłem dzwonić.

- Widziałeś ich w Blue Notę? Co to za ludzie? Kim ty, do diabła, jesteś?

- Kimś, kto wpakował się w coś bardzo złego i próbuje cię przed tym uchronić. Później ci to wyjaśnię. Teraz musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

- Bezpieczne? Z tobą? - Zatrzymała się przed drzwiami i popatrzyła na trzech leżących mężczyzn. Ich twarze wyglądały niczym krwawe maski. Potem spojrzała na mnie.

- Wszystko ci wyjaśnię, ale nie teraz. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Nie potrafię ci pomóc, dopóki mi nie wierzysz. Chodź ze mną, znajdziemy jakąś kryjówkę i wtedy ci opowiem całą resztę, zgoda?

Syknęły otwierane drzwi, ale to tylko fotokomórka wykryła naszą obecność.

- Dokąd pójdziemy?

- Tam, gdzie nikt na pewno nie będzie cię szukał ani na ciebie czekał. Najlepiej do hotelu.

Drań, którego kopnąłem, jęknął i próbował stanąć na czworakach. Podbiegłem do niego i jeszcze raz dałem mu kopa w twarz. Upadł.

- Midori... Nie mamy czasu na dyskusje. Proszę, choć trochę musisz mi zaufać.

Drzwi się zamknęły.

Chętnie przeszukałbym tych drani, a nuż znalazłbym przy nich jakieś dokumenty lub inny dowód tożsamości. Nie mogłem jednak tego zrobić i jednocześnie skłonić Midori do ucieczki.

- Skąd mam wiedzieć, że można ci wierzyć? - zapytała, ale zrobiła krok naprzód. Drzwi się otworzyły.

- Zaufaj swojej intuicji. Nic więcej od ciebie nie chcę. Ona podpowie ci, co robić.

Wyszliśmy na zewnątrz. Teraz mogłem ogarnąć wzrokiem całą najbliższą okolicę i od razu zauważyłem krępego i potwornie brzydkiego Japończyka; stał jakieś pięć metrów z tyłu, po lewej stronie. Nos miał w kształcie litery U - pewnie złamany tyle razy, że w końcu przestał się zrastać. Facet na pewno widział scenę w holu, ale nie bardzo wiedział, co zrobić. Coś w jego wyglądzie i postawie podpowiadało mi, że nie jest zwyczajnym cywilem. Pewnie znał tych trzech leżących na podłodze.

Pociągnąłem Midori w prawo, z dala od płaskonosy.

- Skąd wiedziałeś... Skąd wiedział, że ktoś jest u mnie? - spytała. - Skąd wiedziałeś, co się tam dzieje?

- Wiedziałem. Na razie tyle. - Rozejrzałem się wokół, sprawdzając, czy coś nam nie grozi. - Pomyśl, Midori. Gdybym był z nimi, to co bym teraz chciał osiągnąć? Przecież znalazłaś się w ich rękach. Nie odrzucaj mojej pomocy. Nie chcę, żeby ktoś cię skrzywdził. Tylko dlatego tu przyszedłem.

Zauważyłem, że płaskonosy wszedł do budynku, pewnie po to, aby pomóc swoim kompanom.

Jeżeli chcieli ją gdzieś wywieźć, to musieli mieć tu jakąś brykę. Niestety, na parkingu stało sporo samochodów. Nie wiedziałem, który należy do nich.

- Mówili, dokąd chcą cię zabrać? - zapytałem. - Dla kogo pracują?
- Nie. Przecież ci mówiłam: udawali, że są z policji.
- Jasne. - Gdzie, do diabła, mógł być ich samochód? A może przyjechało jeszcze kilku? Zostaw to, idź dalej. Jeżeli zechcą, na pewno ich zobaczysz.

Minęliśmy ciemny parking koło następnego bloku i wyszliśmy na Omotesando-dori. Tam złapałem taksówkę. Powiedziałem kierowcy, żeby nas zawiózł do domu towarowego Seibu. To Shibuya. Po drodze raz po raz zerkałem w boczne lusterka. Wprawdzie po ulicy jechało kilka samochodów, ale nie wyglądało na to, żeby ktoś nas gonił.

Uznałem, że najlepszy będzie „*love hoteP'*”. To japońska specjalność, powstała w wyniku braków kwaterunkowych. Wiele rodzin gnieździło się w ciasnych pomieszczeniach, czasem nie tylko z dziećmi. Bywały chwile, gdy Mama z Tatą chcieli być trochę sami. W *rabu hoteru* mogli zatrzymać się na „odpoczynek” lub „dłuższy pobyt”. Nikt o nic nie pytał, nikt nie wymagał wadium kartą kredytową i można było podać dowolne nazwisko. Niektóre z tych hoteli to małe dzieła sztuki - rzecz jasna w swoim stylu - z tematycznymi pokojami, urządzonymi na wzór rzymskich łaźni lub zgoła po amerykańsku. Tak jakby ktoś zmienił Disney Epcot Center w wielki burdel.

Poza problemem mieszkaniowym hotele dlatego cieszą się popularnością, że Japończyk niezbyt chętnie widuje obcych w swoim domu. To dla niego coś bardziej intymnego niż dla mieszkańca Stanów Zjednoczonych. Wiele Japonek woli najpierw przyjąć mężczyznę w swoich ramionach, zanim zaprosi go do siebie. To charakterystyczny aspekt usług hotelowych.

Oczywiście ci, którzy nas ścigali, nie byli głupcami. Na pewno ktoś wpadł na pomysł, że ukryliśmy się w hotelu. Też bym pomyślał o tym na ich miejscu. Lecz w samym Tokio było ponad dziesięć tysięcy *rabu hoteru*. Poszukiwania mogły trochę potrwać.

Wysiedliśmy z taksówki i poszliśmy do Shibuya 2-chome, pełnej maleńkich hotelików. Wybrałem jeden na chybił trafił i powiedziałem starszej pani, która przyjęła nas w recepcji, że chcemy pokój z łazienką, na *yasumi* - pobyt, a nie odpoczynek. Położyłem pieniądze na ladzie. Starsza pani wyjęła klucz spod kontuaru i go nam wręczyła.

Pojechaliśmy windą na czwarte piętro; nasz pokój był na samym końcu krótkiego korytarza. Otworzyłem drzwi i pierwszą wpuściłem Midori. Sam wszedłem za nią i starannie przekręciłem klucz w zamku. Zostawiliśmy buty w małej sieni. W pokoju stało tylko jedno łóżko - dwa byłyby tutaj równie nie na miejscu jak Biblia. Na szczęście była też kanapa na tyle długa, że mogłem na niej zwinąć się w kłębek.

Midori usiadła na brzegu łóżka i popatrzyła na mnie.

- Garść suchych faktów - powiedziała spokojnie. - Dzisiaj trzech ludzi czekało na mnie w mieszkaniu. Zarzekali się, że są z policji, ale nie byli... ajeśli nawet, to wykonywali jakąś prywatną robotę. W pierwszej chwili myślałam, że jesteś z nimi, jednak potem widziałam, jak ich potraktowałeś. Prosiłeś mnie, abyśmy poszli w jakieś bezpieczniejsze miejsce, gdzie mógłbyś wszystko mi wyjaśnić. Więc słucham.

Skinałem głowę. Szukałem odpowiednich słów, żeby jakoś zacząć.

- Domyślasz się, że tu najbardziej chodzi o twojego ojca.

- Chcieli ode mnie czegoś, co miał u siebie.

- *Saprzekonani, że to wzięłaś.*

- Nie wiem, skąd przyszło im to do głowy.

Spojrzałem na nią.

- Myślę, że wiesz.

- Myśl sobie, co chcesz.

- A wiesz, Midori, co w tym obrazku trochę się nie zgadza? Trzech gości włazi ci do mieszkania. Poturbowali cię. Potem ja zjawiam się dosłownie znikąd i rozmazuję ich po ścianach. To nie jest zwykły dzień z życia pianistki jazzowej. Tymczasem ty ani przez chwilę nie pomyślałaś, żeby zadzwonić na policję.

Nic nie odpowiedziała.

- Chcesz? Przecież możesz.

Patrzyła mi prosto w twarz, lekko rozdymając nozdrza i bębniąc palcami w łóżko. Na litość boską, co ona wie, o czym wciąż nie chce mi powiedzieć?

- Może opowiesz mi o swoim ojcu? Bez tego nie potrafię ci pomóc.

Zerwała się i podeszła do mnie bliżej.

- Chciałbyś posłuchać opowieści? - rzuciła gniewnie. - To sam coś powiedz! Przyznaj się, kim ty, kurwa, jesteś, albo faktycznie zaraz dzwonię na policję, bez względu na to, co się potem stanie!

Już trochę lepiej, pomyślałem.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko!
  - Dobrze.
  - Zaczniemy od tych w moim mieszkaniu.
  - Dobrze.
  - Kim oni byli?
  - Nie mam pojęcia.
  - Ale wiedziałeś, że do mnie przyszli?
- Uczepiła się tej jednej luźnej nitki, żeby spruć całą tkaninę. Nie mogłem jej od tego odwieść.
- Tak.
  - Skąd?
  - Twoje mieszkanie jest na podsłuchu.
  - Moje mieszkanie jest na podsłuchu... Działałeś z nimi.
  - Nie.
  - Może przestaniesz odpowiadać wyłącznie monosylabami? Dobrze.. . Moje mieszkanie jest na podsłuchu. Kto go założył? Ty?
- No, właśnie.
- Tak.
- Patrzyła na mnie przez niezdolnie długą chwilę, a potem klapnęła na łóżko.
- Dla kogo pracujesz? - zapytała bezbarwnym głosem.
  - To nieważne.
- Znów dłuższa przerwa i ten sam ton:
- W takim razie powiedz mi, czego chcesz.
- Spojrzałem na nią tak, żeby widziała moje oczy.
- Chcę cię uchronić przed niebezpieczeństwem.
- Jej twarz niczego nie wyrażała.
- I w tym celu...
  - Zrozum, nachodzą cię, bo są przekonani, że masz coś, co ich może zniszczyć! Naprawdę nie wiem, co to takiego. Ale nigdy nie będziesz bezpieczna, póki się tego nie pozbędziesz.
  - Więc mam ci tak po prostu oddać...
  - Być może nawet to nie wystarczy. Muszę wiedzieć, co się za tym naprawdę kryje. Już ci mówiłem, nie szukam łupów, ale zależy mi na twoim bezpieczeństwie.
  - Spójrz na to wszystko z mojej strony. „Gadaj, co wiesz, to ci pomogę”.
  - Rozumiem.

- Wątpię.
  - Nieważne. Opowiedz mi o swoim ojcu.
- Długo milczała. Dobrze wiedziałem, co usłyszę - i rzeczywiście tak się stało.
- Stąd te pytania, które zadawałeś przedtem... Byłeś w Alfie i... Boże, wszystko... Oszukiwałeś mnie już od początku.
  - Częściowo tak. Ale nie całkiem. Teraz opowiedz mi o swoim ojcu.
  - Nie.
- Ze złości poczułem mrowienie w karku. Spokojnie, John.
- Ten dziennikarz też cię o to pytał, prawda? Bulfinch. Co mu powiedziałaś?
- Spojrzała na mnie, jakby chciała wyczuć, ile naprawdę wiem.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Popatrzyłem na drzwi. Idź sobie stąd, pomyślałem. Po prostu wyjdź. Ale niestety...
- Lepiej posłuchaj mnie, Midori. Jeżeli chcesz, to zaraz sobie pójde. Ale to ty nie będziesz mogła spokojnie spać we własnym domu. To ty obawiasz się policji i już nie wrócisz do dawnego życia. Albo będzie-my działać razem, albo, do diabła, zostaniesz sama.
- Znów długo milczała, może z minutę.
- Bulfinch powiedział mi, że tamtego ranka ojciec zamierzał mu coś przekazać - odezwała się w końcu. - Niestety, nic z tego nie wyszło. Pytał, czy nie wiem, gdzie to znaleźć.
  - A co to jest?
  - Jakieś CD do komputera. Nic więcej nie chciał mi powiedzieć, niby po to, by mnie nie narażać.
  - I tak wystawił cię pod ostrzał już przez to, że się z tobą spotkał. Śledzili go po wyjściu z Alfie. - Przycisnąłem palce do oczu. - Wiesz chociaż trochę, co to za płyta?
  - Nie.
- Popatrzyłem na nią z namysłem.
- Chyba ci nie muszę mówić, że masz do czynienia z ludźmi, którzy na ogół nie przebijają w środkach, aby dopiąć swego.
  - Jestem tego pewna.
  - Dobrze, spróbujmy więc pozbierać to, co naprawdę mamy. Wszyscy myślą, że ojciec powiedział ci coś przed śmiercią albo przekazał jakiś przedmiot. Zrobił to? Wspomnił o czymś? Może zostawił dokumenty. ... lub coś, co było dla niego ważne?

- Nie. Nic takiego nie pamiętam.
- Pomyśl. Klucz do skrytki? Do zwykłej szafki? Nigdy nie mówił, że coś chowa? Że są tam dokumenty? Nic z tych rzeczy?
- Nie - odpowiedziała, ale nie od razu. - Nic.
- Wciąż przede mną coś ukrywała. Miała powody, żeby mi nie ufać.
- Ale wiesz o czymś. - Nie ustępowałem. - Wiesz, bo nie poszłaś na policję.
- Skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła na mnie w milczeniu.
- Na litość boską, Midori, powiedz! Chcę ci pomóc.
- Pewnie liczysz na coś innego - mruknęła.
- Na nic nie liczę. Szukam tylko punktu zaczepienia.
- Tym razem cisza trwała dużo dłużej.
- Mówiłam ci już, że dość długo... unikałam ojca. Pokłóciłam się z nim, kiedy jeszcze byłam nastolatką. Wtedy zrozumiałam, czym jest japońska polityka i jaką rolę pełni w niej mój ojciec.
- Wstała i nie patrząc na mnie, zaczęła krążyć po pokoju.
- Był częścią ogromnej maszyny, znanej jako Partia Liberalno-Demokratyczna. Przez cały czas piął się po szczeblach władzy. Najpierw w dawnym Kensetsusho, czyli Ministerstwie Budownictwa. Kiedy Kensetsusho przekształcono w Kokudokotsusho, został wiceministrem w Ministerstwie Infrastruktury. Nadzorował prace publiczne. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?
- Chyba tak. Projekt robót publicznych to w gruncie rzeczy kanał przepływu pieniędzy z kieszeni polityków i firm budowlanych w ręce yakuzy.
- W zamian yakuza daje im „ochronę”, rozwiązuje wszelkie problemy i tworzy silne lobby na rzecz budownictwa. Dla przedsiębiorstw są jak bliźniacy, rozdzieleni po narodzinach. Wiesz, że japońskie brygady budowlane zwane są najzwyczajniej *gumfi*!
- Gumi* to „gang” lub „organizacja” - tej samej nazwy używa yakuza. Tuż po II wojnie światowej były to bandy zwykłych wysiedleńców, pracujących dla szefa gangu. Żeby przeżyć, podejmowali się praktycznie każdej brudnej roboty. Z czasem grupy te przekształciły się w yakuzę i dzisiejsze brygady budowlane.
- Wiem - odparłem.
- W takim razie wiesz także, że zaraz po wojnie wybuchły prawdziwe bitwy między przedsiębiorstwami. Zamęt był tak straszny, że policja bała się interweniować. Aby zapobiec dalszym rozruchom,



wprowadzono system ustalania ofert. Ten system nadal istnieje. Mój ojciec nim kierował. - Roześmiała się. - Pamiętasz, jak w dziewięćdziesiątym czwartym budowano Międzynarodowy Port Lotniczy Kansai w Osace? Kosztorys wyniósł czternaście miliardów dolarów. Wszyscy chcieli z tego coś uszczknąć. Przypominasz sobie, że w tym samym roku zginął szef Yamaguchi Gumi, Takumi Masaru? Nie zamierzał się dzielić znacznymi profitami. Ojciec kazał go zabić, żeby ułagodzić pozostałych gangsterów.

- Chryste Panie, Midori... - odezwałem się cicho. - Sam ci to powiedział?

- Kiedy usłyszał o chorobie. Chyba traktował to jak spowiedź.

Czekałem, co będzie dalej.

- Zwykli yakuza, z tatuażami i w ciemnych okularach, jakich na ogół można spotkać w gorszych dzielnicach Shinjuku, byli narzędziem w rękach ludzi pokroju mojego ojca - ciągnęła, wciąż krążąc po pokoju. - To także część systemu. Politycy głosują za kontynuacją niepotrzebnych robót, żeby dać jakieś zajęcie firmom budowlanym. W zamian mogą korzystać z armii „wolontariuszy” w czasie kampanii wyborczej. Byli urzędnicy z Ministerstwa Budownictwa otrzymują ciepłe posady „doradców” w dużych przedsiębiorstwach. Własny samochód z kierowcą, wszelkie apanaże... i żadnego zajęcia. Przed końcem każdego roku fiskalnego przedstawiciele Ministerstwa Finansów i Budownictwa spotykają się z politykami lojalnymi wobec budowlanców i wspólnie radzą, jak podzielić to ciasteczko.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie.

- Wiesz, że Japonia to zaledwie cztery procent wielkości Stanów Zjednoczonych? Liczba mieszkańców sięga połowy populacji Ameryki. I ten kraj wydaje na budowy trzykrotnie więcej niż Amerykanie! Niektórzy twierdzą, że w ostatnich dziesięciu latach do rąk yakuzy trafiło dziesięć bilionów jenów z rządowej kasy.

Dziesięć bilionów? - pomyślałem. To przecież jakieś sto miliardów баксов. Dranie, a mnie tak mało płacą...

- Trochę słyszałem o tym. Ojciec zamierzał puścić parę?

- Tak. Zadzwonił do mnie wkrótce po wizycie u lekarza. Nie rozmawiałam z nim od roku. Wspomniał tylko, że chce mi powiedzieć coś ważnego i że niedługo przyjdzie. Na tym się skończyło. Pomyślałam sobie, że znowu ma kłopoty ze zdrowiem, na pewno z sercem. Gdy go ujrzałam, wyglądał dużo starzej. Miałam więc rację. No, prawie...

Zaparzyłam herbaty i usiedliśmy przy małym kuchennym stole. Powiedziałam mu, nad czym obecnie pracuję. Nie pytałam, co w ministerstwie. Rozmowa się nie kleiła. Wreszcie nie wytrzymałam. „O co chodzi, tato?” „*Taishita koto jaa nai*”, odparł. To nic takiego. Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Miał ciepłe, ale smutne oczy, i przez chwilę wyglądał tak, jak go zapamiętałam z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. „Dowiedziałem się w tym tygodniu, że długo nie pożyję - westchnął. - Może krócej niż myślimy. Miesiąc, najwyżej dwa... Dłużej, gdybym przyjmował leki albo chodził na naświetlanie. Ale ja tego nie chcę. Najdziwniejsze, że wieść o rychłej śmierci w ogóle mnie nie poruszyła. Nie czuję się nią zaskoczony”. Miał łzy w oczach. Nigdy go takiego nie widziałam. „Nie żał mi życia, ale tego, że już dawno straciłem córkę”. Midori szybkim ruchem uniosła rękę i otarła kąciki oczu.

- Powiedział mi o wszystkich swoich ciemnych sprawkach, o wszystkim, w co był uwikłany. Przyznał też, że już wcześniej myślał, aby jakoś wyjść z tego z honorem, ale za każdym razem tchórzył, wiedząc, że zginie, jeśli zacznie sypać. Podobno bał się także o mnie. Ludzie, z którymi współpracował, mogli mnie napaść dla „ostrzeżenia”. Teraz jednak postanowił działać. „Mimo to czuję, że cię narażam”, dodał na koniec.

- Co chciał zrobić?

- Nie mam pojęcia. Wy tłumaczyłam mu, że nie zamierzam grać roli cichej zakładniczki skorumpowanego systemu. „Rób swoje i nie myśl o mnie”.

- Byłaś naprawdę dzielna - stwierdziłem.

Obrzuciła mnie długim spojrzeniem. Już całkowicie odzyskała spokój.

- Wątpię. Nie zapominaj, że mam radykalny pogląd na te sprawy.

- Jasne. Wiemy więc, że twój ojciec rozmawiał z Bulfinchem. Miał mu przynieść płytę. Teraz trzeba ustalić, co na niej było.

- Jak?

- Skontaktujemy się z Bulfinchem.

- I co mu powiesz?

- Tego jeszcze nie wiem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie poczułem, że zmęczenie bierze nade mną górę.

- Kładźmy się spać - zaproponowałem. - Ja położę się na kanapie, dobrze? O reszcie pogadamy jutro. Wszystko wyda się nam prostsze.

Bo już bardziej mętne być nie mogło.

Nazajutrz rano wcześniej wstałem i od razu poszedłem na stację Shibuya. Obiecałem Midori, że później zadzwonię do niej na komórkę. Potrzebowałem kilku rzeczy, które schowałem u siebie, w Sengoku. Wśród nich był drugi paszport, na inne nazwisko. Mógł się przydać, gdybym na przykład musiał nagle wyjechać z kraju. Powiedziałem jej, aby nie wychodziła w żadnych niepotrzebnych sprawach. Wiedziałem jednak, że musi kupić sobie coś do jedzenia i ubrania. Zabroniłem jej płacić kartą. Uprzedziłem też, że nasze rozmowy przez telefon będą bardzo krótkie na wypadek, gdyby jej komórka znalazła się na podsłuchu.

Pojechałem linią Yamanote do Ikebukuro, chyba najbardziej zatłoczonej i anonimowej dzielnicy handlowo-rozrywkowej w północno-zachodniej części miasta. Ze stacji wziąłem taksówkę i kazałem zawieźć się do Hakusan. To przyjemna willowa dzielnica, jakieś dziesięć minut drogi na piechotę ode mnie. Stamtąd zadzwoniłem na pocztę głosową w moim domowym telefonie.

Ma on parę niewielkich usprawnień. Praktycznie w każdej chwili mogę się z nim połączyć i po cichu włączyć mikrofon, zmieniając go w przekaźnik. Poczta uruchamia się przy najlżejszym dźwięku: jeśli w pokoju coś spadnie albo ktoś się odezwie, aparat to rejestruje w mojej skrzynce w Stanach Zjednoczonych, gdzie wskutek konkurencji towarzystw telefonicznych są dużo niższe opłaty za takie wynalazki. Przed powrotem do domu zawsze dzwonię na pocztę. Chcę wiedzieć, czy ktoś mnie przypadkiem nie odwiedzał.

Prawdę mówiąc, to tylko sztuka dla sztuki. Nikt nigdy u mnie nie był. Nikt nie wie, gdzie naprawdę mieszkam. Płacę za pokój wielkości sześciu *tatami* w Ochanomizu, lecz nigdy tam nie nocowałem. Mieszkanie w Sengoku jest wynajęte przez podstawioną firmę, z którą nie mam nic wspólnego. W takiej robocie jak moja lepiej się zabezpieczyć.

Rozejrzałem się po ulicy, jednym uchem słuchając pisków, świadczących o tym, że połączenie sunie pod dnem Pacyfiku. Wreszcie wstukałem PIN.

Zawsze, kiedy to robię - z wyjątkiem przypadków, gdy sam sprawdzam system- słyszę mechaniczny kobiecy głos: „Nie masz żadnej wiadomości”. Dziś też się tego spodziewałem.

Tymczasem informacja brzmiała: „Masz jedną wiadomość”.

O kurwa. Ze zdumienia nie mogłem sobie przypomnieć, co trzeba wcisnąć, żeby odsłuchać nagranie. Na szczęście dostałem podpowiedź. Wstrzymując oddech, wdusiłem jedynekę.

Usłyszałem mężczyznę, mówił po japońsku.

- Ciasno tutaj. Trudno go będzie zaskoczyć.

- Schowaj się po stronie *genkan* - brzmiała odpowiedź, także po japońsku. - Jak wejdziesz, daj mu sprejem po oczach.

Znałem ten głos, jednak chwilę trwało, zanim dopasowałem go do mówiącego. Do tej pory rozmawiał ze mną tylko po angielsku.

Benny.

- A jeśli nam nic nie powie?

- Powie.

Z całej siły ścisnąłem słuchawkę. Ten skurwiel Benny... Jak mnie namierzył?

Kiedy nagrano tę wiadomość? Był jakiś specjalny klawisz... Cholera jasna, powinienem przećwiczyć to parę razy, zanim naprawdę coś się stanie. Za bardzo czułem się bezpieczny. Stuknąłem w szóstkę. Nagranie poszło szybciej. Niech to szlag. Może pięć? Mechaniczna telefonistka powiadomiła mnie, że wiadomość została zarejestrowana z zagranicy, o godzinie czternastej. Chodziło o czas kalifornijski, więc w Japonii była wtedy siódma rano. Około godziny temu.

Zmiana planów. Zachowałem wiadomość, przerwałem połączenie i zatelefonowałem do Midori. Powiedziałem jej, że znalazłem coś bardzo ważnego i że porozmawiamy o tym, jak wrócę. Uprzedziłem ją, że mogę być bardzo późno. Potem wróciłem do Sugamo, gdzie kiedyś znajdowało się słynne więzienie SCAP, w którym przetrzymywano japońskich zbrodniarzy wojennych. Teraz była tam dzielnica „czerwonych latarni” i setek *rabu hoteru*.

Wybrałem hotel najbliższej Sengoku. Dostałem jakiś zawilgocony pokój. Nieważne. Potrzebowałem tylko gniazdka, żeby podłączyć ładowarkę do komórki, oraz miejsca, w którym mógłbym spokojnie czekać.

Zadzwoiłem do siebie. Mój domowy aparat oczywiście milczał, ale po chwili miałem już połączenie z mikrofonem. Usiadłem więc i słuchałem. Po półgodzinnej ciszy stwierdziłem, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Nagle rozległ się zgrzyt odsuwanego krzesła, czyjeś kroki i charakterystyczny odgłos sikania. Wciąż tam byli.

Przesiedziałem tak cały dzień, nasłuchując ciszy. Pocięczałem się jedynie myślą, że oni też się strasznie nudzą. I na pewno są nie mniej głodni niż ja.

Około wpół do siódmej, kiedy zafundowałem sobie małą porcję ćwiczeń rozciągających z judo, żeby nie zeszywnieć, na drugim końcu linii zapisał telefon. Wyglądało to na komórkę. Odebrał Benny. Mruknął dwa razy i powiedział:

- Mam coś do załatwienia w Shibakoen... Wrócę za parę godzin.

Jego pomagier odparł: „*Hai*”, ale ja już go nie słuchałem. Skoro Benny wybierał się do Shibakoen, to musiał jechać linią Mita ze stacji Sengoku. Na pewno nie wziął samochodu. Po pierwsze, nie chciał zwracać na siebie uwagi, a po drugie, w Sengoku nie ma żadnego parkingu dla przyjezdnych. Do stacji prowadzi z pół tuzina wąskich uliczek, przecinających się pod różnymi kątami. Mógł pójść dowolną z nich. Właśnie z tego powodu kiedyś wybrałem to miejsce. Teraz sprawiało mi to dodatkowy kłopot. Na stacji był duży ruch. Nie mogłem go tam przechwycić - zresztą nie wiedziałem przecież, jak wygląda. Jeśli nie złapię go pod samym domem, to mi na pewno umknie, pomyślałem.

Wyskoczyłem z pokoju i zbiegłem po schodach. Potem przebiegłem przez Hakusan-dori i skręciłem w lewo, w uliczkę prowadzącą do mnie. Gnałem jak szalony, jak najbliżej budynków. Gdybym coś źle wyliczył i Benny wyszedł wcześniej, to mógł mnie zobaczyć. Znał mój adres, więc byłbym strasznie głupi, gdybym wciąż wierzył, że nie widział mojego zdjęcia.

Jakieś piętnaście metrów od mojej ulicy zwolniłem i poszedłem wzdłuż ściany ostatniego domu. Próbowałem uspokoić oddech. Na samym rogu przykucnąłem, ostrożnie wysunąłem głowę i popatrzyłem w prawo. Ani śladu Benny'ego. Ostatni raz słyszałem go jakieś cztery minuty temu. Nie mogliśmy się minąć.

Stałem tuż pod latarnią, ale musiałem tutaj czekać. Nie wiedziałem, czy Benny pójdzie w lewo, czy w prawo. Chciałem zobaczyć go, jak tylko wyjdzie na ulicę. A kiedy już mi wpadnie w ręce, poszukamy więcej cienia.

Odzyskałem normalny oddech. Niemal w tej samej chwili usłyszałem trzask zamykanych drzwi frontowych. Uśmiechnąłem się. Wszyscy lokatorzy wiedzą, że drzwi trzaskają, i przymykają je bardzo ostrożnie.

Znowu kucnąłem i wyrząłem zza rogu. Pulchny Japończyk szedł prosto na mnie. Ten sam, który mnie mijał z neserem w rękę na stacji Jinbocho. Benny. Mogłem się domyślić.

Wstałem i czekałem, wsłuchany w coraz bliższe kroki. Kiedy zabrzmiały metr ode mnie, zastąpiłem mu drogę.

Stanął jak wryty i wybałuszzył gały. Znał mnie. Zanim coś powiedział, zrobiłem krok do przodu i wymierzyłem mu dwa krótkie ciosy w brzuch. Z głuchym jękiem osunął się na ziemię. Przesunąłem się za jego plecy, złapałem go za prawą rękę i boleśnie wykręciłem mu nadgarstek. Szarpnąłem mocniej. Benny sapnął.

- Wstawaj, Benny. Rusz się albo ci złamię rękę. - Znowu szarpnąłem go za przegub, żeby podkreślić moje słowa. Gwałtownie zaczerpnął tchu i podniósł się, wydając jakieś świszczące dźwięki.

Pchnąłem go za róg, twarzą do ściany, i błyskawicznie obszukałem. Miał komórkę w kieszeni płaszcza, ale nic poza tym. Zabrałem ją.

Ostatni raz szarpnąłem jego rękę, a potem odwróciłem twarzą do mnie. Walnął plecami o mur. Zajęczał, ale jeszcze nie na tyle przyszedł do siebie, żeby zrobić coś więcej. Jedną ręką chwyciłem go za gardło, a drugą za jaja.

- Benny. Posłuchaj mnie uważnie. - Zaczął się wrywać, więc przydusiłem go mocniej. Chyba zrozumiał. - Chcę wiedzieć, co się tutaj dzieje. Podaj mi parę nazwisk. Najlepiej znajomych.

Poluźniłem chwyt na górze i na dole. Benny głęboko wciągnął powietrze.

- Przecież wiesz, że nie mogę tego zrobić - wydyszał.

Znowu złapałem go za gardło.

- Benny, nie skrzywdzę cię, jeśli zgodzisz się ze mną współpracować. Jeżeli nie, wina spadnie wyłącznie na ciebie. Jasne? Gadaj, nikt się nie dowie.

Lekko wzmocniłem nacisk na jego szyję - tak, aby mu odciąć oddech. Powiedziałem, żeby skinał głową, kiedy będzie gotów. Zrobił to po sekundzie albo dwóch bez powietrza. Na wszelki wypadek przetrzymałem go jeszcze sekundę. Kiwał głową jak oszalały. Puściłem go.

- Holtzer, Holtzer... - wycharczał. - Bill Holtzer.

Sporo mnie kosztowało, żeby nie pokazać po sobie zdziwienia.

- Co to za Holtzer?

Gapił się, szeroko otwierając oczy.

- No... przecież go znasz! Jeszcze z Wietnamu. Sam mi to powiedział.

- Co robi w Tokio?
  - Jest w CIA. Jako szef sekcji.
- Szef całej sekcji? Niewiarygodne. Wiedział, komu po palcu wejść w dupę.
- Ty też jesteś z CIA, Benny? Odpowiadaj!
  - Płacami -jęknął, głośno dysząc. - Potrzebowałem forsę.
  - Czego ode mnie chcą? - Popatrzyłem mu prosto w oczy. Owszem, miałem zHoltzerem mały zatarg w Wietnamie, ale to on był górą. Nie wierzyłem, że wciąż żywi do mnie niechęć, chociaż sam za nim nie przepadałem.
  - Holtzer powiedział mi, że wiesz, gdzie jest płyta. Mam mu ją oddać.
  - Jaka płyta?
  - Skąd mogę wiedzieć?! Podobno w niewłaściwych rękach może stanowić zagrożenie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.
  - Nie zachowuj się jak biurokrata ze Stepford, Benny. Mów, co jest na płycie.
  - Nie mam pojęcia! Holtzer to przemilczał. Na pewno nie chciał, żebym wiedział... To zbyt ważne. Ja jestem tylko wyrobnikiem. Nikt mi nie mówi takich rzeczy.
  - Co to za facet w moim mieszkaniu?
  - Jaki facet... - zaczął, lecz przydusiłem go, zanim zdążył skończyć. Próbował złapać oddech i usiłował mnie odepchnąć, ale mu się nie udało. Kilka sekund później mój uścisk trochę zelżał.
  - Jeżeli jeszcze raz zmusisz mnie, żebym powtórzył pytanie, albo spróbujesz skłamać, Benny, to gorzko tego pożałujesz. Co to za facet w moim mieszkaniu?
  - Nie wiem - odparł. Zacisnął powieki i głośno przełknął ślinę. - Nie znam go. Podobno jest z Boeicho Boeikyoku. Skontaktował nas Holtzer. Kazał nam czekać w twoim mieszkaniu i zadać ci kilka pytań.
- Boeicho Boeikyoku, Biuro do spraw Obrony Kraju, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa, to japoński odpowiednik CIA.
- Po co łąziłeś za mną w Jinbocho? - zapytałem.
  - Normalne śledztwo. Szukałem płyty.
  - Skąd znasz mój adres?
  - OdHoltzera.
  - Skąd on go zna?
  - Nie wiem. Po prostu mi go podał.

- Jaka w tym wszystkim jest twoja rola? ,
- Pytania. Tylko pytania. Żeby ustalić, gdzie jest płyta.
- Co zamierzaliście zrobić ze mną po zakończonym przesłuchaniu?
- Nic. Im chodzi o płytę.

Znów zacisnąłem mu dłoń na gardle.

- Nie pierdol, Benny. Nie możesz być aż taki głupi. Dobrze wiedziałeś, co się potem stanie, chociaż sam pewnie byś tego nie zrobił.

Wszystko jasne. Widziałem to jak na dłoni. Holtzer powiedział Benny'emu, żeby wziął to Boeikyoku do mnie i tam urządził małe „przesłuchanie”. Benny domyślał się, co będzie później. Bał się jak diabli, ale co miał zrobić? Pewnie wmawiał sobie, że to w ogóle nie jego sprawa. Od mokrej roboty był pan Boeikyoku. Benny nawet nie musiał na to patrzeć.

Drobny cwaniaczek podszyty tchórzem. Nagle z całej siły ścisnąłem go za jaja. Chyba głośno by zaskowyczał, gdybym nie trzymał go za gardło. Cofnąłem rękę. Upadł na ziemię; zbierało mu się na wymioty.

- Posłuchaj, Benny. Zrobimy tak: teraz zadzwonisz do swojego kumpla, który jest u mnie. Wiem, że ma komórkę. Powiesz mu, że przed chwilą widziałeś mnie na stacji i że potrzebna ci jest natychmiastowa pomoc. Dokładnie powtórz moje słowa. Jeżeli coś ci się pokręci albo chlapiesz coś od siebie, to cię zabiję. Przyłóż się. Wtedy cię puszcze.

Oczywiście mogli mieć z góry ustalone hasło, którego brak stawał się sygnałem zagrożenia, ale w głębi ducha byłem przekonany, że na to nie wpadli. Nie słyszałem niczego takiego, kiedy Benny rozmawiał z mojego mieszkania.

Spojrzał na mnie błagalnie.

- Naprawdę?
- Wyrecytuj to bez pomyłki. - Oddałem mu jego telefon.

Zrobił wszystko tak, jak mu kazałem. Nawet mówił w miarę spokojnie. Kiedy skończył, zabrałem mu komórkę. Nadal klęczał i patrzył na mnie.

- Mogę już iść? -jęknął.

Nagle zobaczył coś w moich oczach.

- Obiecałeś mi! Obiecałeś! - wysapał. - Błagam... Tylko wykonywałem rozkazy...

Naprawdę tak powiedział.

- Takie rozkazy to kurewstwo - odparłem, mierząc go spojrzeniem. Zaczął dyszeć.



- Nie zabijaj mnie! Mam żonę i dzieci!

Lekko skręciłem biodra, żeby przyjąć właściwą pozycję.

- Poślę im kwiaty - szepnąłem i błyskawicznym ruchem uderzyłem go kantem dłoni w kark. Rozległ się zgrzyt pękających kręgow. Benny szarpnął się spazmatycznie i upadł.

Nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko go tam zostawić. Moje mieszkanie i tak było spalone. Musiałem znaleźć sobie nowe lokum. Wiedziałem, że w Sengoku wybuchnie wielki raban z powodu trupa, ale to już nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

Przestąpiłem przez ciało i poszedłem kilka kroków dalej, na niewielki parking, który mijalem przedtem. Usłyszałem głośny trzask drzwi do mojego domu.

Parking od przodu był zagrodzony sznurem przymocowanym do palików wbitych w piasek. Zgarnąłem sporą garść piasku i wróciłem na swoje miejsce za rogiem budynku. Wyrząłem na ulicę, ale nie dostrzegłem kompana Benny'ego. Cholera, poszedł w prawo wążutką alejką, biegnącą do następnej równoległej ulicy, odległej stąd o jakieś piętnaście metrów. Myślałem, że będzie się trzymał bardziej utartych szlaków.

Pobiegłem moją ulicą i zatrzymałem się przed alejką. Wystawiłem głowę zza rogu i ujrzałem samotną postać - oddalała się ode mnie.

Popatrzyłem na ziemię, a nuż znajdę jakąś broń. Nic, co mogłoby zastąpić pałkę. Kiepska sprawa.

Skręciłem w alejkę. Facet był nie dalej niż siedem metrów ode mnie. Miał na sobie skórzaną kurtkę i nie wyglądał mi na słabeusza. Widziałem jego masywny kark i szerokie bary. Trzymał coś w ręku - jakby laskę. Niedobrze. Ja mogłem liczyć tylko na garść piasku.

Zbliżyłem się do niego na trzy metry i już miałem głośno krzyknąć, kiedy nagle spojrzął za siebie. Poruszałem się bezszelestnie i przez cały czas odwracałem wzrok, żeby mu nie patrzeć w plecy. W każdym z nas tkwi pradawny, niemal zwierzęcy instynkt, ostrzegający przed myśliwym. Nauczyłem się tego na wojnie. Jednocześnie wiedziałem, jak uniknąć szczególnych wibracji, które uruchamiają alarm. Ten gość miał widocznie bardzo czułą antenę.

Odwrócił się, spojrzął na mnie... i osłupiał. Benny powiedział mu, że jestem na stacji, a ja tymczasem zjawiłem się z zupełnie innej strony. Musiał przetworzyć tę różnicę w swoim centralnym komputerze.

Dobrze widziałem jego uszy, napuchnięte jak kalafior i zniekształcone od uderzeń. Japoński *kendoka ijudoka* nie wierzą w żadne ochra-

niacze. Weterani obnoszą poszarpane uszy - efekt uderzeń głową w judo i bambusowym mieczem w kendo - niczym odznakę honorową. Gdzieś tam w zakątku świadomości zanotowałem sobie, że mam do czynienia z potencjalnie groźnym przeciwnikiem.

Wykorzystałem wszystkie sztuczki, aby przekonać go, że naprawdę jestem zwykłym przechodniem, który próbuje go wyminąć. W ten sposób chciałem zyskać choćby sekundę. Zrobiłem jeszcze dwa kroki w lewo. W tym momencie na pewno mnie rozpoznał. Zauważyłem to po jego minie. Zobaczyłem, że laska powoli się unosi. Wysunął lewą nogę w przód, by wzmocnić siłę ciosu.

Rzuciłem mu piaskiem w twarz i uskokczyłem na bok. Szarpnął głową, ale nadal brał zamach. Po chwili laska rozmazaną smugą opadła w dół. Uderzenie było potężne, a jednak Boeikyoku zdołał je zatrzymać, kiedy nie trafił w cel. Tym samym płynnym ruchem przeciął powietrze w poprzek. Odsunąłem się jeszcze dalej, schodząc z linii ataku. Mój przeciwnik ciągle się krzywił i zaciskał powieki. Trafiłem go nadzwyczaj celnie. To, że trzymał ręce z daleka od oczu, świadczyło o dobrym treningu. Ale nic nie widział.

Z wahaniem dał krok naprzód, groźnie unosząc laskę. Łzy płynęły mu z osłepłych oczu. Domyślał się, że jestem przed nim, lecz nie mógł mnie zobaczyć.

Chciałem zaczekać, aż przejdzie obok, i dopiero wtedy zaatakować. Za szybki był z tą swoją laską.

Zatrzymał się i gwałtownie rozdymał nozdrza, jakby próbował pochwycić mój zapach. Chryste Panie, dlaczego nie przetrze oczu? - pomyślałem. Przecież na pewno go straszliwie pieką.

Z głośnym *kiai* rzucił się do przodu i sieknął laską w poprzek na wysokości pasa. Znow się pomylił - byłem dużo dalej. Potem, równie nagle, cofnął się dwa kroki, uniósł lewą rękę i desperackim ruchem zaczął przecierać oczy.

Na to czekałem. Zrobiłem głęboki wypad i prawą pięścią wymierzyłem mu miazdzący cios w obojczyk. Włożyłem w to wszystkie siły, ale Boeikyoku w ostatniej chwili się przesunął i uderzyłem go tylko w ramię. Natychmiast poprawiłem lewym łokciem, celując w podstawę czaszki, jednak trafiłem w ucho.

Zanim zdążyłem zadać następny cios, przytrzymał mnie oburącz, dociskając laskę do moich pleców. Niedźwiedzi uścisk. Boeikyoku wygiął się w tył tak że moje stopy znalazły się nad ziemią. Nie mogłem oddychać. Poczulem dotkliwy ból nerek.

W pierwszej chwili chciałem mu się wyrwać, ale wiedziałem, że jest silniejszy. Złapałem go więc za szyję i oplotłem nogami. Miałem wrażenie, że jego laska za chwilę złamie mi kręgosłup.

Mój nagły atak zupełnie go zaskoczył. Zachwiał się i stracił równowagę. Dał krok w tył, lewą ręką puścił laskę i wziął zamach. Skrzyżowałem nogi na jego plecach i energicznie szarpnąłem całym ciałem. Tym razem poleciał głową w przód, prosto na mnie. Runęliśmy na ziemię. Byłem pod nim, więc przyjąłem na siebie siłę uderzenia. Ale znalazłem się na znajomym gruncie.

Chwytem krzyżowym złapałem go za kołnierz kurtki i przeszedłem do *gyaku-jujime*, duszenia, które każdy judoka poznaje już na pierwszych lekcjach. Zareagował odruchowo - próbował zranić moje oczy. Przytrzymałem go nogami i kręciłem głową na wszystkie strony, żeby uniknąć jego palców. W pewnym momencie chwycił mnie za ucho, ale zdołałem mu się wyrwać.

Moje duszenie nie było w pełni udane. Zamiast tętnicy szyjnej uciskałem raczej tchawicę, więc długo walczył. W miarę upływu czasu wykonywał coraz gwałtowniejsze ruchy. Niestety, nic mi nie mógł zrobić. Przytrzymałem go przez długą chwilę, nawet gdy przestał się poruszać. Popatrzyłem dokoła, czy nikt nie nadchodzi. Pusto.

Wreszcie uznałem, że po takim czasie mój przeciwnik na pewno nie udaje trupa, rozluźniłem uścisk i wyszarpnąłem się spod niego. Boże, był strasznie ciężki. Przetoczyłem się w bok i wstałem. Plecy bolały mnie jak diabli; oddychałem z trudem, z długimi przerwami.

Wiedziałem z doświadczenia, że facet wciąż żyje. W *dojo* zawsze ktoś mdleje na skutek duszenia. To nic poważnego. Jeśli omdlenie jest głębsze, tak jak w tym przypadku, trzeba człowieka posadzić, lekko poklepać w plecy i zrobić sztuczne oddychanie. Wtedy wraca do życia.

Ale ten musiał sobie znaleźć kogoś całkiem innego, kto by mu naładował zużyte baterie. W zasadzie powinienem zadać mu kilka pytań, jednak to nie był Benny.

Przykucnąłem, podparłem się ręką o ziemię, żeby utrzymać równowagę, i przeszukałem go. W górnej kieszeni kurtki znalazłem komórkę. W innej sprej używany na ogół do samoobrony. Nic więcej.

Wstałem z trudem, tak mnie bolały plecy. Poszedłem w stronę domu. Ledwo zdążyłem wyjść z zaułka i skrócić w lewo, w moją ulicę, natknąłem się na dwie licealistki w niebieskich mundurkach. Popatrzyły na mnie z przerażeniem, ale minąłem je bez słowa. Na co się

tak gapily? Przesunąłem ręką po twarzy i wyczułem pod palcami lepka wilgoć. Cholera, krew. Podrapał mi całą gębę.

Pędem wpadłem do domu i krzywiąc się, po schodach pobiegłem na górę. Najpierw poszedłem do łazienki, zmoczyłem ręcznik i nad zlewem otarłem krew z twarzy. Facet patrzący na mnie z lustra wyglądał paskudnie. Wiedziałem, że upłynie trochę czasu, zanim odzyskam w miarę normalny wygląd.

Z dziwnym uczuciem rozejrzałem się po mieszkaniu. Zawsze była to dla mnie bezpieczna przystań - kryjówka, której nikt poza mną nie znał. Teraz zjawił się Holtzer i Agencja: dwa duchy z odległej i niechcianej przeszłości. Za wszelką cenę musiałem się dowiedzieć, dlaczego mnie ścigają. Ze względów zawodowych? A może prywatnych? Jeżeli chodzi o Holtzera, to zapewne jedno i drugie.

Zebrałem wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy i wpakowałem je do torby. W drzwiach jeszcze raz spojrzałem za siebie. Pokój wyglądał tak jak dawniej. Ani śladu po ludziach, którzy tu przed chwilą byli. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś go zobaczę.

Poszedłem w stronę Sugamo. Stamtąd mogłem pojechać linią Yamanote na stację Shibuya, z powrotem do Midori. Może dwa telefony, które zabrałem swoim przeciwnikom, dadzą mi jakąś odpowiedź?

## 13

Zanim dotarłem do hotelu, ból w plecach zmienił się w tępe pulsowanie. Lewe oko miałem spuchnięte - wsadził mi w nie palec - i bolała mnie głowa, pewnie od naderwanego ucha.

Szybko przeszedłem obok starej, siedzącej w recepcji. Po drodze zabręczałem kluczem, żeby wiedziała, że tu mieszkam. Spojrzała na mnie i spokojnie wróciła do czytania. Szedłem tak, aby widziała tylko prawą część twarzy, mniej poranioną. Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

Zapukałem do drzwi na znak, że wchodzę, i przekręciłem klucz.

Midori siedziała na łóżku. Zerwała się, widząc mnie w takim stanie.

- Co się stało? - jęknęła.

Pomimo bólu zrobiło mi się jakoś lżej na sercu, kiedy usłyszałem troskę w jej głosie.

- Ktoś był w moim mieszkaniu- powiedziałem, zamykając za sobą drzwi. Zrzuciłem płaszcz i usiadłem na kanapie. - Coś mi się zdaje, że ostatnio jesteśmy popularni.

Podeszła bliżej, klęknęła przy mnie i popatrzyła mi prosto w twarz.

- To oko źle wygląda. Przyniosę trochę lodu z zamrażarki.

Odprowadziłem ją spojrzeniem. Miała na sobie dzinsy i niebieski sweterek, który pewnie kupiła pod moją nieobecność. Włosy upięła z tyłu, więc mogłem bez przeszkód podziwiać zgrabne proporcje jej ramion, smukłej talii i krągłych bioder. Dosłownie chwilę później tak bardzo jej zapragnąłem, że niemal zapomniałem o obolałych plecach. Każdy żołnierz, który był na wojnie, może wam powiedzieć, że zaraz po bitwie przychodzi chłoda. Najpierw walczysz o życie, a potem ci twardo staje. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale to prawda.

Midori wróciła z lodem i ręcznikiem. Zakłopotany poruszyłem się na kanapie. Ból przeszył mnie jak błyskawica, lecz to nie pomogło. Midori klęknęła obok, przyłożyła mi lód do oka i drugą ręką pogładziła po zwichrzonych włosach. Lepiej, żeby wysypała mi pojemnik lodu w krocze.

Łagodnie pchnęła mnie na oparcie. Skrzywiłem się, bo była stanowczo za blisko.

- Tak cię boli? - spytała. Jej dotyk natychmiast zelżał.

- To nie oko - odparłem. - Facet nie tylko podrapał mi twarz, ale jeszcze przyłożył w plecy laskę. Wszystko będzie dobrze.

Wciąż trzymała lód przy mojej skroni, a drugą ręką dotykała moje go policzka. Siedziałem sztywno, speszony, i bałem się poruszyć. Powoli wracałem do siebie.

W pewnym momencie Midori przesunęła rękę, jakby się zmęczyła; chciałem jej zabrać okład, lecz po prostu położyłem dłoń na jej dłoni. Czułem ciepło bijące od jej ręki, a pod palcami chłodne kostki lodu.

- Bardzo dobrze... - mruknąłem. Nie spytała, czy mam na myśli okład, czy jej rękę. Sam tego nie wiedziałem.

- Długo cię nie było - odezwała się po chwili. - Nie wiedziałam, co robić. Najpierw chciałam zadzwonić, ale potem pomyślałam sobie, że może jednak masz coś wspólnego z tymi, którzy byli u mnie. Że to zwyczajny podstęp, abym ci zaufała. Sam rozumiesz: zły gliniarz, dobry gliniarz...

- Na twoim miejscu myślałbym to samo. Wiem, jak to wygląda.

- Wszystko wydawało mi się takie nierealne... dopóki teraz cię nie zobaczyłam.

Popatrzyłem na ręcznik, upstrzony czerwonymi plamkami w miejscu, w którym dotykał mojej twarzy.

- Nic tak nie budzi przekonania jak odrobina krwi.

- To prawda. Przypomniało mi się, jak kopnąłeś tego faceta w holu. Pamiętam, jak krew chlustała mu z nosa. Gdybym na własne oczy tego nie widziała, nie wróciłabym z zakupów do hotelu.

- Dobrze, że go kopnąłem w głowę.

Roześmiała się miękko i znów przycisnęła ręcznik do mojej twarzy.

- Powiedz mi, co się stało.

- Masz może coś do jedzenia? - zapytałem. - Umieram z głodu.

Sięgnęła do plastikowej torby na kanapie.

- Kupiłam parę *bento*. Tak na wszelki wypadek.

- Poczekaj chwilę - powiedziałem i z wilczym apetytem zjadłem kilka ryżowych kulek, jajka i jarzyny. Potem wypilem puszkę soku wieloowocowego. Wspaniała uczta.

Kiedy już się posiłem, przesiadłem się, żeby ją lepiej widzieć.

- Było u mnie dwóch ludzi - zacząłem. - Jednego znałem. To dupek z PLD. Przedstawiał się jako Benny. Okazało się, że pracował dla CIA. Kojarzysz go? Ojciec ci coś mówił?

Pokręciła głową.

- Nie. Nigdy nie wspominał nic o CIA.

- Jasne. Ten drugi to *kendoka*, machał laską jak mieczem. Nie wiem, skąd się tam wziął. Zabrałem im komórki. Może w ten sposób dojdziemy, kto za tym wszystkim stoi.

Wziąłem od niej okład i przytrzymując go przy oku, przechyliłem się przez kanapę, sięgając do płaszcza. Oczywiście znów mnie łupnęło w plecach. Przyciągnąłem płaszcz bliżej, wsunąłem rękę do wewnętrznej kieszeni i wyjąłem oba telefony. Zwykle DoCoMo, małe i płaskie.

- Benny powiedział mi, że Agencja szuka płyty. Nie wiem, dlaczego przyszli do mnie. Może podejrzewają... Może podejrzewają, że chcę ci coś powiedzieć lub wyjaśnić? Że potrafię zrobić użytek z pewnych informacji? Sądzą, że się czegoś domyślam albo że wejdem im w paradę?

Dobrze, najpierw *kendoka*. Otworzyłem jego telefon i nacisnąłem klawisz „recall”. Na ekranie pojawił się numer.

- To na początek. Spróbujemy ustalić, do kogo dzwonił. Może ma też jakieś numery w opcji szybkich połączeń. Mój zaufany kumpel na pewno to rozgryzie.

Wstałem, krzywiąc się z bólu.

- Musimy zmienić hotel. Nie powinniśmy się zbyt odróżniać od innych szczęśliwych klientów.

Uśmiechnęła się.

- Chyba masz rację.

Przenieśliśmy się całkiem niedaleko, do przybytku pod nazwą Morocco, urządzonego niczym pałac z *Baśni tysiąca i jednej nocy* - orientalne dywany, nargile, bransolety i cały wybór strojów, jakby prosto z haremu dla pań, które lubią takie przebieranki. Rozkosze godne beduina, lecz tylko jedno łóżko. Zerknąłem na kanapę, jakby to było koło tortur.

- A może dziś prześpisz się w łóżku? - zapytała Midori, chyba czytając w moich myślach. - Z tymi plecami na kanapie będzie ci strasznie niewygodnie.

- Nie, nic nie szkodzi... - bąknąłem dziwnie zakłopotany. - Kanapa mi wystarczy.

- Ja tam śpię - oznajmiła z przekornym uśmiechem.

W końcu przystałem na tę propozycję, lecz wcale nie spałem dobrze. Śniło mi się, że idę przez gęstą dżunglę w pobliżu Tchepone w południowym Laosie, ścigany przez oddział Armii Północnego Wietnamu. Nie wiem, w jaki sposób zgubiłem własną grupę. Byłem zupełnie zdezorientowany. Ciągle kluczyłem i wracałem po własnych śladach, ale nie mogłem zmylić pościgu. Okrążyli mnie. Dobrze wiedziałem, że za chwilę wezmą mnie do niewoli i zostaną poddany najgorszym torturom. Zobaczyłem Midori. Prosiła, abym wyciągnął broń. „Nie pozwól, żeby mnie złapali - powiedziała. - Pomóż mi. Weź pistolet. Nie martw się o mnie. Obroń jedynie moich Yardów”.

Zerwałem się gwałtownie i usiadłem na łóżku. Spokojnie, John. To tylko sen. Mocno napiąłem mięśnie brzucha i ze świstem wciągnąłem powietrze przez nozdrza. Wydawało mi się, że gdzieś koło mnie stoi Crazy Jake.

Miałem zupełnie mokrą twarz. Pomyślałem, że to znowu krew, więc przyłożyłem rękę do policzka i spojrzałem na palce. Zobaczyłem jedynie łyż. Co się, do diabła, dzieje?

Księżyc wisiał nisko na niebie i zalewał pokój srebrnym światłem. Midori siedziała na kanapie z kolanami podciągniętymi pod brodę.

- Złe sny? - spytała.

Przesunąłem kciukiem po bokach twarzy.

- Od dawna nie śpisz?

Wzruszyła ramionami.

- Od jakiegoś czasu. Rzuciłeś się po całym łóżku.  
- Mówiłem coś?  
- Nie. Myślisz, że przez sen możesz się wygadać?  
Zerknąłem na nią. Jedną połowę twarzy miała oświetloną poświatą księżycy, a drugą w cieniu.

- Tak - odparłem.  
- Co to za koszmar?  
- Nie wiem - skłamałem. - Zwykła gra wyobraźni.  
Czułem, że na mnie patrzy.  
- Chcesz, żebym ci zaufała - westchnęła. - Ale sam boisz się rozmawiać ze mną o swoich lękach.

Już zamierzałem jej coś odpowiedzieć, ogarnęła mnie jednak nagle cholerna złość, więc wstałem z łóżka i pomaszerowałem do łazienki.

Nie chcę twoich pytań, pomyślałem. Nie chcę się o ciebie martwić. Pieprzony Holtzer, CIA, wiedzą, że jestem w Tokio. Wiedzą, gdzie mieszkam. Mam dość kłopotów.

Ale to ona była kluczem do tej zagadki. Ojciec na pewno jej powiedział lub wręczył coś, czego szukał tajemniczy włamywacz w dzień jego pogrzebu. Dlaczego, kurna, do tej pory nie domyśliła się, co to jest?

Wróciłem do pokoju i stanąłem przed nią.

- Midori... Zastanów się jeszcze. Przypomnij sobie. Ojciec na pewno nic ci nie dał? O niczym ważnym nie wspominał?

- Nie. Już ci mówiłam - odparła zaskoczona.  
- Po jego śmierci ktoś włamał się do mieszkania.  
- Wiem. Dzwonili do mnie z policji w tej sprawie.  
- Kłopot w tym, że złodziej nie znalazł tego, czego szukał. Teraz myśli, że to jest u ciebie.

- W każdej chwili możesz obejrzeć dom ojca. Wciąż mam klucze i nawet tam nie posprzątałam.

Włamywacz wyszedł z pustymi rękami, a mój dawny przyjaciel Tatsu, z właściwą sobie werwą i energią, chwilę później wkroczył tam z ekipą śledczą Keisatsucho. Jeszcze jeden ślepy zaułek... Rozdrażniła mnie jej odpowiedź.

- To nic nie da. Jak sądzisz, czego naprawdę szukali? Płyty? Czegoś, co jest na niej? Klucza? Nic nie masz?

Zauważyłem, że poczerwieniała lekko.

- Ile razy mam ci to powtarzać?

- Spróbuj wysilić pamięć.



- Nie! -zawołała ze złością. -Jak mogę sobie przypomnieć o czymś, czego w ogóle nie mam?

- A skąd wiesz, że tego nie masz, skoro niczego nie pamiętasz?

- Po co ciągle pytasz? Dlaczego mi nie wierzysz?

- Bo to wszystko nie ma najmniejszego sensu! Coś ci powiem: nie lubię, kiedy chcą mnie zabić nie wiadomo za co!

Przerzuciła nogi przez krawędź kanapy i wstała.

- Och, wciąż mówisz wyłącznie o sobie! Myślisz, że mi się to podoba?! Nic nie zrobiłam! Tak samo nie wiem, dlaczego mnie ścigają!

Powoli wypuściłem powietrze, żeby utrzymać nerwy na wodzy.

- Wszyscy uważają, że masz tę cholerną płytę. Albo że wiesz, gdzie ją znaleźć.

- Nie wiem! *Oai nikusama! Mattaku kokoroattari ga nai wa yol Mo nan do mo so itteruja nai yol* Nic nie wiem! Już ci to mówiłam!

Staliśmy przy łóżku, ciężko dysząc, i patrzyliśmy na siebie.

- W ogóle nie dbasz o to, co się ze mną stanie - powiedziała Midori. - Jesteś dokładnie taki sam jak oni.

- To nieprawda.

- Prawda! *Mo ii! Dose anata ga doko-no dare na-no ka sae oshiete kurenain da kara!* Mam dość! Nawet nie chcesz mi powiedzieć, kim naprawdę jesteś!

Podeszła do drzwi, złapała swoją torebkę i zaczęła się pakować.

- Posłuchaj mnie, Midori. - Poszedłem za nią i położyłem rękę na torebce. - Posłuchaj mnie, do wszystkich diabłów! Strasznie zależy mi na tobie. Nie widzisz tego?

Szarpnęła pasek.

- Dlaczego mam ci we wszystkim ufać, skoro ty nie chcesz mi uwierzyć? Nic nie wiem! Nie wiem!

Wyrwałem jej torebkę.

- Dobrze, już ci wierzę.

- Akurat. Oddaj mi torebkę. Oddaj!

Próbowała ją chwycić. Szybko schowałem rękę za siebie.

W oczach Midori odbiło się niedowierzanie. Nagle zaczęła tłuc mnie pięściami w piersi. Rzuciłem torebkę i otoczyłem ją ciasno ramionami, żeby powstrzymać dalszy atak.

Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętam, co się potem działo. Midori szarpała się w moim uścisku, a ja usiłowałem złapać ją za ręce. Naraz uświadomiłem sobie, że jest bardzo blisko, a chwilę później japoła-

wałem. Ktoś mógłby pomyśleć, że wciąż się bijemy, a tak naprawdę to nawzajem zrywaliśmy z siebie ubranie.

Kochaliśmy się na podłodze, obok łóżka, długo i namiętnie. Czasami trochę to przypominało walkę. Nawet pulsujący ból w plecach wydawał mi się dziwnie słodki.

Potem ściągnąłem kołdrę, żeby czymś nas okryć. Siedzieliśmy, oparci plecami o łóżko.

- *Yokatta* - powiedziała Midori, przeciągając ostatnią sylabę. - Nieźle. Dużo lepiej niż sobie na to zasłużyłeś.

Byłem oszołomiony. Dawno już czegoś takiego nie przeżyłem. To mnie trochę deprymowało.

- Wciąż mi nie ufasz - mruknęła - i to najbardziej boli.

- Tu nie chodzi o zaufanie, tylko... - urwałem. - Wierzę ci. Przepraszam, że byłem upierdliwy.

- Mówię o twoim śnie.

Przycisnąłem palce do oczu.

- Midori, ja... nie mogę. Nie potrafię... - Cholera, zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć. - Nie mówmy o tym. Nie byłaś tam, więc nie zrozumiesz.

Wyciągnęła rękę i delikatnym ruchem oderwała moje dłonie od oczu. Niemal bezwiednie przytrzymała je na swoim brzuchu. Jej skóra i piersi pięknie wyglądały w bladej poświacie księżyca. W zagłębieniach nad obojczykiem kładły się smugi cienia.

- Czuję, że chcesz o tym z kimś pogadać - powiedziała. - Niech to będę ja.

Spojrzałem na pogniecioną kołdrę i splecione prześcieradło. Srebrny blask wydobywał z mroku góry i doliny jak na niezemskim krajobrazie.

- Moja matka... była katoliczką. Jak byłem mały, zawsze brała mnie do kościoła. Mój ojciec tego nienawidził. Często się spowiadałem. Mówiłem księdzu o moich wszystkich lubieżnych myślach, o częstych bójkach i o dzieciach, których nie lubiłem i którym źle życzyłem. Z początku było to jak rwanie zęba, jednak z czasem się przyzwyczaiłem. Ale to przedwojenne czasy. Podczas wojny robiłem rzeczy... za które nie ma rozgrzeszenia.

- Jeśli będziesz je w sobie dusił, zabiją cię niczym trucizna. Już zabijają.

Chciałem z nią porozmawiać. Chciałem to z siebie wyrzucić.

Co ty wyprawiasz? - pomyślałem. Zamierzasz ją odstraszyć?

Niewykluczone... Może to będzie najlepsze rozwiązanie? Nie mogłem powiedzieć prawdy o śmierci jej ojca, mogłem jednak wyznać coś dużo gorszego.

- To bestialstwo, Midori. Mówię o bestialstwie.

Niezły początek rozmowy. Lecz ona umiała dotrzymać mi kroku.

- Nie wiem, co zrobiłeś, ale to było dawno temu. W innym świecie.

- To nie ma najmniejszego znaczenia. Pewnych rzeczy nie można zrozumieć, jeżeli ich się nie zobaczy.

Znów przycisnąłem palce do oczu. Pusty gest wobec obrazów, które wypełniały mi umysł.

- Nawet to trochę lubiłem... Żyłem tym. Mogłem swobodnie działać na tyłach Armii Północnego Wietnamu. Nie każdy to potrafi. Kiedy w oddali cichł warkot odlatujących helikopterów i w dżungli zapadała cisza, niektórzy z naszych panikowali. Nie mogli oddychać. Ja byłem inny. Dwadzieścia razy wyprawiałem się na terytorium wroga. Ludzie mówili, że wykorzystałem już cały zapas szczęścia, ale ja ciągle tam wracałem. Wykonywałem coraz bardziej wariackie zadania. Byłem jednym z najmłodszych „One-Zero”, dowódców Grupy Badań i Obserwacji. Naszą drużynę łączyły bliskie więzi. Pomyśl tylko: dwunastu chłopca przeciwko całym dywizjom armii wietnamskiej... Dobrze wiedziałem, że nikt z moich żołnierzy nie zwieje z pola walki. Oni to samo myśleli o mnie. Wyobrażasz sobie, co to znaczy dla wyrostka, który przez całe życie był prześladowany z powodu swojego mieszanego pochodzenia? - Mówiłem coraz szybciej. - Nie obchodzi mnie, kim jesteś. Jeżeli wleziesz tak głęboko w krew i łajno, to na pewno musisz się upaprać. Jedni ludzie są bardziej podatni od innych, ale w końcu każdemu odbija palma. Dwóch twoich chłopców zostaje rozerwanych wybuchem „Skaczącej Betty”. Nogi tu, reszta tam... Trzymasz w ramionach to, co z nich zostało w ostatniej chwili życia, i powtarzasz: „Hej, nic się nie martw, stary... Wszystko będzie dobrze...” Oni płaczą, ty płaczesz, oni umierają. Potem odchodzisz, uświniony ich krwią i flakami. Zakładasz własne pułapki na wroga, to była jedna z naszych specjalności, wet za wet, lecz w duchu wiesz, że w dwunastu nie sposób wygrać wojny bez względu na to, ilu wykończysz i ilu twoich jeszcze zginie. Znów liczysz straty. Coś w tobie wzbiera... frustracja, gniew, obłądła wściekłość... Pewnego dnia idziesz przez wieś z narzędziem śmierci na ramieniu. Broń się kołysz, lufą do przodu. W przód, w tył, w przód, w tył... Jesteś w tak zwanej *free-fire zone*, czyli każdego, kto się zacho-

wuje choć trochę podejrzenie, masz potraktować jak partyzanta. Wywiad powiedział ci, że to obszar wzmożonej aktywności Wietkongu, że kontrolują pół sektora i przemycają broń idącą dalej na południe, Szlakiem Ho Chi Minha. Chłopi patrzą na ciebie ciężkim wzrokiem, a *ma-ma-san* wołają: „*Jiey, Joe, youfuck mommie, you number ten*”<sup>\*</sup> albo coś takiego. Oczywiście, ufasz raportom wywiadu. Dwie godziny temu straciłeś na minie kolejnego kumpla. Ktoś musi za to zapłacić. Wziąłem dwa głębokie oddechy.

- Powiedz mi, żebym przestał, bo będę mówił dalej.

Midori milczała.

- Wieś nazywała się Cu Lai. Zagoniliśmy wszystkich mieszkańców razem, może czterdziestu albo pięćdziesięciu, wliczając kobiety i dzieci. Na ich oczach spaliliśmy domy. Zastrzeliliśmy wszystkie zwierzęta. Zmasakrowaliśmy świnie i krowy. Prawdziwa ulga, wiesz? Katharsis. Ale to jeszcze za mało. Co zrobić z wieśniakami? Sięgnąłem po radiostację, chociaż nie powinienem, bo wróg mógłby szybko nas namierzyć i ustalić naszą pozycję. Co mamy zrobić z tymi ludźmi? Przed chwilą spaliliśmy wieś. Tymczasem ten gość z drugiej strony - do dzisiaj nie wiem, co to za jeden, mówi: „Na śmietnik z nimi”. W ten sposób wydał wyrok śmierci. Zawsze tak wtedy się mówiło: „Ten i ten poszedł na śmietnik”, „Dziesięciu partyzantów już w śmietniku”.

Milczę więc, a on powtarza: „Na śmietnik z nimi!” To mnie wkurza. Co innego mordować w ogniu walki, niemal w afekcie, a co innego z zimną krwią wykonać rozkaz jakiegoś trepa, podjęty gdzieś na wyższym szczeblu. Nagle się boję, że zbyt blisko podeszliśmy do krawędzi zbrodni. Pytam: „Z kim?” On na to: „Ze wszystkimi!” Mówię: „Mamy ich tu czterdziestu lub pięćdziesięciu. Są kobiety i dzieci. Czy pan to rozumie?” A on w kółko: „Na śmietnik”. „Mogę prosić o pański stopień i nazwisko, sir?”, pytam, bo nagle nie chcę zabić grupy wieśniaków wyłącznie dlatego, że jakiś głos przemawia do mnie przez radio. „Synu - mówi ten głos - możesz być pewny, że jak usłyszysz, z kim masz do czynienia, to się zesrasz w portki. Jesteście w strefie zagrożenia. A teraz zrób, co powiedziałem”. Uparcie domagałem się potwierdzenia tego rozkazu. W słuchawce usłyszałem głosy dwóch innych ludzi, podobno zwierzchników pierwszego. Jeden z nich wrzasnął: „Otrzymaliście bezpośredni rozkaz na mocy uprawnień Naczelnego Dowództwa Sił

<sup>\*</sup> Hej, Joe, ty pierdolisz mamuszkę, jesteś w dechę (przyp. tłum.).

Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Musicie go wykonać albo poniesiecie surowe konsekwencje!"

Wróciłem do kumpli, żeby to obgadać. Pilnowali chłopów. Powiedzialem im, co przed chwilą usłyszałem. Większość czuła podobnie jak ja: z miejsca ochłonęli i jakby się zlekli. Niektórzy się oburzali. „A niech to chuj strzeli! - wołali. - Chcą nas zrobić. Nic z tego!" Każdy się wahał.

Miałem przyjaciela, Jimmy'ego Calhouna, na którego wszyscy wołali Crazy Jake. Początkowo nic nie mówił. Nagle jednak się odezwał: „Pizdy z was. Na śmietnik, to na śmietnik". Zaczął krzyczeć do chłopów po wietnamsku: „Na ziemię! Wszyscy na ziemię! *Num swyM!*" Wieśniacy go posłuchali. Patrzyliśmy na niego ze zdumieniem niepewni, co będzie dalej. A Jimmy nawet nie zrobił przerwy, lecz dał krok w tył, przycisnął kolbę do ramienia i bach! bach! - zaczął strzelać. To było straszne. Nikt nie próbował uciekać. Wreszcie któryś z chłopaków wrzasnął: „Pieprzony Crazy Jake!", i też chwycił za karabin. Po chwili wszyscy grzaliśmy jak wściekli do tych chłopów. Huk strzałów, szcęk pustego magazynka, zgrzyt zwalnianego zamka, nowy magazynek i znów strzelanina.

Mówiłem mocnym głosem, patrząc gdzieś przed siebie, w głąb wspomnień.

- Gdybym mógł cofnąć się do tamtej chwili, to pewnie chciałbym ich powstrzymać. Wiem, że tak. Nie wziąłbym w tym udziału. Wspomnienia jednak ciągle mnie ścigają. Wymykam im się już ćwierć wieku, ale to tak, jakbym próbował uciec przed własnym cieniem.

Zapadła chwila napiętej ciszy. Wyobrażałem sobie, co myśli Midori... Kochałam się z potworem.

- Szczerze mówiąc, wołałabym tego nie wiedzieć - potwierdziła moje podejrzenia.

Wzruszyłem ramionami. Czułem w sobie pustkę.

- Może lepiej, że wiesz.

Pokręciła głową.

- Nie o to chodzi. Twoja historia jest bardzo smutna. Strach bierze, przez co przeszedłeś. Nigdy nie myślałam, że wojna ma tak... osobisty wymiar.

- Miała. Dla obu stron. Żołnierzom wietnamskiej armii wręczano specjalne medale za każdego zabitego Amerykanina. Dowodem była odcięta głowa. A ten, kto zabił kogoś z Grupy Badań i Obserwacji, do-

stawał premię w wysokości dziesięciu tysięcy piastrow, czyli równowartość kilkumiesięcznej pensji.

Znowu dotknęła mojej twarzy. W jej oczach zobaczyłem głębokie współczucie.

- Masz rację. Przeżyłeś prawdziwe piekło. Nie wiedziałam.

Delikatnie odsunąłem jej rękę.

- Hej, nie znasz jeszcze najlepszej części. Raport wywiadu, że wieś jest kryjówką Wietkongu? Bzdura. Żadnych tuneli ani schowków z bronią albo ryżem.

- *Sonna, sonna koto...*- powiedziała.- To znaczy... Ale John, przecież nie mogłeś wiedzieć...

Wzruszyłem ramionami.

- Żadnych śladów opon, na przykład ciężarówek. Nikt z nas nawet nie pomyślał, żeby to dobrze sprawdzić, zanim zaczęliśmy strzelać.

- Byliście młodzi. Na pewno zaślepieni strachem i gniewem.

Czułem, że wciąż patrzy na mnie. No i dobrze. Po tak długim czasie słowa były martwe. Puste dźwięki, bez żadnego znaczenia.

- O tym mówiłeś podczas naszego pierwszego spotkania? - zapytała. - Podobno brak ci tolerancji. Nie potrafisz sobie wybaczyć?

Pamiętałem tamtą rozmowę. Midori spojrzała wtedy na mnie, jak-by chciała zapytać o coś więcej, ale nie zapytała.

- Nie wiem. Myślałem raczej o innych ludziach. Ale zapewne mnie to też dotyczy.

Powoli pokiwała głową.

- Mam przyjaciółkę w Chibie, Mikę. Gdy byłem w Nowym Jorku, zdarzył jej się wypadek. Potrafiła samochodem małą dziewczynkę, bawiącą się na ulicy. Mika jechała wtedy z wymaganą prędkością, czterdzieści pięć na godzinę. Dziewczynka była na rowerku. Wyjechała jej wprost pod koła. Po prostu pech. Nic się nie dało zrobić. Jo mógł być każdy, kto by się zjawił w tym miejscu, w tym czasie.

W pewnym sensie wiedziałem, do czego zmierza. Zdawałem sobie z tego sprawę od samego początku -jeszcze zanim trafiłem w ręce konowalów, którzy nagle postanowili sprawdzić, jak sobie radzę ze szczególnie stresem, związanym ze służbą w Grupie Badań i Obserwacji. Psychiatra mówił do mnie to samo: „Jak można się obwiniać za niektóre rzeczy? Przecież pan nie miał na to najmniejszego wpływu!”

Pamiętałem tę rozmowę. Ze złością, ale i z rozbawieniem przysłuchiwałem się tym bzdurom, którymi chciał mnie zmusić do wynurzeń.

Wreszcie spytałem: „Zabił pan kogoś, panie doktorze?” Nie odpowiedział, więc wyszedłem. Do dzisiaj nie wiem, co mi napisał w karcie. Nie zwolnili mnie wtedy z grupy. To było dopiero później.

- Nadal pracujesz z tymi ludźmi? - zapytała Midori.

- Mam z nimi pewien kontakt - odparłem.

- Dlaczego? - Chciała wiedzieć. - Dlaczego tak się trzymasz czegoś, co sprawia, że masz koszmary?

Spojrzałem w okno. Księżyc stał już wyżej na niebie. Błada poświata z wolna znikwała z pokoju.

- Trudno to wyjaśnić - powiedziałem powoli. Popatrzyłem na jej włosy, połyskujące w świetle niczym pionowa tafla wody. Przesunąłem po nich palcami, wziąłem w garść i pozwoliłem, żeby prześliznęły mi się przez palce. - Pewne sprawy z Wietnamu założyły mi za skórę, gdy wróciłem do Stanów. Są rzeczy, które należą wyłącznie do pola walki. Niestety, kiedy odchodzisz, wloką się za tobą. Po wojnie nie umiałem wrócić do dawnego życia. Chciałem pojechać do Azji, bo tam moje upiory czuły się nieco lepiej. Ale to nie tylko kwestia geografii. Wojna usprawiedliwiała wszystko, co robiłem. To wtedy miało sens. Muszę więc toczyć wojnę, aby jakoś żyć z tymi duchami.

Jej oczy były jak dwa ciemne jeziora.

- Nie możesz wiecznie być na wojnie, John.

Uśmiechnąłem się do niej słabo.

- Rekin musi wciąż pływać, bo inaczej zdechnie.

- Nie jesteś rekinem.

- Sam nie wiem, czym jestem. - Palcami potarłem skronie, chcąc wymazać obrazy, bliskie i dalekie, błędzące w mojej głowie. - Nie wiem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Ogarnęła mnie senność i przymknąłem powieki. Wiedziałem, że niedługo tego pożałuję. Czuję to ostatnią cząstką świadomości. Ale teraz chciałem już tylko spać. Co się stało, to się nie odstanie.

Zasnąłem, lecz ból w plecach budził mnie co chwilę i wtedy spoglądałem na śpiącą Midori. Gdyby nie jej widok, pewnie bym nie wierzył we wszystko, co zaszło. Potem znów zapadałem w sen, gdzie czekały na mnie inne, bliższe upiory - gorsze od tych, o których jej powiedziałem.

## Część 2

*W chwili kiedy mają uderzyć o siebie wasze miecze - uważaj.  
Uważaj, abys nie uniół miecza nawet opól cala za wysoko,  
a uderzył jak najmocniej umiesz.*

Miyamoto Musashi *Go rin-no sho* - *Księga pięciu kręgów*  
przełożyła Agnieszka Żuławska-Umeda



## 14

Następnego dnia usiadłem plecami do ściany w moim ulubionym miejscu w Las Chicas. Czekałem na samego Franklina Bulfincha.

Był chłodny, ale słoneczny ranek i czułem się nawet nieźle, wtulony między smugi światła padającego z okien. Mój nastrój odpowiadał po trosze pretensjonalnej atmosferze Las Chicas. Nosilem supermodne ciemne okulary firmy Oakley, kupione gdzieś po drodze.

Midori była bezpiecznie ukryta w dziale muzycznym pobliskiego Spiral Building na Aoyama-dori, na tyle blisko, żeby w razie potrzeby spotkać się z Bulfinchem, i na tyle daleko, aby nie ucierpieć, gdyby coś poszło nie tak. Przed niecałą godziną dzwoniła do Bulfincha, prosząc o spotkanie. Przypuszczałem, że jest rasowym reporterem i przyjdzie sam, ale z drugiej strony, gdybym się pomylił, nie chciałem niepotrzebnie dawać mu przewagi, żeby mógł rozlokować siły.

Łatwo go rozpoznałem, kiedy szedł do lokalu. Ten sam wysoki i chudy mężczyzna w okularach w cienkiej oprawce, którego widziałem w pociągu. Szedł energicznie, pewny siebie i prosty jak świeca. Tak jak poprzednio pomyślałem, że ma w sobie coś z arystokraty. Był ubrany w dżinsy, adidas i niebieską bluzę. Minał patio, wkroczył do środka, przystanął i rozejrzał się w lewo i prawo, szukając Midori. Ledwie mnie musnął wzrokiem, bez żadnej reakcji.

Poszedł w kierunku toalety, prawdopodobnie po to, żeby sprawdzić drugą część restauracji, na tyłach budynku. Domyślałem się, że za chwilę wróci, więc skorzystałem z okazji, by dłużej popatrzeć na ulicę. Ktoś śledził go w Alfie - mogło tak być i teraz.

Ale ulica była pusta. Bulfinch ponownie zjawił się minutę później. I znów się rozglądał. Wreszcie przypadkiem spojrzął na mnie.

- Pan Bulfinch? - powiedziałem cicho.
- Patrzył przynajmniej przez sekundę, zanim spytał:
- Znamy się?
- Jestem przyjacielem Midori Kawamury. Prosiła mnie, żebym przyszedł za nią.
- Gdzie ona jest?
- Znalazła się w niebezpieczeństwie. Musi być bardzo ostrożna.
- Zjawia się tutaj?
- To zależy.
- Od czego?
- Przyjdzie, jeśli uznam, że nic jej nie grozi.
- Kim pan jest?
- Już mówiłem: jej przyjacielem. Interesuje mnie dokładnie to samo, co pana.
- To znaczy?
- Popatrzyłem na niego przez ciemne okulary.
- Pewne CD.
- Zawahał się, zanim odpowiedział.
- Nic o tym nie wiem.
- Jasne.
- Trzy tygodnie temu, tuż przed śmiercią w pociągu linii Yamano-te ojciec Midori zamierzał oddać panu pewną płytę. Nie miał jej przy sobie, więc w następny piątek poszedł pan do klubu Alfie i śledził Midori. Spotkaliście się w Starbucks przy Gaien-higashi-dori, w pobliżu Almond, w Roppongi. Tam spytał ją pan o płytę, ale nie powiedział, co jest na niej nagrane, wiedząc, że jej zawartość może być niebezpieczna. Niestety, tym spotkaniem zwrócił pan uwagę przeciwnika na Midori, bo był pan śledzony od chwili wyjścia z Alfie. To chyba wystarczy, aby mi pan uwierzył.
- Wciąż nie zamierzał usiąść.
- Żeby to wiedzieć, nie musiał pan rozmawiać z Midori. Drobne luki można wypełnić domysłami. Może to pan mnie śledził?
- Wzruszyłem ramionami.
- Myśli pan, że godzinę temu, gdy dzwoniła do pana, to też byłem ja i mówiłem jej głosem?
- Pomyślał chwilę, po czym podszedł do stolika i usiadł wyprostowany, z rękami na blacie.
- Dobrze. Co może mi pan powiedzieć?

- Właśnie chciałem zadać to samo pytanie.
- Niech pan posłucha, jestem dziennikarzem. Pisuję artykuły. Ma pan dla mnie jakieś istotne informacje?
- Muszę wiedzieć, co jest na płycie.
- Ciagle pan mówi tylko o tym.
- Panie Bulfinch. - Rzuciłem okiem na ulicę. Nadal była pusta. - Pewni ludzie są święcie przekonani, że to CD jest teraz u Midori. Nie comąsię przed niczym. Dziewczynie grozi śmierć, przede wszystkim dlatego, że przyszedł pan do Alfie. Więc niech pan przestanie pieprzyć, dobrze?

Zdjął okulary i westchnął.

- Przyjmijmy na moment, że płyta istnieje. Co z tego, że się pan dowie, co na niej jest nagrane? Jak to ma pomóc Midori?

- Jest pan dziennikarzem. Przypuszczam, że chciałby pan opublikować pewne informacje zawarte na hipotetycznej płycie.

- Można tak przyjąć.

- Można też przyjąć, że niektórzy ludzie woleliby raczej nie widzieć tego artykułu.

- Całkiem rozsądne rozumowanie.

- Świetnie. Midori znalazła się na linii strzału z powodu zagrożenia pańskim artykułem. Niebezpieczeństwo minie z chwilą, gdy zawartość płyty wyjdzie na jaw. Mam rację?

- Jest w tym pewna logika.

- Wniosek stąd, że obaj dążymy do tego samego. Chcemy ujawnić informacje zebrane przez Kawamurę.

Poruszył się na krześle.

- Rozumiem. Ale wolałbym najpierw zobaczyć Midori.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Ma pan telefon komórkowy?

- Tak.

- Proszę mi go pokazać.

Sięgnął do lewej kieszeni bluzy i wyjął mały aparat z klapką.

- Znakomicie - odparłem. - Niech pan go schowa i idziemy.

Zanim zdążył to zrobić, wyjąłem długopis i kartkę, żeby mu napisać polecenia. Instynkt mi podpowiadał, że Bulfinch nie ma przy sobie mikrofonu, ale instynkt nie zawsze bywa niezawodny.

„Nie wolno panu pod żadnym pozorem sięgnąć do tego telefonu, chyba że na moją prośbę - napisałem. - Razem wyjdziemy z restauracji. Na zewnątrz stanie pan na chwilę, abym mógł sprawdzić, czy

nie ma pan przy sobie żadnej broni. Potem pójdziemy tam, gdzie panu wskażę. W pewnym momencie dam panu znać, dokąd idziemy. Jeżeli ma pan teraz jakieś pytania, to niech pan je napisze. Jeżeli nie, proszę mi oddać kartkę. Od tej chwili niech pan nic nie mówi, dopóki pierwszy się nie odezwę".

Pchnąłem kartkę w jego stronę. Wziął ją jedną ręką, a drugą włożył okulary. Przeczytał, oddał kartkę i skinął głową.

Złożyłem papier na pół i razem z długopisem schowałem do kieszeni marynarki. Położyłem na stole tysiąc jenów za kawę, którą wypilem wcześniej, i dałem Bulfinchowi znak do wyjścia.

Po paru sekundach znaleźliśmy się przed restauracją. Obszukałem Bulfincha i, co mnie nie zdziwiło, stwierdziłem, że jest całkiem czysty. Idąc, trzymałem się lekko z boku, za nim. W ten sposób pełnił rolę żywej tarczy, gdyby przypadkiem doszło do najgorszego. W tej okolicy znałem wszystkie dobre miejsca, z których ktoś mógłby nas obserwować lub czekać w zasadzce. Rozglądałem się, czy nie zobaczę kogoś, kto nie pasuje do obrazu - kogoś, kto przyszedł za Bulfinchem i czekał, co będzie dalej.

Od czasu do czasu mówiłem: „w lewo" albo „w prawo" i w ten sposób dotarliśmy do Spiral Building. Minęliśmy szklane drzwi i poszliśmy do działu muzycznego, gdzie czekała na nas Midori.

- Kawamura-san. - Bulfinch uklonił się na jej widok. - Dziękuję za telefon.

- To ja dziękuję, że pan przyszedł. Obawiam się, że poprzednim razem nie byłam z panem całkiem szczerą. Nie jestem tak nieobeznana we wszystkich sprawach dotyczących ojca, jakby się mogło panu zdawać. Ale nic nie wiem o żadnej płytce. Jedyne to, co mi pan powiedział.

- W takim razie nie wiem, jak mogę pani pomóc - odparł.

- Niech nam pan powie, co tam jest nagrane - wtrąciłem.

- Co to pomoże?

- Na pewno nie zaszkodzi - odpowiedziałem. - Do tej pory błądzimy zupełnie po omacku. Wspólnymi siłami szybciej znajdziemy tę płytę niż każdy oddzielnie.

- Proszę, panie Bulfinch - dodała Midori. - Parę dni temu cudem uniknęłam śmierci. Niech pan mi pomoże.

Bulfinch skrzywił się, popatrzył na nią, a potem na mnie. Wodził tak wzrokiem kilka razy.

- Dobrze - powiedział po dłuższej chwili. - Pani ojciec zadzwonił do mnie przed dwoma miesiącami. Zapewniał, że czytuje moją kolumnę w „Forbesie”. Przedstawił się i powiedział, że chciałby mi pomóc. Typowy *whistle-blower*\*.

Midori zerknęła na mnie.

- W tym czasie był u lekarza.

- Słucham? - zapytał Bulrinch.

- Miał raka płuc. To właśnie wtedy się dowiedział, że zostało mu niewiele życia.

Dziennikarz ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Ach, tak. Nic o tym nie wiedziałem. Przykro mi.

Midori lekkim skinieniem głowy podziękowała mu za wyrazy współczucia.

- Proszę mówić dalej.

- W ciągu miesiąca kilkakrotnie widziałem się z pani ojcem. W trakcie tych potajemnych spotkań zapoznał mnie z korupcją w Ministerstwie Budownictwa, które, o ile mi wiadomo, pełniło rolę pośrednika pomiędzy Partią Liberalno-Demokratyczną i gangami yakuzy. Otrzymałem bezcenne dane, dotyczące istoty i rozmiarów korupcji we współczesnym japońskim społeczeństwie. Ale potrzebowałem potwierdzenia.

- Jakiego potwierdzenia? - spytałem. - Nie mógł pan po prostu tego wydrukować i napisać, że wiadomość pochodzi „z wiarygodnych źródeł w Ministerstwie Budownictwa”?

- W normalnej sytuacji tak - odparł Bulfinch. - Jednak w tym przypadku pojawiły się dwa problemy. Po pierwsze, Kawamura zajmował w ministerstwie takie stanowisko, które dawało mu odrębny dostęp do wszelkich tajnych informacji. Gdybym pokusił się o więcej, to równie dobrze mógłbym podpisać artykuł jego imieniem i nazwiskiem.

- A drugi problem? - zapytała Midori.

- Efekt. Przecież już dużo wcześniej napisałem co najmniej z pół tuzina różnych artykułów, dotyczących korupcji w kręgach Kawamury. Japońska prasa tego nie podjęła. Dlaczego? Ponieważ politycy tworzą i egzekwują prawa, które mogą promować albo zniszczyć każde rodzime przedsiębiorstwo. A przedsiębiorstwa to dla gazet ponad połowa wpływów z reklam. Jeśli na przykład jakaś gazeta źle coś napisze

\* Osoba ujawniająca przypadki korupcji w macierzystej firmie lub organizacji - nie mylić z donosicielem (przyp. tłum.).

o polityku, to ten polityk zaraz dzwoni do swoich ludzi w kilku firmach, każe wycofać im reklamy i przenieść je do konkurencji. W ten sposób dany tytuł pada. Rozumiecie? Jeżeli macie dziennikarza, który próbuje coś ustalić na własną rękę, poza rządowymi agencjami *kisha*, to bądźcie pewni, że was zdejmą. A jeśli gracie według reguł, to zawsze znajdą się pieniądze z tej albo z tamtej kasy. Wierzcie mi, tutaj nikt nie ryzykuje. Prawdę uważa się za chorobę. Chryste, japońska prasa jest najbardziej potulna w świecie.

- Ale dowody? - przerwałem.

- Tak, mocny dowód może wszystko zmienić. Gazety muszą podjąć temat, choćby dlatego, aby udowodnić, że nie są narzędziem w rękach rządu. Skorumpowani politycy nagle utracą pełnię władzy, a dziennikarze wyjdą z cienia. Możemy zacząć dobry proces, który zapoczątkuje takie zmiany, jakich Japonia nie widziała od czasów restauracji Meiji.

- Obawiam się, że trochę pan przesadza z tą swoją wiarą w japońskie media - powiedziała Midori.

Bulfinch pokręcił głową.

- Ani trochę. Znam naprawdę dobrych dziennikarzy, którzy chcą pisać. Ale z drugiej strony muszą być realistami.

- Dowód - wtrąciłem. - Co to takiego?

Bulfinch popatrzył na mnie znad okularów.

- Dokładnie nie wiem. Słyszałem tylko, że to grubsza sprawa. Podobno nie do podważenia.

- W takim razie zamiast do prasy powinniśmy iść do Keisatsucho - zauważyła Midori; wymieniła nazwę agencji policyjnej, w której pracował Tatsu.

- Gdyby twój ojciec poszedł do nich, to nie dożyłby nawet rana - wyręczyłem Bulfincha w odpowiedzi.

- Święte słowa - przytaknął. - Pan Kawamura nie pierwszy próbował walczyć z korupcją. Honma Tadayo. Mówi to coś pani?

Ach, tak... Honma-san. Smutna historia.

Midori pokręciła głową.

- W 1998 roku ogłoszono upadłość Nippon Credit Banku. Wartość portfela pożyczkowego wynosiła wówczas sto trzydzieści trzy miliardy dolarów. Z tego co najmniej trzydzieści sześć miliardów, a prawdopodobnie dużo więcej, poszło na niewłaściwe inwestycje. Część pieniędzy trafiała do świata przestępczego, nawet w postaci nielegalnych wypłat dla Korei Północnej. Podjęto próbę ratowania banku. Odpowiedzialnym

za to miał być powszechnie szanowany, emerytowany dyrektor Bank of Japan, Honma Tadayo. W pierwszej połowie września Honma-san objął funkcję prezesa NCB i od razu zasiadł do ksiąg rachunkowych, żeby wydobyć na światło dzienne prawdę o pożyczkach. Chciał wiedzieć, kto, gdzie, kiedy i dlaczego wydawał pieniądze - wyjaśnił Bulfinch. - Pracował tylko dwa tygodnie. Potem powiesił się w hotelu w Osace. Zostawił listy do rodziny, współpracowników i przyjaciół. Ciało spalono bez autopsji. Policja nawet nie wdrożyła śledztwa; przyjęto wersję o samobójstwie. Niestety, przypadek Honmy nie był odosobniony. Jego śmierć okazała się siódmym „samobójstwem” wśród japońskich finansistów, którzy od 1997 roku próbowali ujawnić machinacje podobne do tych, które doprowadziły do upadku Nippon Credit. W ten sam sposób zginęli między innymi członek parlamentu, zapowiadał, że powie prawdę o funduszach inwestycyjnych, jeden z dyrektorów Bank of Japan, nadzorujący mniejsze instytucje, inspektor Naczelnej Agencji Kontroli Finansowej i dyrektor wydziału do spraw małych i średnich przedsiębiorstw w Ministerstwie Finansów. W żadnej z tych spraw nie podjęto dochodzenia o zabójstwo. Nie pozwoliły na to ukryte siły, rządzące tym krajem.

Pomyślałem o Tatsu i jego teorii spiskowej. Bez zmruczenia oka patrzyłem zza ciemnych szkieł na Bulfincha.

- Chodzą pogłoski o specjalnej brygadzie yakuzy- ciągnął. Zdjął okulary i wytarł je o bluzę. - O specjalistach od „naturalnej śmierci”, którzy nachodzą swoje ofiary nocą w pokojach hotelowych i pod bronią zmuszają do pisania samobójczych listów. Potem szprycują gościa silną dawką środków uspokajających, duszą go i pozorują śmierć przez powieszenie.

- Znalazł pan coś, co mogłoby potwierdzić te domysły? - zapytałem.
- Jeszcze nie. Ale nie ma dymu bez ognia.

Uniósł okulary nad głowę, spojrzął na nie i wsadził na nos.

- Powiem państwu coś jeszcze... Banki to małe piwo w porównaniu z tym, co się dzieje w Ministerstwie Budownictwa. Miliony ludzi znajdują pracę w przemyśle budowlanym; na każde sześć japońskich rodzin, jedna dostaje miskę ryżu właśnie od budownictwa. To także największy sojusznik PLD. Jeżeli ktoś szuka korzeni tutejszej korupcji, to powinien zacząć właśnie od tego. Pani ojciec był odważnym człowiekiem, panno Midori.

- Wiem - odparła.

Ciekawe, czy wciąż była przekonana, że jej ojciec zmarł na zawał serca. W sklepie zrobiło się nadspodziewanie ciepło.

- Powiedziałem wszystko, co wiem - oznajmił Bulfinch. - Teraz wasza kolej.

Popatrzyłem na niego.

- Myśli pan, że Kawamura mógł mieć konkretny powód, żeby nie przynieść płyty?

Bulfinch zastanawiał się przez chwilę.

- Nie.

- Byliście zatem umówieni na sto procent?

- Tak. Jak już mówiłem, odbyliśmy wcześniej kilka ciekawych rozmów. Tego dnia miał mi przekazać dowody.

- A może nie mógł ich ze sobą zabrać? Może nie zdołał załadować danych i dlatego przyszedł z pustymi rękami?

- Nie. Dzień przedtem zadzwonił do mnie i powiedział, że wszystko w porządku.

Coś mnie tknęło. Spojrzałem na Midori.

- Gdzie on mieszkał? - spytałem. Oczywiście znałem odpowiedź, ale nie mogłem się do tego przyznać. - Co to za dzielnica?

- Shibuya.

- Które *chome*?

Każdy okręg Tokio dzieli się na mniejsze kwartały, zwane *chome*.

- San-chome.

- W takim razie na końcu Dogenzaki? Koło stacji?

- Tak.

Odwróciłem się do Bulfincha.

- Gdzie Kawamura miał wsiąść do pociągu?

- Na stacji Shibuya JR.

- Chyba wpadłem na jakiś trop. Muszę to sprawdzić. Zawiadomię pana, jeśli coś z tego wyjdzie.

- Chwileczkę...-zaczął.

- Wiem, że to dla pana niezręczna sytuacja - powiedziałem - ale musi mi pan zaufać. Myślę, że znajdę płytę.

- Jak?

- Powiedziałem, że chyba wpadłem na jakiś trop. - Ruszyłem w stronę drzwi.

- Zaraz! - zawołał za mną. - Idę z panem.

Pokręciłem głową.

- Zawsze pracuję sam.

Złapał mnie za łokieć i powtórzył:



- Idę z panem.  
Popatrzyłem na jego rękę. Po chwili ją opuścił.

- Chcę, żeby pan stąd teraz wyszedł. Niech pan idzie w stronę Omotesando-dori. Ja odstawię Midori w jakieś bezpieczne miejsce i ruszę nowym śladem. Będziemy w kontakcie - oświadczyłem.

Bezradnie spojrział na Midori, bijąc się z myślami.

- Wszystko w porządku - zapewniła go. - Jesteśmy po tej samej stronie.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru - mruknął i obrzucił mnie ciężkim spojrzeniem, które miało wyrażać źle skrywaną niechęć. Aleja wiedziałem, co sobie pomyślał.

- Panie Bulfinch, niech pan mnie nie próbuje śledzić. Jeśli pana gdzieś zauważę, będę mniej przyjacielski.

- Na litość boską, proszę mi powiedzieć, co też takiego pan wymyślił! Może będę umiał pomóc.

- Powtarzam: w stronę Omotesando-dori. - Wskazałem mu ulicę. - Wkrótce odezwę się do pana.

- Oby... - burknął. Podeszedł bliżej i pomimo moich ciemnych okularów spojrział mi prosto w oczy. Miał chłop jaja. - Oby tak było. Skinął głową Midori, skrzyknął w kierunku szklanych drzwi Spiral Building i wyszedł na ulicę.

Midori popatrzyła na mnie.

- Czego się domyśliłeś? - spytała.

- Później - odparłem, obserwując Bulfincha przez szybę. - Teraz znikajmy, zanim wróci i pójdzie za mną lub za tobą. Chodź.

Na ulicy zatrzymałem taksówkę, jadącą w stronę stacji. Kiedy odjeżdżaliśmy, Bulfinch wciąż szedł przed siebie, tak jak mu kazałem.

Rozdzieliliśmy się na stacji Shibuya JR. Midori wróciła do hotelu, a ja poszedłem w górę Dogenzaki - tą samą trasą, którą kiedyś, z pomocą Harry'ego, śledziłem Kawamurę. Wydawało mi się, że to było już bardzo dawno temu. Jeśli przecucie mnie nie zawiodło, to właśnie tutaj, w dzień swojej śmierci, Kawamura zostawił płytę.

Myślałem o nim. Przypominałem sobie jego zachowanie. Zastanawiałem się, co wtedy chodziło mu po głowie.

Przede wszystkim był przerażony. Oto ten dzień. Zdobył płytę, za pomocą której chciał wygnać z kątów wszystkie podłe szczury. Miał ją w kieszeni. Była mała i lekka jak piórko, ale wyraźnie ją wyczuwał. Gdyby go teraz przyłapano, straciłby parę dni życia, jakie mu jeszcze

pozostały. Za niecałą godzinę umówił się z Bulfinchem. Przekaze mu CD i wtedy, dzięki Bogu, będzie już po wszystkim.

A jeśli ktoś mnie śledzi? - pomyślał z nagłym strachem. Jeżeli mnie nakryją? Zaczął zerkać przez ramię. Zatrzymał się, zapalił papierośa i rozejrzał się po ulicy.

Coś musiało obudzić jego podejrzenia. Dlaczego nie? W takich momentach cały świat ulega przedziwnej transformacji. Zwykle drzewo wygląda jak żołnierz, nawet w szczegółach - czarny mundur, kałasznikow. .. A każdy facet w ciemnym garniturze to bezlitosny skrytobójca, gotów za chwilę sięgnąć ci do kieszeni, odebrać płytę i z uśmiechem przystawić pistolet do twojej głowy.

Pozbądź się tego cholerstwa... Niech Bulfinch przyjdzie i sam to weźmie. Gdziekolwiek. Choćby tutaj... O, tu - w sklepie Higashimury.

Przystanąłem przed małymi drzwiami zieleniaka i spojrzałem w górę na szyld. To tutaj wchodził Kawamura tamtego feralnego ranka. Jeżeli płyty tu nie było, to mogła być dosłownie wszędzie. Jeśli chciał ukryć japo drodże, nie znalazłby lepszego miejsca.

Wszedłem do środka. Właściciel, niski człowieczek o smutnych, zażawionych oczach i żółtej skórze, zdradzającej starego palacza, powitał mnie zmęczonym *Irasshaimase* i zagłębił się w lekturze *manga*. Sklep był małeńki, prostokątny. Sprzedawca widział wszystkie kąty. Kawamura mógł schować płytę tylko tam, gdzie klienci mieli bezpośredni dostęp do towaru. Prócz tego musiał działać szybko. A że zamierzał ją zostawić najwyżej na godzinę, to nie kłopotał się wyborem przesadnie bezpiecznej kryjówki.

W takim razie ktoś ją na pewno zabrał, przemknęło mi przez głowę. Nie ma jej tutaj. Ale co miałem robić? Postanowiłem jednak spróbować.

Jabłka. Widziałem jabłko, które wypadło przez drzwi pociągu.

Teraz pod drugą ścianą sklepu, w „półkoszulkach” z lekkiej pianki, leżały piękne, wypolerowane/X W myślach widziałem Kawamurę, jak podchodzi do nich, bierze kilka i przy okazji chowa CD.

Uważnie obejrzałem skrzynkę. Była dość płytka, więc łatwo mogłem ją przeszukać, udając, że wybieram jabłka.

Nie ma płyty. Cholera.

Powtórzyłem to z gruszkami, które leżały tuż obok, i na koniec z mandarynkami. Nic.

Szlag by trafił. Przecież wiedziałem... Byłem tego zupełnie pewny.

Powinienem chyba coś kupić, żeby nie wypaść z roli. Wyglądałem na bardzo poważnego klienta, szukającego czegoś specjalnego.

- Może pan wybrać kilka owoców? Najlepiej różnych, to ma być prezent - odezwałem się do sprzedawcy. - Powiedzmy... sześć, z niewielkim kawałkiem melona.

- *Kashikomarimashita* - odparł, siląc się na słaby uśmiech. Już się robi.

Odszedł, żeby zrealizować moje zamówienie. W tym czasie, kiedy był zajęty, kontynuowałem poszukiwania. W ciągu następnych pięciu minut sprawdziłem wszystkie dziwne miejsca, które mógł wybrać Kawamura. Nic z tego.

Sprzedawca wybrał już owoce. Wziął wstążkę z zielonej mory, owinał ją wokół koszyka i zawiązał w prostą kokardkę. Naprawdę miły prezent. Może Midori to doceni?

Wyciągnąłem kilka banknotów, żeby zapłacić. Na co liczyłeś? - pomyślałem. Kawamura miał za mało czasu, żeby dobrze schować płytę. Nawet jeśli to zrobił tutaj, już dawno ją ktoś znalazł.

Już dawno ją ktoś znalazł. Sprzedawca odliczał resztę z tą samą powolną dokładnością, z jaką przedtem układał owoce w koszyku. Bez wątplenia był bardzo uważny. Skrupulatny.

Zaczekałem, aż skończy, a potem powiedziałem po japońsku:

- Przepraszam... Wiem, że to trochę dziwne, ale mój znajomy zgubił tu gdzieś płytę CD. To było jakiś tydzień temu. Prosił mnie, żebym popytał, czy przypadkiem ktoś jej nie znalazł. Prawdę mówiąc, nie bardzo wierzę, ale...

- *Un-* mruknął sprzedawca i klęknął za ladą. Po chwili wstał z plastikowym pudełeczkiem w dłoni. - Byłem ciekaw, czy ktoś się zgłosi.

Apatycznym ruchem przetaił pudełko rogiem fartucha i podał mi je.

- Dziękuję - powiedziałem szczerze zaskoczony. - Mój znajomy na pewno się ucieszy.

- To dobrze - odparł i oczy znów zasły mu łzami.

## 15

**B**ładym światem cała Shibuya wygląda niczym olbrzym odsypiający kaca. Wciąż można wyczuć tam rozbawienie i beztroski śmiech minionej nocy. Słychać go nawet w dziwnie cichych zaułkach i na pustych

skwerach, w płataninie uliczek na tyłach dzielnicy. Podpite głosy „chórzystów” z karaoke, piskliwe krzyki panienek z baru, szepty kochanków trzymających się za ręce niby umilkły, lecz w jakiś tajemniczy sposób, przez kilka krótkich godzin rannej ciszy, wciąż się błakają na podobieństwo cieni, jak duchy, które wciąż nie wierzą, że noc odeszła i że przyjęcie też dobiegło końca.

W towarzystwie tych duchów szedłem alejkami, biegnącymi mniej więcej równoległe do Meiji-dori, głównej arterii, łączącej Shibuyę z Aoyamą. Wstałem wcześniej rano i jak najciszej wypełzłem z łóżka, żeby nie obudzić Midori. Ale ona i tak otworzyła oczy.

Zabrałem płytę do tokijskiej mekki elektroniki, do Akihabary. Próbowalem ją uruchomić w jednym z ogromnych, bezimiennych sklepów komputerowych. Nic z tego. Była zakodowana.

Potrzebowałem więc pomocy Harry'ego. Nie bardzo mi się to uśmiechało, zwłaszcza po rozmowie z Bulfinchem, który twierdził, że na CD są informacje o zabójcy specjalizującym się w przypadkach śmierci „z przyczyn zupełnie naturalnych”. To mogło wskazywać na mnie.

Zadzwoniłem do Harry'ego z budki w Nogizace. Mruzczał coś - prawdopodobnie wyrwałem go z łóżka - ale otrzeźwiał, kiedy wspomniałem o budowie na Kokaigijido-mae. To był nasz znak, że musimy się jak najprędzej spotkać. Posługując się ustalonym szyfrem, powiedziałem mu, że przyjdę do kawiarni Doutor na Imoarai w Roppongi. Z domu miał tam blisko, więc mógł się zjawić w miarę szybko.

Czekał na mnie, kiedy dotarłem do kawiarni dwadzieścia minut później. Siedział w głębi sali i czytał gazetę. Był bardzo blady i miał oklapnięte włosy z jednej strony.

- Przepraszam, że cię obudziłem - powiedziałem, siadając naprzeciw niego.

Pokręcił głową.

- Co ci się porobiło z twarzą?
- Lepiej nie pytaj o tamtego gościa. Zamówimy śniadanie?
- Wystarczy mi sama kawa.
- Naprawdę nie chcesz jajeczniczy albo czegoś takiego?
- Nie, tylko kawę.
- Oj, chyba miałaś ciężką noc - mruknąłem. Ciekawe, co to znaczy w przypadku Harry'ego?

Spojrzał na mnie.

- Daj spokój tym głupim gadkom. Podałeś hasło, więc to musi być coś grubszego.

- W przeciwnym razie nigdy byś mi nie wybaczył, że cię wyciągnąłem z wyra - odparłem.

Zamówiliśmy kawę i śniadanie, a potem opowiedziałem mu o wszystkim, co się wydarzyło po naszym ostatnim spotkaniu. Zacząłem oczywiście od randki z Midori, potem bójka w jej domu, nalot na moje mieszkanie, rozmowa z Bulfinchem i CD... Pomiąłem jedynie wypadki poprzedniej nocy. Wspomniałem, że ukrywaliśmy się w *love hotel*.

Chłopak najwyraźniej przejął się tym, co usłyszał. Można mu było ufać. Nie dlatego, że z technicznego punktu widzenia nie mógł mi zaszkodzić, ale dlatego że po prostu był godzien zaufania. I że chciałem mu zaufać.

- Sam sobie nie dam rady - przyznałem. - Potrzebna mi twoja pomoc. Ale... najpierw musisz dobrze poznać tak zwane drugie dno tej opowieści. A może nie masz ochoty, żeby cię w to wciągać? Zwyczajnie powiedz.

Zaczerwienił się lekko i już po tym wiedziałem, że jest dumny z tego, iż prosię go o pomoc i go potrzebuję.

- Mów-mruknał.

Powiedziałem mu o Holtzerze i roli Benny'ego w knowaniach CIA.

- Szkoda, że wcześniej do mnie z tym nie przyszedłeś - odparł, kiedy skończyłem. - Mógłbym ci bardziej pomóc.

Wzruszyłem ramionami.

- Im mniej wiesz, tym mniej mamy powodów do zmartwień.

Skinął głową.

- Typowe podejście CIA.

- Przyganiał kociół garnkowi.

- Nie, nie. Pamiętaj, że pracowałem w Puzzle Pałace\*. To właśnie oni są najbardziej dumni z własnej paranoi. Przecież naprawdę nic do ciebie nie mam.

- Zwykła ostrożność, chłopcze - odparłem. - Nic osobistego.

- W Roppongi uratowałeś mi tyłek. Myślisz, że o tym zapomniałem?

- Ludzie zapominają różne rzeczy.

- Ale nie ja. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że też darzę cię zaufaniem, skoro tego wszystkiego słucham? Przecież w ten sposób się odslaniaasz. Wiem, że musisz wciąż uważać... i wiem, do czego jesteś zdolny.

\* Amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (przyp. tłum.).

- Chyba nie bardzo zrozumiałem.
- Harry przyglądał mi się dłuższą chwilę.
- Od dawna strzegę twoich tajemnic i będę to robił nadal. Wystarczy?

Nie doceniałem cię, pomyślałem, kiwając głową.

- Wystarczy? - powtórzył.
- Tak - odparłem, bo nie miałem innego wyjścia. - Chyba na razie dość tych zapewnień. Weźmy się do roboty. Zaczniemy od Holtzera.
- Opowiedz mi coś więcej o waszej znajomości.
- Najpierw zjem.
- Aż tak źle?

Wzruszyłem ramionami.

- Znam go z Wietnamu. Już wtedy pracował w Agencji, a ja byłem żołnierzem Grupy Badań i Obserwacji, powołanej wspólnie przez wojsko i CIA. Muszę przyznać, że to był facet z jajami. Nie pękał, idąc w teren, jak większość gryziopiórków, z którymi się stykałem. Początkowo nawet go polubiłem, ale po pewnym czasie zrozumiałem, że to zwyczajny karierowicz. Pierwszy raz starłem się z nim podczas akcji w Rejonie Trzecim, z udziałem ARVN, Armii Republiki Wietnamu Południowego. Moździerz ARVN ostrzelały rzekomą bazę Wietkongu w Tay Ninh. Holtzer z jakiegoś źródła zdobył informacje, że tam aż roi się od partyzantów. Po skończonym bombardowaniu poszliśmy policzyć trupy i zweryfikować jego doniesienia.

Pociski zryły cały teren. Znajdowaliśmy tylko strzępki ciała, niemożliwe do zidentyfikowania. Ale nigdzie nie było broni. Powiedziałem więc do Holtzera: „To nie wygląda mi na Wietkong”. A on na to: „O czym ty gadasz? Przecież to Tay Ninh, tutaj wszyscy należą do Wietkongu”. „Nie znaleźliśmy żadnej broni - mówię. - Twój informator cię wyruchał. Popelniliśmy błąd”. On się upierał, że nie było błędu. „Tu leży ponad dwudziestu wrogów”. Każdą oderwaną nogę lub rękę liczył jako osobne zwłoki.

Po powrocie do bazy wysmażył raport i chciał, abym go podpisał. Powiedziałem, żeby się odpierdolił. W pobliżu było kilku oficerów, za daleko, żeby coś słyszeć, ale na pewno nas widzieli. Wkurzył mnie, więc mu przyłożyłem. Holtzerowi chodziło tylko o to, żeby tamci to zauważyli, chociaż później musiał sobie zrobić operację nosa. Zwykle takie rzeczy nie budzą emocji, w tamtych latach jednak wszyscy byli niezwykle wyczuleni na współpracę sił specjalnych i CIA. Holtzer wiedział, kiedy pociągnąć za odpowiednie sznurki. Oznajmił, że nie chcia-

łem podpisać raportu, bo go nie lubię. Ciekawe, ile jeszcze podobnych operacji podjęto na podstawie jego informacji z pieprzonych „wiarygodnych” źródeł.

Wypiłem łyk kawy.

- Potem sprawiał mi masę kłopotów. To jeden z tych, którzy zawsze wiedzą, do kogo zagadać. Ja tego nie potrafię. Od powrotu z wojny zawsze wisiały nade mną jakieś ciemne chmury. Podejrzywałem, że to jego sprawka, chociaż na niczym go nie przyłapałem.

- Nigdy nie wspominałeś o swoim powojennym pobycie w Ameryce - zauważył Harry. - Dlatego wyjechałeś?

- Częściowo tak. - Lakoniczna odpowiedź miała być sygnałem, że nie chcę o tym mówić. Harry zrozumiał.

- Przejdźmy do Benny'ego - zaproponował.

- Wiem o nim tylko tyle, że pracował w PLD. Niby zwyczajny chłopiec na posyłki, ale od szczególnych zadań. Poza tym był wtyka CIA.

Słowo „wtyka” pozostawiło gorzki niesmak w moich ustach. Wciąż uważam je za jeden z najgorszych epitetów.

Przez sześć lat akcje Grupy Badań i Obserwacji w Laosie, Kambodży i Wietnamie Północnym sabotował jakiś zdrajca w naszych szeregach. Za każdym razem, po przerzuceniu jakiejś grupy, okazywało się, że na miejscu już czekają wietnamskie patrole. Kilka z tych operacji zakończyło się rzezią; nikt z naszych nie wrócił. Inne szły znacznie lepiej, co mogło oznaczać, że zdrajca ma ograniczone możliwości działania. Gdyby porównać pewne daty, zdarzenia i nazwiska, moglibyśmy zawęzić krąg głównych podejrzanych.

Ale amerykańskie dowództwo organizujące pomoc wojskową dla Wietnamu nie chciało podjąć śledztwa, żeby nie naruszyć „partnerskich stosunków” z rządem Wietnamu Południowego. Naprawdę! Według niego wietnamskie władze mogły poczuć się urażone sugestią, że ich przedstawiciel, oddelegowany do współpracy z amerykańskim dowództwem, nie budzi zaufania. Co gorsza, nasza grupa otrzymała rozkaz przekazywania wszelkich informacji do ARVN. Próbowaliśmy jakoś to ominąć, podsuwając im fałszywe dane, ale na górze ktoś się w tym połapał i urządził prawdziwe piekło.

W 1972 roku aresztowano pewnego kaprała ARVN i oskarżono go o zdradę. Nie wierzę, aby pojedynczy szpieg, w dodatku tak niskiego stopnia, zdołał nam wyrządzić tyle krzywdy w tamtych latach. Prawdziwej wtyki nigdy nie złapano.

Wyciągnąłem z kieszeni dwie komórki. Jednej z nich kiedyś używał Benny, a drugiej *kendoka*. Wręczyłem je Harry'emu.

- Proszę cię o dwie rzeczy. Sprawdź wszystkie rozmowy i numery. Powinny być gdzieś zapisane. - Wyjaśniłem mu, który telefon należał do Benny'ego, a który do agenta. - Przejrzyj też opcję szybkich połączeń i sporządź z tego listę kontaktów. Chcę wiedzieć, z kim rozmawiali, co ich łączyło i jaki to ma związek z Agencją.

- Nie ma sprawy - odparł. - Pod koniec dnia coś ci podrzucę.

- Dobrze. Przejdźmy więc do drugiej rzeczy. - Położyłem na stole CD. - Wszyscy ganiają za tą płytą. Zdaniem Bulfincha są na niej jednoznaczne dowody korupcji w PLD i Ministerstwie Budownictwa. To może doprowadzić do upadku gabinetu.

Harry uniósł płytę pod światło.

- Dlaczego CD? - mruknął.

- Miałem cię spytać o to samo.

- Nie wiem. O wiele łatwiej byłoby wrzucić to na łącza. Być może program to uniemożliwia. Zobaczymy. - Schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Mogli wiedzieć o Kawamurze? - zapytałem.

- Co masz na myśli?

- Że ktoś wyniuchał, co się stało. Odkryli, że skopiował płytę.

- Bardzo możliwe. Są programy, które natychmiast o tym mówią.

- Płyta jest też zakodowana. Nie mogłem jej uruchomić. Dlaczego Kawamura miałby się w to bawić?

- To nie on. Podejrzewam, że mógł nawet nie mieć dostępu. To robota kogoś innego.

Była w tym pewna logika. Ale wciąż nie wiedziałem, dlaczego Benny kilka tygodni wcześniej napuścił mnie na Kawamurę. Może chodziło o Bulfincha? Wiedzieli, że się z nim spotykał. Mieli telefon na podsłuchu albo coś takiego.

- Okej - powiedziałem. - Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz. Spotkamy się znów tutaj, tylko o jakiejś lepszej godzinie dla ciebie. Szyfr bez zmian.

Kiwnął głową i wstał.

- Harry - zatrzymałem go. - Tylko nie szalej. Zginiesz, jeżeli ktoś się dowie, że teraz ty masz tę płytę.

- Dobrze. Będę ostrożny.

- Zwykła ostrożność to za mało. Stań się paranoikiem. Nie ufaj nikomu.



- Prawie nikomu - odparł, lekko wydymając usta niby w uśmiechu.
- Nikomu - powtórzyłem. Przypomniał mi się Crazy Jake.

Kiedy wyszedł, zatelefonowałem do Midori. Rano przenieśliśmy się do nowego hotelu. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.
- Ten twój znajomy nam pomoże? - zapytała.

Ostrzegalem ją, żeby uważała, co mówi przez telefon, więc teraz starannie dobierała słowa.

- Za wcześnie na odpowiedź. Na pewno się postara.
- Kiedy wrócisz?
- Już jadę.

- Proszę cię, kup mi coś do czytania. Jakąś powieść, ze dwa czasopisma. Powinam o tym pomyśleć wcześniej, kiedy wybrałam się do spożywczego. Tu w pokoju nic nie ma. Zaraz oszaleję.

- Kupię ci coś po drodze. Zaraz się zobaczymy.

Jej głos brzmiał już dużo lepiej niż wtedy, gdy się dowiedziała, że znalazłem płytę. Teraz chciała usłyszeć coś więcej. Oczywiście z wiadomych względów musiałem to przemilczeć.

- Pewni ludzie już wcześniej chcieli, żebym ją znalazł- powiedziałem w końcu. - W tamtym momencie nie wiedziałem, co na niej jest nagrane. Nie miałem pojęcia, do czego się posuną, żeby ją odzyskać.

- Co to za ludzie? - nalegała.

- Nieważne. Teraz liczy się tylko to, że jestem po twojej stronie. Zrozum, gdybym ją chciał im oddać, to by mnie tu nie było. Nie rozmawiałbym z tobą. To musi ci wystarczyć.

Nie znając mojego świata, wciąż była przekonana, że jej ojciec naprawdę zmarł na zwykły zawał. Gdyby jednak zdarzyło mu się coś innego - gdyby zginął od kuli lub nawet spadł z dachu - od razu bym się znalazł na liście podejrzanych.

Pojechałem do Suidobashi i tam rozpocząłem gruntowny SDR. Złapałem pociąg linii JR do Shinjuku. Wsiadłem w Yoyogi, popatrzyłem, kto wysiada za mną, i poszedłem na peronie. Przepuściłem aż dwa pociągi przejeżdżające przez Yoyogi. Wskoczyłem do trzeciego, przejechałem jeden przystanek i wysiadłem na wschodnim krańcu stacji Shinjuku, w starszej, tętniącej życiem części dworca, zupełnie innej niż wymuskana hala po zachodniej, rządowej części dzielnicy. Ciągłe nośnięciem ciemne okulary, żeby zakryć rozbite oko, więc tłum kłębiący się koło mnie wyglądał trochę widmowo. Pozwoliłem, aby ludzki strumień poniosł mnie przez labirynt podziemnych sklepów do Yirgin Megastore,

i stamtąd przedarłem się do Isetan. Czułem się jak pływak walczący z bystrym nurtem. Kupiłem dla Midori obszerny granatowy szal z kaszmiru i przeciwsłoneczne okulary z boczną ochroną. Byłem przekonany, że to chociaż trochę odmieni jej wygląd. Zapłaciłem w dwóch różnych kasach, aby nikt nie myślał, że tajemniczy facet w ciemnych okularach kupuje przebranie dla kochanki.

Pięćdziesiąt metrów dalej była Kinokuniya. Wepchnąłem się w tłum, teraz jeszcze bardziej gęsty. Wziąłem dwa czasopisma i jakąś nową powieść z półki japońskich bestsellerów. Potem poszedłem do kasy.

Stałem w kolejce, patrząc, kto wchodzi po schodach albo wysiada z windy. Nagle poczułem, że pager wibruje mi w kieszeni. Wyjąłem go, przekonany, że to coś od Harry'ego. Zobaczyłem jednak ośmiocyfrowy numer z kierunkowym z Tokio.

Zapłaciłem za pisma i książkę i wszedłem po schodach na parter - tam, gdzie stał rząd automatów telefonicznych, od strony Shinjuku-dori. Wrzuciłem sto jenów i wystukałem numer. Co chwila ostrożnie spoglądałem przez ramię.

Ktoś podniósł słuchawkę po drugiej stronie.

- John Rain - odezwał się po angielsku.

Nie odpowiedziałem, więc powtórzył moje imię i nazwisko.

- To chyba pomyłka.

Zapadła cisza.

- Nazywam się Lincoln.

- Ślicznie.

- Szef chce się z panem spotkać.

Zrozumiałem, że gość pracuje w Agencji, a „szefem” jest bez wątpienia Holtzer. Czekałem, czy Lincoln jeszcze coś powie, ale uparcie milczał.

- Chyba pan żartuje - mruknąłem.

- Nie. Zaszła pewna pomyłka i szef chciałby panu to wszystko wytłumaczyć. Może pan podać czas i miejsce.

- Wątpię.

- Powinien pan z nim porozmawiać. To wcale nie jest tak, jak pan myśli.

Popatrzyłem w stronę księgarni, rozważając wszelkie „za” i „przeciw”.

- Musiałby przyjść tutaj już teraz - powiedziałem.

- To niemożliwe, jest na zebraniu. Najwcześniej będzie wolny wieczorem.

- Dla mnie może mieć nawet operację na otwartym sercu. Powtórzysz mu to, Abrahamie? Skoro naprawdę chce się ze mną spotkać, ma być w Shinjuku za dwadzieścia minut. Jeśli się spóźni chociaż minutę, to już mnie tutaj nie złapie.

Nastąpiła dłuższa przerwa.

- Gdzie w Shinjuku? - zapytał.

- Niech pójdzie do wschodniego wyjścia z Shinjuku JR, prosto na Studio Alta. Jeżeli będzie miał na sobie coś więcej niż spodnie, buty i koszulkę z krótkimi rękawami, to się nie spotkamy. Jasne?

Chciałem utrudnić mu schowanie broni, gdyby naprawdę coś planował.

- Tak, rozumiem.

- Równo dwadzieścia minut - powtórzyłem i szybko odwiesiłem słuchawkę.

Istniały dwie możliwości. Pierwsza, że Holtzer rzeczywiście miał mi coś istotnego do powiedzenia. Ale w to raczej wątpiłem. Druga, że podjął następną próbę, aby dokończyć to, czego nie zdołał zrobić w moim domu. W obu przypadkach mogłem dowiedzieć się czegoś więcej. Ani przez chwilę nie myślałem, że będzie ze mną całkiem szczery. Może sobie kłamać - pewne rzeczy umiem czytać między wierszami.

Przyjąłem założenie, że będą nas fotografować. Postanowiłem być w ciągłym ruchu, lecz nie zmniejszało to ryzyka. Do diabła, pomyślałem. Co cię to w ogóle obchodzi? Dranie wiedzą, gdzie mieszkasz, a do tej pory na pewno zgromadzili pokaźny album twoich fotek. Już nie udawaj, że cię nie ma.

Wróciłem na Shinjuku-dori i poszedłem na postój przed Studio Alta, gdzie czekało kilka taksówek. Wypatrzyłem jakiegoś młodszego szofera, który wyglądał tak, jakby za dobrą cenę umiał przymknąć oko na dziwną sytuację. Powiedziałem mu, że za piętnaście lub dwadzieścia minut powinien zabrać pasażera, który pojawi się we wschodnim wyjściu z dworca. To będzie *gaijin* w krótkiej koszulce.

- Niech pan go spyta, czy jest szefem. - Dałem kierowcy dziesięć tysięcy jenów. - Jeśli odpowie „tak”, proszę go zawieźć w dół Shinjuku-dori, potem skrócić w lewo w Meiji-dori i jeszcze raz w lewo, w Yasukuni-dori. Będę na północnej stronie Yasukuni-dori, pod bankiem Daiwa. Wsiądę do taksówki, jak tylko pan podjedzie.

Wyciągnąłem z kieszeni następny banknot o nominale dziesięciu tysięcy jenów i przedarłem go na pół. Jedną część wręczyłem szoferowi.

- Drugą dostanie pan, gdy się spotkamy.

Uklonił się w odpowiedzi.

- Ma pan wizytówkę?

- *Hai* - odparł i natychmiast sięgnął do kieszeni na piersiach.

Wziąłem od niego wizytówkę, podziękowałem i poszedłem na tyły budynku Alta Studio. Pojechałem schodami na czwarte piętro. Stamtąd miałem doskonały widok na wschodnie wyjście. Spojrzałem na zegarek: jeszcze czternaście minut. Na drugiej stronie wizytówki napisałem adres w Ikebukuro i schowałem ją do kieszeni.

Holtzer przyszedł minutę przed czasem. Obserwowałem go, jak wychodził z dworca i powoli zmierzał w stronę Studio Alta. Nawet z tej odległości widziałem jego mięsiste usta i wydatny nos. Kiedyś ci go złamałem, draniu, pomyślałem z chwilową satysfakcją. Holtzer nadal miał gęste włosy, chociaż teraz już bardziej stalowoszare niż brudno- jasne, z jakimi go zapamiętałem. Jego budowa i postawa świadczyły o tym, że dba o formę. Chyba mu było trochę zimno w samym podkoszulku. Nieźle.

Zobaczyłem, że taksówkarz idzie w jego stronę. Zamienili kilka słów, Holtzer kiwnął głową i poszedł za nim, rozglądając się na boki. Podejrzliwie spojrzął na taksówkę, wsiadł i pojechał na Shinjuku-dori.

Nie dałem jego ludziom czasu, żeby przyjechali tu samochodem lub jakimś innym środkiem lokomocji. Każdy, kto zechciałby nas śledzić, musiał iść szybko do taksówki. Przez następne cztery minuty obserwowałem całą okolicę. Żadnych niepokojących ruchów. Jak dotąd, wszystko zgodnie z planem.

Odwrociłem się i zbiegłem schodami, przeskakując po trzy stopnie. Po chwili byłem już na parterze. Potem przeszedłem przez Yasukuni-dori pod bank Daiwa, akurat w tym samym czasie, kiedy zjawiała się taksówka. Podeszedłem do niej od strony pasażera, uważnie patrząc na ręce Holtzera. Drzwi otworzyły się automatycznie. Holtzer wychylił się do mnie.

- John... - zaczął łagodnym głosem.

- Ręce, Holtzer - przerwałem mu natychmiast. - Trzymaj je na widoku. W górze, dłońmi w moją stronę. - Nie wierzyłem, że mnie tu zastrzeli, ale wolałem nie ryzykować.

- Mógłbym zażądać tego też od ciebie.

- Spróbuj.

Zawahał się, odchylił do tyłu i podniósł ręce.

- Teraz spleć palce i połóż dłonie na karku. Odwróć się ode mnie i popatrz sobie przez okno.

- Daj spokój, Rain... -mruknął.

- Zrób to albo znikam. - Gapił się na mnie przez sekundę, a potem usłuchał.

Usiadłem obok niego i podałem kierowcy wizytówkę z adresem w Ikebukuro. Kazałem nas tam zawieźć. Właściwie nie miało to żadnego znaczenia. Nie chciałem jednak mówić nic na głos. Potem jedną ręką przytrzymałem dłonie Holtzera, a drugą obszukałem go wyćwiczonym ruchem. Po chwili wiedziałem już, że nie ma broni. Ale nie tylko o to się martwiłem.

- Mam nadzieję, że wreszcie jesteś zadowolony - powiedział. - Możesz mi zdradzić, dokąd jedziemy?

Domyślałem się, że o to spyta.

- Masz przy sobie mikrofon, tak? - Popatrzyłem mu prosto w oczy. Milczał. Gdzie go schował? Nie wyczułem nic pod koszulką, T- Zdejmij pasek - zażądałem.

- Ani myślę, Rain. Teraz już przesadzasz.

- Zdejmuj, Holtzer. Nie będę się z tobą cackał. Może ci skręcę kark? Coś mi mówi, że to najlepszy sposób na moje kłopoty.

- Nikt nie zabrania ci spróbować.

- *Sayonara*, dupku. - Nachyliłem się do szofera. - *Tomatte kudasai*. - Proszę się tu zatrzymać.

- Dobrze, dobrze... Wygrałeś. - Holtzer uniósł ręce, jakby się poddawał. - Mam w pasku mikrofon. Zwyczajna ostrożność, zwłaszcza po niefortunnym wypadku Benny'ego.

Chciał mi powiedzieć, żebym się nie martwił? Że nie mają żalu o Benny'ego?

- *Iie, sumimasen* - rzuciłem do kierowcy. - *Itte kudasai*. - Niech pan jedzie dalej. - Dobrze wiedzieć, że tak jak dawniej wysoko cenisz swoich ludzi - mruknąłem do Holtzera. - Dawaj pasek.

- Benny nie był „moim człowiekiem” - odparł i pokręcił głową nad moją tępotą. - Dymał nas tak, jak próbował wydymać ciebie. - Podał mi pasek. Rzeczywiście, pod kłamrą był maleńki mikrofon.

- A gdzie bateria? - spytałem.

- Kłamra jest baterią. Wodorek niklu.

- Niezła robota - pochwaliłem.

Odkręciłem szybę i wyrzuciłem pasek na ulicę.

Holtzer wychylił się do przodu, sekundę za późno.

- Cholera, przecież nie musiałeś tego robić, Rain. Wystarczyło rozłączyć.

- Pokaż buty.

- Nie, bo pewnie też je wyrzucisz za okno.

- Tylko jak mają podsłuch. Zdejmuj.

Chwilę później miałem je w ręku. Zwykle czarne mokasyny, z miękkiej skóry, z gumową podeszwą. Żadnego miejsca na mikrofon. W środku były ciepłe i lekko wilgotne od potu, co świadczyło, że nosił je już dosyć długo. Na wkładce wyczułem zagłębienia od palców. Nie, to nie było coś, co laboranci wymyślili na jakąś specjalną okazję. Oddałem mu je.

- W porządku? - spytał.

- Mów, co mi chcesz powiedzieć - odparłem. - Spieszę się.

Westchnął.

- Wszystko, co wydarzyło się w Sengoku, to był nasz błąd. Takie rzeczy w ogóle nie powinny mieć miejsca. Przepraszam.

Zabrzmiało to całkiem szczerze. Obrzydliwie.

- Słucham.

- Nie mam tutaj w nikim oparcia, Rain - mruknął półgłosem. - To, co ci teraz powiem, jest ściśle tajne...

- I bardzo dobrze. Nie chciałbym słuchać tego, o czym mogę po prostu przeczytać w gazetach.

Spojrzał na mnie spode łba.

- W ciągu ostatnich pięciu lat próbowaliśmy się po trochu dobrać do japońskiego rządu. Szukaliśmy informatora wewnątrz, najlepiej takiego, który by miał dostęp do wszystkiego. Kogoś, kto wiedziałby, gdzie leżą trupy... Możesz rozumieć to dosłownie.

Jeżeli czekał, że coś powiem, to się niestety nie doczekał.

- Z czasem facet mówił nam coraz więcej, ale nie wykraczało to poza utarty teren. Nie dowiedzieliśmy się niczego, co by można użyć jako dźwigni. Łapiesz?

Skinąłem głową. W tym biznesie „dźwignia” oznacza po prostu szantaż.

- To niemal tak jak zalecanie się do katolickiej uczennicy. Dziewczyna w kółko powtarza „nie”, więc musisz znaleźć jakiś inny sposób, bo przecież wiesz, że tak naprawdę ona tylko na to czeka. - Rozeźmiał się, wykrzywiając grube wargi. - Urabialiśmy więc go cał po

cału. Wreszcie, jakieś pół roku temu, nastąpiła w nim zmiana. Zamiast ustawicznego: „Nie, nic z tego”, usłyszeliśmy: „To zbyt niebezpieczne. Musiałbym wiele ryzykować”. Słowem, trudności obiektywne.

Wiedziałem. Dobrzy sprzedawcy, negocjatorzy i pracownicy służby wywiadowczej wciąż wypatrują takich trudności. To sygnał zmiany z „czy” na „jak”, przejście od zasad do cennika.

- Pięć miesięcy trwało, zanim wreszcie się zgodził. Miał dostać jednorazową premię, na tyle dużą, żeby już nie miał żadnych zmar-twień, plus stałą rentę. Lewe papiery, domek w tropikach, by mógł osiąść gdzieś na stałe, krótko mówiąc: nasza wersja programu ochro-ny świadków, tylko w wydaniu ekskluzywnym. W zamian obiecał nam skromny prezent: wszystko na temat swojej partii. Szwindle, przekup-stwa, kontakty z yakuzą i nawet najczarniejsze zbrodnie. Mowa o sa-myh twardych dowodach: taśmach, nagraniach, zdjęciach... Rze-czach, z którymi można iść do sądu.

- Po co wam to potrzebne?

- Jak to po co, do chuja pana?! Przecież w ten sposób PLD będzie należeć do Ameryki! Zdusimy w garści wszystkich japońskich polity-ków. Sam pomyśl... Koniec dyskusji o naszych bazach na Okinawie i w Atsugi. Koniec kłopotów z eksportem ryżu, półprzewodników i sa-mochodów. Sprzedamy tego tyle, ile chcemy. Tutaj PLD to prawdziwa siła. Ale tym razem za nią stanie ktoś silniejszy. Do końca wieku Wuj Sam będzie dupczył posłuszną Japonię!

- Z tego, co mówisz, jasno wynika, że Wuj nie miał szczęścia w miłości - zadrwiłem.

Holtzer uśmiechnął się, a może raczej wyszczerzył zęby.

- Nieprawda... Ale musi czekać. Będziemy mieli to, co chcemy.

- Jaka w tym była rola Benny'ego?

- Biedny Benny. Znał wszystkie brudy w PLD. Mógł wskazać gra-czy, ale nie miał żadnego dostępu do dowodów, wiesz? To mógł zała-twić tylko nasz człowiek.

- Mimo to wysłałeś go prosto do mnie.

- Tak, to prawda. Samego, żeby z tobą pogadał.

- Skąd wiesz, co się z nim stało?

- Daj spokój, Rain. Facet leżał ze złamanym karkiem prawie na progu twojego domu. Kto go załatwił? Ktoś z sąsiadów? Poza tym mie-liśmy go na nasłuchu. To standardowa procedura. Wszystko słyszałem. Nawet to, jak ten mały kutas próbował zwalić całą winę na mnie.

- A co z tym drugim?
- Nic o nim nie wiem, poza tym że znaleziono go jakieś sto metrów od Benny'ego. Też już nie żył.
- Benny powiedział mi, że facet robił w Boeicho Boeikyoku i że to właśnie ty nadałeś kontakt.

- Owszem, znam paru ludzi w Boeikyoku, ale Benny to wredny kłamca. Tamtego gościa w ogóle nie znam. Przecież wiesz, że zaraz sprawdziłem, kto to taki. Na pewno nie miał nic wspólnego z japońskim wywiadem. Benny na własną rękę zabrał go do ciebie. Podejrzewamy, że dostawał kasę jeszcze od kogoś innego. Takim nigdy nie można ufać. Przypominasz sobie nasze kłopoty z sojusznikami z Armii Republiki w Wietnamie?

Spojrzałem w lusterko i zauważyłem, że kierowca przypatruje się nam podejrzliwie. Nikłe szanse, że coś zrozumiał z naszej rozmowy po angielsku, ale wyraźnie zrobił się czujny. Coś go zdenerwowało.

- Jeśli ktoś bierze pieniądze od ciebie, to weźmie od każdego - ciągnął Holtzer. - Powiem ci, że wcale mi nie żal Benny'ego. Działał na dwie strony, więc w końcu się doczekał. Hej, mam rację?

Rzeczywiście tak było.

- Masz.

- Pozwól, że skończę o tym naszym znajomym. Trzy tygodnie temu wziął pod pachę CD i poszedł nam przekazać wszystkie informacje. No, kurwa, prawdziwe królewskie regalia. I wiesz co? Wykitował na serce w pociągu Yamanote. Natychmiast posłaliśmy ludzi do szpitala, ale płyty nie było.

- Skąd wiesz, że ją miał przy sobie w chwili śmierci?

- Pewnie, że miał. Och, Rain, przecież znasz nasze metody. Źródła, kontakty... Nie mogę o tym mówić. Ale to pestka, że gdzieś posiał płytę. Chcesz usłyszeć najlepsze?

- Nie mogę się doczekać.

- Proszę bardzo. - Holtzer pochylił się do mnie i znów wykrzywił się w uśmiechu. - Rzecz w tym, że to nie był zawał... Ktoś wykończył faceta. Dobrze wiedział, co zrobić, żeby śmierć wyglądała na naturalną.

- Tak myślisz, Holtzer? Trochę to naciągane.

- Pewnie. A wiesz dlaczego? Bo na całym świecie, nie mówiąc o Japonii, jest tylko paru ludzi, którzy to potrafią. Cholera, nie znam nikogo prócz ciebie.



- Po to chciałeś się ze mną spotkać? Będziesz mi wmawiać, że siedzę w tym całym gównie?
- Daj spokój, Rain. Pierdolisz bez sensu. Obaj wiemy, co robisz.
- Tym razem nie łapię.
- Nie? No to posłuchaj. W ciągu ostatnich dziesięciu lat połowa twoich zleceń pochodziła od nas.

Co takiego?!

Pochylił się jeszcze bardziej i szeptem wymienił nazwiska rozmaitych ważnych polityków, bankierów i urzędników, którzy zmarli przedwczesną, ale całkiem zwyczajną śmiercią. To wszystko była moja robota.

- Mogłeś o tym przeczytać w gazetach - mruknąłem, choć domyślałem się, że wiedział dużo więcej.

Opisał mi metodę kontaktu na forum, której używał Benny. Podał numery kont w szwajcarskich bankach.

Szlag by to trafił, jęknąłem w duchu. Przez cały czas robiłeś z siebie głupka. Przed nimi nie ma ucieczki. Niech to diabli.

- Szok jak cholera. Prawda, Rain? - Holtzer wygodniej rozparł się na fotelu. - Przez wszystkie te lata byłeś przekonany, że działasz sam, na własną rękę, a to Agencja ci płaciła. Ale spójrz na to z innej strony. Jesteś najlepszy! Chryste Panie, jesteś magikiem, skoro potrafisz wykończyć gościa, nie zostawiając żadnych śladów, że coś może się nie zgadzać. Chciałbym dowiedzieć się, jak to robisz. Naprawdę.

Popatrzyłem na niego spokojnie.

- Może kiedyś zobaczysz z bliska.

- Wolno ci marzyć. Idźmy dalej: przeczytaliśmy orzeczenie z sekcji zwłok. Kawamura nosił rozrusznik serca, który w pewnym momencie przestał działać. Koroner uznał to za defekt. Ale wiesz co? Poszperaliśmy trochę i okazało się, że taki defekt jest praktycznie niemożliwy. Ktoś wyłączył ten rozrusznik, Rain. To w twoim stylu. Powiedz mi, kto cię wynajął?

- To nie ma sensu.

- Niby co?

- Po jakie licha tyle zachodu, żeby mu zabrać jakąś płytę?

Zmrużył oczy.

- Myślałem, że mi to wyjaśnisz.

- Nie umiem. Gdybym chciał mieć tę płytę, znalazłbym łatwiejszy sposób, żeby ją zdobyć.

- Może decyzję podjął ktoś inny? - spytał. - Może dostałeś takie polecenie? Wiem, że na ogół nie zadajesz zbyt wielu pytań, nim przystąpisz do roboty.

- A byłem chłopcem na posyłki? Kiedy ktoś kazał mi coś „zabrać“?

Założył ręce na piersi i popatrzył na mnie.

- Rzeczywiście, o tym nie słyszałem.

- Sam widzisz. Źle kombinujesz.

- Wiem, że to ty go wykończyłeś, Rain. Byłeś z nim do samego końca. Zrozum, że kiepsko to wygląda.

- Trudno. Plama na mojej reputacji.

Przez chwilę gładził się po brodzie i spoglądał na mnie spod oka.

- Na pewno zdajesz sobie sprawę, że Agencja to teraz twój najmniejszy kłopot. Inni też chcą odzyskać płytę.

- Kto?

- A jak myślisz? Główni podejrzani. Politycy, yakuza... Prawdziwa władza Japonii.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Jak mnie znalazłeś? Skąd wiedziałeś, że jestem w Japonii?

Pokręcił głową.

- Przykro mi, ale to znów podpada pod hasło „źródła i metody”. Nie powinienem o tym mówić. Ale mam dla ciebie coś innego. - Nachylił się. - Chodź do nas, to pogadamy o wszystkim, o czym tylko zechcesz.

Zabrzmiało to tak *non sequitur*, iż w pierwszej chwili pomyślałem, że się przesłyszałem.

- Powiedziałeś: „Chodź do nas“?

- Tak. Popatrz na swoją sytuację. Musisz skorzystać z naszej pomocy.

- Odkąd u ciebie takie humanitarne odruchy, Holtzer?

- Nie pierdol, Rain. Nie robię tego z dobrego serca. Potrzebujemy twojej współpracy. Albo już masz tę płytę, albo przynajmniej wiesz, gdzie ją znaleźć. Rozpracowałeś Kawamurę, więc na pewno możesz nam pomóc. W zamian my też ci pomożemy. To chyba proste.

No cóż... Za dobrze znałem tych ludzi. Znałem Holtzera. Z nimi nie było prostych układów - jeśli coś wyglądało w miarę prosto, tym bardziej chcieli cię przyszpilić.

- Fakt, jestem w trudnej sytuacji - przyznałem. - Nie zaprzeczam. Powinienem komuś zaufać. Tylko nie tobie.

- Ciągłe pamiętasz o Wietnamie? Nie wygłupiaj się. To było dawno, w innym czasie, w innym miejscu.

- Ale ludzie są wciąż ci sami.

Machnął ręką, jakby opędzał się od smrodu.

- Nie dbam o to, co o mnie myślisz, Rain. Tu nie chodzi o nas. Liczy się tylko sytuacja, a sytuacja wygląda tak: jesteś ścigany przez policję. Przez PLD i przez yakuzę. Muszą cię znaleźć, bo już od dawna nie masz swojego alter ego. No to pozwól, że ci pomożemy.

Co miałem zrobić? Załatwić go od razu? Ale wiedzieli już, gdzie mieszkam, więc i tak mogli mnie dopaść. Za śmierć szefa japońskiej sekcji grozi surowa kara.

Jadący za nami samochód skręcił w prawo. Obejrzałem się i zobaczyłem czarną limuzynę, siedziało w niej trzech lub czterech Japończyków. Kierowca sedana zwolnił, zamiast wjechać w lukę. Dziwny sposób jazdy w zatłoczonym Tokio.

Zaczekałem, aż dojechaliśmy do następnych świateł, i w ostatniej chwili kazałem taksówkarzowi skręcić w lewo. Ledwo miał czas przyhamować i szarpnąć kierownicą. Limuzyna skręciła za nami.

Przeprosiłem szofera: pomyliłem się, powinniśmy wrócić na Meiji-dori. Spojrzał na mnie ze złością. Na pewno był ciekaw, co to wszystko znaczy.

Limuzyna trzymała się cały czas z tyłu.

Kurwa mać.

- To twoi przyjaciele, Holtzer? Mówiłem ci, żebyś przyszedł sam.

- Oni wprowadzą cię do środka. Dla twojego bezpieczeństwa.

- W takim razie podjadą z nami pod drzwi ambasady - powiedziałem. Przestraszyłem się i gorączkowo szukałem jakiegoś wyjścia.

- Nie wjedziemy we dwóch taksówką na teren ambasady. Już zła małem przepisy bezpieczeństwa, godząc się na to spotkanie. Pójdziesz z nimi. Tak będzie lepiej.

Skąd się tu wzięli? Nawet jeżeli Holtzer połknął jakiś nadajnik, nie mogliby go namierzyć wśród tyłu samochodów.

Nagle doznałem olśnienia. Rozegrali to po mistrzowsku. Wiedzieli, że podczas rozmowy z „Lincolnem” zażądałem szybkiego spotkania. Wprawdzie nie znali miejsca, ale trzymali ludzi w ruchu i pełnej gotowości, żeby natychmiast ich przerzucić w dowolną część Tokio. Mieli całe dwadzieścia minut, by dotrzeć do Shinjuku. Przez ten czas pozostawali na nasłuchu, nie ujawniając swojej obecności. Holtzer na pewno podał

im nazwę kompanii taksówkowej, opis i numer rejestracyjny samochodu. Potem informował ich na bieżąco, dokąd jedzie. Zanim wsiadłem, już byli na swoich pozycjach. A ja tymczasem pękałem z dumy, że tak to wszystko rozegrałem i że udało mi się zapanować nad arcytrudną sytuacją. Kiedy wyrzuciłem mikrofon, przestałem być czujny. Miałem nadzieję, że przeżyję, by zapamiętać tę nauczkę.

- Co to za jedni?- zapytałem.

- Można im ufać. Pracują dla ambasady.

Przy przejściu nad rzeką Kanda zapaliło się czerwone światło. Taksówkarz zwolnił.

Spojrzałem w prawo, potem lewo - szukałem drogi ucieczki.

Limuzyna podjechała bliżej. Stała za nami w odległości mniej więcej jednego samochodu.

Holtzer przyglądał mi się, jakby chciał odgadnąć moje zamiary. Nasze oczy spotkały się na krótką chwilę. Potem mnie zaatakował.

- To dla twojego dobra! - krzyknął, łapiąc mnie w pasie. Zobaczyłem, że z limuzyny wyskakuje dwóch krępych Japończyków w ciemnych okularach.

Próbowałem odepchnąć od siebie Holtzera, ale splótł dłonie na moich plecach. Szofer odwrócił się i coś krzyczał. Prawie go nie słyszałem.

Japończycy trzasnęli drzwiami limuzyny i podbiegli do taksówki. Kurwa...

Prawą ręką złapałem Holtzera za szyję, przycisnąłem jego twarz do piersi i wsunąłem lewą dłoń pod jego brodę, wymacując palcami tętnicę.

- *Aum da! Aum Shinrikyo dal* - wrzasnąłem do kierowcy. - *Sarin!*

Sekta Aum była odpowiedzialna za zamach gazem trującym w tokijskim metrze, w 1995 roku. Słowo „sarin” ciągle budziło panikę.

Holtzer wołał coś zduszonym głosem. Szybko złożyłem się w przód jak dziadek do orzechów. Poczulem, że zwiotczał.

- *Ei? Nan datte?* - Szofer wybałuszył gały. Co to znaczy?

Jeden z Japończyków zapukał w szybę od strony pasażera.

- *Aitsu! Aum da! Sarin da! Boku-no tomodachi - ishiki ga nai! Ike! Kuruma-o dase!* - To oni! Aum! Mają sarin! Mój przyjaciel stracił przytomność! Jedź! Jedź!

Nawet nie musiałem udawać przerażenia.

Chyba mi nie uwierzył lub wziął mnie za wariata, ale z gazem wołał nie ryzykować. Wrzucił bieg, wdepnął pedał i energicznie szarpnął kierownicą w prawo. Z piskiem opon zawrócił na Meiji-dori i wcisnął się w sznur samochodów jadących w przeciwną stronę. Japończycy pobiegli do limuzyny.

- *Isoide! Isoide! Byoin ni tanomu!* - Szybko! Musimy jechać do szpitala!

W ostatniej chwili przed zmianą świateł przejechaliśmy przez skrzyżowanie Meiji-dori i Waseda-dori. Taksówkarz ostro skręcił w lewo, w stronę Narodowego Centrum Medycznego. Siła odśrodkowa odrzuciła Holtzera ode mnie. Kilka sekund później ruszyły samochody stojące na Waseda-dori. Limuzyna utknęła co najmniej na minutę.

Przed nami była stacja Waseda Tozai. Pora zniknąć. Kazałem kierowcy zjechać do krawężnika.

Holtzer leżał na drzwiach; był nieprzytomny, lecz oddychał. Chciałem na dobre go udusić -jeden przeciwnik mniej - ale nie miałem na to czasu.

Taksówkarz zaczął protestować: najpierw trzeba do szpitala, potem zadzwonić na policję, lecz powtórzyłem, żeby się zatrzymał. Wyjąłem pół banknotu, które mu obiecałem wcześniej i dorzuciłem jeszcze dwieście tysięcy jenów. Całe.

Zabrałem torbę z rzeczami dla Midori, wyskoczyłem z taksówki i biegłem schodami do metra. Gdybym musiał czekać na pociąg, to wybiegłbym innym wyjściem i uciekał dalej pieszo. Na szczęście tak się nie stało - Tozai właśnie wjeżdżał na peron. Pojechałem do Nihonbashi, tam przesiadłem się na linię Ginza, a potem w Shinbashi na Yamanote. Oczywiście, nie zapomniałem o dokładnym SDR. Kiedy wreszcie dotarłem do obrotowych drzwi na dworcu Shibuya, wiedziałem, że choć na chwilę jestem znów bezpieczny. Ale ścigali mnie, więc ta chwila nie mogła trwać długo.

## 16

Godzinę później dostałem SMS od Harry'ego, że zgodnie z umową możemy się spotkać w Doutur. Czekał na mnie.

- Mów, co masz - powiedziałem.
- To trochę dziwne.
- Co znaczy „dziwne”?
- Po pierwsze, płyta jest wyposażona w bardzo zaawansowany system zabezpieczenia.
- Nie potrafiłeś tego złamać?
- Chodzi o coś innego. System zabezpieczający nie ma nic wspólnego ze zwykłym kodowaniem. Tej płyty nie da się skopiować, przetworzyć elektronicznie ani wrzucić do Internetu.
- Czyli istnieje tylko jedna kopia z głównej matrycy?
- Jedna lub kilka, tego nie wiem, ale na pewno nie ma kopii z kopii. Czyli rodzina bez wnuków.
- Nie można przesłać jej Internetem, wstawić na błoga i tak dalej?
- Nie. Jeśli podejmiesz taką próbę, dane po prostu się posypią. Nikt ich nie odczyta.
- To mi wyjaśnia parę rzeczy.
- Na przykład?
- Na przykład to, dlaczego wszyscy tak gorliwie jej szukają. Dlaczego chcą ją dostać w swoje ręce. Po prostu wiedzą, że nie można zrobić z niej dodatkowych kopii. Jest tylko jedno źródło zagrożenia.
- Właśnie.
- Teraz odpowiedz mi na inne pytanie. Dlaczego ten, kto trzyma bazę danych, miałby sporządzić chociaż tę jedną kopię? Przecież mógł całkiem zamknąć dostęp. Tak chyba byłoby bezpieczniej.
- Owszem, ale w tym zawsze jest ryzyko. Jeśli coś padnie w głównej bazie, to tracisz wszystkie zgromadzone dane. Lepiej mieć backup.
- Zastanawiałem się przez chwilę.
- Co jeszcze?
- Jak sam wiesz, jest zakodowana.
- Tak.
- To kodowanie też jest dziwne.
- Powtarzasz się.
- Słyszałeś kiedyś o „redukcji siatki”?
- Raczej nie.
- To rodzaj szyfru. Wiadomość jest zakodowana w pewnym powtarzalnym wzorze, w czymś na kształt kwiatków na tapecie. Ale tapety są bardzo proste, jeden rysunek w dwóch wymiarach. Skompli-

kowany szyfr wykorzystuje ścieżkę powtarzającą się w szczegółach, w wielu wymiarach matematycznych. Żeby go złamać, musisz znaleźć prosty element podstawowy, czyli pochodzenie wzoru.

- Wszystko jasne. Możesz to obejść?

- Nie wiem. Wprawdzie robiłem takie rzeczy w Fort Meade, jednak ten szyfr wydaje mi się jakiś dziwny.

- Jeżeli jeszcze raz to powiesz, Harry...

- Przepraszam. Dziwny dlatego, że przede wszystkim ma muzyczną siatkę.

- Teraz się całkiem pogubiłem.

- Są tam jak gdyby nuty. Nawet mój komputer najpierw zobaczył to jako zwykłe audio CD, a nie płytę z danymi. Wzór jest niezwykły, lecz symetryczny.

- Złamiesz go?

- Próbowałem, ale bez skutku. Muszę ci coś powiedzieć, John. Właściwie się na tym nie znam.

- Nie znasz się? Po tylu latach w NSA mówisz, że czegoś nie wiesz?

Poczerwieniał.

- Tu nie chodzi o kodowanie... tylko o tę melodię. Potrzebuję muzyka, żeby mi wskazał drogę.

- Muzyka - powtórzyłem.

- Właśnie. Kogoś, kto czyta nuty albo jeszcze lepiej, sam komponuje.

Nic na to nie powiedziałem.

- Dużo by nam pomogła - mruknął Harry.

- Pomyślę nad tym - odparłem z zażenowaniem.

- Okej.

- Co z komórkami? Dałeś radę?

Uśmiechnął się.

- Czekałem, kiedy o to spytasz. Wiesz, co to jest Shinnento?

- Chyba nie - zastanawiałem się. - Nowy Rok coś tam?

- *Shinnen*, jak wiara albo przekonania, a nie Nowy Rok - wyjaśnił, kreśląc palcem w powietrzu odpowiednie *kanji*, żebym odróżnił oba homonimy. - To partia polityczna. *Kendoka* dzwonił do ich siedziby w Shibakoen, lecz ten sam numer jest zapisany w obu komórkach. - Znów się uśmiechnął, jakby zadowolony z kolejnych odkryć. - Jeżeli ci to nie wystarczy, dopowiem tylko, że ta sama partia płaciła także za rachunki.

- Wciąż mnie zadziwiasz, Harry. Mów dalej.

- Dobrze. Twórcą Shinnento jest niejaki Yamaoto Toshi. Partia powstała w 1978 roku i Yamaoto ciągle stoi na jej czele. Urodzony w czterdziestym dziewiątym, jedyny syn znanej rodziny samurajskiego pochodzenia. Jego ojciec był oficerem wojsk cesarskich, specjalistą od łączności. Po wojnie założył firmę produkującą przenośne radiostacje. Żeby wejść do biznesu, połączył rodzinne koneksje z resztkami *zaibatsu*. Najbardziej się wzbogacił na wojnie koreańskiej, bo Amerykanie nagminnie kupowali produkty jego firmy.

*Zaibatsu* to grupa przedwojennych koncernów przemysłowych, zarządzanych przez najbogatsze japońskie rodziny. Wprawdzie po wojnie Mac Arthur ściął całe drzewo, ale jakoś nie mógł dokopać się do korzeni.

- Yamaoto zaczął od sztuki, jako nastolatek, chyba za sprawą matki, przebywał w Europie, ucząc się gry na fortepianie. Na swój sposób był genialnym dzieckiem. Kiedy skończył dwadzieścia lat, ojciec odebrał mu tę wolność i wysłał go na dalsze studia do Stanów Zjednoczonych. Chciał przygotować syna do przejęcia rodzinnej schedy. Yamaoto ukończył Harvard i zrobił dyplom z biznesu. Do śmierci ojca zajmował się interesami firmy w Ameryce. Później wrócił do Japonii, sprzedał przedsiębiorstwo, założył Shinnento i wystartował w wyborach do parlamentu.

- Był pianistą. Czy to może mieć jakiś związek z szyfrem?

- Nie wiem. Niewykluczone.

- Przepraszam, już ci nie przerywam.

- Wydaje mi się, że samurajskie pochodzenie ojca i jego kariera w armii cesarskiej wywarły niemały wpływ na polityczne poglądy syna. Shinnento stało się platformą, z której głosił swoje prawicowe przekonania. W osiemdziesiątym piątym dostał mandat w Nagano-ken, ale w następnych wyborach sromotnie przegrał.

- Tak, w Japonii nikt cię nie pyta o poglądy - mruknąłem. - Liczy się jedynie kielbasa wyborcza.

- Ta porażka chyba sporo go nauczyła. W czasie kadencji trwonął czas i swój kapitał polityczny na niekończące się dyskusje o konieczności usunięcia artykułu dziewiątego z japońskiej konstytucji. Chciał odbudować siły zbrojne, wykopać stąd Amerykanów, wprowadzić do szkół naukę shinto i tak dalej, normalka. Po przegranej znów wystartował, ale tym razem skupił się na budowie dróg i mostów dla swoich



wyborców, dopłatach do ryżu i ulgach podatkowych. Stał się zupełnie innym politykiem. Głęboko schował nacjonalizm. W osiemdziesiątym siódmym odzyskał mandat i ma go do tej pory. Ale Shinnento odgrywa marginalną rolę. PLD nigdy nie pomyślała o tym, aby zaprosić ją do koalicji. Podejrzewam, że poza Nagano-ken nikt o niej nie słyszał.

Z drugiej strony jej szef potrafił się ustawić. Partia nie cierpi na brak funduszy. Większość pieniędzy oczywiście pochodzi z majątku ojca. Lecz Yamaoto wie, jak zagrać z wyborcami. W Nagano mieszkają przede wszystkim chłopi, więc ustawicznie walczy o różne dotacje. Jest też zagorzałym przeciwnikiem jakichkolwiek zmian w ustawie zakazującej importu ryżu do Japonii. Oprócz tego cieszy się poparciem różnych organizacji shinto.

- Shinto - powtórzyłem z namysłem. Shinto to rodzima religia japońska, ściśle związana z wiarą w siły natury. Tuż przed wojną nacjonalisci zrobili z niej ideologię, propagującą „prawdziwą japońskość”. W odróżnieniu od chrześcijaństwa i buddyzmu shinto praktykowane jest wyłącznie w Japonii. Coś w tym wszystkim jednak mi nie pasowało. .. Coś mi umknęło. Nagle zrozumiałem.

- Już wiem, jak mnie znaleźli! - zawołałem. - Nic dziwnego, że ciągle widziałem kapłanów, żebrzących o datki pod stacjami na Mitasen. Obserwacja statyczna. Posuwali się za mną zawsze o stację dalej, aż odkryli, gdzie mieszkam. Cholera, jak mogłem to przegapić? Raz omal nie dałem jednemu stu jenów.

Harry popatrzył na mnie zaniepokojony.

- Skąd wiedzieli, żeby cię szukać właśnie na linii Mita?

- Na początku pewnie nie wiedzieli. Zwykły łut szczęścia, przypadek, skromna pomoc Holtzera, moja teczka w CIA, może nawet garść fotografii z wojny. To wystarczy. Jeśli ktoś widział mnie w Kodokanie, od razu doszedł do wniosku, że mieszkam gdzieś niedaleko. W pobliżu są trzy stacje. Wystarczyło więc we właściwym czasie ustawić właściwych ludzi we właściwych miejscach. Cholera, nakryli mnie.

W duchu musiałem przyznać, że to świetna robota. Przy takiej inwigilacji obserwator praktycznie pozostaje w ukryciu. No bo jak go zmusić, żeby zrobił coś głupiego i wreszcie się ujawnił? Trochę to przypomina krycie strefą w koszu. W gruncie rzeczy nieważne, gdzie pójdzie facet z piłką, gdyż w następnej strefie zawsze go ktoś przechwyci. Jeżeli masz odpowiednio dużo ludzi, to zabójcza sprawa.

- Skąd w tym się wzięło shinto? - zapytał Harry'ego.

- To ogromna organizacja, z wielką armią kapłanów prowadzących działalność na poziomie krajowym, lokalnym, a nawet dzielnicowym. W rezultacie świątynie spokojnie żyją z datków i dysponują pokaźnym zapleczem finansowym. Mogą sobie pozwolić na to, żeby wziąć pod opiekę wybranych polityków. Yamaoto chce wzmocnić rolę shinto w Japonii, a to z kolei oznacza większą władzę kapłanów.

- Więc go finansują?

- Tak, ale nie tylko. Shinto jest częścią programu jego partii. Yamaoto chce, żeby było nauczane w szkołach, złożył projekt współpracy policji i świątyń dla ochrony przed zbrodnią. Pamiętaj, że przed wojną shinto postrzegano jako ostoję japońskiego nacjonalizmu. Ponieważ wyznawane jest tylko w Japonii, łatwo je przekształcić, co już raz zrobiono, w ksenofobiczny kult japońskiego ducha, *Yamato Gokoro*. Teraz znów zyskało na popularności, chociaż poza Japonią niemal nikt o nim nie wie.

- Mówiłeś, że siedziba Shinnento jest gdzieś w Shibakoen.

- Tak.

- Dobrze... Pracuj nad płytą, a ja przez ten czas spróbuję załatwić trochę sprzętu. Podczerwień i laser. Oczywiście wideo... i jakiś nadajnik, gdybym wszedł do środka. Chciałbym sobie posłuchać rozmów naszych przyjaciół.

- Po co?

- Potrzeba mi kilku informacji. Do kogo należała płyta? Kto chce ją odzyskać? Dlaczego? Bez tego nie mogę się skutecznie bronić... ani osłaniać Midori.

- Z takim sprzętem musiałbyś podejść bardzo blisko ściany. Jak umieścisz nadajnik? Przecież to niebezpieczne. Lepiej pozwól mi dłużej popracować nad szyfrem. Może to, czego szukasz, jest po prostu na płycie.

- Nie mam czasu. Pewnie posiedzisz tydzień albo w ogóle nie zdołasz złamać tego szyfru. A ja tymczasem muszę się ukrywać przed Agencją, yakuzą i armią kapłanów shinto. Wiedzą, gdzie mieszkam, i depczą mi po piętach. Czas działa przeciwko mnie... powinienem to jak najszybciej skończyć.

- To dlaczego po prostu nie wyjedziesz z kraju? Przynajmniej na tak długo, dopóki nie rozpracuję płyty. Co cię tu jeszcze trzyma?

- Po pierwsze, jestem coś winien Midori, ona, niestety, nie może wyjechać. Nie chcę, żeby posługiwała się swoim paszportem, a lewych papierów raczej nie ma pod ręką.

Harry przytaknął, chyba ze zrozumieniem, i przyjrzał mi się uważnie.

- Jest coś między wami?

Milczałem.

- Wiedziałem - mruknął, czerwony jak burak.

- Od razu mogłem się domyślić, że z tobą nie ma żartów.

Pokręcił głową.

- Dlatego nie chcesz, żeby mi pomogła?

- Aż tak łatwo mnie przejrzeć?

- Nie zawsze.

- Dobrze. Poproszę ją. - Nie miałem wyboru.

- Razem pójdzie nam łatwiej.

- Wiem. Nie martw się. Z góry wiedziałem, że bez pomocy z zewnątrz nie dasz sobie rady z tak skomplikowanym szyfrem.

Już, już otwierał usta w świętym oburzeniu, ale w tej samej chwili zobaczył mój uśmiech.

- Mam cię - mruknąłem.

## 17

Harry wynajął dla mnie brykę gdzieś w Roppongi. Na wszelki wypadek pokazał fałszywy dowód. Ja tymczasem beczynn timer czekałem u niego, bo nie chciałem za dużo szwendać się po mieście. Jego mieszkanie było bardzo dziwnym miejscem, pełnym elektroniki, ale pozbawionym wszelkich niezbędnych wygód. Jakies kilka lat temu Harry powiedział mi, że przeczytał, jak to policja nakryła kilku hodowców marihuany. Podobno sprawdzali ich rachunki za prąd - urządzenia hydroponiczne pochłaniają mnóstwo energii elektrycznej. Harry przestraszył się, że jego też znajdą, i postanowił zatrzeć za sobą ślad. Z tego powodu używał tylko takich sprzętów elektrycznych, które uważał za niezbędne. Niestety, w jego świecie ta kategoria nie obejmowała lodówki, grzejnika i klimatyzacji.

Kiedy wrócił, załadowaliśmy sprzęt na tył samochodu. To była dość skomplikowana aparatura. Laser odczytywał wibrację okien, powodowaną przez rozmowę, i przekazywał dane do komputera, który przekształcał je na słowa. Dzięki czujnikom podczerwieni mogłem sprawdzić

niewielkie zmiany temperatury szyby wskutek ciepła bijącego od ludzkiego ciała, gdy ktoś wchodził do zazwyczaj chłodnego pokoju.

Po skończonej robocie odstawiłem auto na parking i wróciłem na stację Shibuya, po drodze robiąc staranny SDR.

Kilka minut po pierwszej dotarłem do hotelu. W małym sklepiku na jednej z bezimiennych uliczek wijących się wokół Dogenzaki kupiłem kilka kanapek. Zjedliśmy je z Midori, siedząc na podłodze. Opowiedziałem jej o wszystkim, co się wydarzyło, i oddałem zakupy. Poprosiłem, żeby przed wyjściem włożyła szal i okulary. Dałem jej adres Harry'ego, poleciłem się spakować i powiedziałem, że za dwie godziny spotkamy się u niego.

Gdy przyszedłem, już siedział nad płytą Kawamury. Pół godziny później odezwał się domofon. Harry począpał do głośnika, wcisnął klawisz i powiedział:

- *Hai.*

- *Watashi desu.* - To ja. Skinąłem głową, więc Harry wduśił drugi przycisk, żeby otworzyć frontowe drzwi. Potem ostrożnie wyjrzał z mieszkania na korytarz. Zawsze lepiej odrobinę wcześniej wiedzieć, kto idzie, zanim podejdziesz na tyle blisko, że nie będziesz miał czasu na reakcję.

Chwilę później otworzył drzwi na oścież i szerokim gestem zaprosił Midori do środka.

- To właśnie jest przyjaciel, o którym ci mówiłem - odezwałem się po japońsku. - Harry. Bywa trochę nieśmiały wobec ludzi, bo większość czasu spędza przy komputerach. Jeśli będziesz dla niego uprzejma, to może w końcu się odezwie.

- *Hajimemashite* - powiedziała Midori z głębokim ukłonem. Miło mi pana poznać.

- Miło mi panią poznać - odparł Harry po japońsku. Szybko mrugał, więc był zdenerwowany. - Proszę nie słuchać mojego kumpla. W czasie wojny przeprowadzano na nim próby z nowym rodzajem narkotyków i od tamtej pory jest trochę zdziecinniały.

Harry? - pomyślałem zdumiony jego niespodziewanym zachowaniem.

Midori zrobiła niewinną minkę.

- Więc to po narkotykach? - zapytała.

Z ulgą stwierdziłem, że porozumiewa się z nim znakomicie. Harry popatrzył na mnie z radosnym uśmiechem. Czuł, że wreszcie zdobył nade mną małą przewagę - i może nawet zyskał cenną sojuszniczkę.

- Ekstra. Widzę, że wam świetnie idzie - powiedziałem, zanim Harry zdążył na dobre się nakręcić. - Nie mamy za wiele czasu. Plan jest taki.

Wtajemniczyłem Midori w to, co zamierzałem zrobić.

- Wcale mi się to nie podoba - odparła. - Mogą cię zobaczyć. To niebezpieczne.

- Nikt mnie nie będzie widział.

- Dlaczego trochę nie poczekaasz, aż spróbujemy dobrać się do szyfru?

- Już to mówiłem Harry'emu. Macie swoją robotę, a ja swoją. Tak będzie lepiej. Nic mi się nie stanie.

Pojechałem do siedziby Shinnento w Shibakoen, na południe od rządowej dzielnicy Kasumigaseki. Biura partii zajmowały część pierwszego piętra budynku przy Hibiya-dori, naprzeciwko parku Shiba. Miałem zamiar sprawdzić laserem wszystkie pomieszczenia, posłuchać rozmów, a potem, opierając się na analizie Harry'ego, wybrać najlepszy pokój lub pokoje na założenie pluskwy. W ten sam sposób chciałem się dowiedzieć, kiedy wszyscy wychodzą z biura - na pewno grubo po zmierzchu - żebym mógł tam podrzucić mikrofon i kamerę. Liczyłem na to, że wideo nam pokaże, kto jest związany jednocześnie z partią i Agencją. Ciekawe, co ich naprawdę łączy?

Zatrzymałem się po drugiej stronie ulicy. Co prawda był tu zakaz parkowania, ale punkt okazał się na tyle dobry, że wolałem zaryzykować mandat od znudzonej strażniczki miejskiej, niż szukać innego miejsca.

Właśnie skończyłem ustawiać aparat i wycelowałem czujniki w wybrane okna, kiedy usłyszałem, że ktoś puka w szybę od strony pasażera. Obejrzałem się i zobaczyłem policjanta w mundurze. Stukał w okno pałką.

Kurwa mać... Uspokajająco machnąłem ręką na znak, że już odjeżdżam, ale on twardo pokręcił głową.

- *Dēte yo* - powiedział. Wysiadać.

Aparatura stała na tylnym fotelu po stronie kierowcy, więc nie mogłem jej zobaczyć. Musiałem zaryzykować. Przesunąłem się, otworzyłem drzwi i wyskoczyłem na ulicę.

Z boku stało jeszcze trzech facetów. Nie widziałem ich, dopóki nie wysiadłem. Wszyscy byli uzbrojeni w poręczne pistolety Beretta 92

Compact, nosili ciemne okulary i obszerne płaszcze - rodzaj przebrania, trochę zmieniającego rysy twarzy i sylwetkę. Oznaczało to, że zamierzają po prostu mnie zastrzelić, gdybym stawiał opór. Kamuflaż był dla potencjalnych świadków. Uszy mieli typowe dla większości *kendoka*. Poznałem tego, który stał najbliżej - spotkałem go już wcześniej, pod domem Midori. Brzydal z płaskim nosem, który wszedł do holu tuż po tym, jak rozłożyłem niedoszłych porywaczy.

Policjant wysłuchał krótkich podziękowań, odwrócił się i odszedł.

Kiwnęli na mnie, żebym przeszedł przez ulicę. Co mogłem zrobić? Posłuchałem. Właściwie odpadł kłopot, jak wejść do siedziby partii. W kieszeni miałem mikrosluchawkę i jedną z małych przyklepanych pluskiew, zrobionych przez Harry'ego. Czekałem tylko na okazję, żeby ją gdzieś przyczepić.

Wprowadzili mnie głównym wejściem. Przez cały czas trzymali ręce w kieszeniach płaszczy. Okrążyli mnie ciasno, żeby ograniczyć mi swobodę ruchów, i weszliśmy schodami na pierwsze piętro. Płaskonosy pchnął mnie na ścianę i przyłożył mi lufę do karku. Drugi obmacał mnie od stóp do głów. Szukał wyłącznie broni, więc nie wyczuł małego nadajnika.

Kiedy skończył, Płaskonosy cofnął się o krok i nagle kopnął mnie w jaja. Zgiąłem się wpół i w tej samej chwili dostałem następnego kopniaka w brzuch i dwa w zębra. Ciężko dysząc, osunąłem się na kolana. Ból przeszywał mi całe ciało. Próbowałem osłonić się rękami przed kolejnym ciosem, lecz już nie musiałem. Jeden z gangsterów stanął między mną i Płaskonosym.

- *Iya, sono kurai ni shite oke.* - To wystarczy.

Zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie jakaś odmiana zabawy „dobry gliniarz, zły gliniarz”.

Trwało to kilka minut. Wciąż klęczałem, z trudem łapiąc oddech, a ten drugi chronił mnie przed Płaskonosym. Kiedy już mogłem wstać, poszliśmy w głąb krótkiego korytarza. Po drodze mijaliśmy zamknięte drzwi. Płaskonosy zatrzymał się przed ostatnimi z prawej i zapukał.

- *Dozo* - odezwał się jakiś głos. Proszę.

Wprowadzili mnie do pokoju. Był całkiem spory jak na japońskie standardy i umeblowany w tradycyjnie oszczędny sposób. Dużo jasnego drewna, kosztowna ceramika na półkach, ściany dekorowane *hanga*, drzeworytami. W rogu stała niewielka skórzana kanapa, kilka foteli i niski stolik z nieskazitelnie czystym szklanym blatem. Wszystko ra-

zem sprawiło bardzo miłe dla oka wrażenie dostatku. Przypuszczałem, że przy gościach Płaskonosy i jego kumple muszą się gdzieś schować.

Po drugiej stronie pokoju stało drewniane biurko. Sekundę trwało, zanim poznałem, kto tam siedzi. Nie widziałem go w garniturze.

To był *judoka* z Kodokanu. Ten sam, z którym stoczyłem *randori*.

- Cześć, Johnie Rain - powiedział z lekkim uśmiechem. - *Hisashiburi desu, ne*. - Kopę lat.

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

- Cześć, Yamaoto.

Wstał i wyszedł zza biurka tym samym zdecydowanym, ale płynnym ruchem, jak w Kodokanie.

- Miło, że wpadłeś - mruknął. - Czekałem na ciebie.

Tyle to sam wiedziałem.

- Mogłem wcześniej zadzwonić - odparłem. - Przepraszam.

- Nie ma za co. W ogóle o tym nie myślałem. Spodziewałem się jednak, że w pewnym momencie przejmiesz inicjatywę. Przecież jako *judoka* wolisz atakować, obrona jest dla ciebie tylko prostą zmyłką.

Skinął na swoich ludzi i po japońsku kazał poczekać im na korytarzu. Wyszli bez słowa, jedynie Płaskonosy popatrzył na mnie przeciągle, zanim zniknął za drzwiami.

- Coś mu zrobiłem? - spytałem, masując obolałe zębra. - Chyba się na mnie gniewa.

- Uderzył cię? Miał tego nie robić, ale czasem ponoszą go nerwy. Przyjaźnił się z Ishikawą, którego zabiłeś w pobliżu swojego domu.

- Przykro mi to słyszeć.

Pokręcił głową, jakby chodziło o nieporozumienie.

- *Dozo, suwatte kudasai* - powiedział. - Siadaj, proszę. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Nie chce mi się pić. Postoję sobie.

Westchnął.

- Wiem, o czym myślisz, Rain-san. Nie zapominaj, widziałem, że jesteś naprawdę szybki. Choćby dlatego w korytarzu stoi trzech uzbrojonych ludzi. Tak na wszelki wypadek... gdybyś mnie pokonał. - Uśmiechnął się pewnym siebie uśmiechem. Po tym, co mi pokazał w Kodokanie, miał prawo być z siebie dumny. - A swoją drogą, to byłaby ciekawa walka. Ale nie mamy na to czasu. Rozgość się, a potem pomyślimy, jak rozwiązać nasz wspólny problem.

- Wspólny problem?

- Tak, wspólny. Masz coś, co jest mi potrzebne albo przynajmniej wiesz, gdzie tego szukać. Gdy mi to oddasz, problem zniknie i znów będziemy mogli „żyć i dać żyć innym”. Jeżeli jednak tego nie dostanę, sytuacja zrobi się naprawdę trudna.

W milczeniu czekałem, czy powie coś więcej.

- Chcę z tobą porozmawiać - oznajmił po krótkiej chwili. - *Dozo kakete kudasai*. - Usiądź, proszę.

Z pochyloną głową podszedłem do fotela naprzeciw kanapy. Zrezygnowanym gestem wsadziłem ręce do kieszeni i włączyłem mikrofon. Od tej pory Harry słyszał każde słowo, bez względu na to, jak to wszystko się skończy. Usiadłem i czekałem.

- Dziękuję. - Yamaoto usadowił się na kanapie. - A teraz powiedz, jak mnie znalazłeś?

Wzruszyłem ramionami.

- Ishikawa włamał się do mojego mieszkania i chciał mnie zabić. Zabrałem mu komórkę i znalazłem twój numer. Reszta to kwestia inicjatywy. Przecież sam przedtem powiedziałaś, że najlepszą obroną jest atak.

- Ishikawa wcale nie zamierzał cię zabić. Miał zadać tylko parę pytań.

- Jeżeli tak wyglądającego „pytania”, to powinieneś wysłać go na kurs do Dale’ a Carnegiego\*.

- Nieważne. Nie chodzi nam o ciebie, ale o płytę.

- Płytę?

- Nie obrażaj mnie, nie jestem głupi. Wiem, że osłaniasz Midori Kawamurę.

Tym mnie zaskoczył. Ale po chwili wszystko zrozumiałem - przecież czekali w jej apartamencie. To na pewno byli ludzie Yamaoto. Poszli do niej przekonani, że zabrała CD wraz z innymi rzeczami ojca. Tymczasem trafili na mnie. Fakt, pomyślałem, przedtem mnie nie ścigali. To się stało dopiero po bójce u Midori.

- Co ona ma z tym wspólnego?

- Jej ojciec miał tę płytę przy sobie w chwili śmierci. Podejrzewam, że córka ją jakoś przejęła... a teraz się ukrywa.

\* Amerykański wykładowca (1888-1955), autor popularnego do dzisiaj podręcznika *How to Win Friends and Influence People* (Jak zdobyć przyjaciół i przyciągnąć do siebie ludzi) (przyp. tłum.).



- Pewnie, że się ukrywa. W jej mieszkaniu też była podobna delegacja jak u mnie. Zrozumiała, że coś jej grozi, tylko nie wie, dlaczego.
  - Ktoś inny w jej sytuacji od razu poszedłby na policję. Midori tego nie zrobiła.
  - Nic o tym nie wiem. Sam nie za bardzo ufam policjantom.
  - Gdzie ona jest?
  - Nie mam pojęcia. Zniknęła zaraz po zasadzce. Myślałem, że ją znaleźliście.
  - Serio? Nie pokazała się od tamtej pory.
  - Może ukryła się u przyjaciół? Gdzieś na wsi albo coś takiego? Na mój gust wyglądała na mocno przestraszona.
  - Rozumiem - mruknął. Złączył dłonie czubkami palców. - Musisz wiedzieć, Rain-san, że na tej płycie są informacje, które w rękach wrogów mogą stanowić groźbę dla Japonii. Też jej szukają. Przypomniał mi się Holtzer, chciał „wydupczyć posłuszną Japonię”. Tylko on potrafił ująć to w ten sposób.
- Nie rozumiałem jednak pewnej rzeczy.
- Po co przyszedłeś do Kodokanu? - spytałem.
  - Z ciekawości - odparł zamyślony. - Chciałem wiedzieć, co w życiu pociąga człowieka z taką przeszłością jak twoja. Gdybym przewidział, jak sprawy się potoczą, na pewno bym nie przyszedł.
  - Co masz na myśli, mówiąc „przeszłość”?
  - Wychowywałeś się w dwóch różnych krajach, na rozdrożu dwóch różnych kultur.
  - Chyba jednak coś przegapiłem. Poza tym, że zupełnie przypadkowo wpadłem na twoich ludzi u Midori, nie wiedziałem, że się znamy.
  - Ach, oczywiście. Skąd miałbyś wiedzieć, że czasami brałeś moje zlecenia?
- Znowu robota Benny'ego. Chryste, ten mały drań naprawdę kręcił ze wszystkimi. Wszędzie sprzedawał moje usługi, niemal traktując mnie jak znacznik. Lecz z tym już koniec.
- Sam więc widzisz, że do tej pory mieliśmy zbieżne interesy. Pomóż mi rozwiązać ten mały problem i wszystko wróci do *status quo ante helium*.
- Cholernie chciał odzyskać płytę. Liczyłem na to, że Harry szybko znajdzie właściwe algorytmy.
- Kłopot w tym, że nie wiem, gdzie jest płyta ani co na niej jest nagrane - odparłem. - Gdybym ją miał, to bym ci oddał. Ale nie mam.

Zmarszczył brwi.

- To źle. A córka Kawamury? Też nic nie wie?

- Skąd mogę wiedzieć?

Poważnie pokiwał głową.

- Niedobrze... Chyba rozumiesz, że dopóki nie znajdę tego, czego szukam, będę miał ustawiczny problem z panną Kawamura. Byłoby lepiej, gdyby płyta jak najszybciej trafiła do mnie.

Coś mnie kusiło, żeby mu uwierzyć. Może było w tym trochę prawdy? Może niech weźmie sobie płytę i odczepi się od Midori?

Ale, niestety, byli inni gracze. Skąd mieliby wiedzieć, że Midori oddała CD? I jeszcze kwestia logistyki. Yamaoto na pewno nie wypuściłby mnie w zamian za obietnicę powrotu z cennym łupem. Ja z kolei nie mogłem podać mu adresu Harry'ego i Midori, bo nie miałem gwarancji, że nie zechce posprzątać reszty bałaganu, nawet jeśli spełnimy wszystkie jego żądania.

- Moim zdaniem ona nie ma z tym nic wspólnego- powiedziałem. - Dlaczego Kawamura miałby jej coś dawać? Przecież na pewno zdawał sobie sprawę, że w ten sposób ściągnie na nią poważne kłopoty.

- Może zrobił to bezwiednie. Poza tym, jak już mówiłem wcześniej, to dziwne, że od razu nie poszła na policję.

W milczeniu czekałem, co będzie dalej.

- No, dobrze... dość wygłupów. - Yamaoto wstał i zdjął marynarkę z wieszaka. -Niestety, muszę już wyjść na spotkanie. Nie mam czasu, żeby się z tobą przekomarzać. Powiedz mi, gdzie znaleźć płytę... albo Midori Kawamurę.

- Powtarzam, nie wiem.

- Szkoda. Znam tylko jeden sposób, żeby przekonać się, czy nie kłamiesz. Na pewno się domyślasz, o czym mówię.

Chyba przez minutę żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Wreszcie usłyszałem, że Yamaoto wzdycha, jakby do tej pory wstrzymywał powietrze w płucach.

- Rain-san... Wiem, że znalazłeś się w trudnym położeniu. Serdecznie ci współczuję. Zrozum jednak, że nie ustąpię. Jeżeli po przyjacielsku powiesz mi całą prawdę, wtedy ci zaufam. Idź sobie, gdzie zechcesz. Gorzej, jeśli to moi ludzie zmuszą cię do mówienia. Wątpię, czy będziesz mógł się ruszać. Zrozumiałeś? Bez płyty nie mam wyboru. .. muszę systematycznie wyeliminować wszelkie związane z nią źródła zagrożenia. Może więc lepiej powiedz.

Skrzyżowałem ręce na piersiach i spojrzałem na niego. Mój wzrok nie wyrażał żadnych emocji, lecz w myślach odtwarzałem plan schodów i korytarza... Szukałem drogi ucieczki.

Długo czekał - chyba spodziewał się, że jednak pękne. Wreszcie zwołał swoich ludzi. Weszli, wzięli mnie między siebie i podnieśli z fotela. Yamaoto rzucił po japońsku kilka krótkich rozkazów. Dowiedźcie się, gdzie jest płyta. I Midori. Macie wolną rękę.

Wywlekli mnie z pokoju. Zza moich pleców dobiegł jeszcze głos Yamaoto:

- Rozczarowałeś mnie.

Ledwie go słuchałem. Byłem zbyt zajęty planami ucieczki.

## 18

Pociągnęli mnie korytarzem. Kiedy mijaliśmy podwójne szklane drzwi, zauważyłem, że są zamknięte na niewielki zamek, wsunięty w szparę między skrzydłami. Otworzyły się na zewnątrz. Gdybym uderzył w sam ich środek, mniej więcej na wysokości zanika, pewnie mógłbym je wyważyć. W przeciwnym razie pozostawało mi wziąć duży rozpęd i skoczyć w szybę z cichą nadzieją, że za bardzo się nie pokaleczę. Kiepski wybór, ale i tak lepszy niż śmierć w męczarniach z raje Płaskonosego i jego przystojnych kumpli.

Brutalnie popychali mnie przed sobą korytarzem, a ja starałem się wytworzyć wokół siebie aurę strachu i bezradności. Chciałem, aby nabrali przekonania, że mają nade mną władzę, że naprawdę się ich boję. To mi dawało niewielką szansę zaskoczenia. Poza tym miałem małą przewagę - taką samą jak żołnierz SOG nad Wietnamczykami, nawet na ich podwórku. Gdyby wziąć pod uwagę to, co mnie czekało, bardziej zależało mi na ucieczce niż im na pilnowaniu.

Zabrali mnie do pokoju na samym końcu korytarza. Była to w zasadzie klatka o powierzchni trzech metrów kwadratowych. Drzwi z matową szybą otwierały się do niej do środka, w lewą stronę. Po prawej stał niewielki prostokątny stół i dwa krzesła. Posadzili mnie na jednym z nich, plecami do wyjścia. Położyłem ręce pod stołem na kolanach.

Płaskonosy zniknął na kilka minut. Wrócił z dużą drewnianą pałką. Usiadł po drugiej stronie stołu, twarzą do mnie. Dwaj pozostali stanęli za mną po obu bokach.

Płaskonosiego dzielił od ściany jakiś metr wolnej przestrzeni. Dobrze.

Żaden nie zamknął drzwi na klucz. Po co tyle zachodu? Przecież było ich trzech. Trzech dużych sukinsynów. Na swoim terenie czuli się nadzwyczaj pewnie.

Lekko uniosłem stół na kolanach, sprawdzając jego wagę. Mimo swoich rozmiarów był dość ciężki. Serce łomotało mi w uszach i szyi.

Płaskonosy zaczął coś mówić. Nawet go nie słuchałem. Już po pierwszych słowach zerwałem się z krzesła, dźwignąłem stół i pchnąłem go na niego. Płaskonosy z łoskotem wyładował na ścianie. Poczuliem w rękach siłę uderzenia.

Jego kumple skoczyli na mnie. Błyskawicznie kopnąłem tego z prawej. Trafiłem go w bebechy tak mocno, że zanim upadł, przebieierał nogami w powietrzu. Ale drugi już siedział mi na karku.

Złapał mnie od tyłu i próbował założyć *hadaka jime*, tak zwane gołe duszenie, wciągnąłem jednak głowę w ramiona i jego przedramię znalazło się na wysokości moich ust. Mimo to miał taki silny chwyt, że omal mi nie wyłamał szczęki. Otworzyłem usta, chwyciłem go zębami za rękę i ugryzłem, zanim zdążył się wyrwać. Czuliem, jak moje zęby zagłębiają się w jego ciało. Zawył z bólu.

Chwyt zelżał, więc szybko obróciłem się na pięcie i zadałem mu serię ciosów w brzuch. Opuścił ręce, żeby osłonić tułów, wtedy dostał uderzenie w nos nasadą dłoni. Nie upadł, ale wyraźnie go to zamroczyło. Odepchnąłem go w prawo i skoczyłem do drzwi.

Ten, którego kopnąłem, złapał mnie za nogę, lecz wyrwałem mu się jednym ruchem. Chwyciłem klamkę, z całej siły szarpnąłem drzwiami i otworzyłem je na oścież. Z brzękiem tłuczonego szkła huknęły w ścianę.

Wypadłem na korytarz. Biegłem, potykając się jak ktoś, kto stracił równowagę na stromym zboczu. Po sekundzie byłem przy głównych drzwiach. Uderzyłem w nie z całym impetem, nie zatrzymując się. Zamek puścił od razu. Fiknąłem kozła w holu, zerwałem się i zbiegłem po schodach. Brałem po cztery stopnie naraz, jedną ręką trzymając się poręczy, żeby nie upaść. Ledwie dobiegłem do półpiętra, na górze trzasnęły drzwi. Już mnie gonili - nie miałem zbyt wielkiej przewagi.

Musiałem uciec, zanim przybędą posiłki. Po drugiej stronie Hibiya-dori jest stacja metra Shibakoen. Wbiegłem na jezdnię i usiłowałem po przekątnej przedostać się przez sznur samochodów. Bez przerwy ktoś gwałtownie hamował z piskiem opon.

Na schodach metra kłębił się tłum wychodzących pasażerów - pewnie przed chwilą przyjechał pociąg. Obejrzałem się i zobaczyłem dwóch chłopców Yamaoto - biegli za mną.

Usłyszałem charakterystyczny stuk. Nadjeżdżał następny pociąg. Może zdążę go złapać? Nie miałem wątpliwości, że moi prześladowcy na pewno zastrzelą mnie przy pierwszej okazji. W tym tłumie nikt by się nie połapał, skąd padły strzały. Wywalczyłem sobie kawałek wolnego miejsca, przepchnąłem się przez trzy babcie, które zaczopowały niemal całe schody, i zbiegłem na dół. Obok kasy był kiosk. W biegu chwyciłem puszkę z mrożoną kawą. Sto dziewięćdziesiąt gramów. Twarde blaszane krawędzie.

Przeskoczyłem przez bramkę i wpadłem na peron. Za późno - drzwi już się zamknęły i pociąg ruszył.

Na peronie też było pełno ludzi, ale za pociągiem ciągnęła się pusta przestrzeń. Skoczyłem w nią i szybko spojrzałem przez ramię. Jeden z goniących już przedarł się przez bramki i roztrącił grupę pasażerów.

Oceeniłem dzielącą nas odległość: pięć metrów, już mniej.

Cisnąłem puszką jak baseballista, mierząc w sam środek jego tułowia. Poleciała trochę wyżej i trafiła go w mostek z głuchym hukiem, słyszalnym nawet pomimo zgiełku na peronie. Facet zwałił się na ziemię. Ale z tyłu nadbiegał już jego kumpel z pistoletem w dłoni.

Rzuciłem się do ucieczki. Pociąg przyspieszał.

Pochyliłem głowę i pognałem za nim. Powietrze niemal rozrywało mi płuca. Usłyszałem strzał. Potem drugi.

Dwa metry. Jeden.

Byłem na tyle blisko, żeby dotknąć żelaznej poprzeczki z tyłu wagonu, lecz na tym koniec. Przez chwilę biegłem dokładnie z taką samą prędkością, jak pociąg - a potem zaczął mi uciekać.

Wydałem dziki okrzyk i skoczyłem, wyciągając ręce w stronę pałaka. Przez jedną straszną sekundę myślałem, że go nie chwycę. Czulem, że spadam, ale w tej samej chwili moja dłoń zamknęła się na zimnym pręcie.

Szarpnęło mną i uderzyłem kolanami w wagon. Stopy zwisały mi tuż nad torami. Zacząłem zsuwać się z pałaka. Uniosłem głowę i tuż

nad sobą zobaczyłem twarz jakiegoś ucznia w szkolnym mundurku. Patrzył na mnie, szeroko rozdziawiając usta. Chwilę później pociąg wjechał do tunelu, a ja spadłem.

Odruchowo skuliłem się i przycisnąłem lewą rękę do tułowia, aby fiknąć kozła w momencie zetknięcia z ziemią; uderzenie było jednak tak twarde, że odbiłem się od torów. Mocny wstrząs targnął całym moim lewym bokiem. Przez chwilę miałem wrażenie, że gdzieś lecę, a potem usłyszałem tępe łup! - i nagle znieruchomiałem.

Leżałem na plecach, gapiąc się na strop tunelu. Nie podnosiłem się i próbowałem odzyskać oddech. Poruszyłem palcami stóp, potem dłoni. W porządku.

Minęło pięć sekund. Potem jeszcze pięć. Kilka razy nerwowo odechnąłem.

Co u diabła? Na czym ja wylądowałem?

Usiadłem z jękiem... na wielkiej kupie piachu, na lewo od torów. Obok stało dwóch Japończyków w kaskach robotników. Z otwartymi ustami patrzyli w moją stronę.

Dalej był betonowy podest. Ci dwaj właśnie go naprawiali. Potrzebowali piasku do mieszania cementu. Uświadomiłem sobie, że gdybym spadł choćby sekundę później, wylądowałbym na betonie, a nie na miękkim piachu.

Zesliznąłem się z górki, wstałem i otrzepałem spodnie. Zarys mojego ciała pozostał odcisnięty w piasku, jakby to była scena z jakiejś zwariowanej kreskówki.

Robotnicy nawet nie drgnęli. Przez cały czas patrzyli na mnie oniemiali, zszokowani tym, co widzieli.

- *Ah, sumimasen* - bąknąłem, nie wiedząc, co powiedzieć. - *Etto, otearae wa arimasu ka?* - Przepraszam, jest tu gdzieś łazienka?

Nadal stali jak wryci. Najwyraźniej moje pytanie jeszcze bardziej ich zdumiało. Nic nie szkodzi. Zorientowałem się, że jestem zaledwie kilka metrów od wylotu tunelu, więc poszedłem w tamtym kierunku.

Zastanawiałem się nad tym, co zaszło. Ludzie Yamaoto widzieli mnie, jak uczepiony tylnego wagonu wjeżdżam do tunelu. Żaden z nich nie był świadkiem tego, co się potem wydarzyło, a pociąg jechał już zbyt szybko, bym mógł zeskoczyć. Podejrzewali więc, że za trzy minuty dotrę na końcową stację Mita. Teraz na pewno gnali w tamtą stronę, żeby mnie przechwycić.

Wpadłem na szaleńczy pomysł.

Wyjąłem z kieszeni słuchawkę, którą schowałem, zanim Płaskonosy i jego kumple wyluskali mnie z samochodu. Wepchnąłem ją do ucha. Pomacałem nadajnik. Wciąż był na swoim miejscu, ale czy działał?

- Harry? Słyszysz mnie? Odezwij się - powiedziałem.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Już miałem powtórzyć wezwanie, kiedy słuchawka ożyła.

- John! Co się tam dzieje, do cholery? Gdzie ty jesteś?

Ucieszyłem się, że go słyszę.

- Spokojnie, nic mi się nie stało. Ale potrzebna mi twoja pomoc.

- Co się dzieje? Wszystko słyszałem. Jesteś na stacji? Co z tobą?

Wgramoliłem się na peron. Pasażerowie patrzyli na mnie, ale mi nałłem ich bez słowa, jakbym codziennie, ubłocony i poturbowany, wychodził z tunelu metra.

- Bywało lepiej, ale o tym pogadamy później. Aparat działa?

- Tak, wciąż mam odczyt ze wszystkich pomieszczeń w tym budynku.

- Właśnie to chciałem wiedzieć. Jest tam ktoś?

- Na podczerwieni widać tylko jedną postać. Inni pobiegli za tobą.

- Yamaoto też?

- Tak.

- Gdzie jest ten, który został?

- W ostatnim pokoju po prawej, jak staniesz twarzą do budynku. Tam, gdzie cię zabrali. W ogóle stamtąd nie wychodził.

To musiał być Płaskonosy albo któryś z jego chłopaków. Nie miał siły, żeby mnie gonić. Bardzo dobrze.

- Świetnie, teraz posłuchaj. Oni myślą, że zdążyłem złapać pociąg do Mity, więc będą tam najpóźniej za cztery minuty. Stracą kolejne pięć, zanim zrozumieją, że mnie nie tam nie ma, i pięć na powrót do siedziby partii. Mam więc czternaście minut, aby tam wrócić i założyć podsłuch.

- Co?! Nie wiesz, gdzie są? A co, jeśli nie wszyscy pojechali do Mity? Zjawią się, jak będziesz w środku!

- Liczę na to, że uprzedzisz mnie, co się dzieje. Nadal masz obraz z samochodu?

- Tak, przekaz trwa nieprzerwanie.

- Słuchaj, już prawie jestem na miejscu. Teren czysty?

- Tak, ale to wariactwo.

- Nie trafi mi się już druga taka szansa. Ludzie stąd poszli, wszystko otwarte. Jestem ciekaw, co też powiedzą po powrocie. Wchodzę.

- Okej, widzę cię. Zrób to szybko.

Nie musiał mi tego mówić. Wszedłem po schodach, skręciłem w prawo i skierowałem się do wejścia. Tak jak podejrzewałem, wybiegli w popłochu i zostawili je otwarte.

Biuro Yamaoto było trzy pokoje dalej, po prawej. Mogłem załatwić to błyskawicznie.

Niestety, bezskutecznie szarpałem klamką. Drzwi nie chciały się otworzyć.

- Kurwa mać - wydyszałem.

- Co się stało?

- Zamknięte.

- Zostaw to. Przyklej pluskwę gdzieś indziej.

- Nie mogę. Chcę wiedzieć, co się tutaj dzieje. - Starannie obejrzałem zamek. Zwykły, na pięć zapadek. Żadna sprawa. - Poczekaj chwilę. Chyba mam sposób.

- Wynoś się stamtąd, John. Oni zaraz wrócą.

Nie odpowiedziałem. Wyjąłem klucze i odłączyłem od nich jedną ze szpilek oraz lusterko dentystyczne. Długa i płaska rączka lusterka już nieraz mi się przydawała jako *tension wrench*, napinacz. Wsunąłem ją w zamek i obróciłem lekko, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Kiedy poczułem, że bęben się przekręcił, włożyłem szpilkę i poszukałem piątej zapadki.

- Nie próbuj otwierać zamka! Nie potrafisz! Załóż gdzieś pluskwę i uciekaj!

- Co to znaczy, że nie potrafisz? Przecież sam tego cię uczyłem.

- Może dlatego wiem, że nie potrafisz - urwał. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że mnie nie powstrzyma, więc postanowił nie przeszkadzać.

Szybko znalazłem piąty pin, ale po chwili go zgubiłem. Cholera. Jeszcze trochę obróciłem rączkę lusterka i poczułem, że bęben opiera się o zapadki.

- Harry? Tęsknię za twoim głosem...

Szpilka znowu się ześliznęła.

- Nie gadaj do mnie. Skup się.

- Próbuję, ale to strasznie trudne... - Piątka nareszcie zaskoczyła. Następane trzy poszły względnie łatwo. Został już tylko jeden ząbek.



Był uszkodzony. Nie mogłem go wymacać. Wierciłem szpilką w dół i w górę, bez rezultatu.

- No, mały... Pokaż mi się... - szepnąłem. Wstrzymałem oddech i dalej dłużyłem w zaniku.

Nie poczułem, żeby wpadł na miejsce, ale klamka nagle ustąpiła. Przekręciłem ją w prawo i już byłem w pokoju.

Nic się tu nie zmieniło od chwili, kiedy wyszedłem. Nawet zostawili zapalone światło. Przymknąłem obok skórzanej kanapy i pomacałem ją od dołu. Była obita jakąś tkaniną, rozpiętą chyba na drewnianej ramie. Dobre miejsce do przyklejenia pluskwy.

Zdjąłem folię i umieściłem mikrofon pod kanapą. Od tej pory mogłem głośno i wyraźnie słyszeć każdą rozmowę w tym pokoju.

W moim uchu rozległ się głos Harry'ego:

- John, dwóch właśnie wróciło. Są w holu na dole. Wynoś się stamtąd. Wyjdź bocznymi drzwiami, z lewej strony, jak stanąć twarzą do budynku.

- Niech to szlag... Nie mam już mikrofonu. Nie będę mógł z tobą rozmawiać, jak wyjdę z pokoju. Mów do mnie.

- Zatrzymali się na parterze, koło frontowego wejścia. Może czekają na pozostałych. Zejdź na dół, do bocznych drzwi, i zaczekaj tam, aż ci powiem, że teren jest zupełnie czysty.

- Dobra, idę. - Przekręciłem zamek, wycofałem się na korytarz i poszedłem w kierunku głównego korytarza.

Z drugiej strony zbliżał się Płaskonosy. Koszulę miał upaprana krwią. Stół musiał trafić go prosto w twarz i znów mu rozkwasić nos. Nie wyglądał najlepiej. Charczał jak zwierzę.

Zagradzał mi drogę do wyjścia. Musiałem coś z tym zrobić.

Znów Harry, tym razem sekundę za późno:

- Jeden jest tuż przed tobą! Dwaj pozostali też już idą!

Płaskonosy pochylił głowę i napiął mięśnie ramion niczym byk przed szarżą.

Chciał mnie dopaść. Zaślepiiony furją, nie myślał o niczym innym, jak tylko o tym, żeby mi przyłożyć.

Błyskawicznie pokonał dzielącą nas odległość. Kiedy wyciągnął ręce, by złapać mnie za szyję, chwyciłem go za mokrą koszulę i rzuciłem się na podłogę, wykonując lekko zmienione *tomoe-nage*. Prawą nogę wbijem mu w krocze i przerzuciłem go nad sobą. Huknął tak na podłogę, że aż się zatrzęsła. Korzystając z rozmachu, zerwałem się, dałem

dwa długie kroki, wyskoczyłem w górę jak szalony mustang i obiema nogami spadłem na jego tułów. Rozległ się chrzęst pękających kości. Powietrze z niego uszło. Płaskonosy wydał dziwny dźwięk jak sflaczały balon w kałuży. Wiedziałem, że już po nim.

Zrobiłem krok w stronę wyjścia, lecz zaraz przystanąłem. Gdyby znaleźli go właśnie tutaj, pośrodku korytarza, domyśliliby się, że wróciłem. Może nawet zaczęliby szukać pluskwy. Musiałem go zaciągnąć z powrotem do pokoju po drugiej stronie i wszystko upozorować tak, jakby zginął od uderzenia stołem.

Leżał nogami we właściwym kierunku. Przykucnąłem tyłem do niego, złapałem go pod kolana i wstałem. Był cięższy, niż myślałem. Pochyliłem się i pociągnąłem go za sobą. Czulem się niczym koń ciągnący wóz o kwadratowych kołach. Plecy bolały mnie jak diabli.

Znowu Harry:

- Co ty wyprawiasz? Oni są już prawie przy drzwiach biura. Masz dwanaście sekund, żeby zniknąć.

Wepchnąłem Płaskonosę do pokoju i sprintem rzuciłem się do bocznego wyjścia.

Już byłem przy klatce schodowej, kiedy usłyszałem szcęk otwieranych drzwi po drugiej stronie korytarza. Wpadłem na schody i szarpnąłem za sobą drzwi, ale ich nie zamknąłem.

Kucnąłem na podeście i starałem się nie dyszeć zbyt głośno, chociaż płuca gwałtownie potrzebowały powietrza. Wyrząłem przez szparę i zobaczyłem trzech ludzi Yamaoto. Jeden szedł zgięty wpół - ten, w którego rzuciłem puszką kawy, Weszli do biura... i już ich nie widziałem.

W tej samej chwili rozległ się głos Harry'ego.

- Są u siebie. Przed budynkiem zupełnie czysto. Wyjdź bocznymi drzwiami i idź na wschód, przez park, w stronę Sakurada-dori.

Po cichu, ale szybko zbiegłem po schodach. Wysunąłem głowę przez drzwi na parterze i rozejrzałem się na boki. Nikogo. Przemknąłem przez uliczkę łączącą Hibiya-dori z Chuo-dori - i po chwili byłem już w parku. Z ulgą wystawiłem twarz do słońca.

## Część 3

*[Tak]...postanowilipowrócić do ojczyzny,  
ponieważ lata spędzone zbyt długo na obczyźnie cechuje  
koniec końców jakiś rodzaj pustki. (...)*

*Albo też powróciwszy, przekonujemy się, iż ojczyste powietrze  
zatraciło swą krzepiącą moc, a istota życia przesunęła się w miejsce,  
gdzie, jak sądzimy, jesteśmy tylko czasowymi rezydentami.*

*Balansując pomiędzy obczyzną a rodzinnym krajem,  
posiadamy jedynie te kilka sążni ziemi...*

Nathaniel Hawthorne *Marmurowy faun*

przełożyła Maria Kaniowa

## 19

Jesteś wariatem, opętanym żądzą śmierci. Nie będę z tobą dłużej pracował - oznajmił Harry, kiedy z powrotem znalazłem się w jego mieszkaniu.

- Ja z sobą też nie - odparłem. - Nagrałeś jakieś rzeczy z podsłuchu?

- Tak, wszystko, co się działo, gdy tam byłeś, i krótką naradę potem. Przed chwilą się skończyła. Mam to na twardym dysku.

- Mówili coś o facecie, na którego wpadłem przed wyjściem?

- To znaczy?

- Zaraz po tym, jak ukryłem pluskwę, miałem niewielkie starcie z człowiekiem Yamaoto. Chyba myśleli, że to było wcześniej, bo inaczej na pewno byś coś słyszał.

- Ach, tak. Są przekonani, że to się stało, kiedy uciekłeś z przesłuchania. Facet nie żyje.

- Faktycznie, źle wyglądał, gdy się z nim zegnałem.

Harry przyglądał mi się uważnie, ale nic nie mogłem wyczytać z jego oczu.

- Szybko go załatwiłeś. Jak to możliwe? Potrafisz kogoś zabić gołymi rękami?

Popatrzyłem na niego obojętnie.

- Nie. Potrzebne mi są jeszcze nogi. Gdzie Midori?

- Wyszła. Chce kupić keyboard. Spróbujemy zagrać to, co jest na płycie. Nie ma innej metody złamania tego szyfru.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie powinna wychodzić bez pilnej potrzeby.

- Ktoś musiał to zrobić. Gapilem się na laser i podczerwień, żeby ci uratować tyłek. Ona się na tym nie zna. Nie mieliśmy wielkiego wyboru.

- Jasne.  
- Obiecała, że będzie ostrożna. Poszła w przebraniu. Nie powinna mieć żadnych kłopotów.  
- Dobrze, posłuchajmy teraz, co się tam nagrało.  
- Zaraz, zaraz... Tylko mi przypadkiem nie mów, że porzuciłeś brykę.

- A co myślisz, że wróciłem po nią? Owszem, jestem wariatem, ale nie aż takim.

Popatrzył na mnie jak chłopczyk, który właśnie się dowiedział, że zdechł jego ulubiony piesek.

- Wiesz, ile ten sprzęt kosztuje?

Powściągnąłem uśmiech i poklepałem go po plecach.

- Przy mnie nie stracisz - mruknąłem, zresztą zgodnie z prawdą. Usiadłem przed ekranem komputera i włożyłem słuchawki. - Dawaj - powiedziałem.

Po paru kliknięciach myszką usłyszałem głos Yamaoto. Wydierał się po japońsku na swoich ludzi. Pewnie wrócił, kiedy mu powiedzieli o mojej ucieczce.

- Jeden człowiek! Nieuzbrojony! Daliście mu uciec! Co z was za pożytek? Banda kretynów!

Nie wiedziałem, ilu ich tam było, bo słuchali jego wrzasków w pokornym milczeniu. Potem nastąpiła dłuższa przerwa. Podejrzewałem, że Yamaoto próbuje się uspokoić.

- Nieważne - mruknął w końcu. - Może naprawdę nie wie, gdzie jest płyta, a jeśli wie, to i tak nic by wam nie powiedział. Jest twardszy od was.

Znów długa cisza.

- Co teraz mamy zrobić, *toshu*? - ktoś zapytał.

- Właśnie, co? - burknął Yamaoto głosem wciąż nieco zachrypłym od krzyku. - Poszukajcie dziewczyny. To nasz najlepszy trop.

- Ale zniknęła.

- Tylko że ona nie przywykła do takiego życia - odparł Yamaoto. - Nagle zaczęła się ukrywać, rzuciła wszystkie swoje sprawy, osobiste i zawodowe. Liczę na to, że wkrótce wróci. Obstawcie mieszkanie, kluby, w których koncertowała, znajomych i rodzinę. W razie potrzeby skontaktujcie się z Holtzerem. On ma duże możliwości.

Z Holtzerem? Z nim?

- A ten facet?

Chwila milczenia i odezwał się Yamaoto:

- To zupełnie inna historia. Żyje w cieniu jak ryba w wodzie. Trzeba by mieć niewiarygodne szczęście, żeby go znów złapać.

W wyobraźni widziałem, jak wszyscy w typowo japoński sposób ze wstydem pochylają głowy.

- Może schwytemy go z dziewczyną- powiedział ktoś po pewnym czasie.

- To możliwe. Na pewno ją osłania. Już raz obronił ją przed ludźmi Ishikury. Kiedy go zapytałem o nią, wykręcał się od odpowiedzi. Chyba coś do niej czuje. - Parsknął śmiechem. - Dziwny początek romansu.

Ishikura? - pomyślałem.

- Tak czy owak, nie musimy się zbyt przejmować ucieczką Raina - ciągnął Yamaoto. - Znacznie bardziej zagraża nam dziewczyna. To jej szuka Ishikura Tatsuhiko. Na razie ma równe szanse... a może nawet lepsze. Jego ludzie o wiele szybciej od nas zjawili się w jej mieszkaniu. Jeżeli znajdzie płytę, na pewno wykorzysta zawarte tam informacje.

Tatsu? Tatsu też szuka tej choleralnej płyty? To jego ludzie byli u Midori?

- Dosyć zabawy - uciał Yamaoto. - Kończymy z podchodami. Kiedy dziewczyna się pokaże, macie ją zaraz zlikwidować.

- *Hai* - rozległ się chór głosów.

- Tyle że jej śmierć też nie załatwia sprawy, jeśli nie odzyskamy płyty lub nie dowiemy się, że została na pewno zniszczona. Musimy skreślić Ishikurę z naszego równania.

- Hm... *toshu* - odezwał się jakiś głos. - Ishikura pracuje w Kei-satsucho. Jest tam szefem wydziału. Nielatwo będzie go usunąć bez żadnego szumu. Poza tym...

- Tak. W pewnych kręgach śmierć Ishikury uczyni go prawdziwym męczennikiem. To będzie elegancki dowód na potwierdzenie jego teorii spisku. Ale nie mamy wyboru. Już lepsze takie rozwiązanie niż ujawnienie zawartości płyty. Zróbcie wszystko, żeby Ishikura zginął najbardziej naturalną śmiercią. Jak na ironię, wymknął nam się najlepszy ekspert w tej dziedzinie. Spróbujcie go naśladować. Rozejście się.

I tyle. Zdjąłem słuchawki i popatrzyłem na Harry'ego.

- Wciąż działa?

- Dopóki starczy baterii, czyli jeszcze przez jakieś trzy tygodnie. Będę czuwał.

Skinąłem głową, zdając sobie sprawę, że Harry niemal na pewno usłyszy coś, co doprowadzi go do mnie. Przecież, do diabła, ze słów

Yamaoto każdy mógł wywnioskować, kim naprawdę jestem: najpierw wspomniał o „dziwnym początku” mojego romansu z Midori, a potem narzekał, że niechcący stracił „najlepszego eksperta” od zabójstw pozorujących śmierć z przyczyn naturalnych.

- Midori nie powinna usłyszeć tego nagrania - powiedziałem. -  
Wie już wystarczająco dużo. Nie chcę jej przysparzać... dalszych zmartwień.

Harry pochylił głowę.

- Dobrze to rozumiem - odparł.

Od razu wiedziałem, że wie.

- Cieszę się, że można ci ufać - mruknąłem. - Dziękuję.

- *Kochira koso* - odpowiedział. Z wzajemnością.

Rozległ się brzęczyk domofonu. Harry nacisnął klawisz.

- To ja-powiedziała Midori.

Wpuścił ją do środka i zajęliśmy pozycje - tym razem ja przy drzwiach, a Harry przy oknie. Minutę później w korytarzu zjawiała się Midori z tekturowym pudłem w dłoniach. Uśmiechnęła się na mój widok, przyspieszyła, weszła do *genkan* i uściskała mnie na powitanie.

- Za każdym razem, gdy się spotykamy, wyglądasz coraz gorzej - zauważyła, cofając się o krok, i postawiła pudło na podłodze. To prawda: twarz miałem brudną po fikołkach w tunelu metra i ogólnie byłem wykończony.

- I tak samo się czuję - westchnąłem, ale zaraz uśmiechnąłem się do niej, żeby wiedziała, że przy niej jest mi dużo lepiej.

- Co się stało?

- Potem o wszystkim ci opowiem. Harry mi mówił, że zamierzasz uraczyć nas grą na fortepianie.

- To prawda - przytaknęła, schyliła się i zerwała taśmę z pudła. Otworzyła je z jednej strony i wyciągnęła keyboard.

- Dobry? - spytała, pokazując go Harry'emu.

Sprawdził wejścia i wtyczkę.

- Gdzieś tu miałem adapter. Poczekajcie.

Podszedł do biurka, wyciągnął szufladę pełną elektroniki i wypróbował kilka złączy, zanim trafił na tę właściwą. Postawił keyboard na biurku, podłączył go do komputera i wrzucił nuty na monitor.

- Problem w tym, że ja nie czytam nut, a Midori nie zna się na komputerach. Może teraz komputer zdoła dopasować ścieżkę dźwiękową do nut zapisanych na stronie. Jeśli dostanie więcej danych, prze-

tworzy nuty na współrzędne siatki i korzystając z analizy fraktalnej, odszuka podstawowy motyw całej układanki. Potem, dzięki napisanemu przeze mnie algorytmowi, przerzuci to na japoński i załatwione.

- Jasne - odparłem. - Właśnie tak myślałem.

Harry spojrział na mnie przeciągle: „Patrzcie go, jaki twardziel”, i zwrócił się do Midori:

- Zagraj to, co w tej chwili widzisz na monitorze. Zobaczymy, co z tego wyjdzie w komputerze.

Midori usiadła przy biurku i dotknęła palcami klawiatury.

- Zaraz - powstrzymał ją Harry. - Nie wolno ci popełnić najmniejszego błędu. Jeżeli dodasz lub odejmiesz jakąś nutę albo zagrzasz ją w nieodpowiednim miejscu, stworzysz zupełnie nowy wzór i komputer się w tym nie połapie. Graj tylko to, co jest na ekranie. Dasz radę?

- Gdyby chodziło o zwykłą melodię, nie byłoby problemu. Ale ta kompozycja jest jakaś dziwna. Muszę ją poćwiczyć. Możesz odłączyć mnie od komputera?

- Oczywiście. - Kliknął myszką. - Proszę bardzo. Powiedz, jak będziesz gotowa.

Midori przez kilka chwil z uwagą patrzyła na monitor. Siedziała prosto, bez ruchu, tylko lekko zginała i prostowała palce, grając w powietrzu dźwięki, które słyszała w głowie. Potem delikatnie położyła dłonie na klawiszach i po raz pierwszy usłyszeliśmy niezwykłą melodię, za którą Kawamura zapłacił własnym życiem.

Słuchałem, jakiś nieswój. Kilka minut później Midori powiedziała do Harry'ego:

- Dobrze, możemy zaczynać. Podłącz mnie.

Harry położył dłoń na myszce.

- Już. Gramy.

Jeszcze raz palce Midori pomknęły po klawiszach i w pokoju rozległo się dziwne requiem. Kiedy zapadła cisza, Midori odwróciła się i pytająco spojrziała na Harry'ego.

- Wprowadziliśmy dane - mruknął. - Ciekawe, co dalej.

Patrzyliśmy w monitor, czekając na wynik. Żadne z nas nie odezwało się ani słowem.

Mniej więcej po pół minucie z głośników popłynęły widmowe, oderwane dźwięki - cień melodii, którą przed chwilą zagrała Midori.

- Analizuje nuty - odezwał się Harry. - Próbuje znaleźć podstawowy wzorzec.



Czekaliśmy w milczeniu jeszcze przez kilka minut. Wreszcie Harry powiedział:

- Nie widzę, żeby się coś działo. Chyba mamy za małą moc obliczeniową.

- To co zrobimy? - zapytała Midori.

Harry wzruszył ramionami.

- Spróbuję się włamać do superkomputera w Livermore. Chociaż ostatnio mają lepsze zabezpieczenia. To może trochę potrwać.

- Superkomputer da sobie z tym radę? - spytałem.

- Powinien. Moim zdaniem wystarczy każda rozsądna dawka mocy. To tylko kwestia przyspieszenia: większa moc, więcej możliwości, które komputer sprawdzi w szybszym czasie.

- Czyli superkomputer każe nam krócej czekać - zauważyła Midori. - Nie wiadomo tylko, o ile naprawdę krócej.

- Właśnie - przytaknął Harry.

Zapadła nerwowa cisza. Pierwszy odezwał się Harry:

- Pomyślmy przez chwilę. Jak bardzo nam zależy, żeby to odczytać?

Wiedziałem, do czego zmierza. I ja wpadłem na to w siedzibie Shinneto, kiedy Yamaoto spytał mnie o CD.

- O co ci chodzi? - dopytywała się Midori.

- No, cóż... Czego naprawdę chcemy? Ta płyta jest jak dynamit; trzeba ją unieszkodliwić. Dawny właściciel zdaje sobie sprawę, że nikt nie zdoła jej skopiować ani przesłać. Może po prostu mu ją oddać? Tak byłoby najbezpieczniej.

- Nie! - Midori zerwała się od komputera i spojrzała Harry'emu prosto w oczy. - Mój ojciec ryzykował życie, żeby ją zdobyć! Płyta powinna trafić tam, gdzie jej właściwe miejsce.

Harry uniósł ręce na znak, że się poddaje.

- Dobrze, dobrze... To był tylko taki pomysł. Chciałem wam pomóc.

- Sam pomysł niezły, Harry - powiedziałem - ale Midori też ma rację. Nie tylko z powodu ojca. Płyty szukają różni ludzie, nie tylko Yamaoto. CIA, Keisatsucho... może ktoś jeszcze. Nawet jeżeli ją oddamy, inni od nas się nie odczepią.

- Już rozumiem - westchnął zrezygnowany.

- Ale podoba mi się to porównanie z dynamitem. Jak najlepiej rozbroić bombę?

- Trzeba ją zdetonować w jakimś bezpiecznym miejscu - odparła Midori, wciąż patrząc na Harry'ego.

- Właśnie - mruknąłem.
- Bulfinch - ciągnęła Midori. - Bulfinch opublikuje jej zawartość i po sprawie. Dokładnie tego chciał mój ojciec.
- Oddamy mu ją, nawet nie wiedząc, co tam jest nagrane? - spytał Harry.
- Wiemy wystarczająco dużo - stwierdziłem. - Część powiedział nam Bulfinch, część potwierdził Holtzer. Nie widzę innego wyjścia.
- Zmarszczył brwi.
- A Bulfinch zdołają odczytać? - Spojrzałem na niego, skrywając uśmiech. Zachowywał się tak, jakby ktoś chciał mu odebrać zabawkę i za niego rozwiązać technolamigłówkę.
- Możemy śmiało przyjąć, że redakcja „Forbesa” z tym sobie poradzi. Oni pierwsi chcą wiedzieć, co jest na tej płycie.
- Mimo to wolałbym ją rozszyfrować pierwszy.
- Ja też. Nikt z nas nie wie, ile to może potrwać. Tymczasem jesteśmy okrażeni przez wrogów. Jak długo zdołamy ukrywać się przed nimi? Im szybciej Bulfinch to opublikuje, tym szybciej odetchniemy z ulgą.
- Midori nie dała mu czasu do namysłu.
- Zadzwońię do niego.

## 20

Kazałem Bulfinchowi przyjść do Akasaka Mitsuke. Była to jedna z większych dzielnic rozrywki w Tokio, ustępująca jedynie Ginzie pod względem liczby nocnych klubów i barów z hostessami. Setki krętych uliczek, niektórych tak wąskich, że można przez nie przejść jedynie bokiem, zapewniały mi łatwą drogę dojścia i ucieczki.

Padał deszcz i było bardzo zimno. Po zakończeniu SDR zjawiłem się na stacji metra Akasaka Mitsuke, naprzeciwko centrum handlowego Belle Vie. Po drugiej stronie ulicy, dziwnie różowy na tle szarego deszczowego nieba wznosił się hotel Akasaka Tokyu, o wyglądzie wielkiego pancernika. Zatrzymałem się, żeby rozłożyć czarny parasol, a później skręciłem w prawo, w Sotobori-dori. Po następnym zakręcie w prawo, koło Citibanku, wyszedłem wreszcie na krenelażową, wykładaną czerwona cegłą promenadę Akasaka-dori.

Do spotkania miałem jeszcze ponad godzinę, więc postanowiłem coś zjeść w Tenkaichi Ramen na promenadzie. Tenkaichi, czyli „Pierwsza pod Niebem”, to sieć restauracji, ale ta w Akasace ma nieco odmienny charakter. Obsługa chętnie przyjmuje zagraniczną walutę, więc na ciemnych drewnianych ścianach wiszą dziesiątki obcych banknotów i monet. W tle zawsze rozbrzmiewają jazzowe kawałki, z rzadka przeplatane łagodnym amerykańskim popem. Miękkie siedziska, niektóre dyskretnie ukryte po kątach, zapewniają doskonały widok na ulicę.

Zamówiłem *chukadon* - chińskie warzywa na ryżu - i podczas lunchu patrzyłem przez okno. Oprócz mnie byli jeszcze dwaj *sarariman* na wyraźnie spóźnionej przerwie. Siedzieli sami i w milczeniu jedli zupę.

Zawiadomiłem Bulfincha, że o drugiej powinien przejść się ulicami wokół 19-3 Akasaka Mitsuke san-chome. Miał krążyć w kierunku przeciwnym do ruchów wskazówek zegara. Było tam ponad dwanaście uliczek, więc nie mógł mnie zobaczyć, dopóki sobie tego nie życzyłem. Nawet gdyby przyszedł wcześniej, to też nie miałyby znaczenia. Czekano go jedynie łażenie po deszczu. Nie wiedział, gdzie będę.

Za dziesięć drugą skończyłem lunch, zapłaciłem i wyszedłem. Oslaniając się parasolem, przeszedłem w poprzek przez promenadę do Mitsuji-dori, a potem skręciłem w wąską uliczkę naprzeciwko Buon Appetito, przy 19-3. Schowałem się pod jakimś zardzewiałym blaszanym dachem. Ze względu na pogodę i w miarę wczesną porę okolica była zupełnie pusta. Patrzyłem na krople wody monotonna kapiące z dachu na plastikowe pokrywy zniszczonych pojemników na śmieci.

Dziesięć minut później usłyszałem kroki. Ktoś szedł po mokrym ceglany chodniku. Chwilę potem ujrzałem Bulfincha. Miał na sobie oliwkowy trencz i kulił się pod wielkim czarnym parasolem. Nie widział mnie, więc odezwałem się do niego, dopiero kiedy przeszedł obok.

- Tutaj, Bulfinch.

- Cholera! - Błyskawicznie odwrócił się w moją stronę. - Niech pan więcej tego nie robi. Przestraszyłem się.

- Jest pan sam?

- Oczywiście. Przyniósł pan płytę?

Wyszedłem spod dachu i uważnie się rozejrzałem. Pusto.

- Tak. Wpierw jednak chciałbym wiedzieć, co pan zamierza z nią zrobić.

- Przecież pan wie. Jestem dziennikarzem. Przygotowuję cykl artykułów o korupcji. O tym, co jest na płycie.

- Ile czasu to panu zajmie?  
- Ile? Do diabła, artykuły są prawie gotowe. Potrzebuję tylko do-wodów.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Pozwoli pan, że na początku coś panu wyjaśnię.

Powiedziałem mu o kodowaniu.

- Żadna sprawa - odparł, kiedy mnie wysłuchał. - „Forbes” ma świetny układ z Lawrence Livermore. Na pewno nam pomogą. Kiedy tylko złamią szyfr, rzucam to na maszyny.

- Zdaje pan sobie sprawę, że każdy dzień zwłoki to śmiertelna groźba dla Midori.

- Dlatego chce mi pan oddać tę płytę? Inni by panu zapłacili. Gru-bo zapłacili.

- Musi pan coś zrozumieć. Jeśli szybko nie będzie pańskiego artykułu, Midori może zginąć. Wtedy odnajdę pana i zabiję.

- Wierzę.

Popatrzyłem na niego przeciągle, a potem wyjąłem z górnej kiesze-ni płytę, dałem mu ją i poszedłem z powrotem na stację.

Zrobiłem mały SDR do Shinbashi. Po drodze myślałem o Tatsu. W tej rozgrywce chodziło nie tylko o Midori; Tatsu też znalazł się w niebezpieczeństwie. Wprawdzie był twardy, ale nie kuloodporny. Nie widziałem go już całe wieki, chociaż kiedyś osłanialiśmy się na-wzajem. Byłem mu coś winny.

Zadzwoniłem do Keisatsucho z budki na stacji Shinbashi.

- Wiesz, kto mówi? - spytałem po angielsku, kiedy mnie z nim połączono.

Długa chwila ciszy.

- *Ei, hisashiburi desu, ne.* - Tak, kopę lat. Po czym przeszedł na angielski. Dobry znak, widocznie nie chciał, żeby go zrozumieli inni pracownicy biura. - Słyszałeś już, że nasi ludzie znaleźli dwa trupy w Sengoku? Jeden z zabitych chodził z laską. Są na niej twoje odciski palców. Często zastanawiałem się, czy wciąż jesteś w Tokio.

Cholera, pomyślałem, musiałem chwycić ją bezwiednie, na pewno pod wpływem bólu. Policja miała moje odciski od czasu, gdy po wojnie wróciłem do Japonii. Z formalnego punktu widzenia byłem cudzoziem-cem, a wszyscy cudzoziemcy muszą złożyć odciski palców.

- Próbowaliśmy cię namierzyć - ciągnął Tatsu - ale zapadłeś się pod ziemię. Wiem, po co dzwonisz, lecz naprawdę nic nie mogę zrobić.

Najlepiej przyjedź do Keisatsucho. Wtedy spróbuję ci jakoś pomóc. Jeśli będziesz nadal uciekał, to w ten sposób przyznasz się do winy.

- Właśnie, Tatsu. W tej sprawie mam pewne informacje, którymi chcę się z tobą podzielić.

- W zamian za co?

- Za to, że coś z tym zrobisz. Posłuchaj uważnie. Tu wcale nie chodzi o mnie. Jeśli skorzystasz z mojej rady, to poddam się bez walki. Nie mam się czego obawiać.

- Gdzie i kiedy? - zapytał.

- Nikt nas nie słyszy?

- Naprawdę myślisz, że ten telefon może być na podsłuchu? - spytał. Znałem ten sarkazm w jego głosie. Tym samym dawał mi do zrozumienia, że rozmowa jest monitorowana.

- W takim razie, w porządku - odparłem. - Hotel Okura, przy recepcji, w przyszłą niedzielę. Bądź dokładnie w południe.

Zatłoczony hotel Okura był najmniej odpowiednim miejscem na takie spotkanie, więc Tatsu zdawał sobie sprawę, że nie mówię poważnie.

- Świetnie - ucieszył się, potwierdzając moje domysły. - W takim razie do zobaczenia.

- Wiesz co, Tatsu? Może to śmieszne, ale czasami tęsknię za Wietnamem. Brakuje mi naszych beznadziejnych cotygodniowych spotkań i narad. Pamiętasz jeszcze?

Szef miejscowej komórki CIA upierał się, żeby odprawa była zawsze o wpół do piątej. Dzięki temu miał później sporo czasu na ugania się za prostytutkami po całym Sajgonie. Tatsu uważał go za idiotę i nie wahał się o tym powiedzieć.

- Tak, pamiętam - mruknął.

- Zwłaszcza teraz dopadła mnie przedziwna chandra. - Postanowiłem mu dać dzień na przygotowania. - Gdybym mógł, zająłbym się tym już jutro. Czy to nie głupie? Na stare lata zrobiłem się sentymentalny.

- Zdarza się.

- Wiem, wiem. Dawne czasy... Szkoda, że tak długo się nie widzieliśmy. W Tokio zaszły ogromne zmiany. A pamiętasz nasze imprezy? Najbardziej mi się podobało, jak chodziliśmy do takiego miejsca, gdzie *mama-san* podawała drinki we własnoręcznie zrobionych kubkach. Pewnie już tego nie ma...

To było w Ebisu.

- Nie ma - potwierdził Tatsu na znak, że zrozumiał.

- Hm... *Shoganai, ne?* - Takie życie. - To była niezła knajpka. Czasami ją wspominam.

- Proszę cię jeszcze raz, przyjdź do nas. Obiecuję, że zrobię wszystko, aby ci jakoś pomóc.

- Pomyślę o tym. Dzięki za dobrą radę. - Odwiesiłem słuchawkę, ale jeszcze chwilę nie puszczałem jej z ręki, modląc się w duchu, żeby Tatsu dokładnie pojął moje wskazówki. Gdyby się pomylił, nie wiedziałbym, co mam zrobić.

## 21

Knajpka w Ebisu, o której wspominałem, była typową japońską *izakaya*. Tatsu zaciągnął mnie tam zaraz po moim powrocie z wojny. *Izakaya* to mały bar w starym drewnianym budynku, zazwyczaj prowadzony przez zasuszonego właściciela w nieokreślonym wieku. Czasami jest to właścicielka, czasami małżeństwo, mieszkające na piętrze. Jedyłą oznaką istnienia takiej knajpki jest czerwony lampion, wiszący nad wejściem. Tu można się schronić przed cholerycznym szefem, uciec przed nudnym związkim, tłumem na stacji metra i hałasem ulicy. Tutaj nawet późno w nocy można dostać sake i piwo. Nic więc dziwnego, że długa procesja klientów zajmuje i zwalnia stołki wokół baru. Zawsze się znajdzie jakiś znużony, zmarznięty wędrowiec.

Kiedyś spędzaliśmy długie godziny w Ebisu, jednak potem to wszystko się rozleciało. Zawsze chciałem tam wpaść i sprawdzić, co porabia znajoma *mama-san*, ale miesiące pomału zmieniły się w lata, i tak się nie stało. Teraz Tatsu powiedział, że nie ma już tego miejsca. Pewnie zostało zburzone. Taki małeńki bar nie pasuje do krzykliwego, nowoczesnego Tokio.

Pamiętałem jednak, gdzie go szukać. Postanowiłem, że tam właśnie zaczekam na Tatsu.

Przyjechałem do Ebisu wcześniej, żeby się trochę rozejrzeć. Naprawdę dużo się zmieniło. Zniknęło wiele drewnianych domów. W pobliżu stacji - tam, gdzie kiedyś ciągnęło się ryżowisko - teraz stał błyszczący dom handlowy. Chwilę trwało, zanim się otrząsnąłem z pierwszego wrażenia.

Z dworca poszedłem na wschód. Dzień był mokry, wiatr spychał lepką mgłę z zachmurzonego nieba.

Znalazłem miejsce, w którym niegdyś znajdowała się *izakaya*. Zniszczony, ale przytulny bar zniknął, zastąpiony przez czyściutki sklep ogólnospożywczy Pomału przeszedłem obok. Sklep był pusty, tylko samotny sprzedawca czytał jakieś czasopismo w nieprzyjemnym świetle jarzeńówek. Tatsu jeszcze nie przyszedł. Miałem niemal godzinę do spotkania.

Gdybym od razu wiedział, że baru nie ma, to raczej bym tu już nie wracał. Kurza twarz, cała dzielnica się zmieniła... Przypomniał mi się mój ostatni pobyt w Stanach przed pięcioma laty. Wybrałem się do Dryden, jedyne miejsce, które mogłem uznać za swoje rodzinne miasto. Nie byłem tam prawie dwadzieścia lat i coś mnie pchało, żeby odnowić dawne kontakty.

Cztery godziny jechałem na północ z Nowego Jorku. Po przybyciu stwierdziłem, że jedynie plan miasta nie uległ zmianie. Przejechałem główną ulicą, ale zamiast tego, co tak dobrze znałem, zobaczyłem szyldy McDonakTa, Benettonu, Kinko's Copies i baru kanapkowego Subway. Same nowe budynki i pawilony. Z moich czasów pozostało zaledwie parę domów. Wyglądały niczym ruiny zaginionej cywilizacji ukryte w gęstym poszyciu dżungli.

Poszedłem dalej, zastanawiając się, jak to się dzieje, że kiedyś przyjemne wspomnienia za sprawą jakiejś dziwnej alchemii zmieniają się w bolesny koszmar. Nigdy tego nie rozumiałem.

Skreśliłem w boczną uliczkę. Znalazłem park wciśnięty między dwa szare bloki. Przy ławce stały dwie młode matki z wózkami. O czymś żywo rozmawiały. Pewnie o tym, co ostatnio zdarzyło się w sąsiedztwie, może o dzieciach... O tym, że już niedługo powędrują do szkoły.

Obszedłem z tyłu nowy dom handlowy, a potem wróciłem środkiem, długim pasażem, ciągnącym się pod gołym niebem, w otoczeniu błyszczącego szkła i chromu. Ładny widok. W pewnej chwili minęła mnie grupa roześmianych uczniów. Zachowywali się swobodnie; byli u siebie.

Jakiś człowiek w znoszonym szarym płaszczu siedł w moją stronę z drugiego końca skweru. Nie mogłem dostrzec jego twarzy, ale poznałem go po chodzie i sylwetce. To był Tatsu. Z lubością ssał odrobinę ciepłą, jaką mu dawał ognik papierosa, nie przejmując się marną pogodą.

Zobaczył mnie i pomachał ręką. Wyrzucił papierosa. Kiedy podszedł bliżej, zauważyłem, że przybyło mu bruzd na twarzy. Wyras znużenia stawał się coraz bardziej widoczny.

- *Honto ni, shibaraku buri da na* - powiedziałem z ukłonem. Dawno się nie widzieliśmy. Tatsu wyciągnął do mnie rękę. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Przypatrywał mi się bacznie. Na pewno i u mnie zauważył zmarszczki. Ale nie tylko. Przecież nie wiedział, że zrobiłem sobie operację. Pewnie teraz zachodził w głowę, co się stało, że straciłem europejskie rysy. Ciekawe, czy składał to jedynie na karb wieku, czy jednak czegoś się domyślał.

- Rain-san, *Utai*, coś ty znów nawywijał? - zapytał, wciąż na mnie patrząc. - Wiesz, ile będę miał kłopotów, jeżeli ktoś się dowie, że cię nie przymknąłem? Jesteś podejrzany o dwa morderstwa. Jedna z ofiar to wysoki urzędnik PLD. Ze wszystkich stron mnie naciskają, żebym przyspieszył śledztwo.

- Nawet nie powiesz, że się cieszysz z tego spotkania, Tatsu? Nie jestem całkiem pozbawiony uczuć.

Uśmiechnął się jakby z zażenowaniem.

- Dobrze cię widzieć. Chociaż z drugiej strony wolałbym się z tobą spotkać w innych okolicznościach.

- Jak twoje córki?

Tym razem uśmiechnął się szerzej i z dumą pokiwał głową.

- Znakomicie. Jedna jest lekarką, a druga prawnikiem. Na szczęście odziedziczyły umysł po matce, ne?

- Zamężne?

- Starsza jest zaręczona.

- Gratulacje. Zatem niedługo będziesz dziadkiem.

- Nie tak niedługo. - Spowaźniał nagle. Uf... nie chciałbym być w skórze chłopaka, który coś zacznie kombinować z jego córką.

Wróciliśmy do centrum handlowego, przechodząc obok dokładnej repliki francuskiego chateau. W tym nowoczesnym otoczeniu zamek wyglądał tak, jakby tęsknił za ojczyzną.

Starczy grzeczności. Zacząłem prosto z mostu:

- Szef Shinnento, Yamaoto Toshi, wydał na ciebie wyrok śmierci.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Skąd wiesz?

- Przykro mi, ale tego nie mogę powiedzieć.

Kiwnął głową.

- To na pewno wiadomość z dobrego źródła, bo inaczej byś mnie nie ostrzegął.

- Tak.

Ruszyliśmy dalej.



- Dobrze wiesz, Rain-san, że wielu ludzi chętnie widziałoby mnie na tamtym świecie. Czasami sam się sobie dziwię, że wciąż żyję.

- Być może masz anioła stróża.

Roześmiał się.

- Chciałbym. Ale istnieje dużo prostsze wyjaśnienie. Moja śmierć byłaby dowodem na to, że miałem rację. Dopóki żyję, można mnie uważać za łowcę duchów i zwykłego głupca.

- Obawiam się, że pewne rzeczy uległy zmianie.

Znów przystanął i popatrzył na mnie uważnie.

- Nie wiedziałem, że masz konszachty z Yamaoto.

- Nie mam.

Pokiwał głową. Domyśliłem się, że dorzucił tę garść informacji do swojej prywatnej kartoteki na temat tajemniczego skrytobójcy.

Poszliśmy dalej.

- Powiedziałeś, że „pewne rzeczy uległy zmianie”.

- Chodzi o pewną płytę. Z tego, co wiem, są na niej informacje o korupcji wśród wielu znanych polityków. Yamaoto chce ją mieć.

Wiedział o CD - sam słyszałem, jak Yamaoto mówił o „ludziach Ishikury” w mieszkaniu Midori - mimo to milczał.

- Wiesz o tej sprawie, Tatsu? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Jestem gliniarzem. Po trochu wiem o wszystkim.

- Yamaoto myśli, że siedzisz w tym dużo głębiej. Że szukasz płyty.

Znalazł się w kropce, więc postanowił usunąć pozostałych graczy.

- Znalazł się w kropce?

- Nie wie, gdzie jest płyta.

- A ty?

- Nie mam jej.

- Nie o to pytałem.

- Tatsu... W tej chwili nie chodzi o płytę. Usłyszałem, że coś ci grozi, więc postanowiłem ci o tym powiedzieć.

- Ale przyczyną zagrożenia jest jednak ta płyta, prawda? - spytał z niewinną, jakby zdumioną miną. Na pewno każdy, kto go nie znał, dałby się na to nabrać. - Znajdźmy więc płytę i po kłopotcie.

- Nie graj przede mną *inakamono* - odparłem. Na pewno nie był wiejskim głupkiem. - Posłuchaj, płyta jest w rękach kogoś, kto chce opublikować jej zawartość. Wtedy też będzie „po kłopotcie”, jak przed chwilą to ująłeś.

Zatrzymał się i złapał mnie za rękę.

- *Masaka*, tylko mi nie mów, że oddałeś ją Bulfinchowi!

W mojej głowie zabrzęczał dzwonek alarmowy.

- Dlaczego pytasz?
- Bo Franklin Bulfinch został wczoraj zamordowany w Akasaka Mitsuke, przed hotelem Akasaka Tokyu.
- Och, ty w dupę! - krzyknąłem, zapominając się na moment.
- *Kamatta* - znów zaklął Tatsu. - Dałeś mu ją?
- Tak.
- Cholera! Mógł mieć ją przy sobie w chwili śmierci?

Przed Akasaka Tokyu? Jakies sto metrów od miejsca naszego spotkania.

- O której zginął? - zapytałem.
- Jakoś tak wczesnym popołudniem. Może o drugiej. Miał ją?
- Prawie na sto procent.

Zwiesił głowę.

- Niech to szlag... Tatsu? Skąd wiesz o płycie?

Długo milczał, zanim odpowiedział.

- Miałem ją dostać od Kawamury.

Uniosłem brwi ze zdziwienia.

- Tak - ciągnął. - Urabiałem go już od dłuższego czasu. Zachęcałem, żeby przekazał mi wszystkie informacje. Niestety, w końcu wyszło na to, że ludzie jednak bardziej wierzą w dziennikarza niż policjanta. Kawamura nagle zmienił zdanie i postanowił iść z tym do Bulfincha.
- Skąd wiesz?
- Zadzwoił do mnie w dniu swojej śmierci.
- Co powiedział?

Tatsu popatrzył na mnie poważnie.

- „Sperdalaj. To trafi do zachodnich gazet”. Na pewno jest w tym moja wina. Trochę za bardzo go cisnąłem i to mu się nie spodobało.
- Skąd wiedziałeś, że chodzi właśnie o Bulfincha?
- A niby komu z „zachodnich gazet” chciałbyś dostarczyć takich wiadomości? Bulfinch wciąż pisał o korupcji. Był z tego znany. Ale do dzisiaj miałem wątpliwości. Pozbyłem się ich, kiedy powiedziano mi o jego śmierci. Właściwie dopiero teraz jestem tego zupełnie pewny.
- Więc dlatego śledziłeś Midori?
- Oczywiście. - Zawsze, gdy mówił „oczywiście”, robił to w szczególny sposób, jakby podkreślał, że rozmówca ma nieco ciężki

pomyślunek. - Kawamura zmarł niemal zaraz po tym, jak zadzwonił do mnie. Podejrzewałem, że nie dostarczył płyty do „zachodnich gazet”. Córka zabrała jego rzeczy. Wniosek nasuwał się sam z siebie.

- I dlatego podjąłeś śledztwo w sprawie włamania do Kawamury?

Popatrzył na mnie z dezaprobatą.

- To też robota moich ludzi. Szukałem płyty.

- Podwójna szansa: najpierw włamanie, a potem śledztwo - powiedziałem z uznaniem. - Sprytne.

- Nie bardzo. Płyty nie było. Zacząłem obserwować córkę.

- Nie tylko ty.

- Wiesz co, Rain-san? - mruknął. - Jeden z naszych wybrał się za nią do Omotesando. Poszedł do baru i tam w kiblu przytrafił mu się dziwny wypadek. Złamał kark.

Chryste, więc to był jego człowiek... A zatem Benny nie kłamał, kiedy mi dał czterdzieści osiem godzin na przyjęcie zadania. Ale to już nie miało żadnego znaczenia.

- Tak? - bąknąłem.

- Tej samej nocy moi ludzie czekali na nią w jej mieszkaniu. Mieli broń, ale ktoś zdołał ich zaskoczyć i pokonać. Wyobrażasz sobie? Jeden człowiek.

- Przykre - odparłem, spodziewając się dalszego ciągu.

Tatsu wyciągnął papierosa, przez chwilę mu się przyglądał, a potem włożył go do ust i zapalił.

- Teoretycznie - odparł, wydmuchując siwy kłęb dymu. - Ale już po wszystkim. Płyta jest w rękach CIA.

- Co ty gadasz? A Yamaoto?

- Skądinąd wiem, że wciąż jej szuka. Poza mną mamy jeszcze jednego gracza. To on zabrał ją Bulfinchowi.

- Jeżeli mówisz o Holtzerze, to współpracuje z Yamaoto.

Uśmiechnął się ponuro.

- Nie współpracuje, tylko raczej jest jego niewolnikiem. I tak jak większość niewolników ciągle próbuje uciec.

- Nic nie rozumiem.

- Yamaoto go szantażuje jak wszystkich swoich „pomocników”. Ale Holtzer gra na dwie strony. Myśli, że zniszczy swojego pana i zerwie się ze sznurka.

- Więc nie powiedział mu, że Agencja odzyskała płytę?

Wzruszył ramionami.

- Przecież mówiłem. Yamaoto jej nadal szuka.
- Co na niej jest nagrane, Tatsu? - spytałem bardzo cicho.  
Mocno zaciągnął się papierosem i dmuchnął dymem w niebo.
- Nakręcone z ukrycia pornograficzne filmy z udziałem polityków, dźwiękowy zapis rozmów o łapówkach, numery tajnych kont, wykaz nielegalnych obrotów nieruchomościami i dowody prania pieniędzy.
- Wskazujące na Yamaoto?
- Popatrzył na mnie, dziwiąc się, że za nim nie nadażam.
- Rain-san... Byłeś dobrym żołnierzem, ale nie masz nawet najmniejszych zadatków na gliniarza. Wskazujące na wszystkich z wyjątkiem Yamaoto.
- Umilkłem na chwilę, żeby sobie to poukładać w myślach.
- Yamaoto miał wyśmienite narzędzie szantażu...
- Oczywiście - powiedział Tatsu w charakterystyczny dla siebie sposób. - Jeden rząd pada po drugim. Jak myślisz, dlaczego? Jedenastu premierów w ciągu dekady? Każdy z nich albo był lokajem PLD, albo reformatorem, którego należało jak najszybciej usunąć. To wszystko Yamaoto, rządzący z cienia.
- Ale on nawet nie jest w PLD.
- Bo nie chce. Tak mu wygodniej. Jeśli kogoś nie lubi, to natychmiast ujawnia jego przewinienia. Prasa to rozdmuchuje i afera gotowa. Polityk zostaje skompromitowany. Ale skandal dotyczy wyłącznie PLD, nie Shinnento.
- Skąd bierze informacje?
- Niemal wszędzie ma podsłuch, kamery i swoich ludzi. Za każdym razem, gdy dopadnie następną ofiarę, zmusza ją do współpracy i szpiegowania innych.
- Godzą się na to?
- Stosuje metodę kija i marchewki. Oczywiście zatrudnia grupę młodych dziewcząt, na tyle pięknych, że potrafią szybko zawrócić w głowie najwierniejszym mężom. Powiedzmy, że ma taśmę z nagraniem wideo seksualnych wybryków jakiegoś polityka lub członka parlamentu. Najpierw mu japuszcza, a potem oznajmia, że nie ujawni filmu, jeżeli w pewnych sprawach ten wspomniany polityk będzie postępował zgodnie z jego wolą. Zwykle chodzi o głosowanie nad podjęciem jakiejś nowej wielkiej budowy lub o zwykłe donosy na temat kolegów. Gdyby ofiara miała całkiem czyste sumienie, to nigdy by nie poparła idiotycznych robót. Ale w takim układzie strach przed kompromitacją

pomaga jej przewyciężyć skrupuły. W przypadku donosów dochodzi jeszcze pewien element psychologii. Ujawniając grzeszki znajomych i przyjaciół, nasz biedny polityk czuje się mniej brudny. A ponieważ w Japonii wygrywa się wybory przede wszystkim pieniędzmi, a nie liczbą głosów, Yamaoto zapewnia mu niemalże budżet do wykorzystania w następnej kampanii. Jest przy tym bardzo hojny, z chwilą, kiedy kogoś skaptuje, dba o jego dalszą karierę polityczną. Ma tak wielkie wpływy, że inni kandydaci nic nie mogą zdziałać i zawsze przegrywają następną elekcję, pokonani pieniędzmi, które z kasy Shinnento płyną do kieszeni jakiejś marionetki.

- Jak to się stało, że ma taką władzę, a dotychczas nigdy o nim nie słyszałem?

- Yamaoto raczej woli się nie ujawniać. Ofiary szantażu w gronie rzeczy nie wiedzą, kto za tym wszystkim stoi. Większość z nich na ogół jest święcie przekonana, że to robota kogoś z innej frakcji PLD. Dlaczego nie? Za każdym razem, kiedy Yamaoto wywoła skandal, cała uwaga skupia się na PLD. Śmieszne, prawda? Yamaoto tak dobrze radzi sobie z ludźmi, że nawet PLD wierzy, iż ma pełną władzę. Ale za tą władzą kryje się inna władza.

Pomyślałem o jego raportach, związanych z teorią spisku.

- Jednak ty też drażysz temat korupcji w partii, Tatsu.

Zmrużył oczy.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnąłem się.

- To, że tak dawno się nie widzieliśmy, wcale nie oznacza, że zerwałem z tobą już wszystkie kontakty.

Znowu zaciągnął się papierosem.

- Tak, trochę się zajmuję korupcją w PLD - przyznał, wydmuchując dym przez nos. - Yamaoto świetnie się przy tym bawi. Uważa, że robię mu niemałą przysługę. Pewnie by tak było, gdyby ktoś poważnie przyjął moje raporty. Ale to on podejmuje decyzje, kogo i gdzie zgarnąć pod zarzutem korupcji. - Z goryczą zacisnął usta.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu - wciąż był tym samym podstępny draniem, którego poznałem w Wietnamie.

- Tylko udajesz trupa - powiedziałem. - W rzeczywistości chcesz go dorwać.

Wzruszył ramionami!

- Teraz już wiem, dlaczego szukałeś tej płyty.

- Dawno wiedziałeś, że jej szukam, Rain-san. Mogłeś przyjść do mnie.
- Nie mogłem. Miałem pewien powód.
- Tak?
- Midori - odparłem. - Gdybym ci oddał płytę, Yamaoto i tak nadal by jej szukał. Mógłby zabić dziewczynę. Publikacja była najrozsądniejszym wyjściem.
- Tylko z tego powodu ciągle mnie unikałeś?
- Popatrzyłem na niego spod oka.
- Chyba tak. Znasz inny?
- W odpowiedzi tylko smutno się uśmiechnął.
- Przez chwilę szliśmy w milczeniu.
- W jaki sposób Yamaoto skaptował Holtzera?
- Dał mu to, czego każdy pragnie.
- To znaczy?
- Oczywiście władzę. Jak myślisz, dlaczego Holtzer tak szybko awansował na szefa sekcji?
- Yamaoto dostarczał mu różne informacje?
- Jasne. Z tego, co wiem, pan Holtzer wciąż się chwalił swoimi kontaktami w Japonii. Jako szef sekcji w Tokio sporządził kilka cennych raportów dla wywiadu, dotyczących korupcji w japońskim rządzie. Pod tym względem Yamaoto jest prawdziwym mistrzem.
- Chryste, Tatsu... Przerażasz mnie swoją wiedzą.
- Bardziej przerażające jest to, że w żaden sposób nie mogę jej wykorzystać.
- Holtzer wie, że go wykolegowali?
- Wzruszył ramionami.
- Najpierw myślał, że to on dobrał się do Yamaoto. Trochę za późno zrozumiał, że jest całkiem odwrotnie. Co miał zrobić? Przyznać się w CIA, że to wszystko fikcja, że jego agenci byli podstawieni? Przecież to oznaczałoby dla niego koniec kariery. Ale istniało inne, lepsze rozwiązanie: współpraca z Yamaoto. Dzięki niemu mógł dalej preparować „raporty” i piąć się w hierarchii. W zamian Yamaoto miał wtykę w CIA.
- Zdrójca Holtzer - poczułem niesmak. Mogłem się domyślać.
- Holtzer powiedział mi, że to CIA pierwsza dobrała się do Kawamury. W dniu śmierci miał im przekazać płytę.
- Tatsu znów wzruszył ramionami.

- Kawamura zrobił mnie w wała. Równie dobrze to samo mógł zrobić z Agencją. Teraz to już nieważne i nie do ustalenia.

- A co z Bulfinchem? - spytałem. - Jak Holtzer się do niego dobrał?

- Pewnie go śledził do ostatniej chwili, aż mu wręczyłeś płytę. Bulfinch stanowił łatwy cel, Rain-san. - Zauważyłem lekką nutę dezaprobaty w jego głosie. Chciał mi powiedzieć, że byłem głupi, przekazując CD w ręce cywila.

Przez kilka minut żaden z nas nie odezwał się ani słowem.

- Co porabiałeś przez ten czas w Japonii, Rain-san? - zapytał Tatsu. - Od naszego ostatniego spotkania?

Z nim nie było zbędnych pogaduszek. Gdzieś głęboko we mnie zabręczał maleńki dzwonek alarmowy.

- Prawdę mówiąc, to nic nowego - odparłem. - Wciąż jestem konsultantem.

- To znaczy? Bo już zapomniałem.

- Pomagam różnym amerykańskim firmom zaistnieć na japońskim rynku. Doradzam im, jak obejść przeróżne zakazy, znaleźć dobrego kontrahenta i tak dalej.

- To brzmi nawet ciekawie. Co zazwyczaj sprzedają?

Chyba zdążył zapomnieć, że za pomocą kilku prostych pytań rozbija mojego alibi. Firma konsultingowa istniała naprawdę - i miała licznych klientów, chociaż może nie z listy Fortune 500.

- Najlepiej wejdź do Internetu i sprawdź na mojej stronie - powiedziałem. - Znajdziesz tam sporo referencji.

Machnął ręką: „Nie bądź głupi”.

- Pytam o to, co nadal robisz w Japonii. Co cię tu trzyma?

- A co to za różnica?

- Nie rozumiem tego. Chciałbym wiedzieć.

Jak miałem mu to wyjaśnić? Wciąż jestem na wojnie. Rekin musi bez przerwy pływać, bo inaczej zdechnie.

Ale musiałem przyznać, że jednak jest coś więcej. Czasem nie lubię tego kraju. Nawet teraz, po dwudziestu pięciu latach, wciąż jestem tutaj autsajderem - i to mi się nie podoba. Nie chodzi o to, że żyję w cieniu ze względu na mój zawód. Mimo japońskich rysów i biegłości w japońskiej mowie czuję się jak pół *gaijin*. Dobrze pamiętam, co mi powiedziała pewna okrutna nauczycielka, kiedy chodziłem tu do szkoły: „Co będzie, jeśli zmieszasz czystą wodę z brudną? Brudna woda”.

Minęło sporo lat, pełnych pomyłek i rozczarowań, zanim naprawdę zrozumiałem, co się kryje za jej słowami. Nosilem w sobie niezatarte piętno, które co prawda znikало w cieniu, lecz nie dawało się wymazać.

- Jesteś tutaj prawie ćwierć wieku - łagodnie powiedział Tatsu. - Może już pora wracać do domu?

Chyba wie, pomyślałem. Albo jest bardzo blisko.

- Tylko ciekawe, gdzie go szukać - mruknąłem.

- Jeśli zostaniesz, może nam grozić poważny konflikt interesów - dodał powoli.

- Więc trzymajmy się od tego z daleko.

Znów ten sam smutny uśmiech.

- Warto spróbować.

Poszliśmy dalej, pod ciemniejącym niebem.

- Może nie wszystko jeszcze stracone.

- Co to znaczy? - spytał.

- Spróbujmy odzyskać płytę.

- Jak?

- Wiem, że nie można jej powielić ani przerzucić danych na komputer. Do tego jest zakodowana. Holtzer musi się zwrócić do ekspertów. Albo więc wyśle ją do Ameryki, albo postara się o specjalistę.

Sekundę trwało, zanim Tatsu sięgnął po komórkę. Wystukał numer, przyłożył ją do ucha i czekał.

- Potrzebny mi terminarz wizyt przedstawicieli Ameryki - rzucił po japońsku. - Zwłaszcza związanych z NS A lub CIA. Kto z nich przyjeżdża w tym tygodniu, w ciągu najbliższych kilku dni? Tak, natychmiast. Czekam.

Rządy Japonii i Stanów Zjednoczonych wymieniały między sobą informacje o wysoko postawionych szpiegach. Był to jeden z warunków paktu bezpieczeństwa i współpracy obu służb wywiadowczych. Daleki strzał, ale nie mieliśmy nic innego.

Znałem Holtzera. Był aktorem. Postrzegał swój najnowszy wyczyn jako szpiegowski triumf stulecia. Chciał osobiście oddać płytę władzom i zgarnąć całą sławę.

Przez kilka minut czekaliśmy w milczeniu.

- Tak, tak, tak - powiedział Tatsu do słuchawki. - Zrozumiałem. Chwileczkę.

Przytknął telefon do piersi.

- Dwóch ludzi - mruknął. - Specjalista od kryptografii komputerowej z NSA i dyrektor wydziału do spraw Azji Wschodniej z CIA.



Obaj przylatują dziś z Waszyngtonu na Narita. Nie wierzę, że to przypadek. Holtzer wezwał ich, jak tylko zdobył płytę.

- Dokąd jada? Do ambasady?

- Poczekaj. - Przyłożył słuchawkę do ucha. - Sprawdź, czy nie potrzebują eskorty dyplomatycznej i dokąd wybierają się z lotniska. Czekam.

Znów docisnął komórkę do piersi.

- Nasi amerykańscy goście często proszą Keisatsucho o eskortę - powiedział. - Rząd nie chce im płacić za limuzyny, więc przychodzą do nas, podobno ze względów bezpieczeństwa. Chyba pierwszy raz nie wkurzam się na taki układ.

Uniósł słuchawkę do ucha i czekaliśmy dalej.

- Dobrze. Dobrze. Poczekaj - odezwał się po kilku minutach. Przeniósł słuchawkę na pierś. - Amerykańska Baza Morska Yokosuka. Czwartek rano, prosto z hotelu Narita Airport Hilton.

- W takim razie go mamy.

Spojrzał na mnie ponuro.

- Niby jak?

- Do diabła, przecież możesz zatrzymać samochód Holtzera. Zabierz mu płytę i zrób z niego persona non grata.

- Na jakiej podstawie? Prokuratura zażąda dowodów.

- Nie mam pojęcia! Powiedz im, że to wiadomość z anonimowego źródła.

- Nie rozumiemy się. Nie złożyłeś żadnego zeznania. To są tylko pogłoski.

- Chryste, Tatsu - jęknąłem z rozpaczą. - Od kiedy jesteś takim cholernym formalistą?

- Tu nie chodzi o formalności - warknął i natychmiast pożałowałem, że dałem się ponieść nerwom. - Pytanie, gdzie znaleźć odpowiednie narzędzia, żeby w porządnym sposób wykonać tę robotę. Twoja propozycja jest niedobra.

Poczerwieniałem. W jego towarzystwie często czułem się jak tępy i nieokrzesany *gaijin*.

- Skoro więc nie można pójść oficjalną drogą, to co proponujesz?

- Mogę odzyskać płytę i ochronić Midori. Ale potrzebna mi twoja pomoc.

- W jakim sensie?

- Pod byle pretekstem zatrzymam Holtzera przed bazą. Powiem mu na przykład, że musimy obejrzeć podwozie jego samochodu, bo

szukamy bomby. - Spojrzał na mnie ponuro. -Anonimowe ostrzeżenie przed próbą zamachu.

- Nie mów - mruknąłem.

Wzruszył ramionami i monotonnym głosem podał mi numer telefonu. Zanotowałem go na dłoni, odwracając kolejność czterech ostatnich cyfr i od każdej z nich odejmując dwa.

- Policjant każe kierowcy opuścić szybę, żeby udzielić mu wyjaśnień.

Skinałem głową, wiedząc, do czego zmierza.

- Dam ci mój numer pagera - powiedziałem. - Zadzwoń, kiedy już będziesz wiedział coś więcej o ruchach Holtzera. Wstukaj swój numer telefonu, a potem 5-5-5, abym wiedział, że to na pewno ty. Potrzebne mi też coś ze sprzętu... choćby flashbang.

Granat flashbang jest właśnie tym, cò sugeruje jego nazwa: żadnych odłamków, tylko huk i oślepiające światło. Powoduje chwilową dezorientację, ale nie rani i nie zabija. Antyterrorysty wrzucają flashbangi do pomieszczeń, zanim kopniakiem wyważą drzwi i zastrzelą wszystkich przeciwników.

Nie musiałem mówić, po co mi to potrzebne.

- Gdzie ci go przynieść? - zapytał Tatsu.

- Do fontanny w parku Hibiya - odparłem. Wymyśliłem to na oczekaniu. - Połóż na dnie, od strony Hibiya-dori. O tutaj. - Rysowałem palcem na dłoni, aby na pewno mnie zrozumiał. - Daj znać, jak tylko go zostawisz, żeby sobie tak po prostu nie leżał.

- Dobrze.

- I jeszcze jedno...

- Tak?

- Uprzedź o wszystkim swoich ludzi. Wolałbym, żeby przez pomyłkę mnie nie zastrzelili.

- Zrobię, co będę mógł.

- Zrób więcej. Tu chodzi o mój tyłek.

- O mój też - odparł spokojnie. - Jeśli coś spaprzesz, od razu zaczną się pytania, kto kazał zatrzymać wóz i dłaczego. W tych okolicznościach będę miał kupę szczęścia, jeśli mnie tylko wyślą na wcześniejszą emeryturę. Na dobrą sprawę mogę powędrować do paki.

Owszem, miał rację, ale podejrzewam, że jednak mimo wszystko w tym momencie nie chciałby być na moim miejscu. Sprawa niewarta kłótni.

- Ty zatrzymaj samochód. Ja zajmę się resztą- oświadczyłem. Skinął głową, a potem uklonił mi się niepokojąco formalnie.
- Powodzenia, Rain-san - powiedział i odszedł w gęstniejącą ciemność.

## 22

Uwielbiam Tokio nocą. To chyba kwestia światła - bo przecież nie architektura, nie dźwięki i zapachy, ale właśnie światła najlepiej oddają nocnego ducha miasta. Prawie wszędzie jest jasno: ulice lśnią neonami i natarczywym mruganiem ogromnych konstelacji na salonach pachinko. Światła sklepowych witryn i reflektory tysięcy samochodów oświetlają chodniki niczym halogeny na meczu baseballowym. Lecz zdarza się też ciemność: pospęne uliczki, w których jedynym źródłem blasku jest samotny automat z coca-colą, oparty o zniszczoną ścianę jak starzec, który dał już z siebie wszystko i teraz chciałby jedynie odechnąć. Uliczki oświetlone żółtymi latarniami, stojącymi tak rzadko, że samotny przechodzień i jego cień co chwila znikają w zupełnej ciemności.

Rozstałem się z Tatsu i poszedłem tylnymi zaułkami Ebisu w stronę dzielnicy Hibiya i hotelu Imperial. Zamierzałem w nim zostać, dopóki to wszystko na dobre się nie skończy. Przed chwilą podjąłem się samobójczej misji, w gruncie rzeczy podobnej do moich dawnych akcji podczas służby w Grupie Badań i Obserwacji i późniejszych wojen, w których brałem udział już jako najemnik. Zastanawiałem się, czy uklon Tatsu nie był swego rodzaju epitafium.

Cóż, przeżyłeś niejedną misję, która miała być twoją ostatnią, pomyślałem. Pozwoliłem ponieść się wspomnieniom.

Po masakrze w Kambodży nasz oddział przeżywał wyjątkowo złe chwile. Przedtem zabijanie było czymś obojętnym. Wchodziłeś do walki i po prostu strzelałeś śladem pocisków smugowych. Nawet nie widziałeś swojego przeciwnika. Może potem znalazłeś trochę krwi lub mózgu albo kilka trupów. Czasami słyszeliśmy huk miny kierunkowej, którą postawiliśmy klik lub dwa dalej. Od razu wiedzieliśmy, że znowu ktoś zginął. Ale po Cu Lai wszystko było inne. Zostaliśmy skażeni.

Wiedziałem, że zrobiliśmy źle, ale wmawiałem sobie: hej, przecież jest wojna. Inni chodzili przygnębieni - poczucie winy odrzucało ich od wszelkiej broni. Crazy Jake - Jimmy - poszedł w drugą stronę. Jeszcze bardziej wtulił się w objęcia wojny.

Był fanatycznie wierny swoim Yards - to skrót od Montagnards - a oni odpłacali mu tym samym. Kiedy któryś z nich ginął w walce, Jake osobiście przekazywał tę smutną wiadomość naczelnikowi wioski. Unikał koszar i wołał sypiać w chatkach Yardów. Nauczył się ich języka, poznał obyczaje, brał udział w ceremoniach i różnych rytuałach. Górale wierzyli w magię - każda wieś miała własnego szamana - a Jake'a, który przodował w liczbie zabitych wrogów, otaczała aura wielkiego wojownika.

Trepelem to było nie w smak, bo żaden z nich nie cieszył się zbytnim szacunkiem Yardów. Problem stał się głębszy, kiedy nas skierowano do pacyfikacji ufortyfikowanych wsi w Bu Dop, na granicy z Kambodżą. Crazy Jake mógł teraz dużo częściej przebywać z miejscową ludnością.

Wściekły na przepisy wydawane przez amerykańskie dowództwo i nieudolność sztabu w sprawie zdrajcy, który paraliżował większość operacji Grupy Badań i Obserwacji, Jake stworzył w Bu Dop swoją bazę; chodził z niej na własne, niezależne akcje przeciwko partyzantom Wietkongu w Kambodży. Górale z całego serca nienawidzili Wietnamczyków, bo widzieli w nich swoich odwiecznych prześladowców, więc z chęcią przyjmowali dowództwo Jake'a podczas jego groźnych wypadów. Ale w tym czasie rozwiązano Grupę Badań i hasłem dnia stała się „wietnamizacja” - czyli oddanie wojny w ręce Wietnamczyków, żeby Amerykanie mogli się wycofać. Z dowództwa nadszedł rozkaz, że Jake ma natychmiast wstrzymać działania w Kambodży. Rzecz jasna odmówił - powiedział, że musi bronić swoich wiosek.

Wezwali go do Sajgonu. Olał to. Posłali po niego oddział do zadań specjalnych. Żaden żołnierz nie wrócił. Byłoby mniej dziwne, gdyby ich zabito i odcięte głowy zatknięto na tyczkach. Czyżby wszyscy przeszli na stronę Crazy Jake'a? Miał tak magiczną siłę? A może po prostu rozwiali się w powietrzu?

Odcięto go od dostaw. Żadnej broni, żadnego wyposażenia. Ale Jake nie zamierzał rezygnować. Wkrótce gruchnęła wieść, że handluje opium, aby sfinansować kilka następnych akcji. Żył we własnym wszechświecie. Miał samowystarczającą, niezwykle skuteczną i fanatycznie mu oddaną prywatną armię.

W dowództwie wiedzieli, że się przyjaźnimy; to było w papierach. Pewnego dnia usłyszałem:

- Musisz go stamtąd usunąć. Sprzedaje narkotyki i bez pozwolenia włączy się po Kambodży. Jeśli to wyjdzie na jaw, dostaniemy po dupie od opinii publicznej.

- Nie wiem, czy mi się uda sprowadzić go z powrotem. On nikogo nie słucha - odparłem.

- Nikt nie mówił: „sprowadzić”. Padło słowo: „usunąć”.

Było ich trzech - dwóch z amerykańskiego dowództwa organizującego pomoc wojskową dla Wietnamu i jeden z CIA. Pokręciłem głową. Na to zabrał głos ten z CIA:

- Zrób, o co cię prosimy, to dostaniesz bilet do domu.

- Wróć do domu, kiedy będę chciał - mruknąłem, ale zacząłem się zastanawiać.

Wzruszył ramionami.

- Mamy dwie możliwości. Pierwsza to dywanowy nalot na wszystkie wsie w Bu Dop. To około tysiąca sprzymierzeńców plus Calhoun. Zemułgujemy wszystkich. Żaden problem. Druga, że jednak tam pójdziesz i uratujesz ludzi. Dzień później będziesz już w samolocie. Dla mnie to wszystko jedno.

Odwrócił się i wyszedł.

Powiedziałem im, że się zgadzam. Przecież i tak chcieli go wykończyć. W przeciwieństwie do nich wiedziałem, co się stało. Takie rzeczy zdarzały się wielu naszym chłopcom, ale Jimmy był w tym najgorszy. Przybył tutaj i nagle odkrył, że zabijanie sprawia mu radochę. Że tylko to potrafi. „Dziewięćdziesiąt potwierdzonych trupów. Spora kolekcja ludzkich uszu. Własna armia”. Kto z nas tak się przechwala? Dajcie spokój, dla takich ludzi nie ma miejsca w realnym świecie. Są naznaczeni na zawsze, bez prawa do powrotu.

Poszedłem do Yardów i powiedziałem im, że chcę się widzieć z Jakiem. Wiedzieli, że chodziliśmy razem na patrole, więc mnie nie zatrzymywali. W dodatku nie miałem broni. Też dobrze.

- Hej, Jimmy - zawołałem na jego widok. - Kawał czasu.

- John John! - przywitał mnie. Zawsze nazywał mnie w ten sposób. - Chcesz się przyłączyć do nas? Najwyższa pora. Już tylko my budzimy strach Wietkongu na całej tej kurewskiej wojnie. Nie musimy walczyć zjedną ręką związaną pod jajami przez skretyniałych polityków.

Daliśmy sobie czas na odrobienie zaległości. Zanim mu powiedziałem o nalocie, zrobiło się już zupełnie ciemno.

- Wiedziałem, że wcześniej czy później do tego dojdzie - mruknął. - Nic na to nie poradzę. Tak... Wiedziałem.

- Co teraz zrobisz?

- Nie wiem. Ale na pewno nie pozwolę, żeby mnie szantażowali śmiercią Yardów. Ja się poddam, a te skurwiele i tak ich zbombardują.

- To dlaczego stąd nie odejdziesz?

Spojrzał na mnie spod oka.

- Nie chcę gnić w pierdlu, John John. Zwłaszcza nie teraz, kiedy tak dobrze mi w Tay Nguyen.

- Masz problem, Jimmy. Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć.

Pokiwał głową.

- Chcą, żebyś mnie zabił, stary? - spytał.

- Uhm - mruknąłem.

- Więc zrób to.

Nie odpowiedziałem.

- Nie mamy wyjścia. W przeciwnym razie wykończą wszystkich moich ludzi. Wolę, żebyś to zrobił ty niż jakiś całkiem obcy facet, który z paru kilometrów zrzuci na mnie siedemsetpięćdziesięciofuntową bombę. Zawarliśmy braterstwo krwi, pamiętasz?

Wciąż milczałem.

- Kocham tych ludzi - ciągnął. - Naprawdę kocham. Wiesz, ilu ich zginęło dla mnie? Wiedzą, że dla nich zrobię to samo.

To nie były tylko słowa. Normalnym ludziom trudno zrozumieć głębię zaufania, głębię miłości, która łączy prawdziwych towarzyszy broni.

- Im to na pewno się nie spodoba. Chujki, bardzo mnie kochają. Myślą, że jestem czarownikiem. Ale ty też masz swoje sztuczki. Na pewno się wywiniesz.

- Chcę po prostu wrócić do domu - powiedziałem.

Roześmiał się.

- Nie ma już dla nas domu, John. Nie po tym, co tu zrobiliśmy. To nie działa w ten sposób. Masz. - Podał mi pistolet. - Nie martw się o mnie. Ocal moich Yardów.

Pomyślałem o werbunkowym, o tym, co radził nam zapłacić dwadzieścia baksów pewnej kobiecie, by podrobiła podpis naszej matki.

- Ratuj Yardów - powtórzył Jimmy.

Pomyślałem o Deirdre, powiedziała: „Uważaj na Jimmy'ego, dobrze?”

Sięgnął po CAR-15, zmodyfikowaną wersję wszechobecnego karabinu M-16 ze składaną kolbą i krótszą lufą. Wetknął magazynek w gniazdo i zwolnił bezpiecznik - tak, żebym to widział.

- Pośpiesz się, John John. Nie będę cię grzecznie prosił.

Przypomniałem sobie, jak wyciągnął do mnie rękę po remisowej bójce i powiedział: „Jesteś w porządku. Jak się nazywasz?” „John Rain, buraku”, odparłem i znów się pobiliśmy.

Jimmy powoli skierował broń w moją stronę.

Pomyślałem o kąpielisku w okolicach Dryden i o tym, jak tuż przed skokiem zapomniałem o całym bożym świecie.

- Ostatnia szansa - powiedział Jimmy. - Ostatnia szansa.

„Zrób, o co cię prosimy, to dostaniesz bilet do domu”.

„Nie ma już dla nas domu, John. Nie po tym, co tu zrobiliśmy”.

Szybkim, płynnym ruchem uniosłem pistolet na wysokość ramienia i dwukrotnie pociągnąłem za spust. Dwa pociski trafiły Jimmy'ego prosto w pierś i wyszły plecami. Zanim osunął się na ziemię, już nie żył.

Dwóch górali wpadło do chaty, ale zdążyłem chwycić CAR. Ściąłem ich krótką serią i wybiegłem.

Patrole strzegły wsi przed atakiem z zewnątrz. Nikt nie pomyślał o tym, że ktoś może uciekać w drugą stronę. Wszyscy kręcili się jak otepiali, przerażeni śmiercią Jimmy'ego.

Napatoczyłem się na minę i dostałem odłamkami. Obrażenia były niewielkie, a w bazie mi powiedzieli:

- To twoja szczęśliwa rana, żołnierzu. Zaraz wracasz do domu.

Wsadzili mnie w samolot i siedemdziesiąt dwie godziny później znalazłem się w Dryden.

Zwłoki przyleciały dwa dni po mnie. Odbył się pogrzeb. Rodzice Jimmy'ego płakali, Deirdre płakała.

- Och Boże... John, wiedziałam, wiedziałam, że on nie wróci. Och Boże... - powtarzała.

Wszyscy chcieli wiedzieć, jak zginął. Na polu bitwy, odpowiadałem. To wszystko, co słyszałem. Gdzieś w pobliżu granicy.

Następnego dnia wyjechałem z miasta. Z nikim się nie pożegnałem. Jimmy miał rację, nie było dla nas domu po tym, co zrobiliśmy. „Po takiej wiedzy, jakie wybaczenie?” To chyba słowa jakiegoś poety.

Wmawiałem sobie, że to karma, odwieczny ruch ogromnych kół wszechświata. Przed wiekami zabiłem brata mojej dziewczyny. Teraz znów wykończyłem jakiegoś faceta - i kilka dni później uwikłałem się w romans z jego córką. Gdyby to przydarzyło się komuś innemu, pewnie bym pękł ze śmiechu.

Przed spotkaniem z Tatsu zatelefonowałem do hotelu Imperial, by zrobić rezerwację. Zawsze tam trzymam parę drobiazgów na czarną godzinę: ze dwa garnitury, paszport, trochę pieniędzy i ukrytą broń. Obsługa myśli, że jestem Japończykiem, który na stałe mieszka zagranicą, lecz wciąż przyjeżdża do starego kraju. Płacę im za przechowywanie rzeczy, abym nie musiał myśleć o bagażu. Nawet nocuję tam czasami dla podtrzymania tej teorii.

Imperial, usytuowany centralnie, słynie ze wspaniałego baru. Co więcej, jest tak wielki, że można w nim się równie dobrze schować, jak w „*love hoteP'*”, pod warunkiem że wiesz, co robisz.

Ledwie dojechałem linią Hibiya na stację Hibiya, kiedy rozległ się pisk pagera. Odczepiłem go od paska. Numeru nie znałem, ale na końcu było 5-5-5. A zatem Tatsu.

Zadzwoniłem do niego z budki. Podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Linia bezpieczna? - spytał.  
- Wystarczająco.  
- Dwaj goście wyjeżdżają z lotniska Narita jutro dokładnie o dziewiątej. Podróż do miejsca przeznaczenia zajmie im dziewięćdziesiąt minut. Nasz człowiek będzie tam przed nimi, więc musisz wcześniej zająć pozycję, tylko na zewnątrz.

- Wszystko jasne. Przesyłka?
- Już na miejscu. Możesz ją podjąć w ciągu godziny.
- Dam sobie radę.

Cisza. Potem:

- Powodzenia.

Koniec rozmowy.

Jeszcze raz włożyłem kartę do aparatu i zatelefonowałem pod ten numer, który Tatsu podał mi w Ebisu. Szeptem, żeby nikt nie poznał mojego głosu, powiedziałem o bombie ukrytej pod podwoziem dyplomatycznej limuzyny, która przyjedzie nazajutrz do bazy morskiej Yokosuka. To powinno choć trochę przystopować odprawę przy wartowni.



Przed spotkaniem z Tatsu wykąpałem się u Harry'ego, ale w hotelu wyglądałem znów trochę niechlujnie. Wszyscy udawali, że nie widzą mojego rękawa, mokrego do samej pachy, po tym, jak wyławiałem z fontanny przeznaczoną dla mnie przesyłkę. No cóż, przed chwilą przyleciałem ze Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych - różne rzeczy zdarzają się podczas tak długiej podróży. Recepcjonista wybuchnął śmiechem, gdy mu powiedziałem, że robię się za stary na takie wygłupy.

Rzeczy czekały na mnie w pokoju; koszule świeżo wyprasowane, garnitur na wieszaku... Zamknąłem drzwi na zasuwkę, usiadłem na łóżku i zajrzałem do skrytki w walizce. Zobaczyłem matowy polysk glocka. Wyjąłem kosmetyczkę i wysypałem garść naboji z atrapy pojemnika z dezodorantem. Załadowałem broń i wsunąłem ją między sprężyny i materac łóżka.

O dziewiątej zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę, poznałem głos Midori, więc podałem jej numer pokoju.

Minutę później rozległo się ciche pukanie. Wstałem i wyjrzałem przez wizjer. W pokoju było ciemno, żeby nikt z korytarza nie mógł zauważyć, że podszedłem do drzwi. Ten, kto robi to w pełnym świetle, stanowi łatwy cel dla śrutówki.

Tak jak się spodziewałem, to była Midori. Wpuściłem ją i starannie zamknąłem drzwi. Kiedy spojrzałem na nią, właśnie rozglądała się po pokoju.

- Dobrze, że choć raz wybrałeś lepszy hotel - powiedziała. - Tamte do tego się nie umywają.

- Ale mają swoje zalety - odparłem, biorąc ją w ramiona.

Na kolację zamówiliśmy sashimi i gorącą sake. Zanim przyszedł kelner, zdałem jej relację ze spotkania z Tatsu. Powiedziałem także, co spotkało Bulfincha.

Przyniesiono kolację. Po wyjściu kelnera Midori zerknęła na mnie.

- Chciałam cię zapytać... chyba o coś głupiego. Mogę?

Popatrzyłem na nią i coś mnie ścisnęło w dołku na widok jej szczyrych oczu.

- Oczywiście.

- Tak sobie myślałam o tych wszystkich ludziach. Zabili Bulfincha. Mnie i ciebie też próbowali zabić. Na pewno chcieli dopaść także mojego ojca. Myślisz, że... on naprawdę zmarł na zawał?

Wziąłem do ręki małą, porcelanową buteleczkę i nalałem sake do dwóch czarek. Przez chwilę spoglądałem na obłoczki pary snujące się po powierzchni trunku. Moja dłoń ani drgnęła.

- To wcale nie jest głupie pytanie. Owszem, istnieją różne sposoby na to, aby kogoś zabić i upozorować to na wypadek albo na śmierć z przyczyn naturalnych. Zgadzam się również, że pewni ludzie mogli źle życzyć twojemu ojcu.

- Obawiał się, że go zabiją. Sam mi to mówił.

- No właśnie.

Zabębniła palcami po stole, z furią uderzając w klawisze niewidzialnego fortepianu. W jej oczach płonął zimny ogień.

- Myślę, że go zabili. - Pokiwała głową.

„Nie ma dla nas powrotu, John. Nie po tym, co tu zrobiliśmy”.

- Chyba masz rację - powiedziałem cicho.

Domyślała się? Czy też jej umysł odrzucał podszepty instynktu? Tego nie wiedziałem.

- Teraz liczy się tylko to, że twój ojciec był dzielnym człowiekiem - odezwałem się lekko zmienionym głosem. - Nie ma znaczenia, w jaki sposób umarł. Zrobimy coś, aby jego śmierć nie poszła na marne. Właśnie dlatego chcę odzyskać płytę. Muszę dokończyć to, co zaczął. Naprawdę... - Trochę się zaplątałem. - Naprawdę chcę to zrobić. To dla mnie bardzo ważne.

Sprzeczne emocje przemknęły po jej twarzy jak cień chmur gnanych silnym wiatrem.

- Nie idź tam - powiedziała. - To zbyt niebezpieczne.

- Mniej niebezpieczne, niżby się zdawało. Mój przyjaciel uprzedził wszystkich policjantów, którzy tam będą, co mam zamiar zrobić. Nikt więc mnie nie zastrzeli.

Mam nadzieję.

- A co z CIA? Nad nimi nie masz żadnej władzy.

Zastanawiałem się już nad tym. Gdybym przypadkiem zginął, Tarsu skorzystałby z okazji, aby wyciągnąć wszystkich z samochodu i zrewidować, czy nie mają broni. W ten sposób znalazłby też płytę. Bardzo praktyczny facet.

- Powtarzam, nikt mnie nie zastrzeli. Podejdę do nich w taki sposób, że zanim się połapią, będzie już za późno.

- Zawsze słyszałam, że na wojnie nic nie przebiega zgodnie z planem.

Roześmiałem się.

- To prawda. Dotarłem aż tak daleko, bo mam zdolność improwizacji.

Upiłem łyk gorącego trunku.

- A poza tym skończyły nam się inne możliwości - powiedziałem, czując przyjemne ciepło w brzuchu. - Yamaoto wciąż nie wie, że Holter zdobył płytę, więc będzie cię nadal ścigał. Mnie także.

Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu. Potem Midori spojrzała na mnie.

- Masz rację, chociaż to wcale nie mniej straszne. - W jej głosie brzmiała wyraźna gorzycz.

Z czasem można przywyknąć do najstraszniejszych rzeczy, podyktowanych przez logikę, pomyślałem, ale tego nie powiedziałem.

Podniosła się i podeszła do okna. Stała tyłem do mnie, ciemna sylwetka odcinała się na tle oświetlonej szyby. Obserwowałem ją przez moment, a potem wstałem i podeszedłem do niej. Miękki dywan uginał mi się pod stopami. Stałem blisko i poczułem świeży zapach jej włosów i jakąś inną, bardziej egzotyczną woń. Moje ręce powoli powędrowały w górę, aż dotknąłem czubkami palców jej szyi i ramion.

W ślad za palcami poszły dłonie, a kiedy osunęły się na jej biodra, Midori oparła się plecami o mnie. Położyła mi dłoń na ręce, najpierw na jednej, potem na drugiej, i przesunęła je lekko w górę, tak że znalazły się na jej brzuchu. Gładziłem ją nawet nie wiedząc, kto tak naprawdę to robi.

Staliśmy tak i patrzyliśmy przez okno na Tokio. Wreszcie poczułem, że cały ciężar czekającego mnie zadania ze mnie spada. Miałem radosne wrażenie, że nigdzie na całym świecie nie znalazłbym takiego miejsca, w którym bardziej chciałbym być w tej chwili. Miasto wokół nas ożyło: miliony świateł były jego oczami, śmiechy kochanków - jego głosem, drogi, fabryki - ciałem i ścięgnami. I ja - w jego pulsującym sercu.

Jeszcze trochę, myślałem, całując Midori w ucho i smukłą szyję. Mamy jeszcze trochę czasu w bezimiennym pokoju hotelowym, aby uwolnić się z pęt przeszłości i odpłynąć od wszystkich spraw, które wkrótce bezpowrotnie zniszczą nasz kruchy związek.

Nagle wyraźnie usłyszałem szmer jej oddechu i poczułem smak skóry. Zniknął leniwy obraz miasta i naszego miejsca w jego trzewiach. Midori odwróciła się i pocałowała mnie - najpierw miękko, a potem o wiele twardziej. Czulem jej ręce na mojej twarzy, gdzieś pod koszulą... Jej ciepły dotyk rozszerzał się na mojej piersi jak kręgi na wodzie.

Zatoczyliśmy się na łóżko, zrywając ubrania i rzucając je na podłogę, gdzie popadło. Midori wyprężyła się, a ja całowałem jej brzuch i piersi.

- Nie... Teraz - szepnęła. - Chcę cię teraz.

Przesunąłem się wyżej, poczułem, jak jej nogi lekko ocierają się o moje boki - i już byłem w środku. Wydała cichy jęk, niczym wiatr zrywający się do lotu, i zaczęliśmy się poruszać, razem i oddzielnie, najpierw pomału, a potem z coraz większą natarczywością. Złączeni, oddychaliśmy wzajemnie swoim oddechem. Mrowienie przebiegło mi od głowy, poprzez krocze, do stóp i z powrotem, i zupełnie już nie wiedziałem, gdzie kończy się moje ciało, a jej zaczyna. Czułem, że pod nami i w nas coś dudni i wzbiera na kształt chmur zbierających się przed burzą, a kiedy wystrzeliłem, było to jak grzmot dobiegający ze wsłuch, z każdego zakamarka mojego ciała, jej ciała i tych wszystkich miejsc, w których byliśmy złączeni.

Przez chwilę leżeliśmy wtuleni w siebie, zmęczeni jak po stoczonej bitwie, lecz niezwyknięci, bo zabrakło ostatnich, najpotężniejszych ciosów.

- *Sugoi* - szepnęła Midori. - Co oni dodają do sake?

Uśmiechnąłem się do niej.

- Chcesz następną butelkę?

- I to niejedną - mruknęła sennie. To były ostatnie słowa, jakie padły między nami, zanim odszedłem w sen, łaskawie pozbawiony wszelkich wspomnień z przeszłości i tylko trochę zakłócony obawą przed tym, co mnie czekało.

## 23

**W**stałem tuż przed świtem i patrzyłem przez okno, jak w Tokio za-

palają się światła i miasto z wolna budzi się z uśpienia, leniwie prostując palce u nóg i dłoni. Midori wciąż spała.

Wykąpałem się i włożyłem jeden z garniturów, które trzymałem w Imperiale, z lekkiej szarej flaneli, od Paula Stuarta. Do tego biała bawełniana koszula Sea Island i tradycyjny niebieski krawat. Buty od szewca i używana teczka z niestety już nieistniejącej angielskiej firmy

wyrobów skórzanych W.H. Gidden. Byłem ubrany lepiej niż większość ludzi w takiej sytuacji - znowu chodziło o szczegóły, które zawsze mogą ukryć czyjąś tożsamość lub szybciej ją zdradzić. Kto wie? - pomyślałem. Jak coś pójdzie nie tak, może cię nawet pochowają w tym wdzianku. Chociaż raz będziesz odpowiednio wyglądał.

Midori wstała, gdy byłem w łazience. Włożyła biały hotelowy szlafrok i w milczeniu siedziała na łóżku, kiedy się ubierałem.

- Podobasz mi się w garniturze - odezwała się w pewnej chwili. - Dobrze ci w nim.

- Jeszcze jeden *sarariman* w drodze do pracy - zażartowałem.

Wcisnąłem glocka do kabury zawieszanej na pasku na plecach i zakryłem go marynarką. Potem wsunąłem flashbang do rękawa, pod pachę, i przycisnąłem go do ciała. Uniosłem rękę na kilka centymetrów i poruszyłem nią szybko. Granat zsunął się wprost do mojej dłoni. Zadowolony, umieściłem go z powrotem na miejscu.

Zrobiłem parę obrotów głową, aż zatrzeszczały kręgi szyi.

- No, dobrze - mruknąłem. - Muszę już iść. Wrócę przed wieczorem. Zaczekasz na mnie?

Przytaknęła z poważną miną.

- Będę tutaj. Tylko na pewno wróc.

- Oczywiście. - Zabrałem teczkę i wyszedłem.

Hol był pusty. Biznesmeni jeszcze nie wstali, żeby zejść na bardzo drogie, podobno pożywne śniadanie. Wyszedłem głównymi drzwiami i pokręciłem głową, kiedy portier chciał wezwać dla mnie taksówkę. Wolałem przejść się w stronę Dworca Tokijskiego i sprawdzić, czy na pewno nikt mnie nie śledzi. Stamtąd mogłem złapać pociąg do Shinbashi, a z Shinbashi do Yokosuki. Co prawda z dworca było bezpośrednio połączenie, lecz z oczywistych względów wybrałem okrężną drogę.

Był rześki, pogodny ranek; taka pogoda rzadko zdarza się w Tokio, lecz bardzo ją lubię. W parku Hibiya zobaczyłem maleńki *asagao*, powój kwitnący w zimnym deszczu kropel z fontanny. To letni kwiat i w moich oczach wyglądał smutno, jakby wiedział, że wkrótce umrze, pokonany chłodem jesieni.

Na Dworcu Tokijskim kupiłem bilet do Shinbashi i tam przesiadłem się na linię Yokosuka, starannie sprawdzając tyły. Poprosiłem o bilet w obie strony, do Yokosuki i z powrotem. Wprawdzie bezpieczniejszym było kupić w jedną, ale żołnierze są przesądni, a jak powiedział kiedyś Crazy Jake, dawne zwyczajnie trudno wykorzystać.

O siódmej wsiadłem do pociągu, który ruszył ze stacji cztery minuty później, dokładnie o czasie. Po siedemdziesięciu dwóch minutach jazdy dotarłem do dworca Yokosuka, po drugiej stronie portu, na wprost amerykańskiej bazy. Z teczką w ręku wyszedłem na peron i z ostentacyjną miną zamknąłem się w budce, żeby niby to wykonać jakiś pilny telefon. W tym czasie inni pasażerowie zdążyli opuścić stację.

Stamtąd poszedłem nadmorskim bulwarem wzdłuż nabrzeża portu Yokosuka. Zimny wiatr znad morza wiał mi w twarz, przynosząc lekki zapach słonej wody. Niebo było ciemne, zupełnie inne niż w Tokio. Nic, co dobre, nie trwa zbyt długo, pomyślałem.

Woda w porcie zdawała się równie szara i ciężka jak niebo. Przystanąłem na drewnianym pomoście, wychodzącym w morze i popatrzyłem na groźne sylwetki okrętów wojennych US Navy, stojących na kotwicy. Za nimi, na tle smętnego nieba, wznosiły się olśniewająco zielone góry. W dole pode mną rytmicznie huśtały się na falach różne śmieci: puste butelki, pudełka po papierosach i plastikowe torby. Wyglądały jak przedziwne, gnijące morskie stwory, które, ranne w głębinach, wypłynęły na powierzchnię, żeby zdechnąć.

Port przypominał mi trochę Yokohamę i dawne wycieczki z mamą w niedzielne poranki. W Yokohamie chodziła do kościoła i chciała wychować mnie na katolika. Jeździliśmy ze stacji Shibuya i podróż trwała wtedy ponad godzinę, a nie dwadzieścia minut, jak dzisiaj.

Pamiętałem tamte wyprawy. Matka zawsze trzymała mnie za rękę, jakby chciała, dosłownie, odciągnąć mnie od ojca, który krzywił się, że jego łatwowierny syn bierze udział w jakichś prymitywnych zachodnich obrządkach. Sam kościół dawał prawdziwe przeżycie dla zmysłów; unosił się w nim zapach starego drewna, papieru i poduszek na ławkach. Twarde ławki wydawały się sztywne jak zbroja. Blask światła prześwitywał przez anioły na witrażach. Wciąż pamiętałem złowieszcze echa liturgii i mdły smak eucharystii. Wszystko to w cieniu rodzącej się świadomości, że patrzę przez okno, które mój ojciec - druga połowa mojego dziedzictwa kulturowego - wolałby trzymać zawsze zamknięte.

Ludzie dość często mówią, że zachodnia kultura opiera się na poczuciu winy, a japońska na wstydzie. Podkreślają przy tym, że wina jest doświadczeniem wyłącznie wewnętrznym, wstyd zaś łączy się z obecnością grupy.

Ale ja mogę wam powiedzieć, jako Tereczasz obu światów, że ta różnica jest dużo mniejsza, niżby się zdawało. Poczucie winy narasta

tylko wtedy, gdy nie ma grupy, która cię zawstydzi. Żal, strach, okrucieństwo - jeśli grupa nie zwraca na to żadnej uwagi, tworzymy Boga, żeby na nas patrzył. Boga, którego nawet zatwardziały grzesznik może kiedyś przekupić choćby niepewną próbą dobrego uczynku.

Usłyszałem chrzęst opon na żwirze i spojrzałem za siebie, w kierunku parkingu. Zobaczyłem pierwszą z trzech czarnych limuzyn, hamowała z piskiem kilka metrów ode mnie. Wysiadło z niej dwóch ludzi, białych. Holtzer, pomyślałem.

Dwa pozostałe samochody stanęły po prawej i lewej stronie pierwszego. Za mną była już tylko woda, zostałem okrążony. Jeszcze czterech facetów dołączyło do pierwszej dwójki. Wszyscy uzbrojeni w beretty.

- Wsiadaj - powiedział ten, co stał najbliżej. Lufą pistoletu wskazał środkowy samochód.

- Ani mi się śni - odparłem ze spokojem. Jeżeli mają mnie zastrzelić, niech to zrobią tutaj.

Otaczali mnie półkolem. Gdyby podeszli trochę bliżej, skoczyłbym na jednego z dwóch stojących po bokach - drugi bałby się strzelać, żeby nie trafić kumpla.

Jednak oni byli zdyscyplinowani i nie zbliżali się za bardzo. Chyba wysłuchali wykładu o zagrożeniach wynikających z bliskiego kontaktu.

Jeden z nich sięgnął pod marynarkę i wyjął coś, co natychmiast rozpoznałem jako taser - paralizator.

A więc chcą mnie tylko schwytać, nie zabić. Odwróciłem się, żeby skoczyć na tego, który stał najbliżej, ale było już za późno. Z głuchym „pop!” z tasera wyskoczyły dwie elektryczne igły. Przeszył mnie nagły wstrząs, kiedy głęboko wbiły mi się w udo. Upadłem w drgawkach i próbowałem wyrwać igły z ciała, ale zdrętwiałe kończyny odmówiły mi posłuszeństwa.

Przetrzymali mnie pod prądem dłużej, niż musieli. Stali wokół i patrzyli, jak rzucam się niczym ryba na pokładzie łodzi. Wreszcie dali mi spokój. Nadal nie panowałem nad ciałem i z trudem łapałem oddech. Poczulem, że mnie obmacują - kostki, uda, plecy... Ktoś zadarł mi marynarkę i wyłuskał glocka z kabury. Chwilę czekałem, że dalej będą mnie rewidować, lecz na tym się skończyło. Ucieszyli się, że znaleźli broń, i już więcej nie szukali - amatorski błąd, bo dzięki temu nadal miałem flashback schowany pod pachą.

Ktoś usiadł mi na ramionach i skuł ręce z tyłu. Włożono mi kaptur na głowę. Czyjeś ręce chwyciły mnie, dźwignęły, bezwładnego jak ju-

towy worek, i rzuciły na podłogę jednego z samochodów. Ktoś przytrzymał mnie kolanami, trzasnęły drzwi i ruszyliśmy.

Jechaliśmy nie dłużej niż pięć minut. Po prędkości i jeździe bez zakrętów domyśliłem się, że wciąż jesteśmy na głównej drodze numer 16 i że minęliśmy bazę. Przez cały czas prostowałem palce i próbowałem poruszać stopami. Z wolna wracała mi władza w mięśniach, ale mój system nerwowy wciąż był obolały i czułem ucisk w żołądku.

Zauważyłem, że samochód zwalnia i skręca w prawo. Żwir zachrząścił pod kołami. Zatrzymaliśmy się. Szczęknięty otwierane drzwi, ktoś złapał mnie za kostki i wywłókł na zewnątrz. Uderzyłem głową w próg samochodu i zobaczyłem gwiazdy.

Postawili mnie na nogi i pchnęli przed siebie. Po krokach poznałem, że jestem otoczony. Weszliśmy gdzieś po krótkich schodach. Jakieś drzwi zaraz potem zamknęły się za mną z cichym trzaskiem, jakby były zrobione z aluminium. Posadzili mnie na krześle i zdjęli kaptur z głowy.

Znalazłem się w przyczepie budowlanej. Przyćmiony blask wpadał przez pojedyncze rozsuwane okno. Ktoś w niej siedział.

- Cześć, John. Cieszę się, że cię widzę. - To był oczywiście Holter.

- O kurwa... -jęknąłem, celowo ze strachem i przygnębieniem. Prawdę mówiąc, nie musiałem nawet za bardzo udawać. - Jak mnie znalazłeś?

- Wiedziałem, że na pewno słyszałeś o Bulfinchu i że spróbujesz odebrać mi płytę. Domyślałem się, że masz własne, prywatne układy, które pozwolą ci dotrzeć do mnie. Na wszelki wypadek obstawiłem wszystkie ważniejsze punkty w drodze do bazy. Wpadłeś mi prosto w ręce.

- O kurwa - powtórzyłem, tym razem z przekonaniem.

- Nie przejmuj się. Naprawdę byłeś bardzo dzielny. Ale z drugiej strony powinieneś wiedzieć, że ze mną nie wygrasz, John. Zawsze przegrywałeś.

- Jasne - mruknąłem. Zastanawiałem się, jak wybrnąć z tak trudnej sytuacji. Bez kajdanek mógłbym załatwić Holtzera i tych dwóch, co nadal sterczeli pod drzwiami, choć nie wiedziałem, ilu ich jest na zewnątrz. W kajdankach byłem bezradny.

- Pewnie się nawet nie domyślasz, o czym mówię? - spytał. - Chryste, zawsze zachowywałeś się jak ślepiec.

- O co ci chodzi?



Wykrzywił mięsiste wargi w złośliwym uśmiechu i bezgłośnie wymówił dwa słowa. Początkowo w ogóle nie potrafiłem ich zrozumieć, ale powtarzał je tak długo, aż wreszcie załapałem.

Byłem wtyka. Byłem wtyka.

Spuściłem głowę i próbowałem opanować nerwy.

- Nie pierdol, Holtzer. Nigdy nie miałeś dostępu do tych informacji. To musiał być ktoś z ARVN.

- Tak myślisz? - Zbliżył twarz do mojej twarzy i dodał obscenicznie intymnym szeptem, żeby nie usłyszeli go strażnicy. - Pamiętasz Cu Lai?

Wieś w Kambodży. Poczułem, że coś mnie dławi. To na pewno nie miało nic wspólnego z szokiem, jaki przeżyłem rażony prądem.

- Nie rozumiem - mruknąłem.

- A pamiętasz: „Na śmietnik z nimi!”? Pamiętasz: „Synu, możesz być pewny, że jak usłyszysz, z kim masz do czynienia, zesrasz się w portki”? Byłeś okropnie twardy, John! Trzy razy zmieniałem głos, żeby cię przekonać.

Spokojnie, John. Pomyśl o czymś innym. Na przykład o tym, jak się stąd wydostać.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Miałem informatora. Był bardzo pomocny. W pewnym momencie chciałem mu pokazać, że też mogę coś dla niego zrobić. Dowiedziałem się, że pożyczył grubszą kasę od kogoś z tamtej wsi i że wyniknęły z tego jakieś kłopoty. Postanowiłem dać mu przykład, jak się rozwiązuje takie sprawy.

- Zmasakrowałeś całą wieś, żeby zabić jednego człowieka?

- Musiałem. Wszyscy wyglądacie tak samo. - Zachichotał z własnego dowcipu.

- Pieprzysz. Przecież mogłeś dać mu trochę forsy na spłacenie długu.

Odchylił głowę w tył i roześmiał się na całe gardło.

- Daj spokój, Rain. Księgowy ciągle patrzył mi na ręce, ale nie liczył każdej wystrzelonej kuli. Kilku zabitych chłopów? Można ich doliczyć do listy Wietkongu. Chryste, to było dużo prostsze niż wszystkie papiery, formularze i prośby o fundusze.

Pierwszy raz, odkąd zaczęły mnie nawiedzać wojenne koszmary, poczułem prawdziwą rozpacz. Z przeraźliwą jasnością rozumiałem, że za parę minut będę martwy, że Holtzer wygrał i że zawsze był nade mną górą. Myślałem o śmierci się nie przejmowałem. O wiele bardziej dęczyła

mnie świadomość, że nie zdołałem go powstrzymać, bolało mnie też to, co mi zrobił przed wieloma laty.

- Nie wierzę ci - powiedziałem, chcąc zyskać na czasie. - Gra nie warta świeczki. Co za to dostałeś? Na pewno nie kasę, bo po trzydziestu pięciu latach wciąż jesteś takim samym księgowym w tanim garniturze.

Popatrzył na mnie z udawanym współczuciem.

- Kompletny burak z ciebie, Rain. Świat idzie naprzód, a ty w ogóle tego nie dostrzegasz. Słówko za słówko, chłopcze. To jest prawdziwa gra. Miałem dostęp do informacji o ruchach NVA, informacji, które pomogły nam przeprowadzić misje typu Arc Light i zbombardować Szlak Ho Chi Minha. Akcje Grupy Badań i Obserwacji nie dawały żadnych wymiernych korzyści, ale wkurwiały Wietnamczyków, bo wyglądało na to, że garść kowbojów panoszy im się na podwórku. Chcieli wiedzieć o was coś więcej i zamierzali za to zapłacić informacjami o własnym wojsku. Sprzedawałem gówno za złoto.

Zrozumiałem, że mówi prawdę. Nic nie mogłem mu na to odpowiedzieć.

- Och... Pozwól, że się podzielę z tobą jedną maleńką tajemnicą, zanim panowie zabiorą cię stąd, strzelą w tył głowy i porzucą ciało na przystani - ciągnął Holtzer. - Tym razem chodzi o Crazy Jake'a. To ja zgłosiłem cię do tej roboty.

Coś mnie dławiło w gardle. Nie mogłem mówić. To chyba było gorsze od gwałtu.

- Przyznam, że przypadkowo dowiedziałem się o kłopotach, jakie sprawiała jego armia górali. Ale wiedziałem, kto go załatwi, jego najlepszy kumpel, John Rain. Tylko ty mogłeś podejść wystarczająco blisko.

Wszystko skończone. Miałem umrzeć. Pustka w głowie, dziwny spokój.

- Potem wspomniałem o tym tu i ówdzie. Rzecz była oczywiście tajna, ale dotarła do właściwych ludzi. „Niech to zostanie między nami...” Lubisz to zdanie? Na dobrą sprawę mógłbyś powiedzieć: „Natychemiast przekaz to do prasy”. Świetne.

Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz wszedłem na górę Fudzi. Wybraliśmy się tam razem z ojcem, lecz było zimno, a żaden z nas nie miał ciepłej kurtki. Chyba na zmianę raz jeden, raz drugi chciał wracać, ale tak się jakoś składało, że któryś ciągle parł naprzód, aż wreszcie dotarliśmy na szczyt. Potem wspominaliśmy to ze śmiechem. Ojciec uwielbiał tę historię.

- Ludzie bardzo się krzywili, John. Co to za człowiek, który zabija najlepszego przyjaciela? Po prostu podszedł i go zastrzelił? Od tamtej pory nikt ci nie ufał. Nikt nie zamierzał cię awansować ani ci pomóc w dalszej służbie. Myślę, że słowa: „Niech to zostanie między nami...” stały się końcem twojej kariery. Mam rację? Dziś jesteś tylko zwykłym kundlem... Mordercą, który posłusznie spełnia rozkazy lepszych od siebie.

Tak... ojciec uwielbiał to opowiadać. Strasznie się cieszył, że było w nas tyle samozaparicia, że doszliśmy aż do krateru.

- Zamurowało cię, John?

Dobre wspomnienia. Trudno o lepsze chwilę przed śmiercią.

Holtzer wstał i spojrzął na tych pod drzwiami.

- Nie zabijajcie go przypadkiem tutaj, za blisko bazy. Wojsko ma jego kartę dentystyczną, więc mogą zidentyfikować ciało. Nie chcę, żeby ktoś odkrył jego powiązania z amerykańskim rządem albo ze mną. Zabierzcie go gdzieś i wykończcie.

Jeden ze strażników otworzył drzwi. Holtzer wyszedł.

Usłyszałem trzaskanie drzwiami samochodów, a potem podwójny zgrzyt opon na żwirze. Przyjechaliśmy w trzy limuzyny, została więc już tylko jedna. Kłopot w tym, że nie wiedziałem, czy na zewnątrz ktoś jeszcze czeka.

Dwóch wciąż blokowało mi drogę do wyjścia. Mieli obojętne twarze.

Coś się burzyło we mnie, skłaniając do walki.

- Ręce mnie bołą od kajdanek - powiedziałem i powoli podniosłem się z krzesła. - Można coś z tym zrobić?

Jeden z nich się roześmiał.

- Nie przejmuj się. Za kilka minut uwolnimy cię od każdego bólu.

- Ale ręce... - jęknąłem i wygiąłem łokcie, żeby chociaż trochę odsunąć ramiona od tułowia. Któryś parsknął z pogardą.

- O Boże... Wszystko mi drętwieje - narzekałem. Zrobiłem kilka energicznych obrotów ramionami, przesuwając granat do rękawa. Potem znowu ugiąłem łokcie i potrząsnąłem całymi rękami. Flashbang ześliznął się odrobinę.

Potem jednak przemieszczał się z większym oporem, bo ręce miałem zbyt blisko ciała. Zrozumiałem, że byłoby mi dużo łatwiej, gdybym go przepchnął na plecy i strząsnął prosto w dłonie. Za późno.

Wyprostowałem ręce i zacząłem się kiwać na palcach nóg jak ktoś, komu nagle zachciało się sikać.

- Muszę się odlać - powiedziałem.

Popatrzyli na siebie z takim wyrazem twarzy, jakby dawali mi do zrozumienia, że jestem żaloszny.

Każdy ruch przesuwiał granat o centymetr. Kiedy nareszcie przeszedł koło łokcia, lekko przemieścił się po rękawie i wpadł mi do ręki.

Opóźniacz ustawiony był na pięć sekund. Nie mogłem rzucić granatu za wcześniej, żeby go któryś nie kopnął za drzwi. Gdybym jednak się trochę spóźnił, zostałbym pewnie bez ręki. Nie w taki sposób chciałem zdjąć kajdanki.

Wyciągnąłem zawleczkę i zacząłem liczyć. Sto dwadzieścia jeden...

Facet po lewej stronie drzwi sięgnął za pazuchę po pistolet.

Sto dwadzieścia dwa...

- Jeszcze chwileczkę, jeszcze chwileczkę... - zapiszczałem przez ściśnięte gardło. Sto dwadzieścia trzy...

Znow zerknąłem na siebie z wyraźnym niesmakiem. Wiedziałem, co pomyśleli: To ma być ten twardziel, przed którym nas ostrzegano, że jest niebezpieczny?

Sto dwadzieścia cztery. Zaciśnąłem powieki, odwróciłem się tyłem i szybkim ruchem nadgarstka rzuciłem flashbang. Usłyszałem, jak twardo stuknął o podłogę, a potem rozległ się ogłuszający huk, który wstrząsnął całym moim ciałem. Straciłem oddech i upadłem.

Przetoczyłem się w lewo, potem w prawo, żeby zaczerpnąć powietrza. Miałem wrażenie, że jestem pod wodą. Nic nie słyszałem oprócz głośnego ryku w mojej głowie.

Ludzie Holtzera też tarzali się po podłodze, oślepieni, rękami zakrywając uszy. Zrobiłem bolesny, urywany wdech, klęknąłem z trudem. .. i przewróciłem się na bok. Nie mogłem złapać równowagi.

Jeden z nich na czworakach macał wokół siebie. Pewnie szukał pistoletu.

Znowu dźwignąłem się na kolana, starając się nie upaść. Tamten zataczał dłonią szerokie kręgi i coraz bardziej zbliżał się do porzuconej broni.

Chwiejnie wysunąłem nogę i spróbowałem wstać. Po chwili znow leżałem. Ze skrepowanymi rękami się nie podniosę.

Rozcapierzone palce przeciwnika niemal dotykały pistoletu.

Przekręciłem się na plecy, wyciągnąłem rękę, jak tylko mogłem i próbowałem przelożyć kajdanki przez biodra i pośladki. Szarpałem się na wszystkie strony, pchając dłonie wzdłuż nóg, coraz niżej, aż

wreszcie przesunąłem jedną stopę, a potem drugą. Teraz już miałem ręce z przodu.

Stanąłem na czworakach. Zobaczyłem, że tamten zacisnął dłoń na lufie pistoletu.

Jakoś udało mi się wstać. Zanim zdążył podnieść broń, w piłkarskim stylu kopnąłem go prosto w twarz. Poleciał w kąt, a ja z impetem usiadłem na podłodze.

Znowu wstałem. Drugi też zdążył się już podnieść. Bez przerwy mrugał powiekami, ale chyba widział, że się zbliżam. Wsunął dłoń pod marynarkę, żeby wyciągnąć pistolet.

Wpadłem na niego w chwili, gdy go wyjął. Zanim wyprostował rękę, z całej siły wbiłem palce w jego szyję, uszkadzając nerw przeponowy i krtaniowy. Później chwyciłem go za kark i - wykorzystując wąską przestrzeń pomiędzy skutymi rękami - ściągnąłem jego głowę w dół i z rozmachem uderzyłem go kolanem w twarz. Jeszcze raz, i jeszcze... Zasłabł. Odepchnąłem go na bok.

Odwrociłem się w stronę drzwi i zauważyłem, że pierwszy chwiejnie stoi na nogach. Wyciągnął rękę w moją stronę i spostrzegłem, że trzyma nóż. Nie zdążyłem zgarnąć z podłogi czegoś, czym mógłbym się posłużyć do obrony. Skoczył na mnie.

Gdyby poruszał się trochę wolniej, miałby większe szanse utrzymać równowagę, ale on postawił przede wszystkim na szybkość. Niemal na oślep pchnął mnie nożem. Dałem pół kroku w lewo, może za późno, lecz i tak nie trafił. Ostrze minęło mnie o milimetry. Obróciłem się na pięcie, oburącz złapałem go za przedramię i spróbowałem rzutu w stylu aikido. Nie wyszło - prędko wrócił do pionu. Staliśmy tak może przez sekundę - cholera! Zaraz mi się wyrwie.

Szarpnąłem jego dłoń w drugą stronę i przywaliłem mu łokciem w nos. Potem wykręciłem mu rękę - trochę niezdarne, bez przygotowania - i zahaczyłem prawą. Złapałem się za klapę marynarki, jakby to był kołnierz *judogi*. Puściłem rękę z nożem i w tej samej chwili rzuciłem go przez biodro, lewym przedramieniem mocniej przytrzymując szyję. Kiedy tułów przeciwnika znalazł się w najwyższym punkcie obrotu, pociągnąłem jego głowę w przeciwną stronę. Usłyszałem suchy trzask kręgów pękających w miejscu, gdzie moje przedramię stykało się z jego szyją. Nóż brzęknął o podłogę; zwoleń uchwyt.

Oszołomiony upadłem na kolana. Który z nich ma kluczyki od kajdanek? Obszukałem pierwszego. Sina twarz i wysunięty język powie-

działy mi, że zginął już od pierwszego ciosu w chrząstki gardła. Znalazłem u niego kluczyki od samochodu, ale nie od kajdanek. Z drugim poszło lepiej. Wyciągnąłem mu z kieszeni to, co chciałem, i po sekundzie byłem wolny. Jeszcze tylko szybko przeszukałem podłogę i znalazłem berettę.

Wytoczyłem się na parking. Tak jak myślałem, została tylko jedna bryka. Wsiadłem, wsunąłem kluczyk do stacyjki, uruchomiłem silnik i pełnym gazem wyjechałem na szosę.

Wiedziałem, gdzie jestem - tuż przy autostradzie, pięć lub sześć kilometrów od bramy do bazy. Zgodnie z przepisami samochód Holtzera musiał się zatrzymać przed wjazdem na teren wojskowy. Holtzer odjechał jakieś pięć minut temu. Wziąwszy pod uwagę natężenie ruchu i wszystkie światła po drodze do bazy, teoretycznie mogłem go dogonić.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że szanse są mizerne. Ale pod jednym względem miałem wyraźną przewagę: srałem na to, że mnie zabiją. Chciałem tylko, żeby Holtzer zdechł przede mną.

Wjechałem na Szesnastkę. Mrugałem reflektorami i dusiłem klakson, inne samochody zjeżdżały na boki. Trzykrotnie przejechałem już na czerwonych światłach, ale za każdym razem udawało mi się przemknąć, chociaż z jednej i drugiej strony słyszałem pisk hamulców. Na wysokości gmachu NTT zauważyłem, że po zmianie światel utworzyła się luka po drugiej stronie jezdni, więc natychmiast się w nią wcisnąłem. Jak wariat jechałem pod prąd, wyjąc klaksonem. Potem wróciłem na właściwą stronę, ale już byłem na przodzie całej kawalkady, ruszającej ze skrzyżowania. Jakoś udało mi się zapiąć pas bezpieczeństwa i z ponurą satysfakcją stwierdziłem, że mój samochód jest wyposażony w poduszkę powietrzną. Początkowo zamierzałem wrzucić flashbang do auta Holtzera i w ten sposób zapewnić sobie bezpieczne wejście. Teraz, tak jak mówiłem Midori, czekała mnie improwizacja.

Pozostało mi dziesięć metrów do głównego zjazdu, kiedy zobaczyłem czarną limuzynę skręcającą do bazy. Jakiś żołnierz marines w panterce uniósł obie ręce, żeby ją zatrzymać. Kierowca opuścił szybę. Wartowników było na pewno więcej niż zazwyczaj, a odprawa odbywała się daleko od bramy- skutki anonimowego ostrzeżenia o zamachu bombowym.

Spojrzałem na samochody sunące przede mną. Nie zdążyłem.

W oknie limuzyny ukazała się twarz szofera.

Trąbiłem jak wściekły, ale nikt się nie ruszył.

Wartownik uniósł głowę, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie.

Klepnąłem w przycisk otwierający okno. Szyba poszła w dół.

Żołnierz wciąż się rozglądał.

Zjechałem na chodnik, rozjeżdżając zaparkowane rowery i przewracając kubły na śmieci. Jakiś przechodzień umknął mi sprzed maski. Kilka metrów od drogi wiodącej do bazy szarpnąłem kierownicą w prawo i pomknąłem na skos przez trawniki. Celowałem w samochód Holtzera. Wartownik odwrócił się, zobaczył, że nadjeżdżam pełnym gazem, i odskoczył w ostatniej chwili. Walnąłem maską w tylne drzwi po stronie kierowcy z taką siłą, że zepchnąłem limuzynę w bok; oba wozy utworzyły coś na kształt wielkiej litery V. Uderzenie zgięło mnie wpół, ale na szczęście byłem w pasach, a poduszka powietrzna, zgodnie z reklamą, napelniła się w ciągu nanosekundy.

Odpiąłem pas i próbowałem otworzyć drzwi, lecz się zablokowały. Niewiele myśląc, wystawiłem nogi za okno, złapałem uchwyt nad drzwiami i wyskoczyłem z samochodu.

Limuzyna Holtzera była ode mnie o dwa kroki. Wsadziłem rękę przez okno, chwyciłem kierownicę i jednym silnym ruchem wciągnąłem się do środka, uderzając kolanami w ramę. Przecisnąłem się nad kierowcą, podciągnąłem nogi pod brodę i przeszedłem na tylny fotel. Holtzer siedział z lewej strony, zgięty i wyraźnie oszołomiony. Obok kulił się jakiś młody chłopak, prawdopodobnie jeden z asystentów. Między nimi stał metalowy neser Halliburtona.

Lewą ręką złapałem Holtzera za głowę, a prawą przycisnąłem lufę beretty do jego skroni. Zauważyłem, że jeden z marines, uzbrojony w pistolet, stanął przy oknie od strony kierowcy i zastanawiał się, co zrobić. Mocniej przyciągnąłem Holtzera do siebie.

- Zjeżdżaj stąd albo mu rozwalę ten pierdolony łeb! - wrzasnąłem do żołnierza.

Zrobił niepewną minę, ale celował do nas z pistoletu.

- Wszyscy wysiadać! - krzyknąłem. - Jazda!

Otoczyłem ramieniem szyję Holtzera i zacisnąłem dłoń na klapie mojej marynarki. Siedzieliśmy teraz buźka w buźkę i marines musiały naprawdę być dobrym strzelcem, żeby mnie trafić.

- Z wozu! - krzyknąłem po raz drugi. - Dalej! Ty! - ryknąłem do kierowcy. - Zamknij to pojebane okno! Słyszysz?

Wcisnął klawisz i szyba powoli się zamknęła. Kazałem mu wysiąść i zamknąć za sobą drzwi. Chwiejnie wysunął się na zewnątrz.

- Ty! - wrzasnałem teraz na asystenta. - Wynocha! Też pamiętaj o drzwiach!

Holtzer próbował protestować, ale ścisnąłem go mocniej i umilkł. Chłopak spojrział na niego i posłusznie sięgnął do klamki.

- Zacięły się -jęknął, chyba ciągle w szoku po tym, co go spotkało.

- Przełaż do przodu! - poleciłem. - Prędejj!

Przeczółgał się przez oparcie fotela i wysiadł, zabierając nesesor.

- Dobra, dupku. Teraz na nas kolej - powiedziałem do Holtzera. Puściłem jego szyję. -Ale najpierw płyta.

- Okej, okej... Bez nerwów - odparł. - Jest w mojej lewej górnej kieszeni.

- Wyjmij ją. Tylko powoli.

Uniósł prawą rękę i ostrożnie wyciągnął płytę.

- Połóż ją na moim kolanie - rozkazałem. Posłuchał. - Teraz spleć dłonie razem, odwróć się do okna i załóż ręce na kark. - Nie chciałem, żeby próbował sięgnąć po mój pistolet, kiedy będę zabierał płytę.

Chwyciłem ją i prędko wsunąłem do kieszeni.

- Wyłaż - burknąłem. - Ale pomału. Chyba że chcesz upaprać mózgiem całą tapicerkę.

Odwrócił się i spojrział na mnie twardo.

- Nie wiesz, co robisz, Rain. Odłóż broń, zanim strażnicy cię rozwałą.

- Jeśli nie wyjdiesz w ciągu trzech sekund - opuściłem lufę beretty - to ci odstrzelę jaja. Może na tym poprzestanę. Nie umiem powiedzieć.

Coś mi jednak nie pasowało. Za szybko oddał CD. Za chętnie.

Nagle mnie olśniło: to była zmyłka. Zwykły fajans. Z prawdziwą płytą tak by się nie spieszył.

Nesesor, pomyślałem.

- Już! - wrzasnąłem.

Złapał za klamkę. Przycisnąłem mu pistolet do skroni.

Wysiedliśmy z samochodu i natychmiast zostaliśmy otoczeni przez sześciu żołnierzy piechoty morskiej. Wszyscy stali z dobytą bronią, śmiertelnie poważni.

- Cofnąć się albo mu odstrzelę łeb! - krzyknąłem. Wbiłem lufę pod brodę Holtzera. Zobaczyłem asystenta; stał za kręgiem żołnierzy. Nesesor postawił obok siebie na ziemi.

- Hej, ty tam! Otwieraj tę walizkę!



Popatrzył na mnie nieprzytomnie.

- Tak, ty! Otwórz neseser!

Zrobił przerażoną minę.

- Nie mogę. Jest zamknięty.

- Daj mu kluczyk - warknąłem do Holtzera.

Roześmiał się.

- Akurat.

Celowało we mnie sześciu ludzi. Pociągnąłem Holtzera w lewo, żeby musieli się przesunąć, na ułamek sekundy cofnąłem rękę i grzmotnąłem go kolbą w skroń. Zamroczone osunął się na kolana. Błyskawicznie klęknąłem przy nim, używając jego ciała jako tarczy, i poklepałem go po kieszeniach spodni. W lewej coś zabrzęczało. Wsadziłem rękę do środka i znalazłem klucze.

- Dawaj walizkę tutaj! - krzyknąłem do chłopaka. - Dawaj albo on zginie!

Wahał się przez moment, potem wziął neseser, podszedł bliżej i położył go przed nami.

Rzuciłem mu kluczyki.

- Teraz otwórz.

- Nie słuchaj go! - zawył Holtzer, usiłując się podnieść. - Nie otwieraj!

- Rób, co mówię! - wrzasnąłem. - Albo go rozwalę!

- Nie! To rozkaz! - darł się Holtzer. - To amerykańska przesyłka dyplomatyczna!

Ogłupiały asystent stał jak skamieniały.

- Słyszysz, co mówię, do cholery! On blefuje!

- Stul pysk! - warknąłem i wcisnąłem pistolet pod jego brodę. - Posłuchaj. Myślisz, że ktoś chciałby zginąć z powodu jakiejś zwykłej poczty? Tam musi być coś ważniejszego. Otwieraj.

- Zabijcie go! - nagle krzyknął Holtzer do marines. - Zabijcie!

- Otwieraj albo za chwilę będziesz otrząpywał się z jego mózgu.

Chłopak spoglądał to na Holtzera, to na walizkę. Wszyscy zamarli.

Dalej wydarzenia potoczyły się w piorunującym tempie. Chłopak klęknął i drżącą ręką sięgnął po kluczyki. Holtzer coś jeszcze chciał powiedzieć, ale stuknąłem go pistoletem w głowę i zawisł mi w ramionach.

Odskoczyło wieczko neseseru.

W środku, między dwoma warstwami przezroczystej ochronnej folii, leżała płyta Kawamury.

Minęła bardzo długa sekunda, a potem za moimi plecami rozległ się znajomy głos.

- Aresztujcie tego człowieka.

Odwrociłem się i zobaczyłem Tatsu - zbliżał się do mnie w asyście trzech japońskich policjantów.

Podeszli do mnie i jeden z nich odpiął kajdanki od pasa.

Któryś z żołnierzy zaczął protestować.

- Nie jesteśmy na terenie bazy - wyjaśnił Tatsu płynną angielszczyzną. - Ten obszar nie podlega waszej jurysdykcji. To wewnętrzna sprawa Japonii.

Wykręcili mi ręce do tyłu i usłyszałem szcęk kajdanek. Tatsu długo patrzył mi prosto w oczy, jakby chciał się upewnić, że dostrzegam w nich smutek, a później odwrócił się i odszedł.

## 24

**W**epchnęli mnie do radiowozu i pojechaliśmy do głównej kwatery Keisatsucho. Tam mi zrobili zdjęcia, pobrali odciski palców i wsadzili do betonowej celi. Nikt nie postawił mi żadnych zarzutów, nikt nie zezwolił na kontakt z adwokatem. Kit z tym, i tak nie znałem zbyt wielu prawników.

Cela nawet była w porządku. Nie miała okna, więc mierzyłem czas liczbą posiłków. Trzy razy dziennie milczący strażnik przynosił mi ryż, marynowaną rybę i trochę jarzyn. Przy okazji zabierał pustą tacę po poprzednim posiłku. Jedzenie też było niezłe. Co trzy posiłki mogłem wziąć prysznic.

Właśnie czekałem na szesnastą rybę z ryżem i próbowałem nie martwić się o Midori, kiedy do mojej celi weszło dwóch strażników. Kazali mi iść ze sobą. Zaprowadzili mnie do małej izby, w której stał stół i dwa krzesła. Z sufitu zwisała naga żarówka. Chyba nadeszła pora na przesłuchanie, pomyślałem.

Stałem oparty o mur. Kilka minut później skrzypnęły drzwi i wszedł Tatsu. Sam. Miał poważną minę, ale po paru dniach odosobnienia ucieczyłem się na widok znajomej twarzy.

- *Konnichi wa* - powiedziałem.

Skinął głową.

- Cześć, Rain-san - odparł po japońsku. - Cieszę się, że cię widzę. Jestem zmęczony. Siadajmy.

Usiedliśmy po obu stronach stołu. Tatsu milczał przez dłuższą chwilę, a ja czekałem na to, co mi powie. Jego powściągliwość nie wróżyła nic dobrego.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz to aresztowanie. Na pewno spodziewałeś się czegoś innego.

- Myślałem, że z uznaniem poklepiesz mnie po plecach, choćby za to, że tak zręcznie wśliznąłem się przez okno do samochodu.

Zobaczyłem jego charakterystyczny smutny uśmiech i jakoś ciepłej zrobiło mi się na sercu.

- Musiałem zachować pozory, dopóki nie wyprostowałem paru rzeczy - odparł.

- Zajęło ci to trochę czasu.

- Tak. Ale szybciej nie dało rady. Zrozum, żeby cię uwolnić, najpierw musiałem rozkodować płytę Kawamury. Potem dziesiątki telefonów, narad, spotkań. Trzeba było pociągnąć za odpowiednie sznurki, abyś stąd wyszedł. No i pozostawała sprawa twojej kartoteki w Keisatsucho. Musiałem zrobić tam porządki. To wszystko niestety trwało.

- Udało ci się odczytać płytę? - zapytałem.

- Tak.

- Nie czujesz się zawiedziony?

- Wręcz przeciwnie.

Coś ukrywał. Wyczuwałem to z jego zachowania. Czekałem, co będzie dalej.

- William Holtzer został uznany za persona non grata i wrócił do Waszyngtonu - powiedział. - Dostaliśmy wiadomość z waszej ambasady, że zrezygnował z dalszej pracy w CIA.

- Ot, tak... po prostu zrezygnował? Nie postawiono go w stan oskarżenia? Przecież był zdrajcą i w Wietnamie pracował na dwa fronty. Oszukiwał rząd Stanów Zjednoczonych. Na płycie nic o tym nie ma?

Tatsu schylił głowę i westchnął.

- Zawartych na niej informacji nie da się wykorzystać na rozprawie. Poza tym obie strony chciały uniknąć skandalu.

- A Yamaoto? - nie ustępowałem.

- Ach, tak... Yamaoto Toshi. Skomplikowana sprawa.

- Skomplikowana? Nie brzmi to najlepiej.

- Yamaoto jest potężnym wrogiem. Trzeba z nim walczyć po kryjomu, cierpliwie i bez pośpiechu.

- Nie rozumiem. W takim razie co z płytą? Przecież mówiłeś kiedyś, że stanowi klucz do jego władzy.

- Tak.

Olśniło mnie.

- Nie masz zamiaru jej opublikować?

- Nie.

Długo milczałem, zastanawiając się nad skutkami takiego posunięcia.

- W takim razie Yamaoto będzie jej nadal szukał - powiedziałem. - Podpisałeś wyrok śmierci na Midori.

- Yamaoto okrężną drogą dostał informację, że płyta została zniszczona przez skorumpowanych pracowników Keisatsucho. Pani Kawamura jest bezpieczna. Zresztą macki Shinnento jeszcze nie sięgają Stanów Zjednoczonych.

- Co takiego?! Nie możesz deportować jej do Ameryki, Tatsu. Jej miejsce jest tutaj.

- Już wyjechała.

Nie umiałem tego ogarnąć myślą.

- Na pewno chcesz się z nią zobaczyć - ciągnął Tatsu. - Lepiej posłuchaj mojej rady i tego nie rób. Midori myśli, że nie żyjesz.

- Dlaczego?

- Tak jej powiedziałem.

- Tatsu- mój głos brzmiał groźnie beznamiętnie.- Czekam na wyjaśnienia.

Mówił krótko i rzeczowo^

- Zauważyłem, że się nią przejmujesz. Nie wiedziałem jednak, że między wami doszło do czegoś więcej. Zorientowałem się dopiero wtedy, gdy powiedziałem jej o twojej śmierci. Bardzo to przeżywała.

Przerwał na chwilę i zrezygnowanym wzrokiem popatrzył na mnie spod oka.

- Bardzo mi przykro z powodu bólu, który na pewno teraz czujesz. Lecz z drugiej strony w tej chwili jestem jeszcze bardziej przekonany, że zachowałem się właściwie. Twoja sytuacja była tragiczna. Lepiej, aby Midori nigdy się nie dowiedziała, że to właśnie ty przyczyniłeś się do śmierci jej ojca. Sam pomyśl, jak by to przyjęła po tym, co było między wami.

Nawet się nie zdziwiłem, że Tatsu dopasował wszystkie fragmenty układanki. Usłyszałem swój głos:

- Wcale nie musi o tym wiedzieć.
- Podejrzewam, że w pewnym sensie już wie. Twoja obecność z czasem umocniłaby ją w tym przekonaniu. Teraz pamięta tylko, że zginął bohaterką śmiercią, wypełniając ostatnią wolę jej ojca.
- Z trudem do mnie docierało, że Midori na zawsze odeszła w przeszłość. To było jak magiczna sztuczka. Jest - i nie ma. Masz coś... i zostają ci tylko wspomnienia.
- Jeżeli wolno coś powiedzieć - mruknął Tatsu - *to wasz* romans trwał zaledwie chwilę. Chyba nie myślisz, że do końca życia będzie za tobą płakać.
- Dzięki, Tatsu - zdołałem wydusić z siebie. - Już mi lepiej.
- Pochylił głowę w niemym ukłonie. Niezmiernie rzadko mówił o uczuciach i zawsze robił to, co powinien zrobić. *Giń i ninjo*. Obowiązek i uczucia. W Japonii obowiązek jest na pierwszym miejscu.
- Wciąż czegoś nie rozumiem- powiedziałem chwilę później.- Myślałem, że chcesz podać do powszechnej wiadomości wszystkie informacje nagrane na płycie. Przecież to potwierdza twoje przypuszczenia o spiskach i korupcji.
- Walka z korupcją jest ważniejsza niż dowód na to, że się nie myliłem.
- Czym to się różni? Bulfinch był przekonany, że po ujawnieniu faktów japońskie media muszą to podchwycić. Yamaoto byłby skończony.
- Powoli skinął głową.
- Rzeczywiście jest w tym trochę prawdy. Ale niestety, taka publikacja to w gruncie rzeczy pocisk nuklearny. Można wystrzelić go tylko raz, ze świadomością kompletnej zagłady.
- No właśnie. Wystrzel pocisk. Zniszcz korupcję. Niech społeczeństwo wreszcie odsapnie.
- Westchnął. Chyba miał dla mnie trochę współczucia po szoku, jaki mi zafundował, bo był cierpliwszy niż zazwyczaj. Przedtem się wściekał, gdy wszystko musiał mi tłumaczyć.
- Tu, w Japonii, korupcja to część życia społeczeństwa. Rdza przeniknęła tak głęboko, że już przeżarła całą nadbudowę. Nie można nagle jej usunąć, nie powodując wielkiej społecznej katastrofy.
- Bzdury - odparłem. - Jeśli to właśnie jest korupcja, to trzeba ją po prostu zdławić.
- Rain-san - chyba się niecierpliwił - pomyśl przez chwilę, co może powstać z tych popiołów.

- O co ci chodzi?
  - Postaw się w roli Yamaoto. Plan A: wykorzystujesz płytę, żeby po cichu kierować działaniami polityków PLD. Plan B: gigantyczny wybuch, publikacja, niszczy PLD i oddaje władzę w ręce Shinnento.
  - Bo na nagraniach jest tylko PLD - mruknąłem. Pomału zaczynałem to rozumieć.
  - Oczywiście. W takim kontekście Shinnento wygląda jak wzór uczciwości. Yamaoto musiałby wyjść z cienia, ale nareszcie mógłby z otwartej trybuny skierować cały naród w prawo. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że właśnie do tego dąży.
  - Skąd wiesz?
  - Widzę, co się dzieje. Niektórzy znani ludzie zaczęli głośno chwalić przedwojenne cesarskie zarządzenia w zakresie edukacji, widzą w Japończykach naród „wybrany przez bogów” i tak dalej. Członkowi politycy składają wizyty w świątyni Yasukuni i pochylają głowy przed grobami żołnierzy II wojny światowej, nie zważając na oburzenie opinii zagranicznej. Podejrzewam, że za tym wszystkim stoi Yamaoto.
  - Nie wiedziałem, że jesteś tak liberalny w tych sprawach, Tatsu.
  - Raczej pragmatyczny. Nieważne, w którą stronę podąży Japonia, byle nie metodami partii Yamaoto.
- Zastanawiałem się przez chwilę.
- Po tym, co się stało z Bulfinchem i Holtzerem, Yamaoto może dojść do przekonania, że nikt nie zniszczył płyty. Że trafiła do ciebie. Już raz chciał twojej śmierci. Teraz może być gorzej.
  - Dobrze wiesz, że wcale nie tak łatwo mnie zabić.
  - Podejmujesz duże ryzyko.
  - Gra idzie o dużą stawkę.
  - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.
- Spojrzał na mnie z nieprzeniknioną miną.
- Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego muszę z niemałą ostrożnością podchodzić do tej płyty. Jest tam mowa o tobie.
- Musiałem się uśmiechnąć.
- O mnie? - zapytałem niczym wiejski przygłup, naśladując jego wcześniejsze zachowanie.
  - Długo szukałem zabójcy, Rain-san. Zbyt wielu niewygodnych ludzi umierało „śmiercią naturalną”. Zawsze wiedziałem, że ktoś się za tym kryje, choć inni uważali mnie za łowcę duchów. Znalazłem go i zrozumiałem, że to właśnie ty.

- Co teraz zrobisz?
- To zależy od ciebie.
- Czyli?
- Przecież ci powiedziałem, że usunąłem wszelkie dowody twojej działalności, nawet twojego istnienia, z archiwum Keisatsucho.
- Ale została płyta. W ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że masz na mnie haczyk?

Pokręcił głową i po jego twarzy przemknął cień rozczarowania. Nie podobało mu się, że jak każdy Amerykanin jestem gruboskórny.

- To mnie w ogóle nie obchodzi. Tak się nie robi z przyjaciółmi. Co więcej, znając twój charakter i niecodzienne możliwości, podejrzewam, że taki „haczyk”, po pierwsze, nic by mi nie pomógł, a po drugie, byłby niebezpieczny.

Zdumiewające. Facet wpakował mnie do pierdła, wbrew obietnicom schował płytę, wysłał Midori do Ameryki, a ja wciąż miałem wyrzuty sumienia, że go niechcący czymś uraziłem.

- Możesz więc wrócić do swojego cienia, Rain-san - dodał. - Lecz pozwól, że cię o coś spytam. Naprawdę *chcesz* takiego życia?

Milczałem.

- Moim zdaniem w Wietnamie byłeś... najpełniejszy. Chyba wiem, co się za tym kryje. W głębi serca jesteś samurajem, myślałeś więc, że znalazłeś odpowiedniego pana. Walczyłeś o wielką sprawę.

Tym razem trafił w sedno.

- Stałeś się inny, kiedy po wojnie spotkaliśmy się znów w Japonii. Twój pan cię zawiódł, i to bardzo. Samuraj odszedł, pozostał *ronin*.

*Ronin* to „człowiek fala” - ten, kto wędruje bez wyraźnego celu. Bezpański samuraj.

Tatsu przez chwilę czekał na odpowiedź.

- Myle się? - zapytał w końcu.
- Nie - przyznałem, mając w pamięci Crazy Jake'a.
- Jesteś samurajem, Rain-san. Ale samuraj musi mieć pana. Jego pan to jin, a samuraj jang. Jeden nie może istnieć bez drugiego.
- Co chcesz dokładnie mi zaproponować, Tatsu?

- Jeszcze daleko do końca wojny z plagą dręczącą całą Japonię. Dzięki tej płycie zyskałem broń do dalszej walki. Ale to nadal nie wystarczy. Chciałbym cię mieć po swojej stronie.

- Nic nie rozumiesz, Tatsu. Nie można iść na pogrzeb pana i już rozglądać się za drugim. Niektóre blizny są zbyt głębokie.

- Jaki masz wybór?
  - Mogę być panem siebie. Tak jak dotychczas.
- Machnął ręką- co za nonsensowny pomysł.
- To jest niezgodne z ludzką naturą. Wręcz niemożliwe, jak rozmnażanie przez masturbację.

Tak mnie zaskoczył tym szorstkim zdaniem, że mimo woli wybuchnąłem śmiechem.

- Nie wiem, Tatsu. Nie wiem, czy mogę ci zaufać. Umiesz manipulować ludźmi. Spójrz tylko, ile dokonałeś w czasie, kiedy trzymałeś mnie pod kluczem.

- Mój stosunek do innych ludzi i kwestia twojego zaufania to dwie zupełnie różne sprawy - odparł. Łatwo oddzielił jedno od drugiego, bo był Japończykiem.

- Pomyślę o tym - obiecałem.

- O nic więcej cię nie proszę.

- Teraz mnie wypuść.

Wskazał na drzwi.

- Byłeś wolny od chwili, kiedy tu przyszedłem.

Uśmiechnąłem się lekko.

- Mogłeś powiedzieć to od razu. Pogadałbym z tobą przy kawie.

## 25

Tatsu musiał na mnie poczekać. Miałem kilka ważniejszych spraw do załatwienia.

Po pierwsze, Harry. W dniu, w którym przyłapałem Holtzera w Yokosuce, włamał się do kartoteki Keisatsucho, więc od razu wiedział, że mnie aresztowano i „zamknięto”. Kilka dni później zauważył, że ktoś usunął moje dane.

- Kiedy to zobaczyłem - powiedział później - pomyślałem, że cię wykończyli. Że już nie żyjesz.

- Właśnie tak wszyscy powinni myśleć - odparłem.

- Dlaczego?

- Keisatsucho liczy na moją pomoc w pewnych sprawach.

- Z tego powodu cię wypuścili?



- Coś za coś, Harry. Chyba wiesz o tym. - Powiedziałem mu o Midori.

- Może to lepiej? - mruknął.

Na pewno sporo o mnie wiedział. Ale po co do tego głośno się przyznawać?

- Co teraz zrobisz? - spytał.

- Wciąż się zastanawiam.

- Gdybyś kiedyś potrzebował dobrego hakera, to wiesz, gdzie mnie szukać.

- Daj spokój, Harry... Nie mogłeś rozgryźć jakiejś „muzycznej siatki” czy coś takiego. W Keisatsucho złamali to bez problemu.

- Hej, oni mają stały dostęp do uczelnianych superkomputerów! - oburzył się, zanim zobaczył mój szeroki uśmiech. - Bardzo śmieszne - burknął.

- Wpadnę do ciebie - obiecałem. - Ale teraz jadę na krótkie wakacje.

Poleciałem do Waszyngtonu. Tatsu twierdził, że tam wysłano Holtzera. Formalności związane z jego „rezygnacją” mogły potrwać co najmniej kilka dni lub tygodni, a to znaczyło, że w tym czasie będzie kręcił się w pobliżu Langley.

Myślałem, że go znajdę, dzwoniąc po hotelach, wymienionych w podmiejskich Virginia Yellow Pages. Zacząłem od Langley, a potem stopniowo zataczałem coraz szersze kręgi, ale w żadnej hotelowej księdze nie figurował nikt o nazwisku William Holtzer. Może się zameldował pod pseudonimem i za wszystko płacił gotówką zamiast kartą, żebym przypadkiem go nie znalazł?

W takim razie czym jeździł? Zatelefonowałem pod pierwszy z ośmiuset numerów najważniejszych wypożyczalni samochodów. Mówi William Holtzer, chciałbym jeszcze trochę przedłużyć umowę. W Avis nie znali Williama Holtzera. U Hertz tak. Jakiś pracownik był na tyle miły, że mi podał nawet numer rejestracyjny samochodu. Wytłumaczyłem mu, że to potrzebne przy dodatkowym ubezpieczeniu, które chciałem załatwić przez mój bank kredytowy. Czekałem, aż mnie spyta, dlaczego nie spiszę danych z breloczka od kluczyków albo z tablicy samochodu. Nie zrobił tego. Pozostawało mi więc tylko przejrzeć bazę danych DMV. Dowiedziałem się z niej, że Holtzer jeździ białym fordem taurusem.

Znów zataczałem kręgi. Tej samej nocy objechałem parkingi wszystkich większych hoteli w pobliżu Langley. Zwalniałem na widok każdego białego forda taurusa i sprawdzałem tablicę rejestracyjną.

Koło drugiej nad ranem znalazłem samochód Holtzera pod hotelem Ritz Carlton w Tyson's Corner. Popatrzyłem na numer, a potem pojechałem do pobliskiego Marriotta i tam ukradłem dwie tablice z jakiegoś auta. Przeniosłem się na skraj pustego parkingu Tyson's Corner Galleria i zmieniłem numery w swoim samochodzie. Doszedłem do wniosku, że to - plus przebranie - ha pewno wystarczy, aby zmylić przygodnych świadków lub kamery.

Wróciłem do Ritza. Oba miejsca obok taurusa były już zajęte, ale znalazłem wolne po drugiej stronie, za nim, lekko z boku. Prawdę mówiąc, wołałem zaparkować gdzieś dalej. Jeśli kumasz coś z reguł rządzących moim światem albo po prostu wiesz, gdzie cię mogą kropnąć, to jeżysz się wewnętrznie na widok furgonetki stojącej tuż obok twojego wozu. Zwłaszcza kiedy jest taka jak moja, z ciemnymi szybami. Pojechałem w wybrane miejsce i zaparkowałem przodem - tak, żeby odsuwane drzwi były po stronie Holtzera.

Sprawdziłem sprzęt. Thunder blaster o mocy dwustu pięćdziesięciu tysięcy woltów - gwarantowane oszołomienie przy pierwszym dotknięciu i całkowita utrata przytomności w niecałe pięć sekund. Średniej wielkości super bali z różowej gumy, do kupienia za osiemdziesiąt dziewięć centów praktycznie w każdym drugstorze. Przenośny defibrylator, z rodzaju tych, jakie od niedawna są wyposażeniu niektórych linii lotniczych - na tyle mały, żeby zmieścił się w zwykłą walizkę, i oczywiście dużo droższy od super bali.

Wyciągnięcie kogoś z migotania komór sercowych to ryzykowna sprawa. Trzysta sześćdziesiąt dzuła stanowi potężną dawkę prądu. Jeżeli wstrząs nastąpi w najwyższym punkcie załamek T - pomiędzy uderzeniami serca - można wywołać śmiertelną arytmie. Z tego względu najnowsze defibrylatory są wyposażone w specjalne czujniki, które automatycznie wychwytyją zespół QRS, czyli jedyny moment, kiedy można bezpiecznie przystąpić do zabiegu.

Oczywiście to samo urządzenie można tak przeprogramować, żeby wykrywało załamek T.

O kilka stopni obniżyłem oparcie fotela i wyciągnąłem się wygodniej. Podejrzywałem, że Holtzer już z samego rana wybierze się do CIA, więc czekało mnie zaledwie parę godzin bezczynności.

Koło wpół do siódmej, czyli co najmniej pół godziny przed pełnym wschodem słońca, poszedłem na drugi koniec parkingu i wysikałem się na jakieś cełkowane krzaki. Potem krótka rozgrzewka i powrót do furgonetki, gdzie zjadłem śniadanie, złożone z zimnej kawy i chicken mcnuggets, które mi pozostały z poprzedniego wieczoru. Kulinarne rozkosze inwigilacji.

Holtzer pojawił się godzinę później. Obserwowałem go, jak wychodził z windy i siedł w moją stronę. Był ubrany w szary garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Standardowe wdzianko z okolic Beltway\* praktycznie mundur Agencji.

Myślamii błędził zupełnie gdzie indziej. Zauważyłem to po jego minie i zachowaniu - choćby po tym, że nie rozejrzał się po parkingu, tylko od razu podszedł do samochodu. Tak się nie robi w potencjalnie niebezpiecznych miejscach, zwłaszcza na podziemnych parkingach.

Włożyłem czarne skórzane rękawiczki i włączyłem thunder blaster. Rozległ się elektryczny trzask i zobaczyłem jaskrawy łuk niebieskich iskier. Byłem gotowy.

Rozejrzałem się wokół i z zadowoleniem stwierdziłem, że jestem sam. Przesunąłem się na tył furgonetki. Tymczasem Holtzer przystanął przy drzwiach taurusa, żeby zdjąć marynarkę. Dobrze, pomyślałem. Nie pognieciesz sobie ubranka do trumny.

Czekałem, aż zrzucił marynarkę z ramion, bo w tym momencie nie mógł się skutecznie bronić. Błyskawicznie odsunąłem drzwi i skoczyłem na niego. Słyszając donośny szczęk, uniósł głowę, ale zdążył tylko otworzyć usta ze zdumienia. Już byłem przy nim; prawą ręką wpakowałem mu blaster w brzuch, a lewą chwyciłem go za gardło. Silny wstrząs poraził mu centralny układ nerwowy.

Nie minęło pełnych sześć sekund, a już wtaszczyłem go do furgonetki i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Pchnąłem go na szeroką tylną kanapę i jeszcze raz włączyłem thunder blaster, aby mieć pewność, że nie zacznie fikać, zanim skończę.

Reszta zadania była rutynowa i nie zabrała mi wiele czasu. Przypiąłem go pasami przez brzuch i na skos tułowia, rozciągając je na pełną długość i puszczając, żeby zaskoczyły. Najtrudniej było rozpiąć mu koszulę i odsunąć krawat w taki sposób, aby przyłożyć elektrody do gołego ciała, posmarowanego żelem, chroniącym przed popa-

\* Obwodnica wokół Waszyngtonu (przyp. tłum.).

rzeniem skóry. Na szczęście pasy trzymały go na miejscu, kiedy to wszystko robiłem.

Gdy mocowałem drugą elektrodę, gwałtownie otworzył oczy. Spojrzał w dół, na swoją nagą pierś, a potem na mnie.

- Za... za... - wybełkotał.

- Zaczekaj? - odpowiedziałem.

Jęknął, chyba na znak potwierdzenia.

- Przykro mi, ale nie mogę - odparłem i przykleiłem plasterm elektrodę.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wepchnąłem mu super bali w otwarte usta. Nie chciałem, żeby w momencie szoku przygryzł sobie język - to byłoby podejrzané.

Przesunąłem się na drugą stronę furgonetki, aby przypadkiem go nie dotknąć, gdy będzie pod prądem. Wodził za mną przerażonym wzrokiem.

Wcisnąłem włącznik.

Holtzer szarpnął się do przodu, napiął pasy i spazmatycznie odrzucił głowę w tył, uderzając potylicą w zagłówek. Aż dziw bierze, jak bezpieczne są dzisiejsze samochody.

Odczekałem minutę, po czym wziąłem go za rękę, żeby sprawdzić puls. Chciałem mieć pewność, że już po nim. Zadowolony, schowałem piłkę i odczepiłem elektrody. Watą zmoczoną w spirytusie zmyłem resztki żelu. Doprowadziłem ubranie Holtzera do porządku i spojrzełem w jego martwe oczy. Zdziwiałem, jak niewiele czułem. Może przelotną ulgę. Nic więcej.

Otworzyłem drzwi taurusa i włożyłem kluczyk w stacyjkę. Jeszcze raz rozejrzałem się wokół. Z windy wyszła jakaś kobieta w ciemnej garsonce. Pewnie spieszyła się do pracy na jakąś poranną naradę. Zaczekałem, aż odjechała.

Podniosłem zwłoki lekko zmodyfikowanym chwytem strażackim, przeniosłem je do taurusa i rzuciłem na fotel kierowcy. Zamknąłem drzwi i jeszcze przez chwilę patrzyłem na swoje dzieło.

To za Jimmy'ego, pomyślałem. I za Cu Lai. Czekają na ciebie w piekle.

Niestety, na mnie też czekali. A może Holtzer im wystarczy? Wsiadłem do furgonetki i odjechałem.

Chciałem zatrzymać się jeszcze tylko w jednym miejscu. Manhattan, południowa część Siódmej Alei, pod numerem 178. Village Vanguard.

Wszedłem na stronę Yanguarda w Internecie i dowiedziałem się, że trio Midori Kawamury występuje od pierwszego wtorku listopada do następnej niedzieli. Zrobiłem rezerwację na piątek, na pierwszą w nocy. Nie musiałem podawać numeru karty kredytowej, ale wiedziałem, że sprzedadzą moje miejsce, jeśli się nie zjawię co najmniej piętnaście minut przed koncertem. Podpisałem się popularnym japońskim nazwiskiem: Watanabe.

Pojechałem międzystanową 95 z Maryland do Delaware, a stamtąd do New Jersey. Na rogatek mogłem zjechać na 1-80 i wybrać się do Dryden, trzysta dwadzieścia kilometrów i jedno obce życie dalej.

Zamiast tego skręciłem w stronę Holland Tunnel, dotarłem do miasta i pojechałem dalej do Soho Grand Hotel przy West Broadway. Tutaj pan Watanabe wynajął apartament na piątkowy wieczór. Zjawił się przed szóstą, żeby hotel przypadkiem nie cofnął mu rezerwacji, i zapłacił gotówką, starannie odliczając czternaście studolarówek za dobę. Trzeba przyznać, że na obsłudze nie wywarło to większego wrażenia. Wszyscy zapewne przypuszczali, że ekscentryczny bogacz zamierza po kryjomu spotkać się z kochanką.

Weześniejszy przyjazd dał mi okazję do kąpieli i trzygodzinnej drzemki. Potem zjadłem wytworny obiad: *paillard de veau* i mouton, rocznik 82 z hotelowej restauracji Canal House. Do wyjścia pozostała mi jeszcze godzina, którą spędziłem w oszałamiającym Grand Bar. Wysokie stropy, ciepłe światła i cudownie symetryczne stoły o blatach z czarnego szkła tworzyły tło dla niewyszukanej kolekcji *single malts* i denerwująco słodkiej muzyki. Ale przyjąłem to bez sprzeciwu, delektując się dwudziestopięcioletnią macallan.

Przeszedłem około półtora kilometra, zanim dotarłem do Vanguard. W nocy zrobiło się dosyć chłodno, więc byłem zadowolony, że włożyłem ciemne gabardynowe spodnie, czarny kaszmirowy golf i granatową kurtkę. Ciemny kapelusz, nasunięty głęboko na czoło, też zapewniał mi nieco ciepła i zmieniał rysy twarzy.

Trzydzieści pięć minut po północy odebrałem bilet i jeszcze trochę pospacerowałem. Do klubu wróciłem tuż przed pierwszą. Nie chciałem przed koncertem natknąć się na Midori albo kogoś z jej muzyków.

Przeszedłem pod ogólnie znaną czerwoną markizą i charakterystycznym neonem, minąłem mahoniowe drzwi i usiadłem przy okrągłym białym stoliku z tyłu sali. Midori siedziała już przy fortepianie, spowita w czerń - tak jak ją widziałem za pierwszym razem. Z czułością popatrzyłem na nią, sam niewidoczny, odgradzony smutkiem, który i ona na pewno czuła. Wyglądała pięknie - i to boleło.

Przygasły światła, ucichł szmer rozmów i Midori gwałtownie pobudziła fortepian do życia. Wbiła palce w klawisze. Chciałem na zawsze zapamiętać ruchy jej rąk, kołysanie ciałem i wyraz twarzy. Do końca życia będę słuchał jej melodii, pomyślałem, ale widzę ją po raz ostatni.

W jej muzyce zawsze słyszałem frustrację - i uwielbiałem chwilę, w której gniew uchodził, przeganiany przez głęboki smutek akceptacji. Ale dzisiaj nie było zgody. Surowe dźwięki pobrzmiwały gniewem, może czasami przygnębieniem, lecz nie rezygnacją. Patrzyłem i słuchałem, czas płynął, a ja próbowałem znaleźć pocieszenie w myśli, że to, co zaszło między nami, stało się teraz częścią jej muzyki.

Pomyślałem o Tatsu. Dobrze zrobił, że powiadomił ją o mojej śmierci. Tak jak powiedział, z czasem by poznała prawdę albo ta prawda w inny sposób dotarłaby do jej świadomości.

W drugim przypadku też miał rację. Smutek Midori nie potrwa wiecznie. Jest przecież młoda i czeka ją wielka kariera. Jeśli znasz kogoś dosyć krótko - choćby najbardziej\*intensywnie - to wieść, że umarł, jest dla ciebie szokiem, lecz niezbyt długim i głębokim. Brakuje czasu, aby ta znajomość na trwałe wplotła się w tkaninę twojego życia. Zaskakujące, może nawet przykre, jak szybko ulatuje pamięć o tych rzeczach, które się mogły zdarzyć, ale nie zdarzyły. Czasami myślisz, że to nie dotyczyło ciebie, ale kogoś z twoich znajomych.

Koncert trwał godzinę. Gdy dobiegł końca, po cichu wstałem i wyszedłem. Znowu minąłem drewniane drzwi i przystanąłem pod bezkسیężycowym niebem. Zaniknąłem oczy i wdychałem nocne zapachy Manhattanu - obce, ale zarazem bliskie, w niepokojący sposób wciąż mnie łączyły z dawnym życiem.

- Bardzo przepraszam - usłyszałem za sobą głos dziewczyny.  
Odwróciłem się, myśląc: Midori. Ale to była tylko szatniarka.

- Coś pan zostawił - powiedziała. Podała mi kapelusz. Gdy zgasty światła, położyłem go na krześle obok i zupełnie o nim zapomniałem.

Wziąłem go od niej bez słowa i odszedłem w mrok.

Midori. Z nią bywały chwile, że zapominałem o tym, co zrobiłem. O tym, kim się w końcu stałem. Ale to nigdy nie trwało długo. Jestem wytworem swojej przeszłości. Zawsze się budzę z tym przeświadczeniem, bez względu na to, o czym śniłem.

Nie mogłem wyprzeć się samego siebie. Musiałem to zaakceptować. A może nawet wykorzystać? Może przemienić w coś dobrego? Pierwszy raz w życiu... Na przykład z Tatsu. Pomyślę o tym.

Midori. Wciąż słucham jej muzyki. Czepiam się każdej nuty i usiłuję ją zatrzymać, by nie rozwiała się w powietrzu, ale jest sprytna, nieuchwytna i w końcu ginie gdzieś w ciemnościach niczym smugowy pocisk za drzewami.

Łapię się na tym, że czasami szepczę pod nosem imię: Midori. Uwielbiam dotyk tego dźwięku, na pozór wąty, lecz na tyle mocny, żeby podtrzymać moje wspomnienia. Wolno powtarzam go po kilka razy, jakby był pieśnią lub modlitwą.

Myślisz, że czasem cię wspomina? - pytam sam siebie.

Raczej nie, zawsze pada taka odpowiedź.

Nie szkodzi. Najważniejsze, że jednak jest, choć gdzieś daleko. Zawsze jej będę słuchał w ciemnościach. Przedtem i teraz. Do końca życia.

## Podziękowania

*Na moją wdzięczność zasłużyli:*

*Mój agent Nat Sobel i jego żona Judith, którzy wierzyli we mnie już od dawna. Czasami Nat lepiej niż ja znał Johna Raina (to trochę niepokojące). Bez jego porad i wskazówek John nigdy nie ujawniłby głębi swojego charakteru.*

*Walter LaFeber z Uniwersytetu Cornella, za to, że się okazał wspaniałym kumpłem i nauczycielem - i że napisał książkę The Clash: A History of U.S. - Japan Diplomatic Relations, najlepsze dzieło na ten temat, z którego zaczerpnąłem nieco historycznych informacji, dotyczących narodzin Johna Raina.*

*Moi trenerzy, oficjalni i mniej oficjalni, oraz partnerzy odrandori w tokijskim Kodokanie, gdzie bije serce światowego judo. To właśnie oni pokazali mi kilka skutecznych technik, które włączyłem do śmiertocznego arsenału Johna.*

*Szef tokijskiej redakcji „Forbesa”, Benjamin Fulford, za odwagę i konsekwencję, z jaką tropi wszelkie afery i korupcję, która panoszy się w Japonii, a stała się podporą akcji mojej książki. Szkoda, że najmniej wiedzą o niej ludzie najbardziej przez nią pokrzywdzeni.*

*Dyplomata o duszy artysty, Koichiro Fukasawa, najwspanialszy człowiek dwóch światów, jakiego miałem zaszczyt poznać - za to, że mi otworzył oczy na wiele japońskich spraw i ukazał tyle cudów Tokio.*

*Dave Lowry, za wspaniałą książkę Autumn Lightning: The Education of an American Samurai, dzięki której nieco inaczej spojrzałem na shibumi i sztuki walki, stanowiące część edukacji Johna Raina.*

*„Wielokierunkowy” Carl, weteran tajnych wojen - za to, że uczył mnie udeźać twardo, szybko, często i z wyprzedzeniem. Sama jego obecność wystarczała, żeby skierować moje myśli we właściwą stronę.*

*A najbardziej - moja żona Laura, która zносиła moje pisarstwo i obsesje i zaszczerpiła we mnie motywację do jeszcze bardziej wyteżonej pracy nad książką. Wciąż mam w pamięci liczne dyskusje, które wiedliśmy na spacerze, podczas podróży samochodem albo czasami późno w nocy, przy małej szklance single*



*malt whisky. Nikt tak jak Laura mi nie pomógł znaleźć historię, bohaterów, słowa i silną wolę.*

*Opisałem Tokio najdokładniej, jak tylko mogłem, z dwoma małymi wyjątkami. Liczni bywalcy, którzy dobrze znają dzielnicę Shibuya, wiedzą, że w połowie Dogenzaki nie ma sklepu Higashimury. W rzeczywistości sklep jest przy końcu ulicy, w pobliżu stacji. Ci zaś, którzy chcą znaleźć bar Satoh, niech nie szukają go wśród licznych pubów i restauracji w Omotesando, gdzie też podaje się niezłą whisky. Satoh-san prowadzi swój lokal w Miyakojimaku, w Osace. To najlepszy whisky bar w całej Japonii i warto się do niego wybrać.*